

# Lee Rachel (właśc. Civil-Brown Sue)

## Życie od nowa

*Po rozwodzie Jillian McAllister przyjeżdża do małego miasteczka na Florydzie. Wynajmuje dom, znajduje pracę i przyjaciół. Lecz oto zjawia się jej były mąż. Chce, by do niego wróciła. Razem wyjadą, złączą wszystko od nowa. Ale Jillie już zaczęła od nowa. I nie może odmówić sercu, które błaga ją: zostań!*

## Rozdział 1

Jillie McAllister właśnie skręcała na podjazd przed domem, kiedy olbrzymi pies niespodziewanie wyskoczył z krzaków. Nie pobiegł dalej, tylko zastygł w bezruchu, oślepiiony blaskiem reflektorów samochodu.

Odruchowo nacisnęła hamulec i gwałtownie szarpnęła kierownicą, żeby go nie potrącić. Chwilę później rozległ się nieprzyjemny metaliczny brzęk -uderzyła w skrzynkę pocztową sąsiadów.

- Do diabła! - zakląła. Samochód nagle szarpnął i stanął. Tego tylko brakowało, jeszcze jeden wydatek.

Winowajca popatrzył na nią przez chwilę jakby z pogardą, a potem spokojnie uniósł łapę i obsikał przednie koło. Spojrzał w stronę Jillie raz jeszcze i zniknął w ciemnościach.

- Głupie bydlę! - krzyknęła ze złością. - Nie mogłeś od razu pobiec dalej? No i proszę, w co się wpakowałam! I kto ci pozwolił sikać na mój samochód?

- Do kogo pani mówi?

Zaskoczona Jillie z początku nie zorientowała się, skąd dochodzi głęboki, męski głos. Odwróciła się i zobaczyła postać. Gliniarz.

- O, cholera - mruknęła. - Cholera.

Mężczyzna podszedł bliżej i stanął w świetle reflektorów. Teraz wyraźniej widziała potężną sylwetkę i mundur.

Pochylił się ku niej; koszulę miał tak idealnie wyprasowaną, jakby zeskoczył prosto z plakatu reklamowego zachęcającego do pracy w policji.

Nie wyglądał na zadowolonego. Przeciwnie, był w wyjątkowo złym humorze.

- Do kogo pani mówi? - powtórzył zniecierpliwiony.

- Do psa.

-Jakiego psa?-Jillie wychyliła się przez okno i machnęła ręką w stronę, w którą pobiegł zwierzak. -Właśnie uciekł.

- Niech pani wyłączy silnik i zgasi światła. Poproszę prawo jazdy, dowód rejestracyjny samochodu i polisę ubezpieczeniową.

Cudownie! Nie dosyć, że ostatnio życie nie układało jej się najlepiej, to teraz jeszcze wejdzie w konflikt z prawem. Skrzywiła się, ale zrobiła, co kazał. Opór mógł tylko pogorszyć sytuację, więc zgasła reflektory i przekręciła kluczyk w stacyjce.

Policjant trzymał w ręku ogromną latarkę, którą wycelował prosto w nią. Patrzył, jak Jillie nerwowo grzebie w torebce, szukając dokumentów. Ręce jej drżały, nie mogła wyciągnąć portfela. Wreszcie podała mu papiery.

- Dowód rejestracyjny - ponaglił, rozdrażniony.

Powinien być w schowku, tylko że tam wały się sterty rachunków za benzynę, lewitów za remont samochodu, sklepowe paragony i papierki po cukierkach.

Na dodatek lampka w aucie była zepsuta. Jillie zaczęła wyciągać pojedyncze świstki i w ciemnościach próbowała je odczytać. Kupka leżąca na dywaniku samochodowym robiła się coraz większa.

- Nic nie widzę - powiedziała w końcu ze złością. - Wiem, że jest tutaj, ale po ciemku nie mogę znaleźć. - Machnęła plikiem papierów. - Nie odróżnię go od tych rachunków.

-Nic dziwnego.

Miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Policjant nie zamierzał odpuścić. Obszedł samochód i otworzył drzwi z drugiej strony. Skierował latarkę prosto na schowek i poświecił - co za bałagan!

- Chyba powinnam to posprzątać - zaśmiała się nerwowo. Mężczyzna milczał i Jillie czuła się coraz bardziej zakłopotana.

W końcu znalazła to, czego szukała. Dowód rejestracyjny, który miała dopiero od kilku miesięcy, leżał na samym dnie, pod rachunkami sprzed trzech lub czterech lat. Zawstydzona, bez słowa podała policjantowi dokument. Poświecił na niego latarką, a potem znów jej w oczy. Za snopem światła wyglądał jak przyczajony, prawie niewidoczny cień.

- Proszę wysiąść z podniesionymi rękoma.

OBoże! Czyżby chciał ją aresztować za przewrót skrzynki pocztowej?

- Niech pan posłucha - zaczęła bełkotać. - Uderzyłam w tę skrzynkę niechcący. Zapłacę za nią, słowo. Ten pies siedział na samym środku drogi, szarpnęłam kierownicą, żeby go nie przejechać. - Podniosła bezradnie rękę, wysiadła i stanęła przed policjantem. - Wiem, że nie należy tak robić; mogło mi się coś stać albo komuś innemu, ale... miałam ciężką noc. Pracowałam od czwartej po południu, a dochodzi druga. Jestem zmęczona i ledwo widzę... Przerwała nagle, uświadomiwszy sobie, że w tej sytuacji nie powinna się do tego przyznawać. Tylko czy można aresztować kogoś za to, że prowadzi samochód, kiedy jest zmęczony?

Policjant zaświecił jej latarką prosto w oczy, więc zamrugowała nerwowo i odwróciła się.

- Piła pani alkohol?

- Skądże! -Nagle z przerażeniem przypomniała sobie, że jeden z klientów oblał japiwem godzinę temu, tuż przed zamknięciem baru. Boże, śmierdziała jak browar!

Teraz dopiero zaczęła się jąkać.

- Chodzi panu o ten zapach? Jestem kelnerką i ktoś wylał na mnie dziś piwo...

Noc była dziwnie chłodna jak na tę część Florydy i Jillie dygotała, stojąc na podjeździe przed domem ubrana tylko w skąpy strój.

Policjant wsunął dokumenty za wycieraczkę i znów skierował na nią światło latarki.

- Od jak dawna pracuje pani w barze, panno McAllister?

- A co to ma do rzeczy? Chce pan wiedzieć, czy co noc wracam do domu, cuchnąc piwem?

- Proszę odpowiedzieć na pytanie. Od jak dawna pracuje pani w barze? -jego głos zabrzmiał jeszcze bardziej szorstko.

- Od dwóch tygodni.

- Prawo stanowe Florydy daje dziesięć dni od podjęcia pracy na załatwienie prawa jazdy i rejestrację samochodu.

Pani nie dotrzymała terminu, panno McAllister.

-Nie miałam o tym pojęcia! Daję słowo! W Massachusetts mamy trzydzieści dni.

- Nieznajomość prawa nie jest żadnym wytłumaczeniem.

- Dlaczego pan... - ugryzła się w język. Musi nad sobą panować, jeśli nie chce pogarszać sytuacji.

Cień zamarł w bezruchu.

- Co pani chciała powiedzieć?

- Coś tak głupiego, że może lepiej w ogóle nie będę się odzywać.

- Dobry pomysł. A teraz proszę stanąć tutaj. Zrobimy prosty test. Przekonamy się, czy pani może prowadzić samochód. Jeśli się pani nie zgodzi, odmowa może być wykorzystana przeciwko pani w sądzie.

Jillie zamarła z przerażenia.

- Jak to przeciwko mnie? W jakim sądzie? Pan chyba żartuje! Ja nic nie piłam!

Zignorowała słowa.

- Muszę też panią poinformować, że jeśli pani nie wykona testów, podejmę decyzję na podstawie tego, co widziałem do tej pory, to znaczy aresztuję panią za jazdę pod wpływem alkoholu.

- Za jazdę po pijanemu? - To jakiś koszmarny sen, rodem z Kafki. - Przecież ja niczego nie piłam!

Policjant był nieustępliwy.

- W takim razie test nie sprawi pani trudności. Proszę podejść do mnie. Zrobiła, co polecił, i stanęła na krawędzi betonowego podjazdu.

- Nic nie widzę - poskarżyła się. - Oślepił mnie pan tą latarką.

W odpowiedzi włączył reflektory samochodu. Promień światła oświetlił Jillie.

- Akumulator się wyładowuje.

- To potrwa tylko kilka minut. Proszę mnie uważnie posłuchać. Wyjaśnię wszystko dokładnie, ale proszę nie zaczynać, dopóki nie powiem. Rozumie pani?

Sytuacja doprowadzała ją do szału. Traktował ją jak dziecko lub jakby rzeczywiście była pijana.

- Jasne, że rozumiem - warknęła. Kiedy to się skończy, rozjedzie cholerną skrzynkę na listy. - Niech pan posłucha. Stoimy na moim podjeździe. Nigdzie się nie wybieram. Na litość boską, jest druga w nocy. Po co sprawdzać, czy mogę prowadzić, skoro nigdzie nie jadę?!

- A skąd mam wiedzieć, że to prawda, panno McAUister? A teraz niech pani mnie posłucha. - Podszedł i zatrzymał się tuż przed nią, jakby swoją olbrzymią sylwetką chciał jej przypomnieć, jaką ma nad nią przewagę. Gliniarze! - pomyślała z pogardą. Dobrze wiedzą, jak stać i jak mówić, żeby wzbudzić strach. Ten facet jest mistrzem w swoim fachu, ale nie uda mu się jej zastraszyć.

- Mój tata był gliną- wyrwało się jej. Dlaczego to powiedziała?

Nie zareagował i trzymając latarkę w górze, oświetlił twarz Jillie z boku. Potem uniósł długopis.

- Niech pani cały czas patrzy na czubek. - Przesunął pióro najpierw w jedną, potem w drugą stronę, sprawdzając, czy wodzi za nim wzrokiem. To było banalnie proste i Jillie poczuła się pewniej.

Poziom adrenaliny miała coraz wyższy, mimo to była potwornie zmęczona. Bolały ją stopy i plecy - wbrew temu, co ludzie myślą, praca kelnerki nie jest łatwa.

Kiedy kazał jej spacerować, to na palcach, to na piętach, nogi zapiekły jąboleśnie. Zachwiała się.

- Mam odcisk - wyj aśniła natychmiast. - Boli mnie. Nie mogę normalnie chodzić.

- Przed chwilą szła pani prosto.

- Ale teraz mi pękł! - O matko, czy ten facet nie słucha, co się do niego mówi? Tego również nie znosiła u gliniarzy: nigdy nie chcieli człowiekowi uwierzyć.

- Proszę spróbować jeszcze raz - powiedział.

Posłuchała, choć każdy krok sprawiał jej ból. Zrobiła ich dziewięć, jak kazał, obróciła się i znowu tyle samo w jego kierunku.

- Obrót był nieprawidłowy - oznajmił. - Przecież pokazywałem, nie pamięta pani? Ciężar ciała na jednej stopie, a drugą zataczamy koło, w ten sposób. - Zademontrował raz jeszcze.

- Pan żartuje, prawda? Jest druga w nocy, a pan to specjalnie przeciąga. Jestem wykończona, stopy mnie boją. Ja tylko przewróciłam skrzynkę! Zresztą już mówiłam, że za nią zapłacę!

Nie odpowiedział; Jillie stała naprzeciw niego i czuła się coraz bardziej głupio. Niepotrzebnie się odzywała. Trzeba było robić, co mówił, a już dawno puściłby ją do domu, poszłaby spać i zapomniiała, że cokolwiek się stało.

Gdyby udała słodką, posłuszną bezradną kobietkę, zostawiłby ją w spokoju. Co jej odbiło?

Tymczasem on czekał, aż Jillie zamilknie, potem polecił:

- Proszę stanąć na jednej nodze. Ręce po bokach. Niech pani wyciągnie drugą nogę prosto przed siebie - pokazał jej - i policzy do trzydziestu.

Wykonał ćwiczenie, jak gdyby to była najzwyklejsza rzecz na świecie. Jillie patrzyła na niego i miała wrażenie, że senny koszmar trwa. Jeżeli się za moment nie obudzi, zacznie krzyczeć. Zamknęła na chwilę oczy i próbowała się opanować.

- Mam stać na jednej nodze i liczyć do trzydziestu?

- Tak, proszę pani, właśnie tak.

- Pan nie mówi poważnie.

- Jak najbardziej poważnie. Proszę po prostu robić to, co ja...

- Już panu mówiłam, że nic dzisiaj nie piłam. Postawił stopę na ziemi i oparł dłonie na biodrach.

- Pani odmawia wykonania ćwiczenia, panno McAllister?

Jillie zrozumiała, że nie da jej spokoju. Postanowiła być równie uparta. Zaciśnęła usta i skrzyżowała ręce na piersi.

- Powiedziałam, że zapłacę za skrzynkę. Wyjaśniłam panu, jak to się stało, i wytłumaczyłam nawet, dlaczego czuć ode mnie piwo. Ale pan nie wierzy w ani jedno moje słowo. Nie myślę ciągnąć tej farsy ani chwili dłużej.

Dwie minuty później siedziała w policyjnym radiowozie z dłońmi na plecach zakutymi w kajdanki. W uszach dźwięczały jej jego słowa.

- Ma pani prawo zachować milczenie... Pomyślała ponuro, że chyba pora zażądać prawnika.

- Chryste, patrz, Blaise, co ona zrobiła z tą skrzynką. - Pudło leżało na ziemi, a słupek, na którym było umocowane, zgiął się wpół.

Blaise Corrigan najpierw spojrzał na kobietę siedzącą w radiowozie, a potem na Petera LeClerca. Młodszy kolega patrzył na skrzynkę i kręcił głową.

- Zrobisz kilka zdjęć, Peter? - Jasne. Przetawić ten samochód?

- Tylko tyle, żeby nie tarasował drogi. Ta kobieta tu mieszka, więc nie trzeba go przesuwac dalej.

- W porządku. - Policjant zerknął na tablice rejestracyjne. - Cholerni turyści. Nie wiem, dlaczego wydaje im się, że mogą przyjeżdżać w nasze okolice i prowadzić po pijanemu.

- Myślę, Pete, że u siebie robią dokładnie to samo. Pete pokręcił głową.

- Nie. Boją się, że pójda siedzieć. Myślą, że od nas dostaną tylko po łapach i puścimy ich wolno, bo są wielkimi turystami, a nam zależy na ich pieniądzach.

Blaise w duchu zgadzał się z nim i znał dobrze panujące powszechnie poglądy. Z drugiej jednak strony musiał uczciwie przyznać, że tacy ludzie stanowili mniejszość wśród gości odwiedzających Paradise Beach.

- Dobrze, że nasi kupcy cię nie słyszą. Dopiero dobraliby mi się do skóry, a już i tak problemów mi nie brakuje.

- Rada miasta dała ci dziś popalić, co? - spytał Pete ze współczuciem.

- O mało się nie pokłócili. Słuchaj, zabieram tę babkę na test alkomatem. Zaparkuj jej samochód przed domem i przywieź kluczyki do komisariatu.

- Będzie miała kłopoty?

- Twierdzi, że nic nie piła, tylko ktoś oblał japiwem.

- Wszyscy tak mówią.

Blaise uśmiechnął się mimo woli.

- Pamiętasz faceta, który w zeszłym roku wjechał w barierki przy plaży? Tego, który wygramolił się z samochodu, płakał, że jest pijany, i prosił, żebyśmy go zabrali? Peter roześmiał się.

- No dobra. Może na milion trafi się jeden uczciwy.

Julian McAllister milczała ponuro, kiedy Blaise usiadł za kierownicą, uruchomił silnik i ruszył do komisariatu w Paradise Beach. Nie przeszkadzało mu to, ponieważ słyszał już jej wyjaśnienia. Rozwaliła skrzynkę na listy, gadała z psem, którego nie było, nie umiała wykonać najprostszego polecenia i zalatywało od niej piwem. Czy naprawdę sądziła, że on uwierzy, że jest trzeźwa?

Zerknął we wsteczne lusterko. Wyglądała na wściekłą. Tym gorzej dla niej. Głupia baba powinna się cieszyć, że nikogo nie zabiła, prowadząc w takim stanie.

- Popełnia pan błąd - powiedziała nagle. -Zaryzykuję.

- Oskarżę pana o bezprawne aresztowanie.

- Daleko pani nie zajdzie.

W lusterku widział, jak rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Nie miał pan prawa.

- Panienko, zgodnie z przepisami to innego wyjścia nie miałem.

Zrezygnowana, opadła na siedzenie, zastanawiając się, co takiego zrobiła, że jej życie było do niczego. Najpierw rozwód, przez który straciła wszystko oprócz ciuchów na grzbiecie, starej toyoty i kilku nędznych groszy zadośćuczynienia. Potem postanowiła przenieść się na Florydę aż z Massachusetts, bo dojadło jej ustawiczne zimno i ludzie, którzy uważali, że to ona ponosi całą winę za rozpad małżeństwa. Nic dziwnego, bo przecież rodzina Fieldinga od czasów wyprawy „Mayflower” mieszkała w tym samym mieście, a Jillian była intruzem z Waukegan. I kto to mówi o prowincjonalizmie!

Przyjechała tu w poszukiwaniu ciepła i słońca. Znalazła miejsce, gdzie nie trzeba było mieć korzeni sięgających aż do czasów wypraw krzyżowych, żeby zostać zaakceptowanym. Chciała poznać dobrze okolice, a potem, za pieniądze, które dostała po rozwodzie, zamierzała otworzyć małą księgarnię.

Oczywiście, jeśli nie oskarżą jej o jazdę pod wpływem alkoholu. Nie do wiary. Co ją podkusiło, żeby zatrudnić się w tym cholernym barze? Uważała, że powinna mieć jakieś zajęcie i zorientować się, jacy ludzie przyjeżdżają tu na wakacje. W końcu to oni prawdopodobnie będą w przyszłości jej klientami.



Tymczasem jakiś typ nie potrafił trzymać łap z daleka od jej pośladek i kiedy odwróciła się, żeby go obrugać, potrafiła go i piwo wylało się na nich. Co gorsza, szef kazał jej zapłacić za czyszczenie garnituru klienta.

A teraz jakiś nadgorliwy glina wiezie ją do komisariatu pod zarzutem jazdy po pijanemu, chociaż nie miała w ustach ani kropli piwa. Skoro chcą ją aresztować, to nie za coś, czego nie zrobiła!

Kiedy dojechali na miejsce i policjant doprowadził ją do budynku, o mało nie zapadła się pod ziemię. Czuła się poniżona takim traktowaniem. Na szczęście, był środek nocy i dookoła pusto, więc miała nadzieję, że nikt jej nie zobaczy. Do diabła, niech się dzieje, co chce, ale odpłaci mu za to.

Gdy weszli do środka, przekazał ją innemu policjantowi, dużo starszemu mężczyźnie, siwemu i z dużym brzuchem. R. Witt - przeczytała na plakietce z nazwiskiem. Witt zaprowadził ją do małego pomieszczenia bez okien, w którym pod sufitem zamontowana była kamera wideo.

- Za dwadzieścia minut zabiorę panią na test - powiedział.

- Ale... - Rozejrzała się przerażona. Nie dość, że zamknęli ją w pomieszczeniu wielkości szafy, to na dodatek nie było nawet na czym usiąść. - Nie możemy zrobić tego od razu?

- Nie, proszę pani. Musimy się upewnić, że niczego pani nie jadła i nie piła na dwadzieścia minut przed badaniem.

- Oczywiście, że nie jadłam i nie piłam. Co najmniej przez tyle czasu kłóciłam się z tym drugim policjantem!

Witt uśmiechnął się nieznacznie.

- Nieźle jaknakońiec dnia. Przykro mi, ale takie są przepisy.

- Cóż, uważam, że są głupie. Skrzywił się i popatrzył na nią poważnie.

- Myli się pani. Po pierwsze, takie jest prawo. Po drugie, może panią spotkać wiele nieprzyjemności, jeśli udowodnimy, że prowadziła pani po pijanemu. A test jest dowodem, między innymi. Przecież nie chce pani, żeby wynik był powyżej normy tylko dlatego, że piła pani syrop na kaszel albo żuła jakąś dziwną gumę.

Jillie zawstydziała się.

- Ma pan rację. Tylko że jestem bardzo zmęczona. Pracowałam od czwartej...

- Ja też.

- To i pan jest pewnie wykończony. - Nie spodziewała się wielkiego współczucia z jego strony, ale przynajmniej miała okazję jeszcze raz powiedzieć, że jest niewinna. - Mówię prawdę, niczego nie piłam! Nawet kropli piwa!

- Test to wykaże.

Kiedy policjant zamknął za sobą drzwi, Jillie uniosła oczy do nieba.

- Ten poprzedni cholerny glina mówił to samo, kiedy kazał mi robić te głupie ćwiczenia.

Nikt jej nie słyszał. Po dziesięciu, może piętnastu sekundach poddała się, usiadła na podłodze i oparła obolałe plecy o ścianę. Postanowiła rzucić pracę. Zdecydowanie i nieodwołalnie. Jak tylko stąd wyjdzie, powie tym z Seaside Lounge, żeby wypchali się tą robotą. Wolą sprzedawać gazety na ulicy, niż narażać się na takie traktowanie jak dziś w nocy.

Przynajmniej stopy i plecy nie będą ją tak bardzo bolały.

Szef policji Blaise Corrigan spojrział na czarno-biały monitor i niezadowolony, poczuł odrobinę współczucia dla Jillian McAllister. Siedziała pod ścianą z zamkniętymi oczami. Robiła wrażenie zagubionej, opuszczonej i potwornie zmęczonej... jakby brakowało jej kogoś, kto by się nią zaopiekował.

Zły na siebie, odwrócił wzrok. Nieważne, jak wygląda, prowadziła samochód pijana i stwarzała zagrożenie dla porządnych obywateli miasta.

Być może miał rację.

Test alkomatem wszystko wyjaśni, ale z pewnością nie zachowywała się jak osoba trzeźwa. Ludzie trzeźwi w jej sytuacji zwykle nie wyklócali się i nie grozili. Większość starała się nie drażnić policjantów. A na dodatek ta kobieta nie umiała zrobić prostego ćwiczenia, potem odmówiła wykonania innych - typowe zachowanie pijanego kierowcy. Siedząc przy biurku, przeglądał papiery i czekał na wyniki testu. Wiedział, że rano będzie się czuł jak zbity pies - od kilku godzin powinien leżeć w łóżku.

Pewnie już dawno by spał, gdyby nie ta cholerna rada miasta, która nie potrafiła zdecydować, czy zmniejszyć liczbę policjantów w mieście, czy całkiem zlikwidować komisariat i poprosić o pomoc szeryfa okręgowego. Oczywiście chodziło o zmniejszenie kosztów.

Głupcy. Kilka dolców było ważniejsze niż bezpieczeństwo obywateli. A burmistrzowi Burgessowi - Danowi Burgessowi, właścicielowi restauracji, baru i nocnego klubu - bardzo się nie podobało, że policja surowo ściga pijanych kierowców i pilnuje przestrzegania prawa.

- Musimy pójść na ustępstwa - oświadczył Blaise'owi wieczorem. - Ludzie przyjeżdżają do nas z miejsc, gdzie prawo jest inne! Wielu pochodzi z innych krajów. Po prostu nie wiedzą, że tutaj pewnych rzeczy robić nie wolno!

Blaise miał jednak poważne wątpliwości. Nie słyszał o żadnym kraju, w którym nie piętnowano pijaństwa.

- Muszę chronić obywateli - odpowiedział. - Tych, którzy nie piją, a zwłaszcza turystów, których taki nietrzeźwy kierowca może potrącić.

Ale Dan, jeśli wbił sobie coś do głowy, uparcie trwał przy swoim, nie trafiał do niego żaden argument.

- Słuchaj! - wrzasnął w końcu z wściekłością, pochylając się nad biurkiem. - Ci ludzie wrócą z Paradise Beach i powiedzą wszystkim, jak źle się tu bawili!

Przynajmniej przyznał się, o co naprawdę mu chodzi, chociaż Blaise i tak się domyślał.

- Są tacy, którzy wrócą do domu i powiedzą to samo, bo znaleźli karalucha w hotelowym pokoju. - Policzek był wymierzony prosto w radnego Hegla, który wynajmował turystom małe domki. - Albo dlatego, że w restauracji podano im nieświeżą rybę. - Tym razem miał na myśli incydent sprzed trzech tygodni, w jednym z lokali należących do Dana Burgessa. Klient chciał zadźgać kucharza nożem do ryb, lecz szybka interwencja policji z Paradise Beach, tych bezużytecznych i zbyt kosztownych - zdaniem radnych - gliniarzy, zapobiegła rozlewowi krwi. Tamtej nocy Dan nie powiedział ani słowa na temat łagodnego traktowania turystów.

Kiedy Blaise wspomniał tamte wydarzenia, burmistrz spochmurniał i z wrażeń dostał wypieków. Potem splunął. Blaise nie czekał na odpowiedź.

- Panowie, ja tylko twierdzę, że moi policjanci, którym płacicie, lepiej was ochronią. Jeśli przejdziecie pod opiekę szeryfa, nie dostaniecie takiego wsparcia. Poza tym - uśmiechnął się i wyciągnął asa z rękawa - szeryfa nigdy nie wezwiecie na dywanik i nie będziecie mu łagodniej traktować turystów tak, jak możecie to zrobić ze mną. Wcale nie będzie was słuchał, a pijaków i tak będą aresztować.

Kretyni, pomyślał Blaise, kiwając się do tyłu na krześle, i przymknął zmęczone oczy. No i rozpętała się burza.

Radnym nie spodobało się, że odgadł ich zamiary. Nie byli też zachwyceni, że grupka zatroskanych obywateli zdecydowała się przyjść na posiedzenie rady i stanąć w obronie policji.

Najważniejszą osobą wśród obecnych była Mary Todd, seniorka społeczności Paradise Beach, starzejąca się pani o niezwykle gorącym temperamencie, a na dodatek właścicielka ziemi, na której stał ratusz. To, oczywiście, dawało Mary wyjątkowe prawo do strofowania rady. Dlatego Blaise już od dawna co tydzień odwiedzał ją w domu i zdawał jej relacje ze wszystkich pozytywnych działań swojego departamentu.

Teraz wiedział, że się opłaciło.

- Nie obchodzi mnie, co pomyślą sobie jacyś tam turyści - oświadczyła stanowczo Mary Todd, stukając laską w podłogę. - Kiedy wejdiesz

między wrony, musisz krakać jak i one. Takie są zasady, a my tutaj nie tolerujemy pijanych kierowców. Psiakrew, Danny, nie chcę, żeby mnie ktoś przejechał, kiedy będę przechodziła przez ulicę, i inni myślą tak samo. Gdzie straciłeś zdrowy rozsądek, chłopcze?

- Panno Todd...

- Daj mi spokój! Poza tym, podoba mi się, że nasi chłopcy pracują w policji. Cieszę się, że znam ich wszystkich, a oni mnie znają. Zresztą wszyscy ich rozpoznajemy - ich i jedną kobietę. Wybacz, dziewczyno, ale w moim wieku trudno się przyzwyczaić do kobiety policjanta. Wiemy, że w każdej chwili możemy na nich liczyć. Znajątych, którzy sprawiają kłopoty i wiedzą, gdzie ich szukać.

Nie, mój panie, nie chcę tu nikogo z hrabstwa, jeżdżącego wielkim samochodem bez pojęcia, który obywatel jest porządny, a który nie. Nie chcę takiego, co to schowa się za ciemnymi okularami i potraktuje nas jak robaki, które można rozdeptać wypolerowanym buciorem!

Blaise chciał bić brawo, ale rozsądek kazał mu się powstrzymać. Siedział teraz zmęczony za biurkiem, ale nadal miał ochotę poprzeć Mary. Do licha, starsza pani była niezłą intrygantką. Narobiła zamieszania na posiedzeniu rady, a połowa radnych zastanawiała się, czy jeśli będą upierali się przy swoim, Mary zerwie ich umowy dzierżawy.

Oczywiście, na tym się nie skończy. Za tydzień lub dwa znaj dą kolejny powód, żeby poruszyć ten sam temat. Nie lubili Blaise'a, bo nie nagiął prawa, tak jak chcieli, i nie mogli go zwolnić, ponieważ jego umowa o pracę zawierała bardzo korzystne dla niego postanowienia osłonowe. Nie było to pierwsze małe miasteczko, w którym pracował jako szef policji. Znał zasady prowadzonej w nich polityki i dbał o swoje interesy, jak każdy rozważny człowiek.

Oszczędności wynikłe z likwidacji komendy w Paradise Beach ledwo wystarczyłyby na jego odprawę, dlatego rada chciała zlikwidować całą jednostkę.

Wątpił, że się to uda, bo policjanci byli lubiani przez mieszkańców miasta. Mimo to czuł, że czeka go jeszcze wiele niemiłych chwil.

- Szefie. - Rob Witt zajrzał do biura. - Zabieram tę McAllister na badanie alkomatem.

-Zaraz przyjdę.

Jillian przespała się pod ścianą w sali zatrzymań. Kiedy weszli, spojrzała na nich zapuchniętymi i zaczerwienionymi oczami. Na jej twarzy malowało się zmęczenie.

- Ostatnia rzecz, proszę pani - powiedział Rob wesoło. - Proszę iść z nami, dmuchnąć w rurkę kilka razy i wszystko się wyjaśni.

Ładnie to ujął, pomyślał Blaise. Ta kobieta być może spędzi resztę nocy w celi. Oczywiście, taka śpiąca pewnie nawet nie zwróci na to uwagi, byle tylko miała się gdzie położyć. Sam zaczął się czuć podobnie.

W pokoju obok Rob posadził ją na krześle i podał jej rurkę.

- Teraz proszę nabrać dużo powietrza i dmuchać w tę rurkę, dopóki nie usłyszysz pani sygnału. Proste, prawda?

Jillie podejrzliwie spojrzała na rurkę.

- Czyście to czymś?

- Każdy dostaje czystą końcówkę, proszę pani.

Nadal była nieufna, ale kiedy kazał jej nabrać powietrza i dmuchać, zrobiła to. Twarz jej poczerwieniała, zanim urządzenie wydało sygnał.

Blaise zerknął Robowi przez ramię na cyfrowy czytnik i omal nie jęknął. 0,2 promila - do licha, tyle alkoholu mogła mieć we krwi tylko dlatego, że opary piwa wchłonęła przez skórę.

Wynik był dużo poniżej obowiązującego na Florydzie ograniczenia do 0,8 promila i dużo poniżej wskazania, jakie pojawiała się po wypiciu jednego piwa.

- Jeszcze raz, proszę pani - powiedział Rob. - Potrzebujemy dwóch odczytów dla pewności.

Alkomat znowu wskazał 0,2 promila i kiedy urządzenie wypluło kartkę z wynikiem, Blaise zaczął się zastanawiać, jak przeprosić zatrzymaną.

- No i co? - zapytała zniecierpliwiona. - Jestem pijana? Witt zerknął na swojego szefa.

- Nie, pani McAUister - odparł Blaise powoli. - Nie jest pani pijana. Rzuciła mu triumfalne spojrzenie.

- Mówiłam panu. Należało mi uwierzyć.

- Trudno było w okolicznościach... - Skrzywił się w ponurym nastroju. - A w przyszłości proszę się nie kłócić z funkcjonariuszem policji. To tylko szkodzi sprawie.

Zachowała na tyle zdrowego rozsądku, że nie spierała się z nim dalej, chociaż miała ochotę wyrwać mu język i obwiązać dookoła głowy.

-Mój adwokatjeszcze się z wami skontaktuje. -Coś ją podkusiło i po chwili pożałowała swoich słów. Czy chodziło jej o to, żeby ją ponownie aresztował?

Odpowiedź Blaise'a zaskoczyła ją.

- Podam kontakt do mojego adwokata. Musimy ustalić, jak pani zapłaci za moją skrzynkę na listy.

## Rozdział 2

Skrzynka nadal leżała na ziemi, kiedy naczelnik Corrigan wjechał na podjazd przed domem Jillian.

- Odprowadzę panią do drzwi.

Siedziała obok niego na siedzeniu pasażera, a nie jak przestępca, z tyłu. Jakoś dziwnie nie czuła się przez to lepiej.

- To zbyteczne, panie komendancie. Spojrzał na nią.

- Ależ skąd, odprowadzę panią bezpiecznie do drzwi.

Pewnie bał się, że go zaskarzy, jeśli skreśli nogę po drodze lub coś w tym rodzaju.

Uspokoila się już i trochę zawstydziła swoim zachowaniem. Nie chciała tego tak zostawić, ale po co zadzierać z szefem policji, a tym bardziej psuć sobie stosunki z sąsiadem. Ponieważ Blaise Corrigan był jednym i drugim, to nie miałoby sensu. Boże, co za pech mieszkać przez płot z komendantem policji!

- Niech pan posłucha - odezwała się, kiedy zgasił silnik i sięgnęła ręką do klamki. Pomiedzy nimi, przymocowana do deski rozdzielczej, tkwiła strzelba. Jillie chciała udać, że jej nie zauważa, ale zaniepokoiła się. - Przepraszam za moje zachowanie. Byłam zła z powodu czegoś, co przytrafiło mi się w pracy dzisiaj w nocy. Nie powinnam wyładowywać się na panu.

Nie odpowiedział, czekał, aż skończy.

- Nie mam zamiaru dzwonić do adwokata. Wiem, że pan wykonywał swoje obowiązki.

Pokiwał głową i nadal milczał.

- Niech pan mi przyśle rachunek za naprawę skrzynki. Przykro mi, że ją przewróciłam, ale naprawdę był tu ten ogromny szary pies, podobny do airedale terriera, tylko kolor się nie zgadzał...

Blaise wyprostował się nagle.

- Pies Cala Lepkina. Do diabła, miał go zamykać. Sąprzepisy dotyczące trzymania psów na uwięzi.

-Nieważne, czyj to pies, ale biegał luzem, a ja nie chciałam go uderzyć. Usiadł na samym środku podjazdu. Myślę, że moje reflektory go zahipnotyzowały.

- Nie, ten pies to diabeł wcielony. Założę się, że ma więcej rozumu niż cała rada miejska. Zawsze coś narozrabia. Nie uwierzy pani, ile skarg na niego dostajemy. Usiadł na drodze specjalnie, żeby go omijać. Stawiam moją odznakę, że tak było. - Pokreślił głową. - Oczywiście to tylko pies.

Mogła założyć się o wszystkie napiwki, jakie dziś dostała, że Blaise'owi Corriganowi brakowało piątej klepki. Za długo rozwodził się nad inteligencją tajemniczego psa. Co to za zacofane miasto?

- Rano porozmawiam z Calem o psie - powiedział Blaise i wysiadł z samochodu. - Proszę się nie martwić o skrzynkę. Sam bez trudu ją naprawię. Byłem tylko... zły. - Przyznał się szczerze, trochę niezadowolony. - Nie lubię pijanych kierowców.

-Ja też nie.

Podeszli do domu, a on poczekał, aż Jillie otworzy drzwi i zapali światło.

- Dobranoc, pani McAllister - powiedział oficjalnie. - Niech pani jutro załatwi nowy numer rejestracyjny i prawo jazdy. Następnym razem ukarzę panią mandatem.

Z trudem opanowała się, żeby nie trzasnąć mu drzwiami przed nosem.

W południe Blaise doszedł do wniosku, że z Jillian McAllister będą same kłopoty. Kiedy wstąpił do domu na spóźniony obiad, Jill stała na swoim podjeździe i wpatrywała się w rozwaloną skrzynkę. Nie martwił się o pudło. Jego uwagę przyciągnęły białe szorty, które miała na sobie. Ledwo zakrywały pewną część jej ciała, a nieprawdopodobnie zgrabne nogi wystawiła na słońce.

Głupia jankeska, pomyślał ponuro. W takim gorącym klimacie powinna chronić skórę przed słońcem. Miodowy odcień zaraz zrobi się wściekle czerwony.

Było zaledwie dwadzieścia kilka stopni, dla niego pogoda w sam raz, by włożyć sweter. Tylko turyści tak się ubierali; ona twierdziła, że turystkianie jest.

Przesadzał, ponieważ nie chciał przyznać, że jest bardzo ładna. Miała długie, rudawozłote włosy. Wczorajszej nocy nie zauważył tego, bo były wysoko upięte. Dziś zwracała na siebie uwagę. Od razu przyciągnęła jego wzrok, zagapił się, minął swój podjazd i o mało nie wjechał w zaparkowany samochód. Tak, ta kobieta była niebezpieczna.

Skręcił przed swój dom i wysiadł, nie odrywając od niej oczu.

-Coś nie tak?

Uśmiechnęła się do niego łagodnie.

- Zastanawiałam się, co zrobić z tą skrzynką.

- Powiedziałem, że się tym zajmę. To zabierze tylko kilka minut. Wykopię nową dziurę, wstawię słupek i przymocuję ją. Nic wielkiego.

Obok nich zatrzymał się samochód pocztowy i Jim Knapp zerknął na skrzynkę.

- Co się stało, Blaise? - zawołał. - Mały wypadek. Do jutra ją naprawię.

Niepozorny, zasuszony człowieczek wygramolił się z samochodu i popatrzył poważnie na Blaise'a.

- Ta skrzynka nie spełnia wymogów. Nie mogę włożyć do niej listów.

- Wiem, Jim. Daj mi je.

- Nie mogę. - Listonosz podszedł bliżej, minął Blaise'a i ruszył do drzwi frontowych.

- Dlaczego? - zapytał Blaise.

- To niezgodne z przepisami. Mogę włożyć listy do skrzynki albo doręczyć je do domu.

- Ale przecież mnie znasz.

- To nie ma znaczenia. Muszę postępować zgodnie z przepisami. Podejdz tu, wejdz do środka, a ja podam ci pocztę. Z trudem zachowując powagę, Blaise podszedł do drzwi, otworzył je i zrobił krok do przodu. Dopiero wtedy Jim Knapp podał mu listy.

- Dzięki, Jim. Dzięki za fatygę.

- Tylko ten jeden raz. Napraw ją do jutra. - Knapp, przechodząc obok skrzynki, poklepał pudło, wgramolił się do samochodu, pomachał przyjacielsko i podjechał trzy metry dalej. Pochylił się i wrzucił do skrzynki Jillie j edną białą kopertę.

Kiedy listonosz odjechał wystarczająco daleko, by ich nie słyszeć, Jillie spojrzała na Blaise'a. - Zwariował.

- Jim Knapp? To nieszkodliwy... służbista, ma poczucie władzy. Zupełnie jak pewien policjant, pomyślała.

- Z prawem jazdy jest w porządku? - zapytał nagle.

- Nie. - Zrobiła ponurą minę, ale po chwili się opanowała. Nie miała najmniejszego zamiaru kłócić się z tym człowiekiem, skoro wypadło jej mieszkać obok niego. - Wie pan, jak trudno załatwić takie rzeczy? Pojechałam po nie, ale powiedzieli mi, że najpierw muszę zarejestrować samochód. Chciałam to zrobić, ale okazało się, że zarejestrować go nie mogę, dopóki nie zrobią testu na emisję spalin. A testu nie zrobiłam, bo było zamknięte, komputer się zepsuł. No i po drodze zgubiłam się trzy razy. - Machnęła ręką. - No i co w tej sytuacji, użyć czarodziejskiej różdżki?

- Nie dali pani mapy?

- Do tego faceta od spalin? Tak, ale to na lądzie, a ja mieszkam tu od niedawna, komendancie. Nie znam Paradise Beach i wyspy. Na lądzie gubię się całkowicie.

- Mam nadzieję, że teraz lepiej się pani orientuje.



Nic, tylko go udusić. Naprawdę. Ale potem pomyślała, że działa jej na nerwy, dlatego że nie zachowuje się tak, jak oczekiwała. A czego się spodziewała? O co jej chodziło? Wreszcie zrozumiała: wyglądał jak wymarzony kochanek. Był potężny, szeroki w barach, dobrze zbudowany, miał wspaniałą, szlachetną, opaloną twarz, jasnobrązowe, kręcone włosy i niesamowicie elektryzujące niebieskie oczy, których spojrzenie, kiedy był zły, stawało się zimne jak stal.

Wymarzony kochanek - tylko, że tak nie zachowuje się kochanek ze snów. Wręcz przeciwnie. Śmiechu warte. Boże, kto by pomyślał, że miała trzydzieści lat, a za sobą nieudane małżeństwo. O rany, kochankowie z marzeń. Też coś!

Głos Blaise'a wyrwał ją zamyślenia.

- Coś się stało?

Zamrugła, wracając do rzeczywistości.

- Och, przepraszam. Zamyśliłam się. Chyba już wiem, jak trafić, ale są lepsze sposoby na poznawanie okolicy. No więc, dlatego nie mam jeszcze prawa jazdy i dowodu rejestracyjnego. Dostanę mandat?

Zacisnął usta i pokręcił głową.

- Nie. Wezmę jutro wolne i pomogę pani to załatwić.

Nie mógł uwierzyć, że to powiedział. Chyba zwariował. Nie, po prostu myślał rozporkiem. Chryste! Przecież nie była małą dziewczynką. Nie potrzebowała opiekuna do załatwienia takiej prostej sprawy. Nie zrobiłby tego dla nikogo na świecie, chyba że dla matki lub Mary Todd. Dlaczego chciał pomagać Jillian McAUister? Dlatego że miała ładne nogi i włosy błyszczące jak miedź? A może to z powodu zielonych jak mech oczu, łagodnych i ciepłych, tak że z ochotą by w nich utonął?

Cokolwiek to było, stracił głowę. A teraz nie mógł już się wycofać. Zaproponował jej pomoc i dotrzyma słowa. Jillie, zaskoczona, spojrzała na niego nieśmiało, niepewna jak zareagować. W końcu powiedziała.

- Dzięki, miło z pana strony, ale poradzę sobie. Nie musi pan brać wolnego, żeby mi pomagać.

Gdyby miał odrobinę zdrowego rozsądku, mógłby się teraz wycofać. A tymczasem oznajmił:

- To żaden problem. Pomogę z przyjemnością. - Uśmiechnął się i dotknął róna kapelusza. - Drobną sąsiedzka przysługa. Potem, żeby nie zrobić z siebie kompletnego durnia, popędził do domu. O rany! Wydawało mu się, że wyrósł już z wieku, w którym wariowało się na widok długich nóg i uwodzicielskich oczu!

Kłopoty. Ta kobieta wróżyła same kłopoty.

- Jillian, chcę, żebyś wróciła.

Słuchała głosu swojego byłego męża i zastanawiała się, czy śni na jawie. Odeszła od niego, bo ją zdradzał, a on przysiągł, że nigdy nie wybaczy jej tego, jak bardzo go poniżyła. Teraz chciał, żeby wróciła?

- Chyba żartujesz, Fielding. -Nie żartuję.

- A jednak tak. Przysiągłeś, że się do mnie nigdy nie odezwiesz, pamiętasz? Miałam zakaz zbliżania się do ciebie i nie mogłam nawet wypić kawy w kawiarni, do której chodziliśmy razem. Wcale mnie nie chcesz z powrotem.

- Ten zakaz stracił ważność wiele miesięcy temu. Zresztą to teraz bez znaczenia.

Patrzyła zdumiona na telefon.

- Jak to bez znaczenia? Fielding, upadłeś na głowę? Przez ten zakaz musiałam poruszać się po przedmieściach, żeby przedostać się z jednej strony miasta na drugą. Gdybym jechała główną ulicą, złamałabym prawo. Zakupy robiłam w innym mieście. Nawet mechanika musiałam zmienić! Więc to miało duże znaczenie.

- No cóż... Przesadziłem z tym zakazem. Po prostu nie chciałem cię widzieć po tym, jak nazwałaś mnie zepsutym małym chłopcem, który nie potrafi trzymać łap z daleka od pudła z ciasteczkami - usprawiedliwił się. -Naprawdę, Jillian, to nie było w porządku.

- Ależ było. Ile panienek zaliczyłeś w czasie naszego małżeństwa? Ja wiem o czterech, lecz założę się, że jeszcze o kilku nie wiedziałam. A może wolałbyś, żebym nazwała cię zepsutym chłoptasiem, który nie umie trzymać swojego...

- Dobrze, dobrze - przerwał jej szybko, czując, do czego zmierza. Jillian słynęła z ciętego języka. - Przepraszam.

Widzisz, wreszcie to powiedziałem. Przykro mi. Jestem nędznym robakiem. Najniższą formą życia, gorzej niż glistą. Przysięgam, że już zawsze będę ci wierny. Tylko wróć do mnie.

- Znowu pokazujesz, kim jesteś, Fielding. Odpowiedź brzmi - nie.

- Ale... ależ najdroższa! Przecież wiesz, że żadnej nie kochałem tak jak ciebie.

Parsknęła:

- Możliwe. Ale nie wyszło mi to na dobre. Przeciwnie. Dlatego dla dobra innych kobiet na świecie mam nadzieję, że już nikogo nie będziesz kochał tak jak mnie. Do widzenia, Fielding.

Słyszała, jak protestował, kiedy odkładała słuchawkę, lecz nie zawahała się. Miała dość Fieldinga Wainwrighta i po pięciu spędzonych z nim latach

nie chciała go więcej widzieć ani rozmawiać z nim. Będzie najszcześniejszą osobą na ziemi, jeśli zapomni o jego istnieniu.

Do diabła, przez niego straciła nawet mechanika samochodowego! Ed zawsze naprawiał jej auto, zanim poznała Fieldinga, ale ten sukinsyn załatwił ją tak, że nie mogła nawet jeździć do swojego warsztatu. A Ed omal nie umarł ze śmiechu, kiedy dowiedział się, że na sprawie rozwodowej klócili się o niego.

To było żałosne. Ale życie z Fieldingiem samo w sobie było absurdalne... śmiechu warte. Może powinna wyprowadzić się dalej. Widać 3800 kilometrów to niewystarczająca odległość.

Kiedy ta myśl przyszlącej do głowy, uświadomiła sobie, że nie zawsze tak się czuła. Kiedyś kochała Fieldinga Wainwrighta i naprawdę wierzyła, że i on ją kocha. Zauroczył ją chłopcym wdziękiem i świeżością. W przeciwieństwie do wielu innych mężczyzn, Fielding nie bał się okazywać uczucia. Niestety, z upływem czasu zorientowała się, że wynikało to z tego, że był rozpieszczony, a nie z wrodzonej odwagi.

Ale na początku... och, na początku! Był taki uczuciowy, troszczył się o nią tak, że traciła oddech z wrażenia. Obsypywał ją prezentami, adorował jak boginię, aż kręciło jej się w głowie. Dopiero później zdała sobie sprawę, że Fielding dawał jej drogie prezenty, by nie dawać siebie. Lecz wtedy... dawno temu to ją ekscytowało. Nigdy przedtem nikt nie robił jej ekstrawaganckich podarunków, i w końcu przewróciło jej się w głowie.

Bardziej niż ekstrawagancję pokochała jego rodzinę. Nie obchodziło jej, że niektórzy jej nie lubili i uważali, że jest od nich gorsza. Takie są uroki posiadania rodziny, przynajmniej tak jej się wydawało. Nie istnieje rodzina doskonała i Jillian nie oczekiwała, że krewni Fieldinga będą inni. Miała nadzieję, że z czasem zdobędzie ich serca... i częściowo jej się powiodło. Na początku, ona, sierota, dostawała zawrotów głowy na samą myśl o jego rodzicach, ciotkach, wujkach i kuzynach. Chciała być częścią wielkiego klanu i postanowiła udowodnić, że się nadaje, udając, iż nie widzi ich wad. Przecież tak zawsze jest w rodzinie.

Słowem, doszła do wniosku, że zachowywała się jak mała dziewczynka, romantyczka, zaślepiona iluzjami. Zanim zorientowała się, jaka jest prawda, Fielding był już w ramionach innej kobiety.

Dość! Nie powinna o tym więcej myśleć!

Zanim zdążyła skupić uwagę na czymś innym, zadzwonił telefon. Bała się, że to znowu Fielding i z początku nie chciała odebrać... kłótnia z nim nie miałaby sensu. Nie wróci do niego. Nawet gdyby błagał ją na kolana i obiecywał wierność po wsze czasy. Nie jest zdolny dotrzymać słowa.

W końcu sięgnęła po słuchawkę, postanowiwszy załatwić sprawę raz na zawsze.

- Jillie? Mówi Harv. Dzwonię z baru.

- Cześć. Co słysząc? - Poczula, jak kurczy się w środku na samą myśl, że trzeba by iść do baru wieczorem. Zresztą miała wolny dzień. Boże, jak ona nienawidziła tej pracy.

- Dan Burgess prosił, żebym do ciebie zadzwonił i powiedział, że cię zwalnia.

To był dla niej prawdziwy policzek. Jeszcze nigdy w życiu nie wyleciała z pracy.

- A mogę spytać dlaczego?

- Dan uważa, że nie potrafisz nawiązać dobrego kontaktu z klientami.

- Ach tak. - Zalała ją gwałtowna fala złości. - Ciekawe, czy dobrze zrozumiałam? Jeśli chcę pracować w barze, muszę pozwalać pijakom z Detroit macać mnie po tyłku. O to chodzi, Harv?

- Ja tego nie powiedziałem, Jillie.

- Nie, oczywiście, że nie. - Gdyby tylko spróbował, nie darowałyby ani jemu, ani Danowi Burgessowi. - Wiesz, cieszę się, że zadzwoniłaś, bo miałam zamiar sama zrezygnować. Widzisz, mój tyłek jest wart dużo więcej niż dwa pięćdziesiąt za godzinę. - Rzuciła słuchawkę na widełki, ale niewiele brakowało, by cisnęła nią o ścianę. Musiała natychmiast wyjść z domu!

Zdaniem Jillie, jedną z najbardziej urokliwych cech Paradise Beach było to, że w mieście mieszały się i przenikały różne style. Może dlatego, że sama wyspa była bardzo wąska - w dziesięć minut dało się przejść spacerkiem z jednej strony na drugą.

Poza tym przez lata miasto rozrastało się bez planu, a dopiero potem ktoś wpadł na pomysł, aby podzielić je na strefy. Zanim zbudowano wysokie hotele przy plaży i apartamenty, powstała nieuporządkowana mieszanka biurowców i prywatnych rezydencji.

Jillie wynajęła betonowy, parterowy dom. Stał pośród innych, najróżniejszych budynków, tuż przy kanale śródlądowym. Dom Blaise'a Corrigan, dla odmiany, był duży, drewniany, pomalowany na srebrnoszary kolor i wsparty na kamiennych palach. Wszystkie nowsze domy zbudowano na filarach, żeby ochronić je przed sztormowymi falami w czasie huraganów. Betonowe bloki rozrzucone pomiędzy nimi najprawdopodobniej wytrzymałyby najgorsze wichury.

Domy różniły się bardzo wielkością. Można było znaleźć okazałe, piękne wille na olbrzymich zadbanych działkach, a tuż obok maleńkie, trochę zaniedbane parterowe domki.

Wszystko jakimś cudem pasowało do siebie.

Ponieważ Paradise Beach powstało w tak chaotyczny sposób, Jillie mogła spacerkiem dotrzeć wszędzie tam, gdzie chciała. Dziś zatrzymała się w kawiarni Palmetto nad kanałem i postanowiła zjeść wczesny obiad. Może widok żaglówek i długich łodzi trochę jąuspokoi.

Mieszkała w tym mieście od trzech tygodni i zdążyła bardzo polubić właśnie tę kawiarnię z jej betonowym tarasem dochodzącym do samej wody. Może dlatego, że znajdowała się daleko od zatłoczonych plaż zatoki, turyści rzadko tu zaglądali. Za to mieszkańcy miasta przychodzili naprawdę często i atmosfera była niemal rodzinna. Stali klienci gawędzili ze sobą wesoło.

Denise, właścicielka lokalu, znalazła dla Jillie stolik na górnym tarasie z pięknym widokiem na kanał i żeglujące łodzie.

- Spróbuj kanapki z okoniem - zaproponowała. - Świeżo złowiony. Jillian pokręciła głową.

- Nie przepadam za okoniem.

- Uwierz mi, będzie ci smakować. Polany cytryną, podsmażony delikatnie na maśle i podany na bułce domowej roboty. To znaczy... - mrugnęła okiem - bułka jest z piekarni za rogiem, ale to prawie to samo. Jak ci nie będzie smakować, nie będziesz musiała płacić i podam ci coś innego.

Jillie nie mogła powstrzymać uśmiechu. - Jesteś pewna?

- Absolutnie. - Położyła rękę na sercu. - Jakbym śmiała cię oszukać? Jest pyszna!

- No dobra, spróbuję.

- A co powiesz na zimne piwko z beczki? - Denise oblizwała się, jakby sama miała ochotę się napić.

Słowo „piwo” przypominało Jillie wczorajszą noc.

- Wolę mrożoną herbatę - poprosiła.

- Co, jeszcze za wcześnie?

- Nie, to nie to. Wczoraj w nocy klient oblał mnie piwem. Och... nigdy byś nie uwierzyła.

Nie zwracając uwagi na innych klientów - zresztą tak wczesnym popołudniem było ich tylko dwóch - Denise wyciągnęła krzesło i usiadła na nim okrakiem. Miała na sobie dżinsowe szorty i czarny fartuszek, ubranie o wiele rozsądniejsze niż skąpy czarny, nylonowy strój w Seaside Lounge, pomyślała Jillie.

- No to opowiadaj - zachęciła ciepło.

- Właściwie - odparła Jillie - to niewiarygodne, co przytrafiło mi się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

- Jeśli jesteś gotowa poczekać chwilę najedzenie, cała zamieniam się w słuch.
  - Dobrze, to było tak. Wczoraj w nocy jakiś facet przystawiał się do mnie. Nie chodzi tylko o to, że klepnął mnie w tyłek. Klienci bez przerwy to robią. Nie lubię tego, ale cóż poradzić.
  - Ja też nie - powiedziała Denise. - Dlatego pracuję tutaj. Napiwki nie są wysokie, ale przynajmniej wszyscy się znają i nie muszę znosić zaczepek.
  - No właśnie. Więc ten facet wczoraj uszczypnął mnie naprawdę mocno. Zaskoczyło mnie to i kiedy się odwróciłam, wytrąciłam mu piwo z ręki. Co tu dużo mówić, moja wina.
  - Rzeczywiście. - Denise pokiwała poważnie głową.
  - Musiałam zapłacić za czyszczenie jego garnituru, uwierzysz? Wróciłam do domu, śmierzając piwem. Kiedy skręcałam na swój podjazd, szary pies wyskoczył mi tuż przed maską...
  - Jak wyglądał? - zapytała Denise.
  - Taki szarawy airedale terrier.
  - Pies Cala Lepkina. Daję słowo, że jest opętany. Kocham psy, ale Rover to diabeł wcielony.
  - Chyba taka panuje opinia. - Jillie, słysząc jękolejny raz, była gotowa się zgodzić.
- Denise machnęła ręką.
- Każdy w mieście miał jakąś przygodę z tym psem. Więc wyskoczył ci tuż przed maską?
  - Tak i usiadł sobie na samym środku drogi. Musiałam gwałtownie skręcić, żeby go nie przejechać.
  - Typowe dla tego psa. - Denise zachichotała i pokręciła głową.
  - Chciałam go ominąć i rozwaliłam sąsiadowi skrzynkę na listy. A moim sąsiadem jest komendant policji.
- Denise wzruszyła ramionami.
- Blaise to miły facet. Nie martw się, naprawi ją sam. Nic cię to nie będzie kosztowało.
  - Skrzynka to tylko część problemu. Najgorsze, że śmierdziałam piwem.
- Oczy Denise zrobiły się ogromne ze zdziwienia. Zasłoniła dłonią usta.
- O nie... nie mów, że cię aresztował.
  - Owszem.
  - A jakże mogło być inaczej. - Od stolika obok dobiegł zgryźliwy głos. Odwróciły się i ujrzały starszą panią z burzą białutkich włosów na głowie. Miała na sobie różowy kostium, a w lewej dłoni ścisnęła hebanową laskę.

Patrzyła na nie czarnymi, bystrymi oczami. - Płacimy pensje naszym policjantom za to, żeby aresztowali pijanych kierowców. - Nie byłam pijana - zaprotestowała Jillie.

- Oczywiście, że nie. Słyszałam twoją historię, dziewczyno, ale skąd komendant Corrigan miał to wiedzieć, skoro rozjechałaś jego skrzynkę na listy i czuć było od ciebie jak od beczki z piwem.

- Tłumaczyłam mu...

- Myślisz, że nie słyszy podobnych wyjaśnień kilkanaście razy dziennie? - Kobieta popukała laską w podłogę, żeby podkreślić wagę swoich słów. - Tak czy owak, chyba udało ci się wyjść z tego cało?

- Tak, bo badanie alkometrem wykazało, że nie byłam pijana. Starsza pani gwizdnęła.

- Ale się musiał chłopak zirytować. Dobrze, że czasem nie ma racji. Odrobina pokory nikomu nie zaszkodzi. Denise! Może przedstawiś mnie tej dziewczynie.

- Panna Mary Todd, a to Jillian McAUister. Jillie niedawno się do nas sprowadziła.

Panna Todd zmrużyła świdrujące oczy i uważnie przyjrzała się Jillie.

- Planujesz zostać tu dłużej?

- Tak. Na pewno. Naprawdę mi się tu podoba. Starsza pani pokiwała głową.

- Chodź, usiądź przy moim stoliku, żebym mogła cię lepiej poznać. Jillie zawahała się. Nie miała ochoty słuchać wielkopańskich rozkazów

obcej zupełnie osoby, ale Denise już przeniosła jej szklanekę z wodą, serwetkę i talerz na drugi stolik. Najwyraźniej należało bez słowa robić tak, jak kazała panna Todd. Cóż, w końcu miło poznać kolejną sąsiadkę.

- Tak lepiej - oznajmiła panna Todd, kiedy Jillie usiadła naprzeciwko niej. - Nie będę musiała podsłuchiwać, co opowiadasz. Podsłuchiwanie to okropny, ale przydatny zwyczaj, nie sądzisz?

Jillie stłumiła chichot, słysząc tak niespodziewanie szczere stwierdzenie starszej pani. W ciemnych oczach Mary Todd dostrzegła rozbawienie.

- Wiedziałam, że się ze mną zgodzisz - powiedziała. - A gdzie twój mąż?

- Nie mam męża. Skąd to pytanie?

Panna Todd spojrzała znacząco na jej serdeczny palec.

- Widzę wyraźny ślad po obrączce.

- Rozwiedliśmy się.

- Za moich czasów rozwód był nie do pomyślenia. Kobieta musiała się męczyć z łobuzem aż do śmierci jego albo jej. Absurd. - Przechyliła głowę.

- Dlatego nigdy nie wyszłam za mąż. Nie wyobrażałam sobie skazania się na takie dożywocie.

Jillie roześmiała się, zapominając o tym, jak rozzłościło ją kazanie, które usłyszała na początku. Prawie natychmiast poczuła sympatię do nowej znajomej.

- Cóż - ciągnęła Mary. - Pewnie zastanawiasz się, kim jestem, więc sama ci powiem, żebyś nie musiała pytać Denise.

- Miło z pani strony. - Nuta rozbawienia znowu zabrzmiała w jej głosie.

- Mieszkam tu od urodzenia. Moja rodzina jako jedna z pierwszych osiedliła się na wyspie. Nadal jestem właścicielką sporego jej kawałka, a ci, którzy tu budują, wciąż chcą ode mnie kupować ziemię, żeby stawiać nowe hotele i apartamenty. Niech mnie diabli, jeśli im na to pozwolę.

- Pewnie proponują sporo pieniędzy.

Starsza pani z niechęcią machnęła drobną dłonią.

- Pieniądze. Jeśli ma się na podstawowe potrzeby, po co więcej? Nie wyobrażam sobie, by kilka milionów dolarów mnie uszczęśliwiło, jeśli nie mogłabym zobaczyć plaży z bulwaru. Miasto robi się potwornie zatłoczone, kiedy na północy zaczyna padać śnieg. Po co nam kolejny tysiąc lub dwa pokoi hotelowych upchanych w tych brzydkich wieżowcach?

-No właśnie.

- Nie chodzi o to, że jestem niechętna ludziom, którzy przyjeżdżają spędzić tu zimę. Wielu z nich ma swoje domy lub je wynajmuje i kiedy tu są, stają się częścią naszej społeczności. Ale niektórzy z gości hotelowych, szczególnie ci z domków Andrew Hegla, o Boże, widziałas te domki? Istne nory. Jak ktoś może chcieć mieszkać w czymś takim, a co dopiero płacić za ten przywilej. To wstyd dla miasta, a ja wciąż próbuję doprowadzić do zamknięcia tego przybytku. Jillie pokiwała głową ze zrozumieniem, ale nie bardzo wiedziała co odpowiedzieć.

- Ale co tam. Każde miasto ma swoje wrzody - oświadczyła Mary Todd. - Gdyby chodziło tylko o te domki, to pół biedy.

-Zgadza się. Mary uśmiechnęła się.

- Biedna dziewczyno. Nie wiesz, co o mnie myśleć? Nie przejmuj się. Nie ty jedna. Może z wyjątkiem Corrigan.

Jest coś w tym chłopaku... -zamilkła i pokręciła głową.

Komendant Corrigan, pomyślała Jillie, w niczym nie przypomina chłopca. Ciekawe, co by pomyślał, słysząc, że ktoś tak o nim mówi? Poczuła delikatne mrowienie.

Dobry Boże, dlaczego nie mogła się doczekać, kiedy go znów zobaczy? To okropne.



- No tak - mówiła dalej starsza pani. - Powiem ci, że gdybym była o czterdzieści lat młodsza, zabrałabym się ostro za tego młodzieńca.

-Nie wątpię.

- Nie śmieję się ze mnie, dziewczyno.

- Nie mam zamiaru. Zresztą wkrótce sama pani się przekona, że uchodzę za osobę pozbawioną taktu.

- Z tego, co widzę, masz go więcej, niż ja miałam kiedykolwiek - zachichotała. -Ale wracając do tematu, a mówiłyśmy o mnie, sądzę... - Uniosła brew.

- No tak, mówiłyśmy o pani. A właściwie to pani cały czas nawijała o sobie, a ja słuchałam.

- Ha! Masz ostry język, dziewczyno! Nawijała o sobie! Nikt do mnie jeszcze tak nie mówił. Podobasz mi się.

W tym momencie Denise przyniosła kanapkę i z uśmiechem postawiła talerz przed Jillie.

-No, spróbuj i powiedz, co sądzisz.

- Nie lubię okonia - oznajmiła panna Todd. - Jadłam go dużo, kiedy byłam dzieckiem, i wystarczy mi na całe życie.

- Proszę przestać, panno Todd - wpadła jej w słowa Denise. - Niech ona sama powie, czyjej smakuje.

Jillie z powątpiewaniem spojrzała na kanapkę.

-Nie przepadam za okoniem. Bułka za to wygląda apetycznie. Skórka była błyszcząca i chrupka. Cóż, pomyślała Jillie, to tylko pieczywo z rybą. Podniosła do ust połówkę i ugryzła.

Była wyśmienita. Ryba smakowała inaczej dzięki ostrym przyprawom. Z pełnymi ustami Jillie ruchem głowy dała znać Denise, że wszystko w porządku. Kelnerka się rozpromieniła.

- Powiem Dougowi. Ucieszy się.

Panna Todd popatrzyła za odchodzącą kelnerką, a potem uniosła brwi.

-Naprawdę ci smakuje?

-Mmm.

- Cóż, może się złamię i kiedyś spróbuję. W jakim nastroju był wczoraj komendant Corrigan?

Jillie zamrugnęła, zdziwiona tak nagłą zmianą tematu. Przełknęła. Przez chwilę wycierała usta serwetką, a potem odpowiedziała.

- Wydawało mi się, że był w bardzo złym humorze. Ale może po prostu jest taki w stosunku do każdego podejrzanego o pijaństwo.

- To bardzo prawdopodobne. Lecz zawsze wymaga od policjantów odpowiedniej kultury osobistej. Uważa, że agresywne zachowanie prowokuje agresywne reakcje.

- Tak właśnie było wczoraj w nocy. O mało nie zaczęłam się z nim kłócić. - Zarumieniła się nieznacznie i dodała uczciwie. - Oczywiście mógł być trochę zły z mojego powodu. Nie ułatwiałam mu pracy.

Mary Todd zachichotała.

- Właściwie dlaczego miałabyś ułatwiać? Zostałaś niesłusznie oskarżona. Niewiele sytuacji wzbudza tak silne emocje.

- Rzeczywiście, wkurzyłam się. Ale dlaczego pytała pani o jego nastrój?

- Wczoraj wieczorem stał się z radą miejską. Ci głupcy chcą zlikwidować naszą policję i przejść pod nadzór szeryfa okręgowego.

- Z jakiego powodu?

- Twierdzą, że z oszczędności, ale wcale nie o to chodzi. Prawda jest taka, że według nich komendant Corrigan zbyt surowo traktuje turystów. Chcą innych przepisów dla gości, łagodniejszych, jak to powiedział Dan Burgess.

- Łagodniejszych? - powtórzyła Jillie z niedowierzaniem. - A dlaczego mają być traktowani inaczej niż reszta?

- Bo jeśli nie będą, nie przyjadą tu po raz drugi.

- To śmieszne! A po co mieliby przyjeżdżać, skoro łamią prawo? Mary uśmiechnęła się.

- Zadałam dokładnie to samo pytanie. Po co? Ale Burgess, Hegel i inni myślą tylko o pieniądzach.

- Dan Burgess na pewno - stwierdziła Jillie. Starsza pani pokiwała głową.

- Dokładnie tego się po nim spodziewałam. Najgorsze jest to, że ktoś pomyśli, że tolerowanie pewnych zachowań może być dobre dla rozwoju turystyki. Nieważne, w co wierzy Burgess, jaż doświadczenia wiem, że uczciwym ludziom to przeszkadza. Jeżeli będziemy takim rajem bez ograniczeń dla turystów, stracimy tych porządnych, stałych gości, przeciwko którym nic nie mamy. I do tego wszystkie ptaki stąd uciekną, a to byłoby straszne!

Jillie nie wiedziała, co odpowiedzieć, boją samaprzyciągnęła tutaj wizja rajy bez ograniczeń. Pewnie, że mieszka tu wielu porządnych ludzi - takich, o jakich mówiła Mary, przeważnie emerytów, którzy lubili spędzać zimę na Florydzie - ale było też wielu innych. Są sklepy z biżuterią ręcznej roboty, z obrazami miejscowych malarzy, sklepy sprzedające muszle i inne wyroby rzemieślnicze, oraz grupa teatralna, która wystawia sztuki w rozsypującym się budynku.

Nie wszystko pasowało do opisu rajy na ziemi, jaki przedstawiła Mary Todd. Oczywiście, sama Mary nie mieściła się w żadnej konwencji. Musiała

być w młodości niepospolitą postacią. Ceniła swoją niezależność. Fakt, że nie chciała wyjść za mąż, był w czasach jej młodości niesłychany.

- No, ale - Mary machnęła lekceważąco ręką - nic im z tego nie wyjdzie. Już ja się o to postaram. Paradise Beach potrzebuje własnej policji, a ja nigdy nie spotkałam kogoś, kto bardziej niż Blaise Corrigan nadawałby się na komendanta.

Jillie nie miała specjalnie ochoty chwalić Corrigan, częściowo dlatego, że nadal była na niego zła.

- Nie rozumiem, dlaczego ludzie uważają, że szeryf będzie inaczej wykonywał swoje obowiązki.

- Chodzi o finanse. Policjantów z hrabstwa będzie mniej, a więc i ochrona mniejsza. W ten sposób wielu pijakom ujdzie na sucho.

- Ach, tak. Mary zachichotała.

- Niesamowite, co? Czasami zastanawiam się, czy ci idioci mają dość rozumu, żeby obsługiwać własną kasę fiskalną. - I zaraz zmieniła temat. - Co zamierzasz robić? Poszukasz nowej pracy w barze?

- Nie. Nie sądzę. To miało być jedynie tymczasowe zajęcie do chwili, kiedy otworzę własny interes.

- Aha! - Czarne oczy spojrzały na nią badawczo. - Jaki interes? Chyba nie tańce na golasa?!

Jillie parsknęła śmiechem. - Ależ skąd!

- Zawsze lepiej spytać. Wyciąganie pochopnych wniosków nie popłaca. Zresztą powiem ci od razu, że nie potrzeba nam jeszcze jednego mini-golfa, sklepu z koszulkami ani baru.

- Nic z tych rzeczy.

- Dobrze. O kwaciarni też zapomnij, są dwie, z czego jedna boryka się z poważnymi problemami.

- O tym też nie myślałam.

- Dwójka moich przyjaciół sprzedaje starocie, nazywające antykami, ale dla mnie to rupiecie. - Prychnęła. - Takie rzeczy moja babcia ze wstydu wyrzuciłaby na śmietnik.

- Dom mojego eksmęża był pełen antyków. Ciężko się je czyści. Nie, to nie to.

- Więc co ci chodzi po głowie?

Jillie przygryzła wargę. Nie chciała opowiadać o swoich planach, dopóki nie podejmie konkretnych kroków. Czy teraz, gdy wyrzucili ją pracy, był to najlepszy moment?

-No, dziewczyno, powiedz mi wreszcie!

-Księgarnia. -Księgarnia?

- Tak. Z nowymi i używanymi książkami, ze stolikami, żeby można było usiąść i poczytać.

Szeroki uśmiech pojawił się na twarzy Mary Todd.

- Nie mamy księgarni. Najbliższa jest na lądzie. -Zauważyłam.

- Genialny pomysł, dziewczyno.

### Rozdział 3

Gotowa? Jillie była jeszcze zaspana, kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła Blaise'a Corrigan, stojącego w porannym słońcu. Praca w barze rozregulowała jej wewnętrzny zegar, zamieniając ją w nocnego marksa. Dlatego miała problemy z wstawaniem wcześniej rano.

- Gotowa na co?

- Chodzi o prawo jazdy i dowód rejestracyjny, pamięta pani?

- Pamiętam. Nie umawialiśmy się na konkretną godzinę. - Stłumiła ziewnięcie.

- Nie? Przepraszam, ale trzeba to załatwić dziś rano. O pierwszej mam spotkanie. Za ile pani będzie gotowa?

Mimo że chciało jej się spać, zrobił na niej wrażenie. Nie wyglądał jak oficer policji - do tej pory widziała go tylko w takiej roli - teraz miał na sobie granatową koszulkę polo, białe, krótkie spodenki i sportowe buty. Niesamowicie atrakcyjny facet i tylko dlatego nie zamknęła mu drzwi przed nosem.

- Za parę minut - odparła łamiącym się głosem.

- Tylko parę?

Powiedział to w dziwnie zabawny sposób i Jillie spojrzała na siebie. O Boże! Jęknęła głucho i chciała zatrzaskać drzwi. Przytrzymał je.

- Kiedy dokładnie pani będzie gotowa?

- Za dwadzieścia minut - odpowiedziała zdesperowana. - Dwadzieścia minut.

Puścił drzwi, a ona zatrzaskała je i przekręciła zamek. Czyżby rozum postradała? Jak mogła mu otworzyć ubrana w starą, szarą koszulę z ogromnym

różowym królikiem? O rany, potargane włosy sterczały jej na wszystkie strony...

Wskoczyła pod prysznic, nie zwracając uwagi na zimną wodę.

Potrzebowała więcej niż dwudziestu minut, żeby doprowadzić się do ładu, ale Blaise czekał cierpliwie. Kiedy wreszcie wyszła, opierał się o swój biały samochód i palił papierosa. Nawet nie spojrzał na zegarek.

- Gotowa? - zapytał znowu.

- Tak. Dziękuję, że pan czekał. - Czowała się o wiele lepiej w plisowanej, wzorzystej spódnicy i turkusowej bluzce.

Zadbany wygląd, wiedziała o tym nie od dziś, dawał jej poczucie bezpieczeństwa.

-Nie powinien pan palić. To zabójstwo dla zdrowia.

- Wiem, ale to nie pani interes.

- Jeśli nie muszę wachać dymu.

Popatrzył na nią przez chwilę i wyrzucił niedopałek.

- Czy ktoś zwrócił pani uwagę, że za dużo pani mówi?

- Słyszę to bez przerwy. - Obdarzyła go najśłodszym uśmiechem i podała mu kluczyki do swojego samochodu.

Pomógł jej wsiąść na miejsce pasażera, a ona poczuła się dziwnie lepiej. Chyba udało jej się wyrównać rachunki i pokazała mu, że nie jest taki doskonały. - Ma pani wszystkie dokumenty? - zapytał i usiadł za kierownicą.

- Dowód rejestracyjny, ubezpieczenie i stare prawo jazdy - wystarczy? -Tak.

- Trzeba zdać egzamin z przepisów, albo praktyczny, żeby dostać nowe prawo jazdy?

-Nie.

- To świetnie. - Pomyślała, że może wszystko uda się szybko załatwić. - Ile trwa badanie emisji spalin?

- Zwykle nie więcej niż piętnaście minut.

- A co, jeśli źle wypadnie?

-Nie powinno, jeżeli odpowiednio dbała pani o samochód. Jillie westchnęła.

- Kiedyś miałam świetnego mechanika.

- Co się z nim stało?

- Po rozwodzie przypadł mojemu mężowi.

Blaise spojrzał na nią przeciągle, nie wierząc własnym uszom.

- Wiem, wiem - powiedziała zirytowana. - Dostał też kawiarnię i połowę cholernego miasta, ale chyba nie chcę panu o tym opowiadać.

- Jasne - zgodził się skwapliwie. - A o czym chce pani rozmawiać?

- O pannie Mary Todd.

- Aha, zaczyna pani poznawać śmietankę towarzyską Paradise Beach.

- Paradise Beach ma jakieś towarzystwo?

- Nawet kilka. Towarzystwo Ochrony Zagrożonego Ptactwa Wodnego, Towarzystwo...

Przerwała mu, śmiejąc się.

- Dobrze już, dobrze. Rozumiem. Chodziło mi o... to miejsce nie wygląda na miasto ze śmietanką towarzyską.

Znow rzucił jej badawcze spojrzenie.

- Sądzi pani, że mamy tu tylko prostaków?

Zerknęła na niego niepewnie i zorientowała się, że żartuje, więc ponownie się roześmiała.

- Punkt dla pana, ale tylko dlatego, że jeszcze się dobrze nie obudziłam.

- A ja zawsze wykorzystuję śpiące kobiety.

Poczuła się, jakby ktoś uderzył ją w splot słoneczny. Nagle zabrakło jej powietrza, a wyobraźnia zaczęła podsuwać nieprzyzwoite obrazy. O Boże, nie! Nigdy więcej nie zainteresuje się żadnym mężczyzną. Nigdy, przenigdy! Faceci to wstrętne szumowiny. Oślizłe robaki. Najgorsze typy pod słońcem. Nie, to nie fair. Nie powinna obrażać robaków. Ateno mała nie wsadził jej za kratki! Zamknęła oczy i starała się przypomnieć sobie zimne kajdanki, w które zakuł jej ręce. Chciała, aby uczucie poniżenia przyćmiło wrażenie, jakie teraz robił na niej ten człowiek. Niestety, miała w głowie tylko jedną myśl: to miło być zdaną na jego łaskę...

Poczuła się tak, jakby nagle ktoś wypompował powietrze ze świata. Jakby kosmiczny statek wylądował gdzieś na ziemi, otworzył wrota i we-ssał cały tlen, i dlatego nie miała czym oddychać...

- Przepraszam. Nie mogłem się powstrzymać. Moja następna wada -zawsze prowokuję.

Kosmici chyba mieli dziurę w statku, bo powietrze wydostało się na zewnątrz. Płuca Jillie już nie były tak sparaliżowane i wreszcie udało jej się złapać oddech.

- To ja przepraszam - powiedziała w końcu. - Zakrztusiłam się. - Kłamała. Dlaczego kłamała? Bo nie mogła mu się przyznać, że traci rozum. Miała wystarczająco dobry powód, żeby oszukiwać.

Badanie emisji spalin trwało krótko. Dotarli na miejsce i po piętnastu minutach odjechali z wydrukiem komputerowym. Jillie przyglądała mu się z zainteresowaniem i próbowała coś zrozumieć.

- Wie pan co? Moje auto w ogóle nie wydziela dwutlenku węgla. -Ani trochę?

- Nic a nic. Ale numer. Ten samochód nie nadaje się do popełnienia samobójstwa.

Odwrócił głowę i popatrzył na nią zdziwiony, a potem wybuchnął śmiechem.

Wyrobienie nowego dowodu rejestracyjnego zabrało trochę więcej czasu, ale nie było tak źle, jak się obawiała.

Prawo jazdy dostała od ręki. Musiała tylko zapłacić parę dolarów, zrobić zdjęcie i poczekać około piętnastu minut

- Łatwo poszło - zauważyła, kiedy wracali do domu. -To źle?

- Jasne. Jestem przecież z tych, co uważają, że im trudniej, tym lepiej.

- A, masochistka?

- Właśnie.

- Cóż, możemy wrócić i powiemy im, że aresztowałem panią za jazdę popijanemu.

- O nie! - Spojrzała na niego przerażona. - Niech mi pan tego nie przypomina. To było najbardziej poniżające, okropne, potworne... - przerwała. -No może nie najbardziej poniżające. Gorzej było tylko wtedy, kiedy dowiedziałam się, że mój mąż ma inną. To znaczy, po raz pierwszy. Przepraszam. Po co ja to powiedziałam?

- Co takiego? W czym problem?

- Nie powinnam wspominać mojego byłego, bo nie mam ochoty o nim opowiadać, a pan z pewnością nie chce tego słyszeć.

Blaise odezwał się dopiero, kiedy dojechali do zwodzonego mostu i znaleźli się z powrotem na wyspie.

- Wspomina go pani, bo chce pani o nim porozmawiać. -Wcale nie!

Wzruszył ramionami.

- Jak pani sobie życzy.

Ruch na bulwarze był spory - turyści przemieszczali się z jednego miejsca rozrywki w drugie. Kiedy Jillie i Blaise minęli ogromne hotele, restauracje i sklepy, znacznie się zmniejszył. Południowa część Paradise Beach zachowała się nietknięta. Nie było wysokich budynków i świecących neonów, tak jak na północy, a turyści raczej nie zapędzali się w ciche uliczki. Mary Todd z pewnością nie posiadała wielu terenów w północnej części miasta.

- Nie - odpowiedział Blaise, kiedy Jillie go o to zapytała. - Większość ziemi należała do kilku rodzin, które sprzedały jajakieś dwadzieścia lat temu. Od tamtej pory te tereny bardzo szybko się rozwijały. Nie wiem, co się stanie, kiedy Mary umrze. Ma siostrzenice i bratanków, którzy uważają, że powinna sprzedać ziemię pod budowę.

- Szkoda by było. Może postępuję nierozsądnie, planując, że zostanę tu na stałe. Nie chcę otwierać interesu, jeśli okolica tak się zmieni, że przestanie mi się podobać.

- Otwiera pani interes? Jaki? -Księgarnię.

Zanim zdążyła powiedzieć coś jeszcze, zahamował ostro i zatrzymał się przy krawężniku. Przed nimi, na środku skrzyżowania zderzyły się dwa samochody. Na pierwszy rzut oka nikt nie ucierpiał, ale ruch został zatamowany z czterech stron, a na jezdni stali ludzie, gestykulując i wrzeszcząc.

- Zostań tu - nakazał Blaise. - Muszę to załatwić. To nie potrwa długo.

Jillie wysiadła z samochodu i patrzyła za Blaise'em, który szedł w kierunku kłóącego się tłumu. Wypadek musiał zdarzyć się przed chwilą, bo tylko kilka samochodów stało na skrzyżowaniu, a następne dopiero nadjeżdżały.

O rany, ale wspaniały facet, pomyślała, przyglądając się jak wchodzi w sam środek zbiegowiska. Był ładnie opalony, ogorzały od przebywania na słońcu, a nie spalony jak turysta wylegujący się na plaży. - Jillie nie przepadała za plażową opalenizną- miał szerokie ramiona, ręce sportowca, umięśnione nogi, jak ktoś kto dużo biega...

Przyłapała się na tym, że koncentruje na nim całą swoją uwagę i otrząsnęła się. Nie, nie ma mowy. Może być nawet najdoskonalszym mężczyzną na ziemi, ale ona nie zamierza nigdy, przenigdy związać się z żadnym facetem.

Zobaczyła, jak Blaise zamachał czarnym portfelem i tłum natychmiast sięuspokoił. To pewnie jego odznaka, pomyślała i bez zastanowienia podeszła bliżej, żeby wszystko słyszeć.

- Trzeba usunąć samochody ze skrzyżowania - powiedział. - Potem porozmawiamy.

-Nie! - krzyknął jakiś mężczyzna, machając rękoma. - Jeśli to zrobimy, nie będzie wiadomo, co się stało. On we mnie uderzył!

- Zamknij się! - piskliwie zawołała chuda kobieta z wiśniowymi włosami. - Gliniarze są niebezpieczni. Widzieliście w telewizji tego faceta, którego pobili?

- Nikt nikogo nie zamierza bić - oświadczył Blaise z podziwu godnym opanowaniem. - Ale trzeba uprzątnąć skrzyżowanie.

- Nigdzie się nie ruszam - odparł mężczyzna i skrzyżował ręce na piersi. - Ktoś musi spisać raport. Za nic nie zapłacę, bo to on spowodował wypadek.

- Wcale nie - zaprotestował mały, żyłasty człowieczek, który do tej pory się nie odzywał. - Przejechałeś na czerwonym świetle.



- Na czerwonym? Na jakim czerwonym? Nie było żadnego czerwonego! To ty miałeś czerwone!
- Nieprawda - zawołał ktoś z tłumu. - Ten facet kłamie!
- Mówię prawdę!
- Wy, głupi turyści, wszyscy jesteście tacy sami...
- Dość tego! - krzyknął Blaise. Ku zdziwieniu Jillie ludzie zamilkli. - Tak lepiej - dodał, kiedy zapadła cisza. - A teraz usuniemy samochody...

Tłusty facet już miał otworzyć usta, ale zmroziło go spojrzenie Blaise'a.

- Usuniemy stąd samochody - powtórzył. - Dopiero wtedy porozmawiamy o tym, co się stało. - Rozejrzał się dookoła. - Jeśli ktoś widział wypadek, proszę zostać na chwilę. Spiszemy zeznania.

Kilka głów pokiwało zgodnie. Tylko tłusciuch wyglądał na niezadowolonego.

Blaise zwrócił się do mężczyzny stojącego na chodniku.

- Herm? Możesz zadzwonić i poprosić, żeby kogoś przysłali z komisariatu? Musimy to szybko załatwić.
- Jasne. - Herm splunął sokiem tytoniowym na chodnik. - Masz drobne na telefon? Nie będę dzwonił za swoje.
- A ja ci wlepię mandat za plucie na ulicę. Do diabła, Herm, mówiłem ci już tysiąc razy...
- Dobra, dobra. Zapłacę za ten cholerny telefon. Ale Blaise rzucił mu dwadzieścia pięć centów.
- Niech cię jeszcze raz przyłapię na pluciu.
- Jezu, niektórzy gliniarze są niemożliwi... - Herm mruknął pod nosem i odszedł.

Coraz więcej samochodów blokowało ulicę i rozległy się klaksony. Blaise zerknął na Jillie.

- Przykro mi - odczytała z jego ust.

Wzruszyła ramionami i wbrew sobie uśmiechnęła się.

- W porządku - odpowiedziała. Właściwie sytuacja była zabawna, a ona nigdzie się nie spieszyła.

Blaise zwrócił się do tłustego typa.

- Proszę przesunąć samochód tam. -Nie.

-Co?

- Powiedziałem, że nie! Jest zepsuty. Nigdzie go nie ruszam!
- Na litość boską, Stanley - odezwała się ruda kobieta - zaraz od niego oberwiesz pałką, jeśli nie zrobisz, co każe.
- Niech tylko spróbuj e! Już moi prawnicy go załatwią... Kobieta podniosła głos.

- Co z tego, jeśli złamie ci szczękę i zepsuje mój urlop? Ktoś obok Jillie zagadnął mężczyznę stojącego z tyłu.
- Ciekawe, skąd są ci dwoje?
- Z innej planety - padła odpowiedź.

Cierpliwość Blaise'a wyczerpała się. Wycelował palec w grubasa i kazał mu natychmiast przesunąć samochód, grożąc, że go aresztuje za blokowanie drogi. Na facecie nie zrobiło to wrażenia i na dowód odwrócił się tyłem do Blaise'a.

Wtedy Jillie rozpoznała w nim mężczyznę, który klepał japo pupie w barze i przez którego straciła pracę. Czort z pracą, ale za klepanie zapłaci. Bez zastanowienia ruszyła przez tłum w jego stronę.

- Ty gadzie! - stuknęła go palcem w pierś. - Ty obleśny typie.
- O co, do diabła, chodzi? Dźgnęła go mocno.
- Przez ciebie wyleciałam z pracy!
- Pierwszy raz cię widzę na oczy!
- Ty kłamliwa świni! Widziałeś wystarczająco dobrze, żeby mnie złapać za tyłek dwa dni temu w Seaside Lounge!

Ruda kobieta wrzasnęła rozwścieczona:

- Łapałeś ją za tyłek?!
- Cherry, nigdy w życiu jej nie dotknąłem!
- Chwileczkę - powiedział donośnie Blaise. - Natychmiast zejście z drogi! Wszyscy.
- No proszę! - odezwał się znajomy głos. Jillie rozpoznała go i odwróciła się. Tuż za nią stał Dan Burgess, jej były szef, mały, tłusty mężczyzna. -A nie mówiłem? - zawołał. - Właśnie dlatego chciałem rozwiązać departament policji! Jeden mały wypadek i nawet z tym nie potrafią sobie poradzić. I już mamy awanturę.
- Gówno prawda - odciął się chłodno Blaise. - Na bok, złaż z drogi. -Z drogi komu?
- Z drogi policjanta, ty wstrętny gburze - Jillie wyładowywała na nim złość. - Co z ciebie za człowiek? Wylałeś mnie, bo nie dałam się macać twoim obleśnym klientom!
- Ja nigdy...- Burgess zaczął się wycofywać, zdezorientowany.
- Właśnie, że tak! Wczoraj się o tym dowiedziałam. Kim ty jesteś, alfonsiem?
- Dawaj, Jillie - zawołała jakaś kobieta. Jillie spojrzała w jej stronę i rozpoznała drugą kelnerkę z baru.
- Jak śmiesz? - Burgessa zatkało z wrażenia. - Jak śmiesz tak do mnie mówić?

- A jak to się nazywa, jeśli warunkiem zatrudnienia jest zgoda na macanie przez klientów?

- No! - zawołała druga kelnerka.

- Chwileczkę - zaprotestował tłusty kierowca. - Ja nikogo nie macałem!

- Właśnie, że tak, a jak się wkurzyłam, wytrąciłam ci piwo z ręki i ty jeszcze bezczelnie domagałeś się, żebym zapłaciła za pranie garnituru.

- I dobrze zrobił - stwierdziła Cherry, opierając wypielegnowane dłonie na biodrach. - Nie trzeba było oblewać go piwem! - Nie miał prawa łapać mnie za tyłek!

- Pewnie. - Kilka kobiet z tłumu poparło ją.

- Hej! - krzyknął mężczyzna stojący na chodniku. - Co z wami, kobitki! Żeby facet nie miał prawa trochę sobie pomacać... Zagłuszył go ryk niezadowolonego tłumu.

Klaksony wyły już z każdej strony. Na końcu ulicy Blaise dostrzegł dwa policyjne radiowozy. Utknęły w korku.

Tymczasem tłum dyskutował zawzięcie o tym, czy można dotykać kelnerki w nocnym barze. Burgess zamilkł i już zamierzał cichutko zniknąć, kiedy ktoś złapał go za kołnierz i zaczął mu krzyczeć prosto w twarz, jaką zmorą dla miejscowej społeczności jest jego bar. Wtedy Burgess przypomniał sobie o departamencie policji.

Blaise mógłby obserwować całą zabawę z boku, gdyby nie to, że tłum robił się nieprzewidywalny i bijatyka wisiała w powietrzu. Odwrócił się do grubego turysty, który właśnie spierał się gwałtownie z Cherry, ale nie było słyhać, o co się kłóca, bo tłum - około trzystu roz-wrzeszczanych osób, zagłuszał ich słowa, a do tego jeszcze wyły klaksony. Najwyraźniej sytuacja wymykała się spod kontroli.

- Burgess, zamknij się! - ktoś krzyknął. - Po prostu chcesz się pozbyć gliniarzy, bo robią dobrą robotę.

- Jak cholera! - odkrzyknął inny. - A co w niej dobrego? Nawet nie potrafią poradzić sobie z głupim wypadkiem. Dan ma rację.

-Szefie?

Blaise odwrócił się i zobaczył czterech funkcjonariuszy.

- Przepraszamy. Nie mogliśmy przejechać.

- Wiem - pokręcił głową, patrząc na całe zamieszanie. - Musimy uprzątnąć skrzyżowanie. Jak przywrócimy ruch, tłum się rozejdzie. Gary, zajmij się buickiem. Odholuj go na tymczasowy parking. Buck, ty zepchnij chevy'ego. Wes, Andrew, usuńcie ludzi z drogi, nawet jeśli trzeba będzie użyć siły.

Począł, aż jego chłopcy zaczną działać, i podszedł do Jillie. Objął ją ramieniem w talii i odprowadził na bok.

- A ty co robisz?

- Nie chcę, żebyś znalazła się w środku tego zamieszania. Kazałem ci zostać w samochodzie.

Spojrzała na niego.

- Wy cholerni faceci. Wszyscy jesteście tacy sami. Pomiatacie nami, bo jesteśmy mniejsze i słabsze.

-Może jesteś mniejsza, ale niech mnie diabli, jeśli jesteś słabsza. Nie wciskaj mi takiego kitu, bo tego nie kupię.

- Wiesz, jak mnie potraktował ten facet?

- Słyszałem, a razem ze mną całe Paradise Beach. - Wypuścił ją z uścisku na parkingu i popatrzył na nią z góry. Jillie chciała pokazać, jak jest zła, ale nie bardzo j jej to wychodziło.

- Czy Burgess zwolnił cię naprawdę dlatego, że protestowałaś?

- Nazwał to brakiem odpowiedniego podejścia do klientów. Blaise spochmurniał.

- Dlatego, że podpadł ci ten typek?

- Dlatego, że nie pozwoliłam mu na więcej.

- Przykro mi.

- Z jakiego powodu? Pokręcił głową.

- Że coś takiego ci się przytrafiło. Nikt na to nie zasługuje.

- Zgadzam się całkowicie. - Blaise chyba jej nie usłyszał, ponieważ odszedł w stronę tłumu.

Tłusty turysta klócił się teraz z jednym z podwładnych Blaise'a i przeszkadzał Gary'emu ściągnąć samochód z ulicy.

-Mój samochód! Mój samochód! Złodziej! Zaskarżę was. Pożałujecie, że dotknęliście mojej własności...

- Na litość boską- zniecierpliwiła się Cherry. - To wypożyczony wóz. Przestań już, Stan. Przez ciebie rozboleła mnie głowa!

Stan nie słuchał jej i patrzył na Wesa Tamlina, jakby chciał skoczyć mu do oczu.

- Nie możecie tego zrobić.

- Przykro mi, ale możemy. Blokuje pan drogę. - Wes starał się być uprzejmy. Zbyt uprzejmy. Blaise uśmiechnął się do siebie.

-Hej, Wes... -Tak, szefie?

-Odprowadź pana...pana...

- Pottera - warknął tłuszcioch. - Nazywam się Stan Potter. Będzie pan źle wspominał ten dzień. Mój prawnik...

- Odprowadź pana Pottera na parking... użyj wszelkich niezbędnych środków.

Wes uśmiechnął się.

- Tak jest, szefie. - Spojrzał z góry na grubasa. - Tędy.

Potter zacisnął usta i zignorował ostrzeżenia Cherry, że za chwilę oberwie w głowę. Wes Tamlin schylił się, złapał go pod pachy, podniósł i ruszył w stronę parkingu.

Cherry poszła za nimi, robiąc dużo hałasu, a tymczasem mały zasuszony kierowca drugiego samochodu podreptał za wszystkimi z uśmiechem na twarzy.

Tłum zareagował entuzjastycznie.

- Dobrze, moi drodzy - zawołał Blaise. - Uprzątnijmy ulicę, żeby można było przejechać. Wracajcie na chodnik.

Odetchnął z ulgą, gdy go posłuchali i po chwili jezdni opustoszała. Tylko Dan Burgess podążył za nim na parking, głośno krytykując jego postępowanie. W końcu Blaise nie wytrzymał:

- Wiesz co, Dan, myślę, że wszystko poszło dobrze. Obyło się bez użycia pałek i broni. Ale - zawiesił głos, żeby wrażenie było mocniejsze - to się może w każdej chwili zmienić.

Oczy Dana zrobiły się okrągłe ze zdziwienia i wyprężył się jak struna.

- Straszysz mnie?

- Jeszcze nie. - Blaise przerwał znacząco. - Proponuję, żebyś stąd zniknął i pozwolił policji zająć się sprawą. Za to nam płacą.

- Jako burmistrz tego miasta...

Szczęka Blaise'a nagle zeszywniała. Z doświadczenia wiedział, że wyraz jego twarzy staje się wtedy przerażający i nie mógł nic na to poradzić. Chryste, to mu nic nie pomoże, ale prawda była taka, że miał już serdecznie dość tego gówna.

- Jako burmistrz nie powinieneś przeszkadzać w pracy policji. Burgess najwidoczniej stwierdził, że tym razem lepiej się nie spierać.

Zwłaszcza że panna Mary Todd pojawiła się niespodziewanie, machając laską jak szablą.

-Pozwól chłopakowi wykonywać jego pracę, Dan-powiedziała surowo. - Nie zmuszaj mnie, żebym cię przelożyła przez kolano jak kiedyś, gdy przyłapałam cię na kradzieży ciastek prosto z mojego kuchennego parapetu.

Burgess zrobił się czerwony jak burak ze wstydu, że jego młodzieńcze wybryki zostały mu wypomniane w obecności tylu ludzi. Blaise omal nie wybuchnął śmiechem.

- Panno Todd! - zaprotestował Dan.

- Och, wiem, że to było dawno temu, ale myślałam, że z chłopca stałeś się wreszcie mężczyzną...

Ze strachu, że panna Todd publicznie zacznie wymieniać jego wady, Dan odwrócił się na pięcie i wziął nogi za pas. Mary Todd pokręciła głową i parsknęła.

- Ten chłopak nie zmienił się ani trochę na lepsze.

Następnie rzuciła spojrzenie bazyliuszka na Staną Pottera, który kolejno straszył Wesa Tamlina, Blaise'a Corriganą i całą policję Paradise Beach najróżniejszymi konsekwencjami prawnymi.

- A pan - oświadczyła głosem, który mroził krew w żyłach - powinien nauczyć się dobrych manier i obyczajów. Stan był tak zaskoczony, że tylko gapił się na nią. Cherry jęknęła coś pod adresem Mary Todd i na szczęście milczała.

- Widziałam cały wypadek, Blaise. Ten facet - Mary wskazała na Pottera - przejechał na czerwonym świetle.

- Ona kłamie! - krzyknął Potter.

- Nie sądzę - powiedział obojętnie Blaise. - Sam już do tego doszedłem po ustawieniu samochodów.

Potter spojrzał na niego zdumiony.

- Skąd pan wie jakie było światło? Nie było pana tutaj.

- Ale widzę, jak stanęły inne samochody po waszym zderzeniu. Ruch z północy na południe zatrzymał się za białymi liniami z obu stron. A jadący ze wschodu na zachód byli na skrzyżowaniu za samochodem tamtego pana. - Spojrzał Potterowi prosto w oczy. - Pan przejechał na czerwonym.

Potter poczerwieniał na twarzy, a Cherry uderzyła go w ramię.

- Mówiłam ci, ty idioto! - Szturchnęła go jeszcze raz. - Już ja ci pokażę, ty dupku.

Ze zręcznością kota Blaise znalazł się tuż za nią i chwycił ją za rękę.

- Aresztuję panią za napastowanie tego pana. Gary, chodź, zakuć ją. - Napastowanie! Jakie napastowanie?! O czym pan, do diabła, mówi?

- Uderzyła pani pana Pottera, i to dwa razy. Ma pani prawo zachować milczenie. Wszystko co pani powie...

- Stan! Stan, powiedz temu goryłowi, żeby mnie puścił! Nic ci nie zrobiłam...

Ale Stan nieoczekiwanie uśmiechnął się, zadowolony. - Nic mu nie powiem, Cherry. Powtarzałem ci tyle razy, żebyś mnie nie biła! - Odańczył radosny taniec.

- Nie mogę iść do więzienia! Stan, wyciągniesz mnie stamtąd albo... albo... - Słowa uwięzły jej w gardle, kiedy poczuła kajdanki na nadgarstkach. Nagle stała się potulna i grzeczna. - Stan?

- Nie trzeba było mnie bić, Cherry - triumfował.

- Przepraszam. Naprawdę. Nigdy więcej tego nie zrobię. Nie pozwól tym glinom mnie zabrać. Pobijamnie i wrzuca moje ciało do zatoki!

- Och, na litość boską - powiedziała zde gustowana Mary Todd. -Przestań jęczeć, dziewczyno. Jeśli ten głupek rzeczywiście zechce cię z powrotem, za kilka godzin wpłaci za ciebie kaucję. Tymczasem, zastanów się nad swoim zachowaniem!

Odprawdzana przez Gary'ego znowu zaczęła sypać wyzwiskami pod adresem Staną Pottera, a ten im była dalej, tym szerzej się uśmiechał.

- Zabierzcie ją-piszczal radośnie. - Wrzućcie do rzeki! Mam dość tej obrzydliwej baby!

Ale kiedy zniknęła, zreflektował się.

- Nie powinienem tak mówić - powiedział przerażony. - Będzie na mnie taka wściekła... - Najwyraźniej niezbyt podobała mu się ta perspektywa.

- Może pan pojechać do aresztu i po południu zapłacić za nią kaucję, jeśli pan chce. A teraz wracajmy do wypadku... Potter znów zaczął się odgrażać i po dawnemu złorzeczyć.

- Już mówiłem, że ten opalony idiota przejechał na czerwonym, nie ja. Nikt mnie nie zmusi, żebym zapłacił za ten głupi samochód tylko dlatego, że jakiś czubek nie odróżnia czerwonego od zielonego!

- Proszę mi pokazać umowę wynajmu samochodu, panie Potter. Jillie odwróciła się, zmęczona zachowaniem grubasa i jego skargami.

Samochody sunęły bulwarem, a gapie prawie się już rozeszli. Po drugiej stronie ulicy, za dwoma starymi domami widać było białe wydmy porośnięte morską trawą. Mogłaby pobiec tam i pospacerować po plaży. Albo pojechać do domu. Blaise może się przecież zabrać radiowozem.

Ale coś trzymało jąprzy nim, skoro nie musiała jechać, została na miejscu, słuchając stłumionego szumu fal i głośnego skrzeku mew, podczas gdy Blaise zajmował się wypadkiem.

Odwróciła się plecami do ludzi, a twarzą do morza, bo tak mogła przez chwilę o nich zapomnieć.

- Przepraszam za to wszystko. - Blaise nagle znalazł się przy niej, dotknął jej ramienia i delikatnie pociągnął ją w stronę samochodu. Poczekali na zmianę świateł i przeszli przez ulicę. - Nie powinienem prosić cię, żebyś czekała.

- W sumie jestem ci wdzięczna. Przynajmniej miałam okazję powiedzieć Potterowi i Burgessowi, co o nich myślę. Pokręcił głową, starając się opanować rozbawienie. -Nieźle ci poszło.

- Tak, ale nic mi to nie pomogło, tyle że wyładowałam złość.

Pomógł jej wsiąść do samochodu, zanim jednak zamknął drzwi, pochylił się i spojrzał na nią.

- Mogę cię zabrać na kolację dziś wieczorem? Żeby naprawić to, co się stało?

Powinna odmówić. Powinna jak najszybciej wycofać się z tej pułapki.

- Jasne. Z przyjemnością pójde.

I to, pomyślała, były najgłupsze słowa, jakie kiedykolwiek padły z jej ust.

#### Rozdział 4

Kiedy zabrzmiał dzwonek, rozpromieniona szeroko otworzyła drzwi i zamarła z przerażenia. Zamiast Blaise'a Corrigan na progu stał jej były mąż. Fielding Wainwright obdarzył ją ujmującym uśmiechem.

- Witaj, Jillian - powiedział.

Instynkt samozachowawczy wreszcie zmusił ją, by głęboko nabrała powietrza.

- Co ty tu, do licha, robisz? Pokręcił głową.

- Zawsze byłaś taka ostra, kochanie.

Uśmiech nie schodził mu z twarzy. Ten uśmiech, zdaniem Jillie, za bardzo ułatwiał mu życie. Fielding Wainwright samego diabła by oczarował.

- Musimy porozmawiać, a nie możemy, bo bez przerwy rzucasz słuchawką.

Chciała zamknąć drzwi, ale on już zrobił krok do środka. Obrzucił ją badawczym spojrzeniem czarnych oczu.

- Floryda ci służy, kochanie. Co za wspaniała opalenizna! Ale lepiej uważaj! Rudzielce łatwo doznają poparzeń.

Poczuła się, jakby była naga. Blaise zaproponował kolację w Twin Palms, barze na plaży, więc ubrała się w białą, krótką spódniczkę i zieloną, skąpą bluzeczkę z gołymi ramionami. Jedną z rzeczy, jakie lubiła na Florydzie, było to, że porządne szorty wystarczały za elegancki strój.

Ale teraz żałowała, że nie ma na sobie długich spodni i szerokiej koszuli, żeby Fielding nie mógł patrzeć na nią tak pożądliwie. Boże! Dlaczego nie zauważyła, jaki jest wstrętny?

- Dla mnie nigdy się tak nie ubierałaś - stwierdził.

- W Massachusetts jest dużo zimniej, Fielding, a my nigdy nie chodziliśmy na plażę. Idź sobie.



Pokręcił głową, i cały czas się uśmiechał, ale Jillie nie patrzyła już na niego, bo nagle dostrzegła coś szarego, pędzącego przez trawnik.

- To ten cholerny pies - powiedziała, rozpoznając bestię, przez którą rozwalila skrzynkę na listy Blaise'a. Pędził prosto na nich i Jillie chciała odruchowo zamknąć drzwi, bojąc się, że wpadnie do środka i narobi szkód.

Jednak Fielding przytrzymał drzwi i nie pozwolił jej ich zamknąć.

- Nie zamykaj mi drzwi przed nosem, Jillian. Nigdy nie straciłem nadziei, że cię odzyskam.

Jak w koszmarnym śnie Jillie patrzyła na psa, który przyleciał do nich, skoczył i po chwili Fielding zaczął histerycznie krzyczeć. -Ugryzł mnie! -wrzasnął.-Złaż ze mnie! Złaż!

Ale pies już pobiegł w drugą stronę, a Jillie, rozbawiona, pomyślała, że naprawdę jest inteligentny.

- O Boże! Ja krwawię!

Fielding pomachał jej ręką przed nosem, pokazując dwie małe smużki krwi, i Jillie niechętnie otworzyła drzwi.

- Wejdz, zobaczę, co się stało.

Wszedł do salonu, kulejąc ostentacyjnie i jęcząc.

- Ugryzł mnie, do diabła! Co to za pies? Trzeba go zastrzelić!

Jillie nie mogła już dłużej opanować śmiechu. Fielding popatrzył na nią.

- To nie jest śmieszne. -Wiem... wiem...

Ale to było zabawne. Nikt na świecie nie zasługiwał na ugryzienie w tyłek bardziej niż Fielding Wainwright.

- Oprzyj się o stół, rzucę na to okiem - powiedziała.

Jęcząc jeszcze głośniej, pokuśtykał do jadalni i oparł się o blat. Miał rozdarte spodnie, a na materiale widniało kilka kropel krwi.

- Lepiej ściągnij spodnie, Fielding. Tak nic nie zobaczę. Wyprostował się i rzucił jej lubieżne spojrzenie przez ramię.

- Przestań - skarciła go surowo. - Myślałam, że coś ci się naprawdę stało. Jak możesz w takiej chwili mieć sprośne myśli? - Wolałbym, żebyś to ty ugryzła mnie w... -Zamknij się!

Z miną skrzywdzonego małego chłopca zsunął spodnie i odwrócił się, żeby mogła zobaczyć ślady po ugryzieniu.

Skóra była lekko przecięta, a rana wyglądała jak małe zadrapanie.

- To nic wielkiego. Spodnie cię ochroniły. Masz tylko drażniętą skórę. Może powinieneś wziąć zastrzyki przeciwko wścieklicznie?

Wyprostował się, jakby ktoś go uderzył.

- Zastrzyki? - zadrżał.

Jillian wzruszyła ramionami.

- W takich przypadkach należy to zrobić. Pies ugryzł cię bez powodu. Trzymając spodnie w garści, chciał usiąść na kanapie.

-Nie! - powiedziała ostro Jillie. - Pobrudzisz ją. Zbladł.

- Tak bardzo krwawie?

- Nie, tylko trochę. Przyniosę ci ręcznik. - Kanapa była biała, a eks-mąż nie zasłużył na lepsze traktowanie niż obcy z ulicy, po tym co jej zrobił. Znalazła w szafce różowy ręcznik i rzuciła Fieldingowi.

- Hej - powiedział, przyglądając mu się. - To nasz ślubny prezent.

- Świetnie. Więc można go ubrudzić krwią. Pokręcił głową i popatrzył na nią.

- Przestań, Jillian. Strasznie mocno się pokłóciliśmy, ale pora, żebyśmy zachowywali się jak cywilizowani ludzie.

- Czy ty w ogóle masz pojęcie, co to znaczy zachowywać się jak cywilizowany człowiek?

Rozłożył ręcznik na kanapie, rozprostował go dokładnie i usiadł na nim.

- Większe niż ty, najwyraźniej. Przynieś moją walizkę z samochodu. Muszę zmienić spodnie, a potem chyba poszukam jakiegoś lekarza.

-Nie jestem twoją służącą, Fielding. Sam sobie przynieś walizkę.

- Jestem ranny.

- To tylko zadrapanie. Bez trudu dojdiesz do samochodu i z powrotem.

- Zostałem ranny na twoim terenie! To twój obowiązek...

- Na litość boską! Jak mogłam być tak głupia i kiedykolwiek sądzić, że się w tobie zakochałam?

Coś w jej słowach mocno go uderzyło i podniósł się gwałtownie.

- Masz rację - powiedział. - Zachowuję się jak dupek. Przyniosę walizkę. - Poprawił pasek i zapiął go.

Jillie zamurowało. Nigdy się nie zdarzyło, żeby Fielding Wainwright tak szybko przyznał komuś rację. Zawsze musiał mieć ostatnie słowo. Rzucił Jillie zwycięskie spojrzenie i ruszył do drzwi. Otworzył je szeroko, dramatycznym gestem. Pewnie wyobraża sobie, że jest bohaterem jakiegoś filmu, idącym na wojnę za kraj i rodzinę, pomyślała Jillie kwaśno. Na progu, z uniesioną ręką, stał Blaise Corrigan, który chciał właśnie zapukać do drzwi.

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie zdziwieni. Blaise pierwszy się odezwał:

-Czy... jest Jillie?

- A ty kim do licha jesteś? - zaatakował Fielding.

- Fielding! - zawołała Jillie.

- No, kto to jest? Nie mów, że już się z kimś spotykasz! Atrament jeszcze dobrze nie wysechł na naszych papierach rozwodowych!

- Nasze małżeństwo rozpadło się dawno temu i to nie twoja sprawa! -Popatrzyła na Blaise'a, który stał z kamienną twarzą. - Możemy iść. Tylko wezmę torebkę.

Fielding jęknął.

-Nie możesz mnie tak zostawić! Jestem ranny! Potrzebuję lekarza!

- Co się stało? - zapytał Blaise.

- Jakiś cholerny pies wybiegł nie wiadomo skąd i ugryzł mnie! Krwawię.

- To tylko draśnięcie - powiedziała Jillie. - Ego Fieldinga ucierpiało o wiele bardziej.

- Widziałaś tego psa? - Blaise wyciągnął długopis i mały notes z kieszeni na piersi i zaczął coś pisać.

- To ten sam, który wyskoczył mi wczoraj na drogę. Szary terrier -odparła Jillie.

- Pies Cala Lepkina - zamknął notes. - Cholerny zwierzak sprawia same kłopoty.

- Właśnie! - ochoczo podchwycił Fielding. - Trzeba go uspić. Stałem sobie zwyczajnie na progu i rozmawiałem z Jillie, kiedy wyskoczył nie wiadomo skąd i ugryzł mnie.

Blaise ponownie otworzył notes.

- Jak się pan nazywa?

- Fielding Wainwright. Jestem mężem Jillie.

- Byłem mężem - wtrąciła. - I właśnie wychodziłeś, prawda? -Jillie, nie żartuj sobie! Jechałem do ciebie dwa dni, a na dodatek zostałem pogryziony przez psa! Nie chcesz mnie chyba wyrzucić.

- Z pewnością mnie nie zostaniesz. Jesteśmy po rozwodzie, Fielding. Znajdź sobie pokój w hotelu.

-Ale...

Blaise zrobił krok do tyłu i pokazał ręką w kierunku ulicy.

- Słyszał pan, co powiedziała. Proszę wyjść.

- Kim ty, do licha, jesteś? - rzucił się Fielding.

- To komendant policji - wyjaśniła Jillie, i znów zachciało jej się śmiać.

- Prosiła, żeby pan wyszedł. Albo pan idzie, albo aresztuję pana za naruszanie spokoju - zagroził Blaise.

Fielding uniósł ręce do góry.

- Nie wierzę. Nie wierzę własnym uszom. - Spojrzał na Jillie. - Jeszcze się zobaczymy, skarbie. Zmienisz zdanie na nasz temat, już ja się o to postaram.

Jillie już miała otworzyć usta, żeby mu powiedzieć, że nic na świecie nie zmieni jej zdania na jego temat, ale postanowiła nie przedłużać sporu. Chciała, żeby się natychmiast wyniósł, chciała iść na kolację z Blaise'em i wyjaśnić mu, że nic a nic nie czuje do byłego męża. Boże! Jak Fieldingowi mogło coś podobnego przyjść do głowy?

- Czy wy tutaj nie macie przepisów o trzymaniu psów na smyczy? - Fielding znowu zaatakował Blaise'a. - Dlaczego niebezpieczne zwierzę biega sobie swobodnie? Znajdzie go pan, prawda? Do diabła, jeśli będę musiał zaszczepić się przeciwko wściekliźnie, podam do sądu cały departament policji, oskarżę was o zaniedbanie obowiązków, albo coś w tym stylu!

Blaise panował nad sobą.

- Mamy przepisy, panie Wainwright. Ten pies biegał swobodnie, bo udało mu się uciec i nie daj e się złapać. W rejestrze u weterynarza na pewno uda się potwierdzić, że był szczepiony. A jeśli chodzi o zaskarżenie departamentu policji... żyjemy w wolnym kraju i jeśli chce pan marnować pieniądze, proszę bardzo, może pan robić to, na co ma ochotę. A teraz, pański samochód stoi tam. Proponuję, żeby wsiadł pan do niego i poszukał hotelu, zanim się okaże, że będzie pan musiał spać w samochodzie.

-No, ja nigdy!... - Zapominając o utykaniu, Fielding wyszedł. Jillie wybuchnęła śmiechem i nie mogła się opanować. Blaise patrzył na nią z ciekawością.

- Co cię tak śmieszy?

- Fielding. Przyzwyczaił się do lepszego traktowania przez urzędników państwowych. U siebie jest dość ważną osobą. Blaise wzruszył ramionami.

- A tutaj jest tylko kolejnym, upierdliwym turystą.

- Właśnie - zachichotała. - Poczekaj, wezmę torebkę... Kiedy się odwróciła, zadzwonił telefon. Zawahała się.

- Odbierz - powiedział z uśmiechem. - Mam czas.

- Więc wejdź i usiądź. To pewnie nic ważnego... Telefonowała jej była teściowa.

- Jestem na lotnisku w Tampie, Jillian, i będę wdzięczna, jeśli zaraz po mnie przyjedziesz.

- Ale... mam, mam. - Czując się jak ryba nagle wyciągnięta z wody, Jillian zaczęła się jąkać. Nie wiedziała, co powiedzieć. - Właśnie... wychodziłam na kolację... z kimś...

- Więc przyjechałam w samą porę - powiedziała zdecydowanym głosem Harriet Wainwright. - Odwołaj randkę i przyjedź tu natychmiast.

Jillie zawahała się i patrząc na Blaise'a, usiłowała się zebrać na odwagę i zrobić coś, czego nie robiła nigdy dotąd: powiedzieć „nie” matce Fieldinga.

- Co się stało? - spytał Blaise. Jillie zasłoniła słuchawkę.
- Matka Fieldinga jest na lotnisku w Tampie i chce, żebym natychmiast poniaprzyjechała. Wzruszył ramionami.
- No to jedźmy po nią. Kolację możemy zjeść jutro wieczorem.
- Jillie patrzyła na niego i nie wiedziała, czy ma być zła, że tak lekko to przyjął, czy zadowolona, że nie był taki jak Fielding, który zachowywał się jak małe dziecko zawsze, kiedy ktoś próbował zmienić jego plany.
- Jillian? Jesteś tam jeszcze? Słuchaj, kochanie, wiem, że zostałam okropnie potraktowana, aleja nie miałam z tym nic wspólnego, ja tylko urodziłam tego żalostnego faceta! No, przyjeźdź po mnie. Porozmawiamy spokojnie i zastanowimy się, jak to wszystko załatwić.
- Tu nie ma nic do załatwiania, mammo.
- To zależy, jak do tego podejziemy, moja droga. Ale to nie jest rozmowa na telefon, przecież tkwię na lotnisku... chociaż to jedno z najładniejszych lotnisk, na jakich byłam. Jestem wykończona. Porozmawiamy później. Po prostu odbierz mnie stąd.
- Obawiam się, że dojazd zajmie mi prawie godzinę.
- W porządku, kochanie. Zjem lekką kolację z pewnym miłym mężczyzną, którego poznałam w samolocie. Jesteśmy w części C, w barze szybkiej obsługi.
- Jillie odłożyła słuchawkę i spojrzała na Blaise'a.
- Najazd Wainwrightów.
- Przechylił głowę i uśmiechnął się niewyraźnie. -W jakim celu?
- Nie mam pojęcia. Fielding twierdzi, że chce się pogodzić. -A ty?
- Nic z tego - zaprzeczyła zdecydowanie.
- Więc go zignoruj. Czego chce jego matka?
- Żebym to ja wiedziała. Teraz je kolację z jakimś facetem, którego poznała w samolocie, więc nie musimy się spieszyć. - Ojciec Fieldinga nie żyje?
- Dlatego Fielding jest ważną osobą - stwierdziła cierpko. - Gdyby nie odziedziczył majątku, wszyscy traktowaliby go tak, jak na to zasługuje, jak zepsutego dzieciaka.
- Blaise wyszedł za nią z domu, skrywając uśmiech.
- Dlaczego nie powiesz mi, co naprawdę myślisz? - zapytał.
- Przepraszam, pewnie cięto szokuje. - Zatrzymała się i odwróciła do niego.

- Nie, potrzeba o wiele więcej, żeby mnie zaszokować.
  - To dobrze. Boja szokuje ludzi. Do diabła, o co chodzi z Fieldingiem i jego matką? Chciałabym czytać w ich myślach. A może lepiej nie. Przynajmniej nie w myślach Fieldinga. On tonie w burzy hormonów.
- Blaise wybuchnął śmiechem.
- Jest okropny - powiedziała Jillie poważnie. - Wstrętny. Kiedy byliśmy małżeństwem, przez cały czas uganiał się za innymi kobietami. A ja wiem tylko o połowie jego romansów.
  - Rzeczywiście okro...
  - A co z tym diabelnym psem? - nie dała mu dokończyć. - Najpierw przez niego wjeżdżam na skrzynkę, teraz gania po trawniku i gryzie Fieldinga bez żadnego powodu... chociaż sama z chęcią bym to zrobiła...
  - Moi ludzie złapią go jutro. Zwykle wcześniej wraca do domu i śpi, więc jeśli chcemy mieć jakąkolwiek szansę przydybać go, rano będzie najlepszy moment.
  - Chcesz powiedzieć, że znasz zwyczaje tego psa? Tak dobrze się orientujesz?
  - Do licha, tak. Ta cholerna bestia od czasu do czasu daje nam popalić.
  - Może trzeba się go pozbyć? Pokręcił głową poważnie.
  - Calowi Lepkinowi serce by pękło, gdyby coś się stało Roverowi. On jest wszystkim, co ma.
  - To może powinien trzymać go na łańcuchu.
  - Cal próbował wszelkich zabezpieczeń: łańcuchy, płoty, zagroda... Mówię ci, Jillie, jego pies to diabeł wcielony. Uciekł, bo czary mu pomagają.
  - Nie musisz jechać ze mną na lotnisko - powiedziała wreszcie, nie wiedząc jak zareagować na jego uwagi o psie.
  - Zdaję sobie sprawę, że już popsulałam ci wieczór, nie chcę psuć go jeszcze bardziej.
- Jego bystre niebieskie oczy spojrzały ciepło i odparł łagodnie:
- Nie popsulaś mi wieczoru, Jillie. Weźmy moją eksplorera. Jest większy niż twój a toyota.
- Bez problemów znaleźli Harriet Wainwright. Głos byłej teściowej Jillie usłyszeli, kiedy jechali schodami ruchomymi do hali przylotów. Harriet mówiła o braku manier u młodych ludzi i o tym, że w obecnych czasach nie pamiętają nawet o podstawowych zasadach dobrego wychowania.
- To ona - powiedziała Jillie do Blaise'a.
- Wyglądał na rozbawionego. Chyba jednak za bardzo go to wszystko śmieszy, pomyślała Jillie. Dlaczego nie jest choć trochę niezadowolony, że

obcy ludzie popsuli mu plany na wieczór? Zachowanie Fieldinga i Harriet powinno go chociaż trochę zdenerwować, tak jak ją. Sądząc z tematu rozmowy, Jillie spodziewała się, że Harriet będzie w towarzystwie starszego mężczyzny. Tymczasem otaczał ją wianuszek młodych ludzi, którzy wyglądali jak szkolna drużyna futbolowa. I co najdziwniejsze, chyba dobrze się bawili. Białowłosa Harriet Wainwright była wspaniałą kobietą: postawna, z dużym biustem. W młodości pewnie uważano ją za zbyt wysoką i zwyczajną, ale na starość zwracała uwagę swoim wyglądem. - Jillian, moja droga! - zawołała Harriet. - Tutaj, tutaj.

- Krzyczy, jakby ktoś mógłby jej nie zauważyć - Jillian mruknęła do Blaise'a, który stłumił chichot, denerwując ją tym jeszcze bardziej.

Harriet wstała, i na przywitanie cmoknęła Jillie w policzek.

- To moja synowa - wyjaśniła. - Jestem teraz bezpieczna, możecie już jechać. Bardzo wam dziękuję za dotrzymanie mi towarzystwa.

- Żaden problem. Miło było - zewsząd padły szybkie odpowiedzi. Młodzi mężczyźni skinęli głowami w stronę Jillie i odeszli całą grupą.

- Kiedy powiedziałaś, że jesz kolację z jakimś panem, wyobraziłam go sobie zupełnie inaczej - przyznała się Jillie. Harriet parsknęła.

- Siedziałam obok jednego z nich w samolocie i zaczęliśmy interesującą rozmowę. Prawie się ze mną zgodził, że młodzi w dzisiejszych czasach są nieokrzesani. W każdym razie poprosił swoich przyjaciół, żeby przyłączyli się do nas i zjedliśmy po kanapce, kiedy czekałam na ciebie. Byli niezwykle układni jak na młodych ludzi.

Raptem zauważyła Blaise'a, stojącego cierpliwie z boku i obrzuciła go pełnym dezaprobaty wzrokiem.

- A to kto? - zażądała wyjaśnień.

Majątek i wiek sprawiały, że Harriet wydawało się, że może zachowywać się tak bezpośrednio, jak jej się spodoba. Kiedyś Jillian uwielbiała jej „czarujący” sposób bycia.

Zawsze pociągali ją ludzie wygadani i pyskaci. Ale teraz, nagle spojrzała na to inaczej.

- To Blaise Corrigan, partner Jillie na dzisiejszą kolację - powiedział Blaise, prostując się i wyciągając rękę do Harriet.

- Partner - parsknęła i popatrzyła na Jillie krytycznie. - Już chodzisz na randki?

Jillie z trudem stłumiła westchnienie.

- Rozwiedliśmy się, klamka zapadła, Harriet.

- Mamo. Zawsze zwracałaś się do mnie per mamó.

- Ale już nie będę- starała się mówić zdecydowanie; czuła, że jeśli od razu nie postawi sprawy jasno, da się wciągnąć w nieprzyjemną rozmowę na ten temat.

- Pogadamy o tym później - oznajmiła Harriet. - Kiedy będziemy same. A po co zabrałaś ze sobą pana Corriganą?

- Bo mój samochód jest większy - powiedział łagodnie Blaise. - Sam zaproponowałem Jillie, że ją przywiozę, bo ona jeszcze dobrze nie zna drogi.

Harriet popatrzyła na Jillie. -Wścibski facet.

- Nie bardziej niż ty, Harriet - odgryzła się Jillie. -Jillian!

- Ma pani jakiś bagaż, pani Wainwright? - wtrącił się Blaise. Spojrzała na niego z widoczną niechęcią i uniosła podbródek.

- Tak.

-No to proponuję, żebyśmy go odebrali. Lotnisko zamykają na noc.

Harriet nie przywykła, żeby ktoś mówił jej, co ma robić, i patrzyła na Blaise'a wrogo i z niedowierzaniem.

Najwyraźniej nie miała żadnego argumentu, więc ruszyła za nim po walizki.

- Co on sobie myśli, że kim jest? - syknęła do Jillian, kiedy podążały za Blaise'em.

Jillie, która również pomyślała, że Blaise przesadza, postanowiła jednak stanąć w jego obronie. - Jest przyzwyczajony do kierowania ludźmi, Harriet. To komendant policj i.. .

-Policjant? Och, moja droga, nie mogę uwierzyć, że upadłaś tak nisko. To taka... taka... pospolita praca.

Natomiast Jillian nie mogła uwierzyć, że kiedyś bawił ją snobizm tej kobiety.

- Masz rację, Harriet, tylko że i ja wkrótce będę jedynie pospolitą sklepikarką.

Harriet zmierzyła ją wzrokiem.

-Nie ma nic złego w byciu sklepikarzem. Własny interes to najlepsza droga do sukcesu. Ale... Jillian, jeśli otworzysz sklep, nie będziesz mogła wrócić do Massachusetts.

- Nie mam zamiaru tam wracać. Nigdy. A tak na marginesie, pracowałam jako kelnerka w nocnym barze.

Harriet aż zatkało z przerażenia. Chwilę milczała. Zbliżyły się do taśmy z bagażami. Dopiero wtedy się odezwała.

- Po rozwodzie nie możesz dojść do siebie, moja droga. Nie myślisz rozsądnie.



- Myślę bardzo rozsądnie - powiedziała zdecydowanie Jillie. - A jeśli przyjechałaś tutaj, żeby próbować namówić mnie, bym wróciła do Fieldin-ga, to tracisz czas i możesz równie dobrze złapać poranny samolot do domu.

-Ależ skąd! Taśmy zostały już zatrzymane, ale nieodebrane walizki stały pod ścianą. Harriet bez trudu znalazła trzy identyczne, eleganckie torby. Blaise podniósł je wszystkie i odrzucił pomoc Jillie.

- Nie są bardzo ciężkie - zapewnił ją i ruszył do windy, którą wjeżdżało się na górny parking. Jillie czuła rosnącą niechęć do Wainwrightów. Zastanawiała się, czy Blaise czuje to samo. Niewiele się odzywał i coś w rysach jego twarzy sprawiało, że nie wiedziała, czy jest zły, czy tylko próbuje stłumić śmiech. Każda reakcja byłaby odpowiednia, pomyślała, a od śmiechu przynajmniej nie skacze ciśnienie.

- Więc jest pan policjantem - odezwała się Harriet z tylnej ławki, kiedy ruszyli z lotniska. Ton jej głosu sprawił, że Jillie zeszywniała, ale Blaise nie zwrócił na to uwagi.

- Zgadza się.

- Nie jest pan na to trochę za stary? To praca dla chłopców, którzy muszą się wyszaleć, zanim wezmą się za coś odpowiedzialnego. -Naprawdę?

Jillie nie mogła się opanować.

- Harriet, nie obrażaj go.

- Nie miałam zamiaru! Zadałam tylko szczere pytanie. Zabawa w policjantów i złodziei jest zarezerwowana dla dzieci.

- Gdyby to była prawda - powiedział Blaise spokojnie - nie mogłaby pani spać bezpiecznie w łóżku, bo brakowałoby policjantów do ochrony.

- Nigdy w życiu nie potrzebowałam ochrony policjantów.

- Właśnie.

Harriet zamilkła, nie wiedząc, co myśleć o tym mężczyźnie. Jillie oparła się o siedzenie i miała nadzieję, że cisza potrwa przez resztę drogi. Stwierdziła ponuro, że zbyt łatwo nie uda jej się pozbyć ani Fieldinga, ani Harriet. A po takim wieczorze Blaise Corrigan z pewnością nie zechce jej więcej widzieć. Nie przejmowała się tym... oczywiście, że nie. Jej życie będzie o wiele lepsze bez mężczyzny, który wprowadza do niego chaos. Lecz Harriet nigdy nie potrafiła długo milczeć i dziś nie było wyjątków.

- Cóż - odezwała się. - Chyba wiem, o co panu chodzi. Oczywiście, nie chciałabym żyć w społeczeństwie, które nie przestrzega prawa. Ale z pewnością dojrzały mężczyzna powinien zajmować się poważniejszymi zadaniami.

Jillie skuliła się ze strachu w oczekiwaniu na wybuch. Nic takiego nie nastąpiło. Kiedy Blaise odpowiedział, jego głos był spokojny... może nawet za spokojny.

- Przykro mi, ale nie zgadzam się z panią, pani Wainwright. Ochrona życia i własności obywateli Paradise Beach to nie jest praca dla kogoś, kto jest niedojrzały. Tak samo jak noszenie broni.

- Oczywiście, że tak - odparła Harriet jak zawsze nielogicznie. - Wielkie nieba, na samą myśl dostaję gęziej skórki. Uzbrojeni chłopcy! - Zanim zdołali wytknąć jej niekonsekwencję, brnęła dalej. - Zupełnie nie rozumiem, dlaczego moja synowa spotyka się z panem - oznajmiła szczerze. - Pan jest dla niej o wiele za stary... ile pan ma lat? Czterdzieści pięć? - Trzydzieści osiem.

- I tak jest pan o wiele za stary. Ona ma tylko trzydzieści. I pracuje pan w niebezpiecznym zawodzie.

- Od piętnastu lat żaden oficer policji w Paradise Beach nie zginął na służbie, pani Wainwright. Poza tym, jestem komendantem i większość pracy wykonuję za biurkiem.

Nie wtedy, kiedy w mieście robią się korki, pomyślała Jillie, pamiętając o tym, co wydarzyło się tego dnia. Zastanawiała się, czy Harriet zamknie się, gdy udusi ją swoją chustką. Pewnie nie. Harriet Wainwright nawet z za grobu dowodziłaby swoim pogrzebem. Przedsiębiorca pogrzebowy nie byłby w stanie ułożyć jej spokojnie w trumnie. - Harriet, to nie twoja sprawa.

- Oczywiście, że moja! Jesteś żoną mojego syna.

- Już nie.

Harriet pokręciła głową.

- Przejdzie ci.

- Już mi przeszło. To zamknięty rozdział mojego życia. Koniec. Teraz zaczynam wszystko od nowa, i na pewno bez Fieldinga.

- Ależ z nim - Harriet zwróciła się do Blaise'a. - Ona go szaleńczo kocha. Każdy to widzi.

- Już nie!

- Jest na zakręcie, panie Corrigan. Kiedy zapomni, jak ją zranił, zapragnie go z powrotem. Z pewnością nie chce pan w tym przeszkodzić?

Blaise wzniósł oczy ku górze, a Jillie żałowała, że nie ma przy sobie pistoletu. Za wszelką cenę chciała uciszyć tę kobietę. - Zamknij się, Harriet.

Pani Wainwright obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem.

- Nie mów do mnie w ten sposób.

- A ty nie mów tak do mnie. Nie masz pojęcia, jakie bzdury pleciesz. Najmniejszego!
- Moje drogie dziecko... -Nie jestem dzieckiem, Harriet.
- Widziałam, jak bardzo byłaś zakochana w Fieldingu. Nadal go kochasz, jestem pewna. Okropnie cię skrzywdził, ale kiedy zobaczysz, że naprawdę chce wszystko naprawić, wybaczysz mu.
- Fielding nigdy się nie zmieni.
- Przysiągł, że już nigdy cię nie zdradzi.
- Przysiągł mi trzy razy i zawsze łamał słowo. Najdziwniejsze jest to, że uwierzyłam mu więcej niż raz. Już nigdy nie będę taka głupia.

-Ale on się zmienił!

Jillie z trudem powstrzymała się od komentarza. Nie mogła uwierzyć, że w ogóle prowadzą taką rozmowę, tym bardziej w obecności Blaise'a. Czy jeszcze kiedykolwiek spojrzy mu prosto w oczy?

Ponieważ Jillie przestała się z nią spierać, Harriet znowu zwróciła się do Blaise'a.

- Mój syn bardzo skrzywdził Jillie. To oczywiste, że nie chce mieć z nim nic wspólnego. Lecz nie będzie to trwać wiecznie.

- Byłaby głupia, gdyby zmieniła zdanie - powiedział otwarcie, wprawiając obie w osłupienie.

Harriet sapnęła ze złości.

- Co pan ma na myśli?

- To, że wystarczyło, że wybaczyła mu raz. Przebaczyć po czwartym razie może tylko idiotka.

Harriet zamilkła na te słowa. Po kilku minutach nieprzyjemnej ciszy Blaise odezwał się w miarę wesołym głosem, informując ją, co ciekawego powinna zobaczyć podczas pobytu w zachodniej części Florydy.

Jillie zapadła się na siedzeniu i próbowała odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego czuje się tak, jakby stoczyła dziesięciorundową walkę z samym Muhammadem Ali.

Kiedy dotarli do zwodzonego mostu, który łączył ląd z północną częścią Paradise Beach, przęśła były uniesione do góry. Blaise zatrzymał samochód w kolejce i zaciągnął ręczny hamulec.

- W jakim hotelu się pani zatrzyma? - zapytał.

- W żadnym. Zostanę u Jillian, oczywiście.

- Tak? - zdziwiła się Jillie. Poczula się, jakby właśnie przejechał ją pociąg.

- Właśnie tak. Przecież j esteśmy rodziną!

Problem polegał na tym, że Jillie musiała się z nią zgodzić. Różniła się od Harriet pod wieloma względami, ale ich wzajemne relacje były kiedyś o wiele lepsze - szczególnie pod koniec małżeństwa z Fieldingiem. Mówiąc szczerze, nie chciała zrywać stosunków ze wszystkimi krewnymi eksmęża tylko dlatego, że zerwała z nim. Ale to nie było takie proste.

- Wysłałam Fieldinga do hotelu - oświadczyła.

- Oczywiście. Chyba nie myślał, że zatrzyma się u ciebie? Wielkie nieba, przecież nadal jesteś na niego wściekła. Czy ten chłopak niczego się nie nauczy?

Coś jakby panika ogarniało Jillie za każdym razem, kiedy zaczynała się zastanawiać, jak długo to wszystko potrwa. Jeżeli była teściowa zatrzyma się u niej na nie wiadomo jak długo, w domu będzie bardzo trudno cokolwiek zrobić. Harriet była typem człowieka, który we wszystko się wtrąca. Zaraz przyczepi się do planu otwarcia księgarni i do pomysłu na nowe życie. Z drugiej strony, Jillie nie chciała być niemiła dla kobiety, która jako jedyna z klanu Wainwrightów nie odwróciła się od niej po rozwodzie z Fieldingiem.

- Możesz zatrzymać się u mnie - powiedziała. - Ale pod jednym warunkiem: nie zrobisz absolutnie nic, żeby pogodzić mnie z Fieldingiem. Nie życzę sobie, żebyś nawet wspominała ten temat.

Most powoli zaczął opuszczać się w dół, a Harriet odparła:

- Zgoda.

Jillie stwierdziła, że to wystarczy. Była pewna, że poradzi sobie ze wszystkim.

Jednak bardzo się myliła.

## Rozdział 5

Blaise wniósł bagaże Harriet do domu, życzył im dobrej nocy i poszedł. I tylko tyle, pomyślała ponuro Jillie. Pewnie już nigdy się z nią nie umówi, chyba że wezwie ją w jakiejś sprawie do komisariatu. Nie robi mu to pewnie żadnej różnicy. Była całkowicie przekonana, że pojechał z nią rano do urzędu, a potem zaprosił na kolację tylko po to, żeby zadośćuczynić za bezpodstawne aresztowanie. Na pewno doszedł do wniosku, że skoro odebrał Harriet z lotniska, byli kwita.

- Jillian, potrzebuję czystych ręczników.

Spojrzała na Harriet.

- To są czyste ręczniki, Harriet. Mam tylko jeden komplet i uprałam je dziś rano.

Harriet zdziwiła się.

- Jeden komplet? Tylko jeden?

- Może mam gdzieś jakieś stare, używam ich jako szmaty. - Był jeszcze ten, który leżał na kanapie, na którym poprzednio siedział Fielding. Krople krwi już ściemniały i wyglądały jak rdzawe plamki. Schyliła się i podniosła go. Pomyślała, że równie dobrze może ten ręcznik wyrzucić.

Harriet pokręciła głową.

- No to jak się nimi podzielimy?

- Wezmę sobie te stare. Nie przejmuj się. Chyba będę też musiała uprać pościel, bo spałam w niej wczoraj.

- A zapasowa zmiana? - Harriet była zaszokowana. - Moja droga, powinnaś mieć po dwa komplety wszystkiego! I dlaczego chcesz, żebym spała w twoim łóżku? Nie masz pokoju gościnnego?

- Mam po jednym komplecie, bo sama musiałam sobie wszystko kupić. Pokój gościnny jest nieurządzony, bo brak mi pieniędzy na drugie łóżko. Poza tym nie spodziewałam się żadnych gości.

- Ale gdzie będziesz spała?

- Na kanapie - tym razem nie powiedziała Harriet, żeby się tym nie przejmowała.

- A co się stało z rzeczami z waszego domu?

- Jestem pewna, że Fielding wszystko zatrzymał. Przecież dom należał do niego, zapomniałaś? Zresztą zgodnie z tym, co powiedział swojemu prawnikowi, wszystko inne też było jego własnością.

Jillie niczego nie chciała dla siebie. Owszem, było sporo ślubnych prezentów i innych rzeczy, których mogła się domagać, albo to co kupiła za własne pieniądze, kiedy pracowała jako asystentka dziekana lokalnego col-lege'u, ale wszystko kojarzyło jej się z Fieldingiem. Została bez niczego, choć czasem myślała, że i tak lepiej na tym wyszła.

Poza tym jej stare meble wyglądałyby na Florydzie okropnie.

Harriet nadal kręciła głową z dezaprobatą.

- Jutro pomyślę o drugim łóżku. To śmieszne. I na dodatek nienawidzę wodnych łóżek!

A jednak nie zaproponowała, że to ona prześpi się na kanapie albo pojedzie do hotelu, zauważyła Jillie z uśmiechem.

Och, co tam, pomyślała. Nie było o co się złościć. Kochała Harriet i to się już chyba nie zmieni -pomimo jej wad.

Kiedy chciała zdjąć pościel z wodnego łóżka, Harriet machnęła ręką.

- Nie rób sobie kłopotu. Jestem pewna, że jest wystarczająco czysta. Jutro kupimy coś do pokoju gościnnego - przerwała, znów pokręciła głową i skrzywiła się. - Naprawdę nie mogę uwierzyć, że Fielding tak cię potraktował. Mógł chociaż wykazać trochę hojności przy podziale majątku.

- Fielding był wtedy wściekły. Zresztą wcale mnie to nie dziwi, bo nikt nigdy go nie odrzucił. Ale co tam, to już skończone i niech tak zostanie.

-Ale...

- I nie mogę iść z tobą jutro po zakupy. Przykro mi, ale mam inne plany. - Wychodząc z pokoju, porządnie zamknęła drzwi za sobą, z nadzieją, że Harriet pojmie w czym rzecz - chociaż nie powinna zbyt wiele oczekiwać, bo Harriet zwykle nie rozumiała, o co chodzi.

Boże, ale dzień! Wykończona doczłapała do kuchni, zastanawiając się, co zjeść. Od południa nie miała nic w ustach, a dochodziła jedenasta. Czas szybko zleciał.

Powinna sobie zadać inne pytanie: jak to się stało, że dała się osaczyć Wainwrightom? I dlaczego? Dlaczego chcą ją pogodzić z Fieldingiem po sześciu miesiącach od rozwodu?

Jej decyzja o rozstaniu z mężem spowodowała gorzki rozłam w stosunkach z jego rodziną. Ciotki i kuzynki wprost jej oznajmiły, że powinna przymknąć oko, że Fielding z czasem się usatkuje i że nie wolno szargać nazwiska rodziny. Żaden Wainwright nigdy się nie rozwodził. Jillie w końcu zaczęła się zastanawiać, ile z tych kobiet godziło się na mężowskie zdrady z tego właśnie powodu. Mimo wszystko postanowiła, że nie będzie jedną z nich.

Kiedy wyraźnie oświadczyła, że odchodzi, cała rodzina, z wyjątkiem Harriet, odwróciła się od niej. Wainwrightowie nie byli specjalnie okrutni, po prostu potraktowali ją zimno, dając jej do zrozumienia, że jest im obca.

Była kimś z zewnątrz, kiedy poznała Fieldinga, od tego trzeba zacząć. Sierota z Waukegan, w Illinois, bez korzeni, bez rodzinnej historii, nie mogła się wykazać pochodzeniem od pierwszych kolonistów. Cały klan był przeciwny małżeństwu i tak samo przeciwny rozwodowi. Jaki to wszystko miało sens?

Usłyszała, jak trzasnęły drzwi do łazienki i poleciała woda z prysznica. Harriet najwyraźniej postanowiła iść spać. Rozsądne wyjście, ona też powinna zrobić to samo. Zamknęła lodówkę, wzięła banana z miski na blacie i wyszła do małego ogrodu.

Nikt nigdy nie zrobił tu porządku, co było widać, bo tylko kępki trawy porastały piaskową glebę. Trzeba by wydać dużo pieniędzy, żeby nawieźć żyznej ziemi, a kto by inwestował w wynajęty dom. W ogrodzie rosło kilka karłowatych nadmorskich sosen, które dawały trochę cienia, i nic poza tym.

Odchyliła głowę i spojrzała na gwiazdy, myśląc o niespodziewanym przyjeździe Fieldinga i Harriet. Wydało jej się to podejrzane, tyle miesięcy upłynęło od rozwodu, a żadne z nich nie próbowało doprowadzić do zgody przed rozstaniem.

Harriet nie była zadowolona z rozwodu w rodzinie, ale kiedy zrozumiała, że Jillie nie zmieni zdania, zostawiła ją w spokoju.

Teraz nawet Fielding, taki zraniony i zły z powodu jej decyzji, inaczej śpiewał. Może po prostu zmądrzał. Ale nurtowały ją wątpliwości. Chodziło o coś innego, o coś, co sprawiło, że Fielding i jego matka za wszelką cenę chcieli się z nią pojednać. Nie podobało jej się to. A na dodatek nie wiedziała, co z tym zrobić. Miała tylko niejasne podejrzenia, że coś jest nie w porządku, ale nie potrafiła znaleźć wyjaśnienia.

- Cześć.

Zdziwiona, odwróciła się i zobaczyła Blaise'a stojącego na balkonie. Spoglądał na nią z wysokości pierwszego piętra. - O, cześć!

- Stąd widać kanał. Chcesz zobaczyć?

- Dzięki, może innym razem. Muszę sprawdzić, czy u Harriet wszystko w porządku.

- Jasne. Niezwykła starsza pani.

- Zawsze ma swoje zdanie. Zachichotał.

- Gdybym się przejmował czymś takim, dawno musiałbym rzucić pracę. Wszyscy mają swoje zdanie. Wolę wiedzieć jakie, niż zgadywać.

- Brzmi sensownie.

- Bo jestem sensownym facetem... prawie zawsze. Umówimy się na kolację?

Poczula dreszcz podniecenia. Chciał się z nią spotkać drugi raz! A jednak chciał zjeść z nią kolację.

- Jasne - zgodziła się odruchowo, chociaż coś jej mówiło, że powinna unikać mężczyzn jak zarazy.

- Jutro o tej samej porze, w tym samym miejscu - powiedział. - Ma być pochmurno, więc możemy zobaczyć niezwykle zachód słońca.

Kiedy weszła z powrotem do domu, pomyślała, że zgodziła się tylko dlatego, że chciała posiedzieć w barze na plaży i potrzebowała towarzystwa. Wy tłumaczenie dobre jak każde inne.

- Tu jesteś - zawołała Harriet na widok Jillie wchodzącej do salonu. Starsza pani miała na sobie zadziwiająco skromną jedwabną piżamę i siedziała skulona na fotelu. - Zastanawiałam się, gdzie się podziałaś.

- Wyszłam pooddychać morską bryzą. Piękny wieczór. - Usiadła na kanapie twarzą do byłej teściowej. Wiedziała, że Harriet nie czekała na nią tylko dlatego, by się upewnić, że bezpiecznie wróci do domu.

- Musimy porozmawiać o Fieldingu - oznajmiła Harriet. - Obiecałaś!

Harriet machnęła ręką.

- No to wyrzuć mnie nad ranem. Tymczasem porozmawiamy sobie. Przeleciałam taki kawał, żeby o tym pogadać i nic mnie nie powstrzyma.

Jillie oparła policzek na dłoni i walczyła z ogarniającym ją uczuciem buntu. Bez trudu mogłaby teraz wywołać isticie karczemną awanturę.

- Fielding zachowywał się wstrętnie - oświadczyła Harriet. - Podle. Nie dość, że dowiedziałaś się o jednym z jego romansów, ale nie do wiary, że wydały się cztery!

- Nie do wiary, że miał ich cztery - poprawiła ją Jillie. - Nie chodzi tylko o to, że się dowiedziałam, Harriet.

- Szczególnie młodzi mężczyźni tak postępują, moja droga. Ulegają popędom i tracą głowę, a my możemy jedynie udawać, że tego nie widzimy. Tacy są.

- Nie byłiby tacy, gdyby kobiety nie udawały, że tego wszystkiego nie widzą - powiedziała szorstko Jillie.

Harriet popatrzyła na nią zdziwiona, jakby nigdy wcześniej tak o tym nie pomyślała.

- Mówię serio - ciągnęła Jillie. - Nie powinniśmy pozwalać im nas tak oszukiwać. Uznając, że mężczyźni tacy po prostu są, pozwalamy, żeby zachowywali się jak zepsuci mali chłopcy.

- Bardzo poważne, feministyczne podejście, Jillian, ale ponieważ nie jesteś jedyną kobietą na świecie, mężczyźni znajdują inne, które pozwalają im na wszystko. To właśnie zrobił Fielding.

Jillie sapnęła, zaskoczona.

- Chcesz powiedzieć, że jestem odpowiedzialna za zdrady Fieldinga? Harriet spojrzała jej prosto w oczy.

- A możesz z całym przekonaniem stwierdzić, że tak nie jest?

Cóż, podobna myśl dręczyła Jillie od dawna, odkąd dowiedziała się o pierwszym wyskoku Fieldinga. Jak kobieta może się nie zastanawiać, czy jest wystarczająco dobra, skoro jej mąż poszukał sobie innej? Przez tyle lat starała się być doskonałą żoną... ale te czasy już minęły. Uniosła głowę.

- Nic z tego, Harriet. Fielding mnie oszukiwał, bo myślał, że może mieć wszystko, czego zapagnie, bez względu na koszty. Ale ty tego nie zrozumiesz, prawda?

Harriet zatkało.



- Nie chcesz chyba powiedzieć...

- Więc nie sugeruj, że to była moja wina! Fielding cierpi na poważne zaburzenia osobowości. To nie podlega dyskusji.

Harriet milczała przez chwilę i Jillian zaczęła się zastanawiać, czy to już koniec ich wzajemnych stosunków. Zrobiło jej się smutno.

- Masz rację - odezwała się wreszcie starsza pani. - Chyba jest rozpieszczony. Ale wydaje mi się, że z tego wyrasta, moja droga. Dlatego chcę, żebyś z nim porozmawiała.

- Za późno na rozmowy. Powiedziałam mu, że już nie jestem zainteresowana.

- Widziałas się z nim?

- Wyrzuciłam go tuż przed twoim telefonem. Harriet wstała.

- Wyrzuciłś go za drzwi? Moje dziecko? Kazałś mu iść na ulicę?

- Chwileczkę, Harriet! Po pierwsze, nie jest już dzieckiem, ma trzydzieści trzy lata. Po drugie, to jeden z najbogatszych ludzi w Ameryce. Może sobie znaleźć pokój w hotelu.

Harriet parsknęła i ruszyła w kierunku sypialni.

- Twój problem polega na tym, że jesteś sierotą. Nie rozumiesz, co to rodzina!

Porażona okrucieństwem tego stwierdzenia, Jillian bez słowa patrzyła jak Harriet idzie do pokoju. Zastanawiała się, czym sobie na to wszystko zasłużyła.

Oczywiście, jak mogła zapomnieć? Przecież wyszła za Wainwrighta. To była najgłupsza rzecz, jaką w życiu zrobiła. Nie miała zapasowej pościeli, więc musiała spać na szorstkiej kanapie. Znalazła jakiś koc, ale ponieważ nie chciała pukać do Harriet, pozostało jej spać w ubraniu. Oby Harriet obraziła się i jutro poszukała sobie pokoju w hotelu.

Telefon zadzwonił tuż przed północą, kiedy już przysypiała.

- To ja - usłyszała głos Fieldinga. - Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć, co powiedział lekarz.

Ziewnęła głośno i nie przeprosiła. -Będziesz żył?

- Jeśli policja znajdzie tego psa, a ty go rozpoznasz. Musimy się upewnić, że to był ten diabelski pies, o którym mówiłaś, bo inaczej będę musiał zaszczepić się przeciwko wścieklicznie.

Wbrew sobie poczuła odrobinę współczucia.

- Przykro mi, Fielding. Nie martw się. Ludzie Blaise'a złapiągo jutro rano i obej dzie się bez zastrzyków.

- Mam nadzieję - westchnął. - Na pewno nie wytresowałaś tego psa specjalnie, żeby mnie ugryzł?

-Nie! Oczywiście, że nie!

- Bo doktor uważa, że to dziwne, że on ugryzł mnie bez powodu. Obawia się wścieklizny.

- Miałam już do czynienia z tym psem. Przez niego zdarzył mi się wypadek. Wszyscy tutaj uważają, że to zwariowane zwierzę. Widocznie nigdy nie zachowywał się normalnie.

- Może teraz go uspią.

Jillie nie zamierzała powtarzać mu, co powiedział Blaise o Calu Lepki-nie. Fielding nigdy nie odczuwał współczucia w stosunku do biedniejszych od siebie.

- A tak na marginesie, wiesz, że twoja matka przyleciała tu dzisiaj?

- Mama! A co ona tu robi?

- Najwyraźniej chce wspomóc twoje wysiłki zmierzające do zgody. Uświadomiłam jej, że traci czas.

- Oczywiście! Nie wiem, jak ona sobie wyobraża, że może nam pomóc! Ale to w jej stylu. Zawsze się wtrąca.

-Zatrzymała się umnie, przynajmniej na dzisiejszą noc. Przyjeźdź rano się przywitać. Ja wychodzę załatwić swoje sprawy.

- Wpadłbym raczej zobaczyć się z tobą, Jillian.

- Zapomnij, Fielding. Możesz spróbować, ale w innym życiu. Powiedziawszy to, poczuła się o wiele lepiej.

Rano, zanim Harriet wstała, Jillie wymknęła się z domu - chciała poszukać lokalu do wynajęcia na księgarnię.

Ponieważ starsza pani zajmowała jej sypialnię, nie mogła wziąć świeżego ubrania. Czuła się okropnie, wychodząc rano w tym, w czym spała całą noc. Ale czy miała czekać, aż Harriet nie wiadomo kiedy się obudzi i nastąpi kolejna konfrontacja, podobna do wczorajszej ?

- Dzień dobry.

Blaise stał na swoim podjeździe.

- Cześć.

- Kiepska noc? - zapytał, unosząc brwi. Spojrzała na siebie i skrzywiła się.

- Nie uwierzyłybyś.

- To chodź do mnie na śniadanie. Nic specjalnego, ale mam dużo soku pomarańczowego i pudełko pączków. -

Schylił się i podniósł z chodnika

poranną gazetę. Zerknął na nagłówki. - Ciagle to samo - zauważył i uśmiechnął się do niej szeroko. - No chodź. Opowiesz mi o wszystkim.

Sama nie wiedziała, dlaczego poszła za nim, ale tłumaczyła sobie, że i tak musi poczekać, aż Harriet wstanie. W świetle słońca jej ubranie wyglądało o wiele gorzej, niż jej się wydawało w ciemnej łazience. Za nic nie mogła tak iść do ludzi.

Blaise mieszkał na pierwszym piętrze, a przez przesuwane szklane drzwi kuchni widać było dachy okolicznych domów pośród drzew. Dalej rozciągał się widok na kanał, którego wody połyskiwały w słońcu.

- Ładny widok, prawda? - powiedział i poprowadził ją do stołu na balkonie. - Możemy zjeść tutaj.

Ranek był chłodny, nieco powyżej dwudziestu stopni. Może trochę za zimno na to, w co była ubrana. Dostała gęsiej skórki na ramionach i przesunęła krzesło, żeby siedzieć w słońcu.

Blaise przyszedł po chwili z dwiema szklankami, dzbankiem soku pomarańczowego i obiecanyimi pączkami.

- Kawa już się parzy. Będzie gotowa za kilka minut.

- Świetnie. Mam ochotę na kawę. - Pudełko było ogromne i kiedy je otworzył, zobaczyła około dwunastu pączków.

- Musisz uwielbiać takie rzeczy.

Roześmiał się. Jego oczy były niebieskie jak niebo nad ich głowami.

- Właściwie miałem je zabrać na komisariat dla chłopaków, ale pomyślałem, że pewnie z ochotą zjesz jednego lub kilka. Spojrzała na niego - wyraźnie się o nią troszczył. Kiedy ostatni raz ktoś o nią zadbał? Może nigdy? Czy kiedykolwiek doznała czegoś takiego od Fieldinga, nawet gdy zaczynali się spotykać?

Wielkie nieba! Nagle ścisnęło ją w gardle, a do oczu napływały piekące łzy. Szybko odwróciła głowę, mrugając gwałtownie - może Blaise nie zauważy, jaka jest wzburzona. Najwyraźniej niczego nie dostrzegł, ponieważ bez słowa wrócił do kuchni. Gdy ponownie się pojawił, trzymał w ręku dwa kubki z gorącą kawą.

- Cukier czy śmietanka?

- Czarna wystarczy.

- To habię. - Usiadł naprzeciwko niej, podał jej serwetkę i napełnił szklanki sokiem pomarańczowym. - Odniosłem wrażenie, że chciałaś uciec, kiedy wyszłaś z domu.

- To prawda. - Poczęstowała się oblanym czekoladą pączkiem. - Harriet i ja miałyśmy małą... sama nie wiem. Nie pokłóciłyśmy się, tylko powiedziałyśmy sobie kilka niemiłych rzeczy. Nie chciałam spierać się od rana, więc wyszłam, zanim się obudziła.

Spojrzała na siebie i pokręciła głową.

- Nie przypuszczałam, że widać po mnie, że spałam w ubraniu.

- Nie tak bardzo. - Ugryzł pączka i pochylił się do przodu, a dżem truskawkowy spłynął mu po brodzie. Szybko wytarł go serwetką. - Ale miałaś taką minę - rzucił jej szybki uśmiech - jakby właśnie wypuścili cię z więzienia. Z jakiegoś powodu jego słowa rozśmieszyły ją. Może dlatego, że porównanie ucieczki przed Harriet do wyjścia z więzienia wydało jej się absurdalne.

- Nie było aż tak źle, ale pomyślałam, że zacznę szukać miej sca na mój sklep. Może jednak poczekam, aż wstanie i się przebiorę.

- Dlaczego?

- Nie mam pokoju gościnnego i ona śpi w moim łóżku. Głupio, ale nie wzięłam sobie ani żadnego ubrania, ani piżamy. - Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się smutno. - Fielding dzwonił wczoraj wieczorem i powiedział, że jeśli nie złapiecie psa i ja go nie rozpoznam, będzie musiał brać zastrzyki przeciwko wściekliznie.

- Zajmiemy się tym dziś rano. Do tego potrzebuję kilku pączków. Roześmiała się zdziwiona.

- Do złapania psa?

- Nie wierzysz? Ten zwierzak zrobi wszystko za jednego pączka.

- Zapamiętam to sobie.

- Gorzej z czekoladą - ostrzegł. - Od czekolady może się pochorować. Psy nie powinny jej jeść, nie wiem czy wiesz, że im szkodzi. On uwielbia te z galaretką. Moment i złapie się na takiego pączka.

Jillie znowu się roześmiała, a i Blaise chyba trochę się rozluźnił. Wygląda teraz lepiej, pomyślał. Nie podobała mu się jej cierpka mina, kiedy wymknęła się z domu przed chwilą. Teraz wesołe ogniki igrały w jej zielonych oczach, i nie byłby mężczyzną, gdyby nie zauważył, jak jej rudoblond włosy lśnią w słońcu, a wiatr bawi się z niesfornym kosmykiem, owijając go wokół jej szyi. Do diabła, miał ochotę pocałować ją w to miejsce. Dotknąć tak delikatnie, żeby zadrżała...

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że jesteś bliżej zaprzyjaźniony z tym psem? - zapytała z przekornym uśmiechem.

- Nie powiedziałbym, że jesteśmy zaprzyjaźnieni, ale znamy się dość dobrze. Rover często psoci i myślę, że łapie go tak około dwunastu razy w roku.

- I co z nim robisz?

- Cał zawsze płaci kary i odbiera go ze schroniska. Ma świra na punkcie tego psa - pokręcił głową.

- Obawiam się, że Fielding nie popuści. Niewiele go będzie obchodzić współczucie dla Cala Lepkina.

- To, co powie Fielding, ma chyba najmniejsze znaczenie dla sprawy. Zrobimy wszystko zgodnie z przepisami.

Jillie wciągnęła głęboko świeże poranne powietrze. W myślach przywołała obraz psa siedzącego na środku drogi.

- Byłam wściekła na tego psa... Rovera, tak się nazywa?

- Rover. Cal nazywa tak każdego psa. Mówi, że nie chce mu się zapamiętywać nowych imion.

- Tak? - zastanowiła się przez chwilę: czy w Paradise Beach żyło więcej takich dziwaków, czy tylko zauważała ich tu lepiej, bo społeczność była mniejsza. - Dobry sposób na zachowanie sprawności umysłowej.

- Calowi nie zostało dużo do stracenia. Ale mówiłaś coś o psie?

- Ach tak. Byłam na niego wściekła za ten wypadek ze skrzynką. Wiesz, co on zrobił, kiedy się zatrzymałam? Podniósł łapę i obsikał mi koło.

- To do niego podobne - Blaise z trudem opanował śmiech.

- Było w tym coś... lekceważącego. Nie, to niedobre słowo. Ale sposób, w jaki to zrobił, wkurzył mnie. A potem ugryzł Fieldinga... cóż, przez chwilę myślałam, że to niebezpieczne zwierzę i trzeba je uspić. Ale... wcale tego nie chcę. Przecież to tylko pies.

- Nic mu się nie stanie - zapewnił Blaise. - Niełatwo uspić psa z tak błahego powodu.

-Naprawdę?

- Hej, nie wierzysz mi? - powiedział. - To tylko pies. A psy mają zęby i czasem gryzą. Nie usypiamy tutaj psów tylko dlatego, że zachowują się jak psy.

Jillie uderzyło takie rozsądne podejście.

Blaise i inspektor do spraw zwierząt wybrali się po Rovera. Pies lubił Blaise'a, więc sądzili, że jemu da się złapać łatwiej niż samemu Calowi. Blaise nie wiedział dlaczego. Może dlatego, że był jedyną osobą w Paradise Beach, która dawała bestii pączki. Za każdym razem, kiedy Rover coś prze-skrobał, Blaise jeździł po niego.

Kiedy dotarli na miejsce, Cal stał na progu. Mieszkał w malutkim domku z wałącym się dachem i brudnym podwórkiem. Od czasu do czasu urzędnicy miejscy chcieli mu je posprzątać, ale posesja należała do Cala, a prawo własności było święte, dopóki nie znajdowały się powody, żeby je naruszyć. Nikt nie miał odwagi tego zrobić, bo wszyscy zdawali sobie sprawę, jaki sprzeciw wzbudziłaby eksmisja starszego człowieka z jego domu.

Z psem problem wyglądał podobnie. Rover zachowywał się jak pies, ale wiadomo było, że jest bardzo mądry, i wiele osób w Paradise Beach uważało, że dokładnie wie, co robi i planuje sobie kolejne eskapady.

Blaise, i nie on jeden, miał bardzo dziwny stosunek do tego psa. Rover utrudniał mu życie. Kopał doły w rabatkach starszych pań, roznosił śmieci po całym osiedlu, ganiał koty i wyczyniał inne rzeczy, zmuszając ludzi, by wzywali policję. A w mieście obowiązywały przepisy nakazujące trzymanie psów na smyczy.

Cal starał się zamykać Rovera, ale na próżno, i dlatego wszyscy twierdzili, że Rover to diabeł wcielony, bo przecież żaden normalny pies nie potrafiłby uciec z każdego zaniknięcia, które wypróbował Cal. A na Rovera nie było sposobu.

- Co znowu przeskrobał? - zapytał zrezygnowany Cal, kiedy samochód weterynarza zatrzymał się za radiowozem Blaise'a. Cal, chudy jak patyk i przygarbiony, był starszym człowiekiem. Na głowie miał resztki siwych włosów. Blaise podszedł do niego.

- Wczoraj wieczorem ugryzł jednego faceta, Cal. Obawiam się, że musimy go zabrać na dziesięć dni kwarantanny.

- Do licha, czemu na tak długo? Zaszczepiłem go w terminie. Blaise skinął głową.

- Wiem, ale takie jest prawo. Musimy go poddać kwarantannie, na wypadek gdyby szczepionka przeciwko wścieklicznie nie zadziałała prawidłowo.

- A ja pewnie będę musiał za to zapłacić?

- Chyba tak. To zrozumiałe. Cal parsknął gniewnie.

- Przecież próbowałem go utrzymać w domu. Cholera, zbudowałbym mu prawie trzymetrowe ogrodzenie, gdyby nie urzędnicy miejscy, którzy uchwalili przepisy zabraniające stawiania płotów wyższych niż metr osiemdziesiąt.

Zrobiłem daszek na płocie, wykopałem rów. A potem... to bez znaczenia. Ale to pies, komendancie. Gdyby się tak nie włóczył, byłby z niego dobry pies. - Cal spojrzał w bok. - Więc kogoś ugryzł? Wiesz na pewno? Bo ten czort to najłagodniejszy pies, jakiego miałem. Nie gryzie nikogo.

- Jest tylko nadzieja, że kobieta, która wszystko widziała, powie, że to nie on.

Cal ma trochę racji, pomyślał Blaise. Ale on musi wykonać swój obowiązek.

- Przykro mi, Cal, ale muszę go zabrać.

Starszy pan skinął głową.

- Śpi za domem, na werandzie, jak zwykle. Cholerne bydlę. - Ostatnie słowa powiedział łamiącym się głosem, który zdradzał, jak bardzo Cal jest przywiązany do swojego psa. Odwrócił się i wszedł do domu. Nie chciał na to patrzeć.

Blaise nie miał zbyt trudnego zadania. Razem z Marcją Albright, inspektorem do spraw zwierząt, obszedł dom.

Rovera znaleźli tam, gdzie wskazał Cal. Marcia, która jeśli nie musiała, nikomu nie przedstawiała się z imienia i nazwiska - bo ludzie ona ogół nie bardzo lubili inspektorów od spraw zwierząt - stanęła z tyłu i pozwoliła, żeby

Blaise podszedł pierwszy. Wcześniej ustalili między sobą, jak przechytrzyć psa Cala Lepkina.

- Cześć, Rover - powiedział Blaise ciepło i zbliżył się do werandy. Szary terrier mieszaniec podniósł łeb i pomachał ogonem na powitanie. Blaise nie przypominał sobie, żeby pies kiedykolwiek na kogoś warknął.

- Nie wiem dlaczego wczoraj wieczorem ugryzłeś Fieldinga Wainwrighta w tyłek - ciągnął, kucając metr od werandy. - To do ciebie niepodobne, piesku.

Rover zamerdzał ogonem i ziewnął nerwowo.

- Wiesz, co cię czeka? - Blaise wyjął pączka z galaretką. - Jestem pewien, że wiesz, co chcę z tobą zrobić.

Rover chyba zrozumiał. Zszedł z werandy i usiadł przed Blaise'em. Ciepłymi oczyma patrzył to na pączka, to na komendanta policji, jakby pytając, po co to wszystko.

- Przykro mi, stary. Rozumiem, dlaczego ugryzłeś tego typu, ale mamy swoje przepisy.

Rover mruknął i ugryzł ciastko. Przeżuwał je, kiedy Marcia założyła mu smycz. Poczekali, aż skończy drugi kawałek, i poprowadzili go do samochodu.

I wtedy Rover zaprotestował. Zatrzymał się i z całej siły szarpnął smycz, chcąc uciec. Marcia zaczęła go uspokajać, powoli ciągnąc go w stronę ciężarówki, a Blaise poszedł po jeszcze jednego pączka, którego zostawił w samochodzie.

- No chodź, stary - powiedział do psa. - Nikt ci nie robi krzywdy. Musimy się tylko upewnić, że nie jesteś chory, bo nie powinieneś biegać sobie i gryźć ludzi.

Rover spojrzał na ciastko i oblizwał się.

- No chodź - powtórzył Blaise. - Obiecuję, że będę ci codziennie przynosił pączka do twojego więzienia.

Marcia chrząknęła.

- Nie sędzę, żeby to było dla niego dobre.

- Ale i tak to zrobię. Zasłużył na pocieszenie, skoro idzie siedzieć tylko za to, że jest psem.

Marcia uśmiechnęła się szeroko.

- Co za wrażliwy policjant.

- Tylko nikomu nie mów.

W końcu pies chyba uwierzył w obietnicę Blaise'a, bo wskoczył do samochodu i położył się zadowolony, przeżuając ciastko. Marcia zamknęła drzwi.

- Wiesz - powiedziała do komendanta - zrób z niego policyjnego psa. -Jak to?

- Bo lubi pączki, no nie? Blaise długo się śmiał.

## Rozdział 6

Po śniadaniu Jillie wróciła do domu. Zamierzała poczekać, aż Harriet wstanie, tymczasem zastała starszą panią w kuchni. Kiedy weszła, Harriet smażyła jajecznicę, bekon i grzanki. Nakryła do stołu dla dwóch osób. Na blacie leżały podkładowki i plastikowe, tanie talerze, które Jillie kupiła sobie po przyjeździe. Miały różowoturkusowy kolor, kolor Florydy.

- Siadaj - powiedziała wesoło matka Fieldinga. - Nie ma co gotować tylko dla jednej osoby.

Jillian chciała wyjaśnić, że już jadła, ale powstrzymała się. Trzeba docenić pokojową inicjatywę. -Ładnie pachnie.

Harriet uśmiechnęła się szeroko.

- Mam nadzieję, że smakować będzie równie dobrze. Od dawna nic nie gotowałam.

- Racja. Zapomniałam.

- Kucharki, gospodynie, służba... Jestem rozpieszczona. Może nawet za bardzo. - Zamieszała jajka na patelni. - Nie odważyłabym się zrobić omleta, chyba że po kilku próbach. Kiedyś mi świetnie wychodził.

-Lubię jajecznicę.

- To dobrze. - Nałożyła jajka na talerze, a talerz z bekonem i grzankami postawiła na środku stołu. - Mleka? Nie mogłam znaleźć kawy...

Usiadły naprzeciwko siebie i przez chwilę jadły w milczeniu. W końcu Jillian postanowiła zakopać topór wojenny.



-Bardzo smaczna jajecznica, Harriet. Idealnie usmażona.

- Cieszę się. - Spojrzała znad talerza i uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały chłodne. - Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Fieldinga pogryzł pies?

Jillie odłożyła widelec i nagle poczuła się nieswojo.

- Bo nie chciałam cię martwić. To było tylko zadrapanie, Harriet. -Ugryzł go pies!

- Tak, ale ledwo drasnął skórę, a komendant policji zapewnił mnie, że pies odbędzie kwarantannę, żeby Fielding nie musiał brać zastrzyków. Dzwonił do ciebie dziś rano?

- Owszem. I tak się zmartwiłam... jesteś pewna, że to nic wielkiego?

- Nawet nie trzeba było przyklejać plastra.

- Och. - Harriet westchnęła i uśmiechnęła się blado. - A on prawie mnie przekonał, że jest poszarpany na kawałki.

Powinam się domyślić, bo zawsze lubił przesadzać. No dobrze. Czyli nie muszę przenosić się do niego do hotelu.

Jillian nie wiedziała, jak zareagować. Z jednej strony wołałaby mieć dom tylko dla siebie. Z drugiej, czuła, że gdyby Harriet się wyprowadziła, tęskniłaby za nią.

- Co za ulga - ciągnęła Harriet. - Wiem, że to mój syn, i bardzo go kocham, lecz na dłuższą metę jest taki męczący.

Pewnie to tylko różnica pokoleń, ale... cóż, o wiele bardziej wolę zostać tu z tobą. I dlatego przypomina mi się to co mówiłam wcześniej o tym, że jestem rozpieszczona.

-Rozpieszczona?

- Tak, i to okropnie. Myślałam o tym dziś rano, kiedy smażyłam jajecznicę. Od tylu lat beztrudnie sobie żyłam! Kiedy pobraliśmy się z Chadem, nie mieliśmy ani centa. Rodzina przeżywała kryzys i popadła w tarapaty! wiesz. Ale Chad tak ciężko pracował i w krótkim czasie postawił wszystko na nogi; staliśmy się nieprawdopodobnie bogaci. Nie chciał, żebym cokolwiek robiła, oprócz opieki nad dziećmi. Więc nie robiłam i żyłam sobie jak królowa.

Jillie przytaknęła, zastanawiając się, do czego Harriet zmierza.

- Ale dziś rano zdałam sobie sprawę, jak jestem rozpieszczona. Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy...

Przyzwyczałam się, że wszystko układa się po mojej myśli... może nie powinam tak się domagać, żebyś

przyjechała po mnie na lotnisko. I nie powinam zakładać, że masz wszystko, co potrzebne na przyjęcie gościa w domu. Na dodatek wyгнаłam cię z twojego łóżka. Boże drogi, Jillian, przecież pojawiałam się tu bez zaproszenia!

Jillie była bardzo poruszona.

- W porządku, Harriet. Naprawdę.
- Nie, wcale nie. Przywykłam do tego, że wszyscy mi nadskakują. Nie wzięłam pod uwagę ani twojej sytuacji, ani twojego zdania. Nie miałam prawa tak postąpić. Przepraszam.
- Przeprosiny przyjęte. Jesteśmy rodziną, a rodzinę zawsze mile witam.
- Naprawdę? - Harriet spojrzała na nią z nadzieją, jak dziecko, które nagle usłyszało obietnicę wspaniałej niespodzianki.
- Naprawdę. Rozwód z Fieldingiem nie oznacza, że ciebie też nie chcę znać.
- To dobrze. Najsmutniejsze w tym rozwodzie było uczucie, że tracę cię na zawsze. - Harriet uśmiechnęła się, ale radość szybko zniknęła z jej twarzy. - To, co powiedziałam o tobie wczoraj w nocy... o twoim pochodzeniu, było niewybaczalne.
- Że jestem sierotą? Przecież to prawda. Tylko że nic nie mogę na to poradzić, przykro mi. Mój przybrany ojciec był zbyt apodyktyczny, a mama za bardzo uległa. Ale to nie miało wpływu na zachowanie Fieldinga. Złe się stało, że tkwiłam w tym małżeństwie o cztery lata za długo.  
Harriet już chciała zaprotestować, ale tylko pokręciła głową.
- Nie, nic nie powiem. Obiecałam nie poruszać tego tematu, i tyle. Jillian nie mogła więcej zjeść i obawiała się, że jeśli odstawi talerz, obrazi  
Harriet. Jednak na myśl o jeszcze jednej porcji jajecznicy robiło jej się niedobrze.
- Harriet, przykro mi, ale już jadłam śniadanie, za chwilę pękne. To jest pyszne, ale niestety mam już dość.
- Nie przejmuj się, moja droga. Ja też nie jestem głodna. Po prostu po telefonie Fieldinga musiałam się czymś zająć.
- Odsunęła swój talerz na bok. - Więc nie pojedziesz ze mną kupić mebli? A naprawdę powinnaś, bo chciałam je wstawić do twojego pokoju dla gości.  
Jillian zawahała się. Po co jej komplet sypialny do gościnnego pokoju? Jeśli z powodów finansowych będzie się musiała przenieść do mniejszego mieszkania, meble sprawią tylko kłopot. Z drugiej strony nie miała zamiaru w czasie wizyty Harriet spać na kanapie - bez względu na to, ile ona potrwa. Chciała ją o to zapytać i już otwierała usta, kiedy nagle postanowiła trzymać się jednak tematu mebli.
- Chyba że załatwimy to szybko. Muszę zacząć szukać pomieszczenia na księgarnię.
- Pomogę ci - zaproponowała Harriet. - Mam doświadczenie w wybieraniu miejsc do prowadzenia interesów.  
Nic tylko skakać z radości, pomyślała Jillie. Tę sprawę zdecydowanie chciała załatwić sama, żeby potem sama była odpowiedzialna za sukces lub

porażkę. To dla niej takie ważne, aby udowodniła, że da sobie radę bez niczyjej pomocy.

- Oczywiście - powiedziała Harriet delikatnie - mogę zrozumieć, że wolisz załatwić to sama...

Tym razem Jillie nie zaprotestowała.

-No właśnie, mam. Chciałabym to zrobić bez niczyjej pomocy.

- Dobrze - Harriet obdarzyła ją sztucznym uśmiechem i uniosła w górę dłonie, jakby mówiła: a więc wszystko jest teraz na twojej głowie. - Chyba tak będzie lepiej. Więc kiedy możemy pojechać po te meble?

- Wezmę tylko prysznic i przebiorę się. Powiedzmy, za pół godziny.

Wyprawa po zakupy zabrała mniej czasu, niż Jillie się obawiała. Już w południe spacerowała po Paradise Beach w poszukiwaniu miejsca na księgarnię.

- Niech pani spróbuje na ulicy obok salonu kosmetycznego China Clipper - radził jej właściciel sklepu ze sprzętem do surfingu. - Słyszałem, że zamykają tam sklep z kasetami wideo. Zbankrutował przez wielką sieć handlową, która otworzyła lokal po drugiej stronie mostu. Księgarnia, tak? Będzie pani miała silną konkurencję ze strony dużych firm na lądzie.

- Wątpię, czy któraś z nich otworzy sklep tutaj - odparła Jillie. Uśmiechnął się szeroko i pokazał imponująco białe zęby.

- Pewnie nie. Tu nie ma odpowiedniej klienteli. Pani też powinna o tym pomyśleć.

To rzeczywiście problem, zastanawiała się Jillie, idąc w dół ulicy. Turyści nie będą wystarczająco zainteresowani. A mieszkańcy?

- Świetny pomysł - powiedziała Betty Chang, właścicielka China Clipper. - Będę jedną z twoich najlepszych klientek. Mogłabym mieszkać w księgarni. Ale może powinnaś poradzić się Rainbow Moonglow

-Kogo?

- Rainbow Moonglow. Stawia tarota. Jest dobrym medium. Nie powie ci co robić, nikomu kogo znam, nie powiedziała - ale dzięki niej wiele rzeczy można jaśniej zobaczyć. - Betty wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. - Ona chyba po prostu potrafi zadawać właściwe pytania. Nigdy nie żałowałam zostawionych u niej pieniędzy. Spróbuj.

Jillian poczuła się głupio, kiedy stanęła przed drzwiami Rainbow Moonglow. Szyld informujący o tarocie był dyskretny, po prostu czarno-biały i stał we frontowym oknie. Mały domek otaczały dziko rosnące rośliny tropikalne, które nadawały mu tajemniczy wygląd.

Rainbow Moonglow zaskoczyła ją. Jillie spodziewała się starszej kobiety, grubej, z wielkimi kolczykami i burzą włosów. Tymczasem zobaczyła młodą osobę, zaledwie kilka lat starszą od siebie. Ładnie obcięta na pazia, Rainbow miała w uszach maleńkie złote punkciki, a na sobie gustowną granatową sukienkę.

- Cześć - powiedziała wesoło, kiedy otworzyła drzwi. - Czym mogę służyć?

- Eee... Betty Chang poradziła mi, żebym tu przyszła. Jestem Jillian McAllister.

- Wejść, proszę.

Wnętrze domu było również zaskakujące. Urządzone skromnie, jak gdyby Rainbow kochała światło i przestrzeń.

- Jesteś przyjacielką komendanta Corrigan, prawda? - zapytała bezpośrednio, prowadząc ją do szklanego stołu na żelaznych nóżkach, który stał w rogu, koło przesuwanych, również szklanych drzwi.

- Zgadza się... skąd wiesz? Rainbow uśmiechnęła się delikatnie.

- Byłabym oszustką, gdybym nie była prawdziwym medium. Jesteś tutaj, bo chcesz otworzyć własny interes... -

Urwała i popatrzyła za Jillie, jakby w przestrzeń. - Tak, chcesz otworzyć księgarnię... wspaniale! Bardzo nam się przyda w Paradise Beach. Mam dość wypraw do dużych miast, kiedy potrzebuję czegoś, czego nie sprzedaję w supermarkecie. Siadaj. Zrobię ci herbaty. A może kawy?

Jillie czuła się tak, jakby została w dziwny sposób wciągnięta w sam środek trąby powietrznej. Ktoś musiał rozmawiać o niej z Rainbow Moonglow. Niemożliwe, żeby ta kobieta wzięła to wszystko z sufitu, nic o czym mówiła, nie było tajemnicą. Ile osób widziało ją w towarzystwie Corrigan? Kilku wspominała o księgarni.

- Proszę, Jillie - Rainbow postawiła przed nią filiżankę herbaty. - Miło, że ktoś nowy chce się tu osiedlić. Mamy tylu tymczasowych gości. Tylko nieliczni z nas mieszkają tu cały rok.

- Jak na razie, bardzo mi się tu podoba.

Rainbow uśmiechnęła się szeroko i rozłożyła karty tarota jednym ruchem ręki.

- Właściwie nie muszę ci wróżyć z kart - oświadczyła. - Nie potrzebuję ich. Postępujesz słusznie. Możesz liczyć na Mary Todd i na Corrigan, ale uważaj na... Dana. Na kogoś o imieniu Dan.

Jillie natychmiast pomyślała o burmistrzu Danie Burgessie. Zastanawiała się, czy Rainbow wiedziała, że jej ostrzeżenie jest spóźnione.

- Będę o tym pamiętać.

Rainbow uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Niedowiarek z ciebie. To dobrze. Nie lubię, gdy ktoś wierzy w moje słowa jak w Biblię. Ja tylko daję wskazówki i mogę się mylić... ale w twoim przypadku widzę bardzo wyraźnie. Widzę olbrzymie pole wysychającej trawy. To ma jakiś związek z kimś, przed kim uciekasz. Czy tak? - Rainbow mówiła dalej, zanim Jillie zdążyła odpowiedzieć.

- Ktoś cię goni. Nie, nie przejmuj się tym... widzę... psa. Pies ma z tym coś wspólnego... Zaufaj psu.

- Zaufać psu? - Jillie musiała jej przerwać, bo myśl o zaufaniu Rovero-wi wydała jej się absurdalna. - Temu, przez którego miałam wypadek? Który ugryzł... nieważne.

Rainbow spojrziała jej prosto w oczy i powiedziała z poważną miną:

- Z powodu wypadku poznałaś kogoś. A z powodu ugryzienia zbliżycie się do siebie.

Jillie poczuła, jak na wspomnienie Blaise'a zaczynają ją piec policzki.

- Naprawdę nie chcę się z nikim wiązać. Nie minęło zbyt dużo czasu od mojego rozwodu. Natomiast bardzo potrzebna mi rada w sprawie interesu.

Rainbow oparła się o krzesło i złożyła ręce na kolanach. - Nieudzielam rad.

- Ale... przecież właśnie mi powiedziałaś, żebym zaufała psu. Czy to nie rada?

- Skądże. To zaledwie informacja. Jak już mówiłam, mogę się mylić.

- Jednak Berty Chang twierdziła...

- Betty interpretuje moje przepowiednie dla niej jak rady. Lecz to nie są rady, Jillian. Musisz sama podejmować decyzje i iść własną drogą. Ja zbieram jedynie fragmenty twojego życia. Te kawałki mogą ci pomóc spojrzeć na wszystko z innej perspektywy, ale to nie mają być rady.

- Och - Jillie sięgnęła po filiżankę i wypła łyk ciepłego płynu. - Dziękuję. Ile ci jestem dłużna?

- Nic - skrzywiła się Rainbow. - Powinnaś odpocząć. Martwisz się zbyt wieloma sprawami. Nie zwracaj na nic uwagi, tylko rozkręć swój interes.

Kiedy Jillie kilka minut później wyszła od niej, pomyślała, że byłoby jej znacznie łatwiej zignorować problemy, gdyby wszystkie nie zwały się naraz na głowę.

-Jillian!

Miała ochotę zapaść się pod ziemię. Po drugiej stronie bulwaru dostrzegła Fieldinga na parkingu przed hotelem, w którym się najprawdopodobniej zatrzymał. Patrząc prosto przed siebie, udała, że go nie słyszy.

- Jillian, poczekaj!

W tym momencie policyjny radiowóz przystanął obok niej. Okno od strony pasażera otworzyło się.

- Podwieźć panią gdzieś?

Pochyliła się i zobaczyła Blaise'a, który uśmiechał się do niej zza kierownicy.

- Chyba chcesz uciec, więc wskakuj - powiedział.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Fielding próbuje przejść pomiędzy jadącymi samochodami na drugą stronę dwupasmówki. Nie wahała się ani chwili dłużej, otworzyła drzwi i usiadła obok Blaise'a. Ruszył szybko, zanim zdążyła zapiąć pas.

- Nie ma to jak ratować damy z opresji - zażartował. - Dokąd odwieźć szanowną panią? Proszę tylko pamiętać, że dostałem wezwanie na plażę. Jakiś obywatel, który ma tam ziemię, życzy sobie, żebym wyrzucił dwie kobiety, które pijawkę na piasku za jego domem.

- Ale przecież to publiczna plaża.

- Tak, lecz na tym kawałku obowiązuje specjalny zakaz: nie wolno wносить jedzenia i picia.

-Dlaczego?

- Z powodu porozumienia rady miejskiej z właścicielami domów. - Zerknął na nią. - Kilka lat temu stare domy na tym terenie kupili bogaci ludzie. Zburzyli je i na ich miejsce postawili znacznie większe i ładniejsze rezydencje. No i zaczęli się skarżyć na nocne hałasy na plaży i śmieci. W końcu uchwalono kilka przepisów, na podstawie których plaże są zamykane o zachodzie słońca dla wszystkich z wyjątkiem mieszkańców domów i hoteli, a na ten jeden kawałek nie wolno wносить jedzenia i picia.

- Chyba rozumiem.

- Uhu... Tylko po co czepiać się dwóch staruszek pijących kawę. A tak na marginesie, rano zabraliśmy Rovera na kwarantannę. Twojemu byłemu nie grożą strzyki.

- Co za szkoda. Blaise zachichotał.

- Od razu wszyscy wiedzą, co myślisz, prawda?

- Wcale nie. - Dumnie uniosła głowę. Spojrzał na nią i powiedział ciepło:

- Podobają mi się to.

Jillie podkurczyła palce w sandałach. Jeszcze nigdy w życiu nikomu nie podobało się, że jest taka wygadana. Zwykle słyszała tylko krytykę.

Blaise skoncentrował się na prowadzeniu samochodu; lekko przyhamował, żeby rowerzysta zdążył zjechać na bok, a po drodze machał do mijanych ludzi.

- Muszę cię zabrać do schroniska, żebyś zidentyfikowała psa. Będziesz miała chwilę, jak załatwię tę jedną sprawę?

- Jasne. Mam dużo czasu. Chodziłam tu i tam i szukałam miejsca na sklep. -Znalazłaś coś?

- Nie byłam jeszcze nigdzie dalej. - Obróciła się w jego kierunku. -Sporo czasu spędzasz na rutynowych patrolach? Nie powinieneś przypadkiem siedzieć za biurkiem?

- Jadę na wezwania, kiedy brakuje ludzi. W tym miesiącu kilku moich policjantów wzięło urlop... pojechali na narty, uwierzysz? Nie rozumiem, jak ktoś może zamieniać taki cudowny klimat w najładniejszej porze roku na parę tygodni w śniegu. No, ale dzięki temu patroluję ulice, co nie jest takie złe. Muszę być na bieżąco.

- Więc aresztujesz staruszki pijące kawę? Zaśmiał się.

- Właśnie. - Znów zahamował i pokazał palcem w bok. - Widzisz sklep z kostiumami kąpielowymi? Obok niego jest wolny lokal. Chcesz go zobaczyć? W tej części miasta bywająprzeważnie stali mieszkańcy, więc może będzie ci bardziej odpowiadać.

- Wyszadysz mnie tu?

Zatrzymał się od razu, na pierwszym pustym miejscu.

- Mam wrażenie, że nie chcesz być świadkiem, jak aresztuję te staruszki, co? Tym razem ona zaczęła się śmiać, a potem spojrzała na niego i pokręciła głową.

- Raczej nie.

- Zwykle zatrzymuję tam młodych ludzi, którzy nie zwracająuwagi na znaki. Jeśli poczekaś tu na mnie, będę za jakieś dwadzieścia minut.

- Z tylnym siedzeniem pełnym przestępców o siwych włosach, uzbrojonych w niebezpieczne filiżanki do kawy? Znów zachichotał.

- Chyba najgorsze, co je spotka, to mandat. Piętnaście dolarów.

- Tak, racja. Cherry mi wczoraj mówiła. Straszna kara.

Patrzyła za nim, kiedy odjeżdżał. Podobał jej się jego śmiech. Szkoda, że jej humor nie bardzo dopisywał. Westchnęła, odwróciła się i ruszyła w stronę pustego pomieszczenia. Sądziła, że tylko popatrzy przez okno. Jednak miała szczęście, bo okazało się, że wolny sklep należy do właścicielki salonu z kostiumami.

Ta część wyspy była bardziej cicha i spokojna. Samochody jeździły pomału, ludzie leniwie chodzili ulicami i mimo że wiele miejsc do parkowania było zajętych, okolica nie robiła wrażenia zatłoczonej, jak w północnej

części bulwaru, bliżej wielkich hoteli. Oczarowały ją ustawione tu i ówdzie na chodniku kawiarniane stoliki i krzesła, nienagannie czyste, metalowe ławeczki i kwiaty w doniczkach przed niektórymi sklepami.

W tym rejonie mieszkali zamożni ludzie. Jillie zobaczyła trzy eleganckie butikiki. To pewnie w nich bogacze robią zakupy. Dobre miejsce na sklep, ale czy będzie ją stać na czynsz?

- Oczywiście, że tak! - powiedziała Belinda Harrison, właścicielka budynku, ciągle uśmiechnięta, niewysoka, gruba kobieta o kręconych rudych włosach. - Postaramy się zrobić tak, żeby cię było stać. Księgarnia doskonale tu pasuje. Przekonasz się, że mamy duży ruch. Wszyscy, którzy mieszkają na wyspie, robią tu zakupy. Na początek sami cię rozreklamujemy i zobaczysz, jak szybko interes się rozkręci.

Po pięciu minutach Jillie podjęła decyzję.

Jillie wysiadła i kilka chwil później Blaise wdał się w niemiłą rozmowę z Danem Burgessem i dwiema nauczycielkami w średnim wieku, tymi, które piły kawę z filiżanek. Kobiety pochodziły z Kanady i Blaise pomyślał, że już nigdy więcej nie przyjadą na Florydę.

Zaparkowały mały wóz kempingowy przy ulicy i postanowiły pójść nad wodę, na mały spacer - kawę zabrały ze sobą. Niestety, zignorowały znak, informujący, że nie wolno wносить jedzenia i picia na plażę.

- Teraz wiem, że głupio zrobiliśmy, nie stosując się do zakazu - przyznała jedna z kobiet. - Popelniliśmy błąd, bo wydawało nam się, że chodzi tylko o to, żeby tu nie śmiecić. Nie zamierzałyśmy zostawić tych ślicznych, małych filiżanek na plaży, a gdyby kawa wylała się na piasek, to nic by się nie stało, bo muchy nie lecą do kawy.

Blaise uznał jej argumenty za logiczne.

- Przepraszam - powiedział Dan, czerwony ze złości. - Nie sądzę, żeby znak robił jakieś wyjątki!

Kobiety spojrzały na niego krzywo, a Blaise pomyślał, że w szkole musiały tak patrzeć na niesfornych uczniów.

- To ja przepraszam - odezwała się druga kobieta. - Przecież już przyznałyśmy się do winy. Czy pan musi być taki nieprzyjemny?

- Nieprzyjemny? - Dan zapienił się na całego. - Po pierwsze, gdyby któraś filiżanka upadła i stłukła się, wszędzie byłoby pełno szkła, ktoś mógłby nadepnąć i skaleczyć nogę. Podałby miasto do sądu...

- Trochę naciągany argument, nie uważasz? - nauczycielka zwróciła się do koleżanki, a ta pokiwała głową. W tym sporze wszystkie argumenty były naciągane.



- A po drugie - Dan splunął - co będzie, jak złagodzimy przepisy! W tym tygodniu filiżanka, a w następnym prawdziwy piknik na czterdzieści pięć osób, grill...

- Przesada.

- Niech pani sobie daruje te komentarze - zagrmiał Dan. - Proszę zabrać te cholerne filiżanki z plaży. A ty - wskazał na Blaise'a - lepiej je aresztuj, bo nie rozumieją, o co chodzi.

Blaise, który przez cały czas milczał, w końcu nie wytrzymał i powiedział:

- Wiesz, Dan, takie surowe egzekwowanie prawa nie zachęci turystów, by przyjeżdżali do Paradise Beach.

Dan zamarł - ależ ten Corrigan był złośliwy! Na sekundę odebrało mu mowę, ale potem wybuchnął z jeszcze większą złością.

- Zawsze masz gotowe wytłumaczenie! W jednej chwili mówisz, że musisz wszystkich aresztować, bo takie jest prawo, bez względu na jego wpływ na turystykę, a w następnej odmawiasz, bo to źle dla rozwoju tejże turystyki! Co z ciebie za policjant?

Zanim Blaise zdołał odpowiedzieć, Dan znowu zaatakował kobiety.

- Jestem burmistrzem tego miasta i sam was aresztuję.

Blaise popukał go po ramieniu; Burgess odwrócił się gwałtownie i spojrzał na niego.

- Przykro mi, Dan, ale nie możesz tego zrobić. Po pierwsze, burmistrz nie ma takiego prawa, a po drugie, nie zrobiły nic, za co trzeba by je aresztować. Pozwól, że ja się tym zajmę.

-Ty!

- Czyż to nie ja jestem facetem, którego chcesz zwolnić za zbytnią surowość? Zapomniałeś? Idź do domu i zdaj się na mnie. To moja praca.

Zostawili rozwścieczonego Burgessa na plaży. Nauczycielki, trzymając w rękach delikatne filiżanki, posłusznie szły obok Blaise'a, rozmawiając o pięknej pogodzie. Nad ich głowami latały mewy, popiskując przeraźliwie.

- To śliczne miasto, panie komendancie. Przykro nam, że nie zastosowałyśmy się do zakazu. Miałyśmy zamiar przeprosić tego faceta, ale tak się wkurzył i groził nam. Czy on naprawdę jest burmistrzem?

-Tak.

- Więc chyba nie powinnam wypowiadać się więcej na jego temat. Blaise spojrzał na nie.

- Ależ proszę się nie krępować. Ja sam mówię o nim dużo różnych rzeczy... zwykle do swojego odbicia w lustrze.

Wybuchnęły śmiechem. Blaise podejrzewał, że ich wesołość naprawdę wkurzyła Burgessa, i sprawiło mu to przyjemność, bo nie miał ochoty karać

kobiet mandatem. Gdyby sam je przyłapał, zwróciłby im uwagę i puścił wolno. Chodzenie po plaży z filiżanką kawy to nie to samo, co rzucanie styropianowych i papierowych śmieci, czego tak nie znosili właściciele domów przy plaży. Problem z Burgessem polegał na tym, że facet nie rozumiał, po co są przepisy. Interesował się jedynie tym, jaki mają wpływ na jego życie. Dlatego tak ciężko się z nim pracowało. Nauczycielki przyjęły mandat spokojnie.

- Trzeba było nie lekceważyć znaku - powiedziała jedna z nich. - Same jesteśmy sobie winne. Jeżeli zostawimy filiżanki w samochodzie, możemy chyba wrócić na plażę?

- Oczywiście. - Rozejrzał się i zobaczył, że Burgess nadal tam stoi i patrzy na nich jak aligator, któremu nagle odebrano jedzenie. - Jeśli będzie sprawiał paniom kłopoty, proszę zadzwonić pod 911. To publiczna plaża.

Kiedy podjechał pod butik Belindy, ona i Jillie były pochłonięte rozmową. Zaparkował, wysiadł i dołączył do nich. Zdziwił się, że omawiają już szczegóły najmu.

- Tak szybko? - zapytał Jillian. - Przecież dopiero zaczęłaś szukać.

- A to jest dokładnie to, czego potrzebuję. Belinda uśmiechała się od ucha do ucha.

- Będzie jej ze mną dobrze, Blaise. Wiesz, że dziewczyny nie wykorzystam.

- Super - powiedziała Jillie, kiedy oboje wsiedli do samochodu. - Teraz muszę znaleźć prawnika, który będzie mnie reprezentował. Belinda zapłaci za remont. Czy to nie miłe?

- Ale podniesie czynsz - ostrzegł ją Blaise.

- Oczywiście, lecz wolę, żeby to ona pokryła koszty odnawiania, bo jeśli coś mi nie wyjdzie, uniknę problemów.

Blaise spojrział na nią i pomyślał, że jest o wiele sprytniejsza, niż sądził na początku. Do tego ma fantastyczne nogi...

- To co, jedziemy do schroniska?

Wolałaby zająć się innymi sprawami związanymi z otwarciem księgarni, ponieważ jednak chciała być w porządku wobec Fieldinga, uznała, że trzeba załatwić problem od razu. Poza tym, powinna sprawdzić, czy nie złapali innego psa.

- Tak. Jasne.

-Nie słyszę entuzjazmu w twoim głosie. Zerknęła na niego i zobaczyła rozbawioną minę.

- Och, chodzi o to, że czeka mnie tyle spraw do załatwienia, skoro już znalazłam lokal na sklep. Belinda mówi, że przeróbki potrważą około dwóch tygodni...w sumie nie ma tam wiele do roboty... ale muszę zdobyć półki, stoły, krzesła i masę innych rzeczy...

Zamyśliła się nad szczegółami, które powinna rozważyć.

Władze miejskie Paradise Beach zawarły umowę z weterynarzem, który odpowiadał za bezpańskie psy i kwarantannę. Doktor Sean Kilkenny miał pod czterdziestkę i praktykował w Paradise Beach od ukończenia studiów. On i Rover byli starymi znajomymi.

- Ma wszystkie szczepienia - powiedział Blaise'owi i Jillie, kiedy zaprowadził ich do klatki. - Facet wpadłby w o wiele większe kłopoty, gdyby ugryzł go szop prac. - Spojrzał z powagą na Jillie. - Ostatnio zdarzyło się kilka przypadków wścieklizny wśród szopów w hrabstwie. Było tak źle, że musieliśmy rozrzucić szczepionki. Ale chyba zadziałały.

- Jak się szczepi dzikie zwierzęta? - zapytała.

- Dysponujemy szczepionką, która daje dobre efekty. Zwierzęta muszą tylko sporo jej zjeść.

Jillie pokiwała głową i kiedy podeszli do wąskich drzwi, odezwała się znowu.

- To pewnie dobry sposób na zapobieganie chorobie. Doktor Kilkenny uśmiechnął się do niej.

- Tak, ale trzeba pamiętać o kosztach. To drogi program i trudno uzasadnić, że jest potrzebny, jeśli nie ma prawdziwych problemów.

Pomieszczenie do kwarantanny było małe, pozbawione okien i zbudowane z wypalanej cegły. W środku znajdowały się cztery klatki z opuszczanymi drzwiami, oddzielone stalowymi płytami.

- Po to, żeby nie zarażały jedne drugich - wyjaśnił Kilkenny.

Rover leżał smutny w jednej z klatek; widzieli, że cierpi. Kiedy zobaczył Blaise'a, natychmiast się zerwał i podniecony zaczął machać ogonem.

- Najwyraźniej cię lubi - zauważył doktor. - Nie był taki przyjazny w stosunku do żadnego z nas. Może dlatego, że przychodzi tu na szczepienia.

- A ja zwykle mam dla niego pączki - powiedział ponuro Blaise. - Ale nie tym razem, Rover. Obiecałem ci jednego dziennie, a dziś dostałeś już dwa.

Kilkenny skrzywił się.

- To niezdrowe.

Blaise wzruszył ramionami.

- Obiecałem, więc będę przynosił. On bardzo je lubi, tylko co z czekoladą?
- Czekolada! - Kilkenny spojrzał ze zgrozą. - To trucizna dla psów.
- Wiem, doktorze - przyznał ze skruchą Blaise i włożył palec do klatki. Rover polizał go radośnie. - Biedny stary. Wypuszczą cię, jak tylko będzie można. Jillie, czy to ten pies?
- Z całą pewnością. - Szare airedale terriery należały do rzadkości, a ona tego rozpoznalaby wszędzie. - Nadal nie rozumiem, dlaczego tak nagle zaatakował Fieldinga i ugryzł go.

Blaise spojrzał na nią.

- A nie kłóciliście się?

Jillie zawahała się, usiłując sobie przypomnieć.

- Nie jestem pewna. Nie sędzę, ale Fielding był na mnie zły. Może mówiliśmy podniesionymi głosami.
- Pewnie Rover próbował cię obronić przed zagrożeniem. Kilkenny stał obok i kiwał głową.
- To możliwe. Rover ma instynkt opiekuńczy. Kiedy był szczeniakiem, musiałem mu założyć czterdzieści pięć szwów, bo pogryzł się z innym psem w obronie kota.

Jillie życzliwiej spojrzała na psa. Rover chyba zrozumiał, bo z radości wywalił język i pysk mu poweselał.

- Przyjdę do niego jutro rano - obiecał Blaise. - Z pączkiem. Tym razem to Kilkenny wzruszył ramionami.
- Będę udawał, że nie widzę, jeśli nie dostanie od niego niestrawności. Kiedy wsiedli do samochodu i ruszyli z powrotem, Blaise zapytał:

- Nasza dzisiejsza kolacja wciąż aktualna?

Jillie zawahała się. Miała w domu gościa i czuła się niezręcznie. -Nie zapraszałaś jej -powiedział Blaise, czytając w jej myślach. -Do niczego nie jesteś zobowiązana.

- Powinam chyba spotkać się z Fieldingiem. Ulży mu, gdy się dowie, że nie musi brać zastrzyków przeciwko wścieklicznie. Wiesz co, może poznamy Harriet z Mary Todd? Chyba znalazłyby wspólny język.
- Skąd ci to przyszło do głowy?
- Są w podobnym wieku i obie bogate...
- Trzeba czegoś więcej niż pieniędzy, żeby dwie osoby znalazły wspól-nyjęzyk.

Jillian spojrzała na niego z rosnącą irytacją.

- Zawsze jesteś taki doskonały? Zaskoczyła go i nie potrafił tego ukryć.
- O co ci chodzi?

- Na wszystko masz jakąś radę. Musi być trudno, tak wszystko wiedzieć na każdy temat.

-Uf!

Jillie zamilkła. Zamiast rozdrażnienia czuła teraz lekkie zdenerwowanie. Jak mogła coś takiego powiedzieć? Prawie nie zna tego faceta! Jego mania pouczenia wynika pewnie z tego, że jest komendantem policji. Ludzie prawdopodobnie ciągle pytają go, co robić w różnych sytuacjach, i strofowanie innych weszło mu w krew. Kim ona jest, żeby go krytykować? Jak zwykle, nie potrafiła trzymać języka za zębami i mówiła rzeczy, które nie przystały dobrze wychowanej osobie.

Blaise milczał, aż skręcili w ulicę, przy której mieszkali. Jillie zauważyła samochód listonosza.

- Pan Knapp jest dziś spóźniony - zauważyła.

- Uhm. - Zwolnili. - Słuchaj, przepraszam, jeśli bez przerwy daję ci niepotrzebne rady. I daleko mi do doskonałości.

- A już dałam się nabrać. - Gdy tylko wypowiedziała te słowa, zakryła usta ręką. - O mój... Przepraszam. Lepiej się zamknę. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego zawsze muszę coś palnąć. Ja wcale nie myślałam...

Roześmiał się serdecznie, rozbawiony jej reakcją. Jak to dobrze, że nie jest na nią zły. Przez swój niewyparzony język często pakowała się w kłopoty.

- Masz rację. Od tak dawna jestem komendantem policji, że mówienie ludziom, co mają robić, weszło mi w krew.

Powinienem się tego oduczyć. - Wjechał na podjazd przed swoim domem. - Więc jesteście na dzisiaj umówieni?

Jillie pomyślała o Harriet i poczuła do niej niechęć za to, że wprosiła się do jej domu. A na dodatek z powodu przyjazdu Harriet nie poszła z Blaise'em wczoraj wieczorem na kolację. Dlatego dziś Harriet będzie musiała jej wybaczyc.

- Jasne. - Harriet i Fielding będą pewnie chcieli się spotkać i wszystko omówić, więc jeśli ma okazję tego uniknąć, z przyjemnością ją wykorzysta.

W tym momencie ktoś zapukał w okno od strony Jillie. Odwróciła się i zobaczyła Jima Knappa, listonosza. Prędko opuściła szybę.

- Przyszedł list do pani, panno McAllister. Wygląda na ważny, a w pani skrzynce ptaki zrobiły sobie gniazdo, więc nie mogę go tam zostawić. Musi japańi posprzątać.

- Tak jest. - Wyciągnęła rękę po list, ale Knapp się odsunął.

- Mogę go pani doręczyć w drzwiach - przypomniał surowo. - Proszę wejść do domu, a ja go przyniosę. Chyba że woli pani odebrać go jutro na poczcie.

- Oj, nie. Już biegnę do domu. Knapp skinął głową.
  - Co to za sprawa z psem Cala Lepkina? - zapytał.
  - Ugryzł turystę i musi być poddany kwarantannie. Nic wielkiego.
  - Do diabła, ten pies jest jak grzechotnik. Ale Cal nie przeżyje, jeśli trzeba będzie go uśpić.
  - Nic takiego się nie stanie - zapewnił Blaise. - Ranka niegroźna, a pies ma wszystkie terminowe szczepienia.
  - To dobrze. - Knapp znowu popatrzył na Jillie. - No, raz - dwa, niech się pani pośpieszy, moja panno.
- Jillie uśmiechnęła się do Blaise'a rozbawiona i szybko wysiadła z samochodu. Knapp odskoczył, robiąc jej przejście.
- No, raz - dwa - powtórzył. - Zabiera mi pani czas. Jeśli się spóźnię, pani Peabody zaraz zadzwoni na pocztę, pytając, gdzie jej listy.
- Jillie otworzyła drzwi do domu. Stało się to, czego się obawiała. Fielding i jego matka czekali na nią w salonie i kiedy przestąpiła próg, zerwali się i zaczęli mówić jedno przez drugie.
- Jillie zignorowała ich i odebrała list, a Jim Knapp przypomniał jej, że ma uprzątnąć skrzynkę. Potem delikatnie zamknęła drzwi i stanęła twarzą w twarz z byłym mężem i teściową.
- Co się dzieje? - Właściwie chciała zapytać, dlaczego tak panoszą się w jej domu, jakby to był ich własny, ale powstrzymała się.
- Fielding gestem nakazał matce milczenie.
- Rozmawialiśmy o tym, jak pogodzić cię ze mną.
  - Ciebie i mnie, Fielding - poprawiła go automatycznie i spojrzała w stronę drzwi, czując nieodpartą chęć ucieczki.
  - Oboje - powtórzył grzecznie. - A więc, to dość proste, Jillie. Mama i ja ustaliliśmy, że musisz mi wybaczyć.

## Rozdział 7

- Jillie patrzyła na Fieldinga zdumiona, nie wierząc własnym uszom. - Wy ustaliliście, że mam ci wszystko wybaczyć? Fielding skinął głową.
- Mama i ja uważamy tak samo. Omówiliśmy to i zrozumiałem, że mogę cię przeproszać bez końca, ale nic z tego nie będzie, jeśli mi nie wybaczysz.
  - Trafne wnioski, doktorze Watson.

Fielding westchnął.

- Kochanie, czy musisz być taka złośliwa? -Nie jestem twoim kochaniem!

- Oczywiście, że jesteś. Zawsze będziesz. Nawet jeśli mnie znienawidzisz do końca życia.

Jillie zamknęła oczy, z trudem nad sobą panując. Był taki czas, przypomniała sobie, kiedy Fielding nie drażnił jej wszystkim, co robił. Może teraz reagowała przesadnie?

- Fielding, nie czuję do ciebie nienawiści. Dawno mi przeszło. Ale już cię nie kocham.

- A ja myślę, że tak, Jillie. - Wyciągnął do niej rękę. - Sądzę, że jesteś bardzo zła i zraniona i nie chcesz mnie kochać, ale nie tak łatwo zapomnieć

o miłości. Wiem coś o tym, bo nadal ciebie kocham.

Nic tylko wcisnąć mu te słowa z powrotem do gardła. Nie wierzyła, a jednak nie chciała być wobec niego okrutna.

- W porządku, Fielding. Wybaczam ci, ale nie mogę zapomnieć bólu, jaki mi sprawiłeś, i już cię nie kocham. A teraz bardzo was oboje przepraszam. Mam dziś randkę, do której muszę się przygotować.

Weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Była coraz bardziej ciekawa, o co w tym wszystkim chodzi.

Słońce wisiało nisko nad zatoką, ogniście czerwone. Kłęby pierzastych chmur lśniły różem, a na wschodzie szerokie pasma obłoków mieniły się pomarańczowo i turkusowe. Spokojne wody błyszczały niebiesko, gdzieś tam błękitne jak niebo. Czerwony pas słonecznego światła zniknął wśród fal i piasku, jak gdyby promienie sięgały aż do samej ziemi.

- Nigdy przedtem nie widziałam tylu pięknych zachodów słońca, co tutaj -powiedziała Jillie do Blaise'a.

Siedzieli przy niewielkim stole na werandzie w Paradise Pavilion, popijali zimne napoje i jedli krewetki i kraby na przystawkę. Za nimi jakiś zespół śpiewał a cappella stare przeboje dla klientów i przechodniów. Właśnie takiego życia szukała w Paradise Beach.

- Tutaj zachody słońca są wyjątkowe - zgodził się Blaise leniwie. -  
i przeważnie cudowne.

Jakiś ruch przyciągnął wzrok Jillie, odwróciła się i zobaczyła dwoje ludzi w ślubnych strojach.

Weszli na plażę. Za nimi podążała dziewczynka z kwiatami, ubrana w różową sukienkę. Był też fotograf, który niósł swój sprzęt. Po chwili go ustawił i zaczął pstrykać zdjęcia szczęśliwych nowożeńców na tle

zachodzącego słońca. Potem fotografował gości zgromadzonych na piasku pod palmami.

Blaise też się przyglądał, a kiedy ponownie zerknął na Jillie, jego uśmiech nie był już tak wesoły.

- Romantyczne, prawda? Wzruszyła ramionami. - Zaślepieni głupcy.

- Ojej, a ty co? - spojrzał na nią zdziwiony. Znowu wzruszyła ramionami.

- Przykro mi. Mam gorzkie wspomnienia o małżeństwie. Patrzę na tę dziewczynę, jesteś jeszcze taka młoda, stoi tam w białej sukni pełna nadziei i marzeń, a ja myślę tylko, że jest głupia.

- Chcesz powiedzieć, że ty byłaś głupia.

- Tak. I niemal wszyscy, których znam. - Jillie gwałtownie pokręciła głową i odwróciła wzrok w stronę słońca. Dolna część kuli dotykała wody i wszystko zaczęło się dziać jakby szybciej. - Wyobrażamy sobie nie wiadomo co. Zdaje nam się, że kiedy facet mówi, że nas kocha, ma na myśli dokładnie to samo, co kobieta. Wierzmy, że czuje identycznie jak my i że inne dla niego nie istnieją.

- Może w to wierzy, kiedy tak mówi - powiedział Blaise delikatnie. Jillie zawahała się.

- Może - przyznała w końcu, bo nie chciała się spierać w taki piękny wieczór. - Kto by pomyślał, że tak ciężko dotrzymać obietnicy. A ty co o tym sądzisz?

- To bardzo proste. Jillie skrzywiła się.

- Wiesz coś na ten temat?!

- Byłem żonaty osiem lat i nigdy nie oszukiwałem. Ja dotrzymuję słowa... dlatego rzadko je daję.

- Och - teraz poczuła się jak idiotka. Wyciągnęła pochopne wnioski, a przecież sama krytykowała takie postępowanie. - Co się stało?

- Spotkała faceta, który jej bardziej odpowiadał. - Wzruszył ramionami. - Niełatwo być żoną gliniarza. Wtedy więcej jeździłem na patrolu, często w nocy. Nie potrafiła przestać się o mnie bać. - Pokręcił głową, a pełen melancholii wzrok utkwił gdzieś w oddali.

- Dlatego od ciebie odeszła?

- Zależy, jak na to spojrzeć. W końcu zmartwienia ją przybiły, miała dość. Myślę, że w tamtych latach byłem za bardzo zajęty sobą, zafascynowany pracą, za wszelką cenę chciałem się wykazać. Opuściłem ją.

Jillie zrobiło się go żal.



- Może zbyt surowo siebie osądzasz. Znow pokręcił głową.

- „Jak mogę zdecydować się na dziecko, skoro nie jestem pewna, czy będzie miało ojca”, to ostatnie słowa, jakie od niej usłyszałem.

- O rany.

Uśmiechnął się z przekąsem.

- Już mi przeszło. Najważniejsze, Jill, jest nie myśleć, że wszyscy są tacy jak twój były. Weź na przykład tę parę, tam na plaży. Może on wierzy w każde słowo przysięgi i będzie szalał na punkcie tej dziewczyny, a ona odpłaci mu tym samym. Może kiedyś przeczytasz w „Timesie” o ich pięćdziesiątej rocznicy ślubu. To się zdarza.

Po konfrontacji z Fieldingiem i jego matką trudno było przyznać mu rację, ale nie miała chyba innego wyjścia.

- Zawsze są wyjątki - wykrztusiła.

- Oczywiście. Jak ta para, która mieszkała tam w dole ulicy. Pobrali się w tydzień po tym, jak się poznali. Kiedy ona umarła, byli siedemdziesiąt dwa lata po ślubie. Nigdy się nie rozstawali.

- Biedny człowiek. To musiało być dla niego straszne.

- Nie przeżył jej długo. - Blaise wyciągnął rękę i czubkiem palca delikatnie dotknął policzka Jillie. - Co ci popsulo humor? Byłaś taka wesoła wcześniej, po tym jak znalazłaś miejsce na swój sklep. Czy coś się stało?

- Nic takiego, właściwie. - Spojrzała na oszronioną szklankę przed sobą. Po ścianie spływała kropla wody. - Czasami zastanawiam się, czyja byłam normalna? Jak mogłam kiedykolwiek myśleć, że arogancja Wainwri-ghtów jest czarująca? Wiesz, co mi powiedzieli, gdy wróciłam do domu?

Pokręcił głową.

- Ustalili, że mam wybaczyć Fieldingowi. -Oni to ustalili?

- Tak, i to właśnie mi powiedzieli, kiedy tylko weszłam. Najwyraźniej spotkali się wcześniej i postanowili za mnie, co mam robić. Najdziwniejsze jest to, że postępowali tak zawsze i ja im pozwalałam. - Zachnęła się. - Chyba rozsądek zostawiłam w Waukegan.

Blaise nie mógł się opanować i zaśmiał się cicho.

- No, ale oczywiście powiedziałaś im, co mogą sobie zrobić z tą decyzją

Westchnęła.

- Właściwie powiedziałam, że mu wybaczam, ale nie zapomnę, jak mnie skrzywdził. Potem zamknęłam się w łazience i siedziałam tam aż do chwili kiedy wyszłam się z tobą spotkać. - Znow się zachnęła. - Jestem okropna'

Zawsze miałam problem, bo mówię to, czego nie powinnam. Na początku

niewiele rozmawiałam z Fieldingiem. Nie sądzisz, że to dziwne, że miał na mnie taki wpływ?

- Może się go bałaś?

Jillie przechyliła głowę i zastanawiała się przez chwilę.

- Może. Pochodzi z zupełnie innego świata niż ten, do którego przywykłam. Te wszystkie pieniądze i prestiż, tak liczna rodzina... Wydaje mi się, że na początku byłam onieśmielona.

- Każdy by się tak czuł, przynajmniej dopóki nie poznałby ich bliżej. Teraz Jillie wybuchnęła śmiechem.

- Racja. Po bliższym poznaniu nie ma w nich nic niezwykłego.

- O, widzę, że dobrze się bawicie. - Mary Todd podeszła do nich, wsparta na ramieniu dystyngowanego pana w jej wieku; w drugiej ręce jak zwykle ścisnęła hebanową laskę.

Blaise wstał.

- Dobry wieczór, Mary. Jak się masz? Witaj, Ted. Jill, to jest Ted Wan-namaker, jeden z naszych najbardziej znanych obywateli. Ted rozpromienił się, a w jego niebieskich oczach zamigotały wesołe ogniki.

- Słyszysz z tego, że od szkolnych lat uganiam się za Mary. Jeśli wkrótce nie zgodzi się wyjść za mnie, zgłoszę się do *Księgi rekordów Guinnessa*.

Mary parsknęła, ale jej wzrok wyrażał rozbawienie.

- Powiedziałam ci, co sądzę o karze dożywocia.

- W naszym wieku, moja droga, dożywocie nie potrwa dłużej niż dwadzieścia lat. Nie więcej.

Mary zamyśliła się przez chwilę i pokręciła przecząco głową.

- Za długo, bo nie ma szansy na zwolnienie warunkowe.

Na zaproszenie Blaise'a i Jillie starsi państwo dostawili stołki i przysiedli się do nich. Słońce już prawie zaszło, a nad wodą pozostały już tylko ślady jasnej, pomarańczowej poświaty. Chmury na niebie wciąż jeszcze odbijały światło słońca.

- Kiedy byłam dziewczynką- powiedziała Mary - plaża nie wyglądała tak jak dziś. Był wąski pas piachu, a wydmy wysokie i porośnięte morską trawą. Przy budowie drogich hoteli poszerzyli nieco plażę, bo nie były tak rozległe i białe jak teraz. Chociaż też piękne.

- Może nawet ładniejsze - powiedziała Jillie. Mary pokręciła głową.

- Nie wiem. Nie jestem przeciwniczką postępu, a obecnie jest na świecie o wiele więcej ludzi. Byłoby egoizmem nie pozwolić im cieszyć się naszym rajem. Z drugiej strony przydałoby się trochę kontroli nad populacją.

Sposób, w jaki to powiedziała, rozbawił wszystkich.

- A propos kontroli populacji, słyszałam coś dzisiaj u fryzjera - ciągnęła Mary. - Jakiś turysta z jednego z hoteli został pogryziony przez wałęsającego się psa. - Mrugnęła okiem do Blaise'a. - To chyba nie był pies Cala Lepkina, co?

- A jednak. Przechodzi teraz kwarantannę.

- Biedne stworzenie. Należy mu się medal za to, że ugryził w tyłek tego typu.

Blaise i Ted zaśmiali się, ale Jillie zaczerwieniła się gwałtownie. Nie miała nic przeciwko nazwaniu Fieldinga typem, bo z pewnością zasługiwał na taki epitet. Lecz ponieważ była z nim kiedyś związana, niechętnie musiała przyznać, że jego zachowanie nie było jej obojętne.

- Ten turysta - kontynuowała Mary, kiedy mężczyźni przestali się śmiać - robi dużo zamieszania o to, że pies biegał luzem. Poskarżył się kierownikowi hotelu i Izbie Handlowej. Najwidoczniej jest ważny i bogaty, bo wszyscy go słuchają.

Jillie skuliła się; poczuła na sobie wzrok Blaise'a.

- Pomyślałam, że powinnam o tym wspomnieć - mówiła dalej starsza pani. - Jak sprawa wyląduje na twoim biurku, a tak na pewno się stanie, będziesz wiedział, o co chodzi.

- Dzięki, Mary - odparł Blaise. - Ale nie martw się. Rovera nie udaje się utrzymać na uwieczni, a Cal zawsze płaci kary. Nic więcej nie da się zrobić.

- Nie byłbym taki pewny - wtrącił Ted. - Zgłaszano kiedyś propozycje wprowadzenia przepisów o usypianiu psów, które się włączą.

- Nigdy tego nie uchwalą- stwierdził bezbarwnie Blaise. - Większość ludzi to miłośnicy psów. Doszłoby do rozlewu krwi, zanim takie prawo zostałoby wprowadzone.

Mary wydeła usta.

- Jako jedna z miłośniczek psów całkowicie się zgadzam. Psy są tylko psami. Nie można ich za to karać.

- W pewnym sensie masz rację - przyznał Blaise. - Ale ludzi karzemy za to, że są tylko ludźmi, więc dlaczego robić wyjątek dla zwierząt?

Mary parsknęła i zrobiła rozbawioną minę.

- Nie łap mnie za słowa, Blaise. Wiesz, o co mi chodzi. Włóczenie się nie przynosi szkody. To raczej pies jest zagrożony, nie ludzie. Usypianie psa za to, że łązi i wacha, jest bez sensu.

- Nie zamierzam się o to z tobą spierać - zgodził się Blaise. Mary nagle spojrzała na Jillie.

- Widzisz, jacy jesteśmy tu szczęśliwi? Zajmujemy się szwendającymi się psami i ludźmi pijącymi kawę na plaży, a największym naszym problemem są korki uliczne.

- Ale i my mamy swoje katastrofy - powiedział Ted. - Takie prawdziwe. Kiedyś spaliła się cała dzielnica handlowa. Kiedy to było? Jakies dwadzieścia lat temu. Czasami zdarzają się huragany. - Uśmiechnął się do Jillie.
  - Mój ojciec przeżył jeden w dzieciństwie, siedząc na czubku palmy. Cała wyspa znalazła się pod wodą.
  - Tak zwykle bywa podczas huraganu - oświadczyła sucho panna Todd.
  - Ted musi ci kiedyś opowiedzieć o tej wichurze, Jillian. Jego ojciec opowiadał mu mrożące krew w żyłach historie. Ja nigdy w życiu nie przeżyłam takiego wiatru jak tamten.
- Blaise odezwał się niskim, ponurym głosem:
- Nikt nie zdawał sobie sprawy, co czai się na horyzoncie, mieszkańcy Paradise Beach cieszyli się życiem...
- Mary Todd zachichotała radośnie.
- Do licha, nawet jak naprawdę wieje nad zatoką, dobrze się bawię. - Pochyliła się przyjaźnie ku Jillie. - Lecz kiedy się ma tyle lat co ja, bardziej pesymistycznie podchodzi się do życia. Signum wieku.
- Potem zwróciła się do Blaise'a.
- A co do psa, może źle słyszałam, ale zwolennicy trzymania zwierząt na uwieży zamierzają pikietować komisariat. Blaise zdziwił się.
  - Pikietować? Dlaczego? Pies uciekł i ugryzł kogoś. Zabraliśmy go następnego ranka. Po co robić demonstrację z tego powodu?
  - Nie mam pojęcia - przyznała Mary. - Przepisy już i tak są surowe, więc nic więcej nie da się osiągnąć.
  - Tylko to, że pies Cala Lepkina zostanie uśpiony - powiedział Ted. - Chyba o to im chodzi.
  - Ja nie rozumiem - zaprotestowała Mary. - Większość ludzi wie, ile ten pies dla niego znaczy. Jestem pewna, że dlatego jeszcze żyje, po tym jak kiedyś rozniósł czyjeś śmieci po całej ulicy. Jeszcze nie jesteśmy tacy nowoczesni i zarozumiali, żeby nie obchodzili nas sąsiedzi.
  - Nie, jeszcze nie - zgodził się Ted.
  - To jedna z rzeczy, które lubię tu najbardziej - oświadczyła Jillian. - Wszyscy są tacy mili.
  - Więcej niż mili - dodała Mary. - Troszczymy się o innych. Blaise zaśmiał się.
  - Może nawet za bardzo. Jak zrobią nam pikietę, usiądę wygodnie i będę się dobrze bawił, bo to będzie pierwsza policyjna pikietka w moim życiu.
  - Może to się nawet opłaci - powiedziała Jillie pół żartem, pół serio. - Pomyśl, ile wlepisz mandatów.

- Jasne. Kary za naruszanie spokoju, za wałęsanie się, za zakłócanie porządku i za nielegalną demonstrację. Moglibyśmy uzbierać tyle pieniędzy że wystarczyłoby na nową obręcz do kosza w Policyjnym Klubie Koszykówki.

- A co się stało ze starą? - zapytała Mary.

- Kilka mocnych rzutów i się rozpadła, jak sędzę.

- Trzeba było mi powiedzieć. Kupcie sobie nową i niech sklep przyśle mi rachunek. Wielkie nieba, przecież dzieciaki muszą się bawić bezpiecznie.

- Zgadzam się w zupełności.

Jillie była zaskoczona, że Mary przejmuje się czymś takim. Nie przyszłoby jej do głowy, że bogata panna Todd interesuje się tym, czy biedne dzieci mają obręcz do kosza. A jednak.

Kilka minut później Mary stwierdziła, że pora iść spać, i razem z Tedem wyszli z restauracji.

Jillie poczuła się nagle dziwnie onieśmielona; spojrzała tam, gdzie przed chwila zaszło słońce i zobaczyła coś, czego nigdy jeszcze nie widziała. Wyglądało to tak, jakby ciemności wylaniały się z morza, jakby jakaś czarna kula zmierzała ku jaśniejszemu niebu.

- Wspaniale, prawda? - powiedział Blaise. - To cień Ziemi w atmosferze. Powstaje, kiedy Słońce chowa się za planetę. - Nigdy wcześniej tego nie widziałam. - Jillie była oczarowana. Patrzyła, jak ten dziwny kształt sunie powoli w górę, jakby noc wstawała, by pożegnać kończący się dzień. Zawsze myślała, że ciemności przychodzą ze wschodu, tymczasem nasuwały się z zachodu.

Blaise rzucił kilka banknotów na stół.

- Przejdźmy się na plażę.

Ludzi było niewiele. Jillie zdjęła sandały i szła brzegiem; co chwila przystawała, by rozkoszować się ciepłym dotykiem fal i uciekającego spod stóp piasku. Mewy przysiadły na skałach nad wodą i tylko od czasu do czasu popiskiwaniem przypominały krzykliwie o swojej obecności. Ciepły wiatr od morza szumiał łagodnie, a fale szemrały kołysankę. Blaise wziął ją za rękę i przez moment poczuła się jak w prawdziwym raj.

- Nic mnie nie obchodzi, co mówi prawo - oświadczył Fielding burmistrzowi następnego dnia rankiem. - Ten pies mnie ugryzł i nie powinien włączyć się samopas.

- Nie uj dzie mu to na sucho - przerwał Felix Crumley, adwokat miejski - Pies odbywa kwarantannę i będzie zamknięty przez dziesięć dni.

- Kwarantanna nie wystarczy! To groźny pies i trzeba go uśpić, do diabła! Przecież nic nie zrobiłem, żeby go sprowokować.

Dan Burgess popatrzył na zapalczego turystę i zastanawiał się nad dyplomatycznym rozwiązaniem. Jego wyborcy nie będą chyba zadowoleni, jeśli osobiście przyczyni się do uspienia psa. Jakiegokolwiek psa. Ludzie dostawali czasem większego szału na wieść o egzekucji zwierzęcia niż o egzekucji człowieka. Oczywiście włochate czworonogi nie były mordercami i nie popełniały innych barbarzyńskich przestępstw. Tylko człowiek potrafił być tak zły. Odchrząknął.

- Panie Fielding, musimy postępować zgodnie z przepisami.

- Wainwright. Nazywam się Fielding Wainwright.

- Proszę mi wybaczyć. - A wypchaj się, pomyślał. Nie miał zamiaru naprawdę przeproszać jakiegoś upierdliwego turysty, którego imię brzmiało jak nazwisko.

Wainwright wycelował w niego palec.

- Musicie zmienić prawo. Niebezpieczne zwierzęta nie powinny biegać luzem.

-Nie wolno im - powiedział Crumley, próbując zachować zimną krew, mimo że był coraz bardziej wściekły.

Cholerni przyjezdni z Północy chcieli pouczać Południe, jak postępować. Jego zdaniem, tylko jankesi potrafili narobić prawdziwego bałaganu, wystarczy popatrzeć na Nowy Jork! Po powrocie do domu powiesi nad drzwiami flagę Konfederacji.

-No... to nie powinny mieć kolejnej okazji do ucieczki!

Biuro burmistrza było duże, wyłożone boazerią; stały tam drogie, skórzane fotele oraz biurko tak olbrzymie jak boisko hokejowe - dla podkreślenia, że burmistrz posiada większą władzę i wpływy niż niejeden obywatel z miasteczka nad morzem, w którym jest tylko dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców. Dan dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Z trudem wydebił od władz stanowych fundusze na projekt uporządkowania zaniedbanych plaż. A teraz zamierzał walczyć o pieniądze na remont mostu zwodzonego, który był ważny dla rozwoju Paradise Beach.

Trzeba przyznać, że turystyka przynosiła stanowi dochody, a ludzie, którzy przyjeżdżali do Paradise Beach, wydawali pieniądze również w Tam-pie, St. Petersburgu i Clearwater, a także od Orlando po przylądek Canaveral. Turystyka odgrywała niebagatelną rolę, z tym władze stanowe się zgadzały, ale Paradise Beach to tylko maleńka część całości, i ten właśnie fakt Dan Burgess musiał czasem przełknąć przy porannej kawie.

A teraz ten typ stał przed nim i upierał się, żeby Dan sprzeciwił się dwudziestu pięciu tysiącom ludzi w sprawie, która mogła go kosztować fotel burmistrza. Może nie miał zbyt wielkich uprawnień, ale lubił to ogromne biuro i sprawiało mu przyjemność, że może sobie straszyć tego drugiego

typa - komendanta policji. Czy warto ryzykować to wszystko po to, żeby zadowolić jakiegoś cholernego turystę?

Poza tym, sam miał psa i Bitsy też czasami biegała luzem.

- Prawo już reguluje te kwestie, panie Fielding. - Wainwright!

- Przepraszam. Panie Wainwright. - Dan wciągnął powietrze i wyprostował się na całe swoje metr sześćdziesiąt, żeby zrobić wrażenie wyższego i ważniejszego. - Właściciele płacą kary, jeśli psy biegają bez smyczy. Psy zawsze będą gryzły, po to mają zęby. Uznajemy psa za niebezpiecznego, tylko jeśli poważnie pogryzie bez powodu więcej niż raz. Pies, o którym mówimy, ledwie pana zadrapał i z pana słów wynika, że został sprowokowany.

- Sprowokowany? Do cholery, nic mu nie zrobiłem.

- Ale sam pan powiedział, że chwilę potem komendant policji kazał panu opuścić posesję. Czy pan twierdzi, że nie kłócił się z byłą żoną?

- A co to ma wspólnego z faktem, że zostałem pogryziony przez niebezpieczne zwierzę? A ten komendant policji nie jest bezstronny! Miał randkę z moją żoną.

To, pomyślał Dan, nadaje sprawie inny wymiar. Musi być jakiś sposób, żeby wykorzystać tę informację przeciwko Corriganowi. Może zarzucić policji, że za łagodnie traktuje psa Cala Lepkina. A gdyby udało się rozsądnie przepchnąć nowe prawo dotyczące trzymania psów na uwięzi, w interesie turystów... może... Odwrócił się do Crumleya.

- Możemy uchwalić prawo surowsze niż przepisy stanowe, tak czy nie? Zdumiony Crumley pokiwał twierdząco głową.

- Surowsze tak, ale tylko jeśli nie będzie w sprzeczności z prawem stanowym lub federalnym.

Dan wydał usta i spojrział przeciągle na Fieldinga Wainwrighta.

- Cóż, myślę, że mogę to rozważyć. Chociaż, w tym roku są wybory... Wainwright miał już wcześniej do czynienia z politykami i zrozumiał aluzje..

- Panie burmistrzu, będę zaszczycony, jeżeli zgodzi się pan przyjąć darowiznę na kampanię wyborczą. I chętnie pomogę ponieść koszty reklam telewizyjnych i radiowych...

Surowsze prawo z pewnością można uchwalić, zdecydował Dan. Oczywiście dotyczyłoby jedynie zwierząt powyżej siedmiu kilogramów - jego york waży nie więcej niż trzy i w żadnym razie nie może być uznany za niebezpiecznego. Ograniczenie przepisu tylko do dużych zwierząt ma wyraźny sens. Małe psy nie stanowią większego zagrożenia... Zwrócił się do prawnika.

-Felix, spróbuj przygotować szkic proponowanej uchwały. Myślę, że pan Fielding poruszył sprawę ważną dla bezpieczeństwa naszych gości.

- Wainwright - przypomniał mu Fielding ostro. - Nazywam się Wainwright.

- Oczywiście - Dan uśmiechnął się szeroko. - Pan Wainwright. Być może uchwalimy nowe przepisy na następnym posiedzeniu rady... w czwartek w przyszłym tygodniu. Nie za późno?

Tego wieczoru grupa przyjaciół, a tworzyli ją sami mężczyźni, z wyjątkiem Mary, zebrała się w ślicznym domu panny Todd w południowej części Paradise Beach. Zbudowano go przed laty, kiedy dalsza rodzina Mary liczyła wielu członków i wszyscy często przyjeżdżali na plażę. Teraz twierdziła, że tłucze się po nim jak wyschnięty orzech w środku łupiny. Mężczyźni zapewnili ją, że w niczym nie przypomina wyschniętego orzecha.

Przyjaźń pomiędzy niektórymi z obecnych była starsza niż ten dom. Grupa, dla żartu, nazwała się Dziurą w Morskim Falochronie. Od czasu do czasu działali wspólnie, popierając różne małe projekty. Ostatnio udało im się przekształcić kawałek ziemi pomiędzy dwoma domami należącymi do miasta w miniaturowy park z ławeczkami i tarasem widokowym.

W skład grupy nigdy nie wchodziło więcej niż siedem osób. Dziś było ich tylko sześcioro, bo George Appleby zmarł kilka miesięcy temu i jeszcze nie postanowili, kogo zaprosić najego miejsce. Mary podchodziła do tego poważnie, ponieważ nie życzyła sobie problemów z jakimś głupkiem. Ostatnio zastanawiała się, czy nie poprosić kobiety, żeby dołączyła do grupy. W obecnych czasach panie cieszyły się dużą niezależnością i lubiła je bardziej niż te z przeszłości. Niestety, większość z nich stanowiły kobiety zbyt młode.

Najmłodszym członkiem grupy był Felix Crumley, prawnik miejski. Mary z początku niechętnie zgodziła się, aby do nich przystąpił - miał tylko pięćdziesiąt dwa lata, a poza tym był zaangażowany w zarządzie miasta. Pozostali członkowie nie uznali jej sprzeciwu i z czasem Felix zdobył sympatię starszej pani.

Spotykali się regularnie, zwykle w niedzielne popołudnia. Pili mrożoną herbatę i kawę, jedli ciasto i omawiali sprawy dotyczące Paradise Beach. Kiedy było coś do zrobienia, załatwiali to, często anonimowo za pomocą darowizn gotówkowych. Trzeba przyznać, że czasami głośno się wyklócali, tak jak teraz sprzeciwiali się próbom burmistrza zmierzającym do likwidacji departamentu policji w mieście. Rzadko jednak zdarzały się spotkania specjalne.



- Nie przypominam sobie, żebyśmy kiedyś spotykali się tak wyjątkowo
- zwrócił się do zebranych Hadley Philpott, który zawsze miał dużo do powiedzenia. Jako emerytowany profesor filozofii zwykł mówić długo i kwiecicie. Pozostali starali się zmuszać go, by się streszczał. Ostatnio zaczynał nawet rozumieć, o co im chodzi.
- To chyba coś ważnego, bo inaczej Felix nie prosiłby o spotkanie -oświadczył Arthur Archer, kolejny członek grupy. Mimo że miał aż siedemdziesiąt trzy lata, nadal był aktywnym pastorem w największym kościele w mieście. Dziewięćdziesięciodwuletni Luis Gallegos, zwawyczaj sześćdziesięciolatek, uwielbiał traktować innych jak smarkaczy. Zazwyczaj mu wybaczała. Teraz odezwał się jak zawsze:
  - Bo on jest młody i porywczy.
  - Felix nie jest porywczy z natury - oświadczyła Mary, patrząc po raz trzeci na zegarek. - Ale spóźnia się. - Niecierpliwie tupnęła kilka razy nogą. Panna Todd potrafiła wiele wybaczyć swoim kolegom, ale nie znosiła opieszłości.
- Kiedy to powiedziała, drzwi frontowe otworzyły się i weszli Felix Crumley oraz David Dyer, emerytowany rybak z wiecznie ogorzałą twarzą, który czasami dziwnie się zachowywał.
- Kiedy Felix przeproszał za spóźnienie, David cichutko wziął sobie dużą szklanekę mrożonej herbaty i maślane ciasteczko.
- No to do roboty - Luis niecierpliwie postukał w oparcie fotela. - Dla niektórych z nas zaczyna być późno. - Właśnie dlatego przeważnie spotykali się po południu.
- Więc tak - zaczął Felix, stając przy kominku z ręką w kieszeni spodni.
- Dan Burgess ubija interes z jednym cholernym jankesem.
- A co sprzedaje? - zapytał rozbawiony Hadley. - Siebie? Nie sądziłem, że jest wiele wart.
- Rozległy się stłumione chichoty. Arthur wyglądał, jakby chciał zaprotestować. Jako sługa Boży uważał, że każdy człowiek ma swoją wartość. Pohamował się jednak i nic nie powiedział. To przecież tylko żart.
- Skoro chce się sprzedać jankesom, może zabiorą go ze sobą na Północ. Niech jedzie i niech tam się z nim męczą- stwierdził Luis. - Nie o to chodzi - przerwał Felix. - Jakiś cholerny turysta został ugryziony przez psa Cala Lepkina i najwyraźniej nie chce odpuścić, dopóki nie wyrówna rachunków. Więc zamierza dać dużą sumę Danowi w zamian za to, że Dan przeforsuje surowsze przepisy związane z odpowiedzialnością za psy.
- O ile surowsze? - dopytywała się Mary.

- Chce, żeby psy złapane na włóczeniu się bez smyczy więcej niż raz były usypiane.
- A co z tym jego małym, wkurzającym yorkiem? Szelma grzebie w moich śmieciach po kilka razy w tygodniu. Myślałem, że Dan ma świra na jego punkcie - Arthur nie krył zaskoczenia.
- Owszem - wyjaśnił Felix. - Prawo nie będzie dotyczyło psów poniżej siedmiu kilogramów.
- Sprytna gadzina! - powiedział zde gustowany Hadley. - Mógł przynajmniej postąpić uczciwie.
- Twierdzi, że małe psy nie stanowią zagrożenia.
- Chyba każdy pies może zarazić się wścieklizną!
- Słuszna uwaga, Hadley - oznajmiła Mary. - Wykorzystamy ją w naszej kampanii, żeby obalić jego wniosek. Kiedy będzie poddany pod dyskusję?
- Jeszcze nie jest gotowy - odparł Felix. - Planuje przepchnąć go na posiedzeniu rady w przyszły czwartek bez żadnej publicznej debaty.

Hadley i Arthur pokiwali głowami z niesmakiem.

- Nie dopuścimy do tego. Ten tydzień musi nam wystarczyć, żeby zorganizować sprzeciw. Co wy na to? - Mary znów zabrała głos.

Wszyscy jępoparli.

- Powinniśmy rozważyć sprawę z trzech punktów widzenia - oświadczył Hadley z powagą. - Po pierwsze, chodzi o tępienie naszych małych, kudłatych przyjaciół, którzy nie zrobili nic złego, a zachowują się jak psy, bo nimi są. Po drugie, możemy zaatakować jawną nieuczciwość burmistrza, który chce zrobić wyjątek dla swojego psa. A potem zaangażujemy miłośników kotów. Proponuję wnioskować o takie samo prawo dla właścicieli kotów. Możemy się uprzeć, że kolejnym krokiem będzie uchwalenie przepisów o wyprowadzaniu kotów na smyczy.

- Ten ostatni argument jest najlepszy - stwierdził Luis. - Chcemy mieć miłośników kotów po naszej stronie, a nie przeciwko nam.

- Zgoda, ale wszystkie argumenty są ważne.

- Trzeba też powiadomić ludzi, co się za tym kryje. Muszą się dowiedzieć, że ich burmistrz sprzedaje się za pieniądze na kampanię wyborczą - dodał Felix.

Zapadło milczenie i upłynęło kilka chwil, zanim Mary odezwała się ponownie.

- Tego nie możemy zrobić, Felix. O tym wiedzą tylko Wainwright, burmistrz i ty. Możesz przez to stracić pracę.

- No i co z tego, panno Todd. Dan Burgess został wybrany, żeby służyć wyborcom z naszej społeczności, a nie jakiemuś nadzianemu jankeskiemu turyście.

- Zgadzam się całkowicie, ale nie chcę, żebyś stracił pracę z tego powodu. Tak czy owak to wyjdzie na jaw. A teraz zastanówmy się, jak zainteresować ludzi tym problemem.

Następne dwadzieścia minut spędzili, układając plan na najbliższe dni. Ponieważ społeczność Paradise Beach była nieliczna, zadanie nie wydawało się trudne. Arthur miał, na przykład, poruszyć temat w kościele w niedzielę, kiedy przychodziła prawie połowa obywateli miasta. Lokalna gazeta też miała napisać o tej sprawie. A w oknach kilku sklepów można było powiesić kartki z informacjami.

- Jest coś jeszcze - powiedziała Mary, kiedy grupa stwierdziła, że wszystko już zostało omówione. - Co powiecie na małą zabawę w Kupidyna?

Uśmiechy, jakie zobaczyła, wystarczyły jej za odpowiedź.

## Rozdział 8

Nie do wiary, jak szybko wszystko się dzieje - powiedziała Jillie Belindzie kilka dni później. Stolarze już przygotowali wnętrze sklepu, który wynajęła, do montażu półek i regałów. Główny wykonawca obliczył, że stojaki można zrobić taniej, niż kupić gotowe i zapłacić za transport, więc Belinda mu to zleciła. Przy okazji, załatał dziury w ścianach i w suficie i wyremontował toalety.

- To było niestety konieczne - wyjaśniła Belinda, kiedy Jillie skomentowała koszty. - Postanowiłam poczekać z tym do czasu, kiedy znajdę nowego najemcę.

Jillie nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Jej marzenia już nabierały realnego kształtu i za niecały miesiąc powinna otworzyć sklep. Gdyby ktoś zapytał ją to jeszcze tydzień temu, powiedziałyby, że niemożliwe, by wszystko stało się tak prędko.

W pomieszczeniu czuć było trocinami. Z zaplecza dochodził dźwięk piły tarczowej i odgłosy spadających na podłogę kawałków świeżo pociętego drewna. Wszędzie kręcili się robotnicy, którzy budowali półki, montowali panele ścienne, łatali dziury - słowem, wielkie zamieszanie, jak stwierdziła Jillie.

Nagle w drzwiach stanęła Mary Todd; opierając się na hebanowej lasce, rozejrzała się wokół z zainteresowaniem.

- Dobrze idzie, dziewczyno, co? Jillie przytaknęła z uśmiechem.

- To się tak niewiarygodnie szybko dzieje.

- Jim jest dobrym wykonawcą. - Mary pokręciła głową, kiedy piła z hałasem przecięła kolejny kawał drewna. - Możemy wyjść na zewnątrz? Chciałabym z tobą porozmawiać, a tutaj nie da się przekrzyczeć tej maszyny.

Jillie z ochotą wyszła na dwór, chociaż nie miała pojęcia, co starsza pani może od niej chcieć. Doszła do wniosku, że Mary Todd jest niesłychanie ciekawska, tylko w inny sposób niż Harriet.

Usiadły pod pasiastą markizą przy stoliku przed sklepem z kostiumami kąpielowymi i patrzyły na sunące bulwarem samochody. Słońce stało wysoko i świeciło jasno, a wokół niego utworzyła się biała poświata. Błękitne niebo było bezchmurne, a przejrzyste powietrze pachniało morzem. Jillie odchyliła głowę do tyłu, a bryza rozwiewała jej włosy. Panna Todd uśmiechnęła się.

- Podoba ci się tutaj, prawda?

- Ogromnie! - Otworzyła oczy i odpowiedziała uśmiechem. - Wspaniale jest siedzieć na dworze w szortach w styczniu i nie marznąć. Tak bardzo potrzebuję słońca.

- Jak większość z nas o tej porze roku. Zimy są tu cudowne, ale czasami lato trwa bez końca. Przyjezdni mają naprawę dość, kiedy temperatura nie spada do października.

Jillie wzruszyła ramionami.

- Nie istnieją miejsca doskonale, ale tutaj jest prawie idealnie. Mary roześmiała się.

- O to właśnie chodzi. Zrobimy z ciebie prawdziwą mieszkankę Florydy.

Jillie oparła się o krzesło i czekała cierpliwie, aż Mary wyjawi powód swojej wizyty. W klimacie Florydy nietrudno zachować cierpliwość, jeśli siedzi się na dworze w ciepłym słońcu.

Minęła ich duża grupa turystów ubranych na sportowo. Na plażę większość ludzi wkładała skąpe stroje. Rozmawiali po niemiecku, francusku i hiszpańsku, słyszały także różne akcenty angielskiego. W Paradise Beach krzyżowały się rozmaite kultury.

Mary podniosła trochę głos, żeby przekrzyczeć trąbiącą taksówkę.

- Czy jesteś związana z Fieldingiem Wainwrightem?

- Z Fieldingiem? - Jillie odwróciła się do niej, czując, jak ogarniają strach. Boże, przyjechała tu, żeby uciec od tego drania! Jak to możliwe, że również Mary Todd kojarzyła ją z tym człowiekiem? Chciała zapomnieć o swoim małżeństwie i o rozwodzie; tymczasem wszystko prześladowało ją nawet tutaj, a teraz musiała odpowiadać na pytania ludzi, którzy ją ledwo znali.

- Tak, z Fieldingiem Wainwrightem - powtórzyła Mary, a jej bystre czarne oczy patrzyły badawczo. - Byłaś kiedyś żoną tego świra?
- Cóż, no tak - nie miała ochoty przyznawać się, ale nie potrafiła zrećźnie kłamać.
- Czy nadal jesteś z nim związana?
- Rozwiedliśmy się!
- Istnieją różne rodzaje przywiązania, dziewczyno - Mary mocno stuknęła laską w chodnik. - Możesz być rozwiedziona i nie chcesz go więcej znać, możesz po rozwodzie pragnąć się pogodzić albo długo karmić się nadzieją, że odzyska rozsądek. To jak jest z wami? - Dlaczego pani o to pyta?
- Ciężko się z tobą rozmawia, mała. - Mary pokręciła głową i starała się ukryć uśmiech. - Po prostu powiedz mi, a wtedy ja ci wszystko wyjaśnię. Nie chcę, żeby twoja odpowiedź zależała od moich intencji. Jillie zaczęła się nagle zastanawiać, dlaczego czuje się tak głupio onieśmiewiona.
- Nie jestem do niego ani trochę przywiązana. Niech czym prędzej stąd znikaj! - Mówiła szczerze, kilka dni z Harriet i z Fieldingiem dało jej w kość. Oboje robili wszystko, by znów się w nim zakochała, a skutek był odwrotny: wzbudzali w niej jeszcze większą niechęć, a nawet wstręt.
- W porządku. Nie chciałam o nim rozmawiać, gdybyś przypadkiem zamierzała go bronić i życzyła sobie, żeby tu został, ale skoro masz go dość, wszystko gra. Jillie spojrzała na nią z rosnącym zaciekawieniem.
- Dlaczego miałabym go bronić? Po co? Co znowu zrobił? Mary zachichotała.
- Mój Boże, dziewczyno, wiesz, co myśleć o tym łobuzie. Nie dziwi cię ani trochę, że ja też chcę mu dołożyć?
- Wiele osób chętnie dałoby mu popalić. Nigdy nie zrozumieję, jak mogłam się w nim zakochać. Jaki numer tym razem wykręcił?
- Próbował kupić burmistrza.
- Co? - Jillie osłupiała. - Burmistrza? Dana Burgessa? Co, do licha, Fielding może chceć od niego?
- Domaga się nowego prawa, które nakazywałoby usypiać psy złapane na wałęsaniu się więcej niż jeden raz. Wreszcie zaczynała rozumieć.
- Chodzi o konkretnego psa, o Rovera. Dlaczego ten skurczy...syn... -w obecności Mary krępowała się użyć mocniejszych słów.
- Ja też się zastanawiam. - Panna Todd pokiwała smutno głową. -Dan... wstyd mi za tego chłopaka! Dasz wiarę, że kiedyś myślałam, że jest

nieszkodliwie złośliwy? Naprawdę wierzyłam, że przestanie podkraść mi ciastka z kuchni, że z tego wyrośnie.

- Tymczasem przerósł sam siebie - powiedziała Jillie ponuro. - Najwidoczniej teraz przerzucił się na większe zdobycze.

- Chyba tak. Przyrzekł Fieldingowi, że w przyszły czwartek przeforsuje na posiedzeniu rady nową uchwałę.

- Co Fielding obiecał mu za to?

- Hojną dotację na kampanię wyborczą. Jillie pokręciła głową.

- To dokładnie w jego stylu. U siebie ma w kieszeni burmistrzów, jednego senatora i dwóch członków Kongresu, przynajmniej tak mu się wydaje.

- No to teraz może jeszcze dodać do swojej listy burmistrza Paradise Beach. Co gorsza, to prawo ma dotyczyć tylko psów o wadze powyżej siedmiu kilogramów... a więc nie obejmie psa Dana Burgessa.

- Świnia. Mary uśmiechnęła się blado.

- Skoro dał się kupić, powinien wszystkich potraktować równo. No, ale co tam. Chciałam się dowiedzieć, czy bardzo jesteś przywiązana do tego cholernego jankesa, bo kilku moich przyjaciół zastanawia się, jak obrzydzić mu pobyt u nas.

- Nie krępujcie się! Im szybciej się stąd wyniesie, tym bardziej będę szczęśliwa. Po tym, jak mnie potraktował, kiedy byliśmy małżeństwem, nie wiem, dlaczego teraz chce, żebym do niego wróciła.

- Czasami trudno zrozumieć ludzi, dziewczyno. Może należy do tych, którzy chcą chwycić to, co wymyka im się z rąk. To niepodobne do Fieldinga, pomyślała Jillie. Oczywiście minęło trochę czasu i zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę wcale go nie zna.

- Co mu zrobicie?

- Jeszcze nie wiem, ale coś wymyślę! - Mary spoważniała i spojrzała na Jillie. - Co sądzisz o naszym komendancie policji?

- Mam mieszane uczucia. - Mówiła prawdę. Nie widziała go od randki w Paradise Pavilion trzy dni temu i była zła, że ani razu nie zadzwonił. Ale gdyby teraz zaprosił ją na kolację, od razu by poszła. Bardzo chciała go zobaczyć i jednocześnie życzyła mu, aby zniknął z jej życia. Z jego powodu czuła się tak... zmieszana. - Nie podobał mi się ani trochę, kiedy mnie aresztował.

- Nie dziwi mnie to. Nikt nie lubi gliniarzy, którzy zakuwają w kajdanki. Jednak spotkałaś się z nim później?

- I to był błąd - stwierdziła Jillie; różne myśli przychodziły jej do głowy. - Nie mam czasu wiązać się teraz z żadnym mężczyzną!

- Dobrze wiedzieć - usłyszała znajomy głos.

Panna Todd podskoczyła, a Jillie odwróciła się szybko i natychmiast zapragnęła zapaść się głęboko pod ziemię. Blaise Corrigan obserwował ją i uśmiechał się, ale oczy miał poważne. O Boże, pomyślała Jillie, powinnam kazać sobie uciąć język.

- Ładny dzień, moje panie - oznajmił miłym głosem. - Czy Jillie nie jest niezwykła, Mary? Nie trzeba zgadywać, co naprawdę myśli. Mary wyglądała na prawie tak poruszoną jak Jillie, ale otrząsnęła się szybko.

- Nic, co młoda kobieta mówi wścibskiej staruszce, nie powinno być brane poważnie, Blaise.

Machnął ręką, jakby to wszystko nie miało większego znaczenia i nie było warte dyskusji, i Jillian poczuła się dziwnie gorzej.

Blaise znów patrzył na nią, ale jakoś inaczej, jakby zobaczył ją pierwszy raz w życiu.

- Przyszedłem zapytać, czy wiesz, gdzie znajde Fieldinga Wainwrighta? Nie ma go w hotelu.

- Fielding? Zrobił coś złego? - Nie, ale muszę z nim porozmawiać.

- Oczywiście - ostro warknęła Mary. - Czy wiesz, co ten facet wyprawia? Zaproponował burmistrzowi dużą darowiznę na kampanię wyborczą w zamian za przeforsowanie uchwały o prawie do uspienia każdego biednego psa, który więcej niż raz urwie się ze smyczy!

- Gdzie to słyszałaś? - spytał Blaise.

- Powiedział mi to ktoś, kto mógłby stracić pracę, gdyby to się wydało, więc uważaj, z kim się podzielisz tą informacją. Dan zamierza zwrócić się do rady miejskiej w czwartek wieczorem.

- Wyleci przez to ze stanowiska - stwierdził obojętnie Blaise. - Prawie każdy z mieszkańców ma psa.

- Nie sądzę, żeby aż do tego doszło - Mary stuknęła gwałtownie laską w ziemię. - Zapewniam cię, że odbędzie się publiczna debata.

Blaise skinął głową.

- A wracając do Wainwrighta, gdzie mogę go znaleźć?

- Pewnie w moim domu - odpowiedziała Jillie ponuro. - Oboje z matką najwyraźniej planujazostać tu na stałe.

Chybaja się przeprowadzę.

Przez chwilę Blaise jakby chciał coś powiedzieć, ale potem zmienił zdanie.

- Dobra, poszukam go tam.

- Czy coś się stało?

Znów się zawahał, po czym powiedział:

- Pies Cala Lepkina nie odbywa już kwarantanny, wczoraj w nocy ktoś go wypuścił.

-Skąd wiesz?

- Ten ktoś zostawił kartkę.

***Smycz jest jak więzienie! Dlaczego wszystkie psy mają być na to skazane od urodzenia? Uwolnić Rovera!***

Kartka znaleziona przy klatce wkrótce zawisła na kolorowej tablicy ogłoszeń. W postaci ulotki szerszej treści dotarła do mieszkańców Paradise Beach, którzy chcieli okazać poparcie dla Rovera. Wzywała ich do obecności na czwartkowych obradach rady miasta w celu zaprotestowania przeciwko nowym przepisom, które „skazujączworonożnych niewinnych przyjaciół na rzeź”.

Zanim Jillie dotarła do domu, plakaty i ulotki były już wszędzie. Wzdłuż bulwaru niedaleko ratusza ludzie z wielkimi planszami zachęcali kierowców, by trąbili w obronie psa. Hałas był ogłuszający.

Samochód Fieldinga stał zaparkowany przed domem. Jillie ogarnęła złość. Ten drań wykorzystywał obecność matki, żeby całymi dniami przesiadywać u niej.

Zrobiło jej się słabo na myśl, że były mąż czeka w środku, gotów do kolejnej awantury. Przeklinając pod nosem, zatrzymała się na podjeździe i wściekła podeszła do skrzynki na listy.

Ktoś przyczepił do niej wąską, zieloną, nylonową obrozę z napisem: Noś ją w obronie Rovera!

Rozbawiło ją to trochę i zawiązała obrozę na lewym nadgarstku - co za radość, że zdenerwuje tym Fieldinga.

Z listami w dłoni ruszyła do domu. Tak jak się obawiała, Fielding stał w otwartych drzwiach, gotów do ataku.

- Co ty tu robisz? - zapytała szorstko.

- Odwiedzam mamę. - Odsunął się trochę, żeby mogła wejść, i uśmiechnął się służalczo. - Nie umiesz być uprzejma?

- Z jakiego powodu? Zająłeś mój dom bez żadnego prawa! Nie mogę mieć nawet pięciu minut dla siebie, kiedy wracam pod koniec dnia!

- Jillie... - Zrobił smutną minę. - Nie możesz mi zabronić odwiedzać mamę.

- Mieszkasz z nią na co dzień u siebie na Północy. Czemu tam me zostaliście?

Fielding zamknął drzwi i podążył za nią do salonu, gdzie Harriet czytała pismo dla kobiet.

- Odwiedziny, tak? - powiedziała Jillie zniecierpliwiona. - Harriet czyta jakieś pismo i na tym polegają odwiedziny?



- Owszem - odparł Fielding. - Nie przyjechałem tu do mamy, tylko do ciebie-wyznał.

- A ja powinnam czuć się zaszczycona, wzruszona i wdzięczna? Uśmiechnął się.

- Może trochę.

- Jeszcze czego! Wynoście się stąd oboje, i to natychmiast!

Popędziła do sypialni, prawie nie poznając własnego domu. Harriet postanowiła go urządzić - na ścianach wisały obrazy, w salonie stały nowe fotele, a w kuchni nowe naczynia... miała ochotę krzyknąć. Oparła się o drzwi. Boże, Harriet wzięła się i za jej pokój: powiesiła nowe zasłony i kupiła pasującą do nich kapę na wodne łóżko. A przecież jej wystarczyły małe, białe rolety i granatowy koc. Teraz musiała patrzeć na krzykliwe egzotyczne wzory na kremowym tle, zielone gałązki z kwiatami hibiskusa. Hibiskus nie rośnie na gałęziach dzikiego wina-nic tylko zastrzelić tego, kto zaprojektował ten wzór.

Boże, westchnęła, czego się doczekałam! Najwidoczniej były na świecie gorsze rzeczy niż sam rozwód, gorsze niż zdrada. Inwazja. Najazd hord barbarzyńców ze stepów Massachusetts.

Porównanie było niedorzeczne, oczywiście, ale w zaistniałej sytuacji nie widziała nic zabawnego i kiedy rzuciła się na łóżko, zaczęła myśleć, jak pozbyć się natrętów.

Zamknęła oczy, wzięła kilka głębszych oddechów i spróbowała zwalczyć irytację. Zajmie się swoimi sprawami i skupi na realizacji planów, a wszystko inne powinno spływać po niej jak po kaczce. Ważna jest tylko księgarnia.

Reszta się nie liczy.

Odpreżyła się wreszcie, wstała z łóżka i chwyciła czyste ubranie, bo to, które miała na sobie, było szare od pyłu ze sklepu i przepocone. Marzyła o tym, żeby wykąpać się pod prysznicem - tymczasem drzwi do łazienki okazały się zamknięte.

- Mama się myje - zawołał Fielding z salonu. - Szykuje się, bo wychodzimy razem na kolację. Może pójdziesz z nami?

Jillie wkurzyła się jeszcze bardziej, kiedy usłyszała, że Harriet odkręca wodę nad wanną.

- Będzie się kąpać?

- Oczywiście.

Niecenzuralne słowa cisnęły się jej na usta, ale się opanowała. Z tego powodu, że ja się złoścę, Harriet nie wyskoczy szybciej z wanny, pomyślała. Pomaszerowała z powrotem do sypialni i rzuciła czyste ubranie na okropną kapę.

- Mama pięknie to urządziła, prawda? - powiedział Fielding zza jej pleców.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Wynoś się z mojego pokoju.

-Nie wściekaj się kochanie. Kiedyś mieszkaliśmy razem, zapomniałaś już?

- Wynoś się stąd natychmiast, bo wezwę policję i każę cię wyprowadzić.

Fielding oparł ręce na biodrach i spojrzał na nią pogardliwie.

- Zadzwońisz do tego wielkiego, zarozumiiałego komendanta policji? Cóż, nie boję się go, kotku. Może uganiać się za tobą, ale musi przestrzegać prawa.

- Prawo mówi, że mogę cię wyrzucić, Fielding. To mój dom.

- Właściwie, skarbie, jest mój. Kupiłem go dwa dni temu. Zapłaciłem gotówką. - Oglądał sobie paznokcie i najwyraźniej dobrze się bawił.

Jillie doznała szoku.

-Kupiłeś go? Dlaczego?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się do niej.

- Mama nie chciała czuć się tu jak gość.

- Fielding, jeśli wpadniesz do zatoki i całe stado rekinów się do ciebie dobierze, będzie niezły ubaw!

- Hej! - wyglądał na zranionego. Chyba mu przykro, pomyślała Jillie. Fielding Wainwright nadal był jak czteroletni chłopiec. - Powinnaś być dla mnie miła! Już nawet czynszu nie musisz płacić!

Chwyła poduszkę z łóżka i chciała rzucić, ale opanowała się. Bez względu na to, jak bardzo się denerwowała, nie mogła sobie pozwolić na najmniejszy atak szału, chociaż poduszka to tylko poduszka. Zamiast nią rzucić, zacisnęła palce tak mocno, że poczuła, jak materiał pęka.

- Ale będę płaciła czynsz, ty gadzie. Nie uda ci się uzależnić mnie od siebie. Nie jestem taka głupia!

- Nie miałem... - Coś w wyrazie jej twarzy powstrzymało go. - Dobra - powiedział. - Możesz płacić czynsz. A co ty, do cholery, masz na ręce? Spojrzała na zieloną obrozę.

- To psia obroza. Wiesz, ludzie noszą różnokolorowe wstążki na znak solidarności...

- Zielona obroza? Po co ci to?

- Chodzi o Rovera. - Nagle miała ochotę się uśmiechnąć. - Wiesz, o tego psa, który cię ugryzł. On uciekł, Fielding, i mam nadzieję, że go nie złapią!

Po chwili Fielding walił do drzwi łazienki i wołał matkę.

- Mamo! Mamo, ten pies uciekł... a Jillian się z tego cieszy! Mamo...

Skarż się, skarż, pomyślała Jillian, idąc do kuchni. Skoro nie może wziąć prysznicza, to przynajmniej wypije szklanke lemoniady.

Zerknęła na nylonową obrożę na rękę i roześmiała się.

- Dalej, Rover, dalej! - krzyknęła i w odpowiedzi usłyszała wrzask Fieldinga.

Nigdy nie znalazł się na żartach.

Sąsiadować z Jillian McAllister jest dobrze i źle, pomyślał Blaise tego wieczoru, kiedy obserwowali piękny zachód słońca nad zatoką. Z jednej strony mógł się gapić na jej wspaniałe nogi i słodki tyłeczek, za każdym razem kiedy wychodziła na podjazd, albo, jak teraz, podglądać ją, jak z wypiętą pupą kopie w ogródku.

Niestety, widział też, kiedy jest zdenerwowana... tak jak w tej chwili. Każdym ruchem ogrodniczego rydla wyładowywała złość. Wyżywała się na chwastach rosnących wokół azalii.

Kolejnym minusem tak bliskiego sąsiedztwa było to, że przynajmniej na razie Fielding Wainwright znajdował się w pobliżu. Dlatego Blaise nie mógł się zdecydować, czy podejść do Jillie i zapytać, co ją wprawiło w taki stan. Jeśli do niej zagada, znów zaczną się dyskusje na temat przepisów dotyczących psów i tego, że w stanie Floryda są za łagodne. Blaise już raz to przerabiał, wczoraj, i to tuż przed tym, jak Wainwright zdecydował się przekupić burmistrza.

A co tam, do diabła. W najgorszym przypadku Fielding da mu pretekst do aresztowania. Ale warto było się narażać na nieprzyjemności. Poza tym, Jillie była smutna...

Nie chciał się zastanawiać, dlaczego tak się nią przejmuje. Zamknął karton z sokiem i poszedł do niej do ogrodu.

Usłyszała, jak się zbliża, i przysiadła na piętach. Otarła pot z czoła i rozmazała na twarzy strużkę brudu.

Nie wiedział, co powiedzieć, więc milczał. Sądząc po wyrazie twarzy, nie była w nastroju do rozmowy.

- Cześć - przywitał się.

Skinęła głową i popatrzyła na niego z zaciśniętymi zębami.

- Hm... - Zawahał się, ale natychmiast postanowił zaryzykować. - Mam wrażenie, że jesteś wściekła.

- No. - Odwróciła się i wbiła rydel w ziemię. - Fielding - wypowiedziała tylko to jedno słowo i znów głęboko wbiła ostrze.

- Och - wciągnął powietrze i zamyślił się. Sprawy pomiędzy byłymi małżonkami czasem przybierały bardzo nieprzyjemny obrót; sam długo le-

czył rany. Może nie powinien się wtrącać, ale z drugiej strony nie należał do tchórzy.

- Co ci zrobił?

- Kupił dom.

-Co?

- Kupił cholerny dom, ten, który wynajmuję! - wskazała rydłem. -Po jakie lichy?-Dziwna inwestycja jak na kogoś tak bogatego. Taki

dom mogłaby kupić para staruszków, którzy planowali mieszkać w nim tylko kilka lat, żeby nie obciążać się wysokimi kosztami utrzymania.

- Och, nie mam pojęcia - powiedziała ze złością. - Może dlatego, że lubi wszystko kontrolować. Oświadczył mi, że nie będę musiała płacić czynszu, a jego matka poczuje się jak siebie.

- Ma za dużo pieniędzy do wyrzucania w błoto. - Blaise rozważał, co powiedzieć, bo nie wiedział, jak Jillian potraktowała byłego męża.

- Jest tak bogaty, że może sobie na to pozwolić - zgodziła się gorzko. - Ma zdecydowanie za dużo pieniędzy. Wielu ludzi myśli, że to cudowne uczucie, ale ja twierdzę, że pieniądze psują charakter. On uważa, że może mieć wszystko, czego zapragnie, i to w każdej chwili. Inwestycje i zyski w przyszłości, w ogóle się nad tym nie zastanawia.

- Rozumiem. - Nie. Nie rozumiesz. - Dorzuciła kolejny chwast na kupkę zielska. -Nie tylko nie myśli przyszłościowo, bo taki jest z natury, ale w głowie mu się nie mieści, że jest na świecie coś, czego nie może kupić. Jeśli chodzi o Fieldinga Wainwrighta, wszystko ma swoją cenę.

- Ach. - Teraz rozumiał, jak to ją musiało denerwować.

- Jeżeli sądzi, że może mnie kupić za siedemset dolarów miesięcznie... Blaise przerwał jej, zdumiony.

- Zaoferował ci siedemset dolarów miesięcznie? Za co? Za ponowne poślubienie go? To nieprzyzwoite. - Już szukał w pamięci odpowiedniego paragrafu, zadając sobie pytanie, za co mógłby przyszpilić faceta.

- To nie tak! - pokręciła głową i znów wyżyła się na zielsku. - Kupił ten dom i potem oznajmił mi, że już nie muszę płacić za wynajem. Ciekawe, jak jeszcze może mnie obrazić?

Blaise zawahał się, ponieważ nie wiedział, jak Jillie to ocenia, i bał się popełnić kolejny błąd.

- Obrazić? Dlaczego cię to obraża?

- Bo jemu się wydaje, że w tak beznadziejny sposób może kupić moje uczucia... a co za tym idzie, kupić mnie. I nie mów mi, że zapłacił za dom tylko po to, żeby mamusia czuła się wygodniej.

- Wcale tak nie twierdzę.

- Fielding Wainwright nigdy w życiu nie zrobił nic bezinteresownie. Użył swojej matki jako wymówki, żeby kupić dom i żebym była mu coś winna. Po to, żebym nie mogła go stąd wyrzucić, bo on jest właścicielem. Po to, żeby...

- Czekaj, czekaj! - przerwał jej Blaise. - Zaraz, zaraz, Jillie. Dlaczego myślisz, że nie możesz go wyrzucić?

- Bo teraz dom należy do niego!

- Masz umowę najmu?

- Oczywiście. Na dziewięć miesięcy.

- Więc przez dziewięć miesięcy masz prawo wyrzucić go i jego matkę na bruk.

Przestała pielić i podniosła wzrok. -Jak to?

- Tak to. Umowa najmu pozostaje wiążąca.

- Ale on jest właścicielem.

- To mu nie daje prawa przebywania na terenie posesji całymi dniami. Sprawdź treść umowy. Myślę, że znajdziesz tam punkt mówiący o tym, że wolno mu być tutaj za twoją zgodą, jeśli zaistnieje jakaś wyjątkowa sytuacja.

Powoli uśmiech pojawił się na jej twarzy.

- Więc kiedy wróci z kolacji, mogę mu powiedzieć, żeby się wynosił? -I Harriet też, jeśli tego chcesz.

Uśmiech zniknął i Jillie westchnęła.

- Zaczynam czuć do niej taką niechęć jak do Fieldinga. Całkowicie przemeblowała dom. Kupiła nawet nowe naczynia. - Kręcąc głową, znów zaczęła kopać. - Dziś po powrocie do domu osłupiałam, kiedy weszłam do sypialni, ozdobiła ją zielonymi winogronami i hibiskusem. Brakuje tylko Tarzana bujającego się na lianie.

- Jak na kogoś, kto zawsze mówi, co myśli, dziwnie pozwalasz tej dwójce wchodzić sobie na głowę.

- Słuszna uwaga. - Skrzywiła się i rozprostowała bolące nogi. - Jest coś w Fieldingu i jego matce... - spojrzała na Blaise'a ukosem, trochę zawstydzona. - Nie wiem, co to jest, ale... Kiedyś pozwalałam Fieldingowi decydować nawet o tym, co mam na siebie włożyć.

- Czy przypadkiem nie onieśmiało cię jego bogactwo? Przechyliła głowę i spojrzała na zachodzące słońce.

Niebieskie niebo

przechodziło w indygo, a czerwień powoli blakła.

- Wiesz, może i tak. Nie wychowałam się w biedzie, ale Fielding i jego rodzina żyli... trochę w innym świecie. I ja...

- przerwała i zawiesiła głos. Nie lubiła opowiadać o tym, jak została osierocona, bo brzmiało to tak,

jakby szukała współczucia. - W każdym razie, czułam, że do nich nie pasuję, i chyba odruchowo pozwalałam im dyktować mi, co mam robić.

Z ogromnym wysiłkiem powstrzymał się, żeby jej nie powiedzieć, że powinna opanować ten odruch. Nie chciał przypominać jej, że on też zawsze poucza ludzi.

- Rozumiem, jak to się mogło stać.

Mówiąc to, zauważył panią Herrera, drugą sąsiadkę Jillie, podglądającą ich zza rogu domu.

- Nie patrz tam - szepnął do Jillie. - Największa plotkarka w Paradise Beach gapi się na nas.

-Naprawdę?

Powinien ją pochwalić; nawet nie zerknęła w stronę pani Herrera. -Może powinniśmy dać jej powód do plotek-powiedziała Jillie, a psotna iskierka błysnęła jej w oku. - Chcesz mnie aresztować?

- Wolałbym zrobić coś o wiele bardziej podniecającego. - Przyciągnął ją do siebie, przechylił przez ramię i pocałował szelmowsko. Kompletnie ją tym zaskoczył. Nie tylko nie spodziewała się takiego obrotu sprawy, ale też nie była gotowa na jego pocałunek. Nie miała jednak nic przeciwko temu i nawet zakreśliło jej się w głowie, kiedy znalazła się w objęciach Blaise'a, a jego ciepłe usta dotknęły jej warg.

Nie wyobrażała sobie, że jeden pocałunek może być tak niebezpieczny. Poczuli się jak na kolejce w lunaparku, pędzącej w ciemnościach, kiedy nie wiedziała, jakie pętle i stromizny ją czekają.

Serce zaczęło jej bić jak szalone i zalała ją fala podniecenia graniczącego z przerażeniem. Nie! Krzychał w niej głos rozsądku. Nie! Nie mogła na to pozwolić. Nie teraz. Nie wtedy, gdy miała tyle problemów. Fielding, jego matka, księgarnia... nie! Ale pokusa była nieodparta i zbyt trudna do zwalczania. Ciepło jego ust oszołomiło ją całkowicie i wypełniło pragnieniem, którego, jak sobie przysięgała, nie chciała poczuć nigdy więcej. Boże, tak bardzo zapragnęła tego mężczyzny!

- Hej, co wy robicie?

Głos, który dobiegł z oddali, wyrwał ją z błogostanu. Zmysłowe usta odsunęły się i Jillie powróciła do rzeczywistości, jakby ktoś oblał ją kubkiem zimnej wody.

- Puść moją żonę, ty... ty... zboczeńcu!

Jillie wyprostowała się nagle i zobaczyła rozwścieczonego Fieldinga, który zbliżał się do nich. Puść moją żonę, ty zboczeńcu? Musiała zakryć usta dłonią, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Rzut oka na Blaise'a wystarczył, żeby się przekonać, że jemu też jest wesoło. Zdradzały go kąciaki oczu.

Kiedy i jak zdążyła poznać go tak dobrze? Zastanowiła się nad tym, czując dziwny ucisk w żołądku. Coś się zmieniło. Spokojnie spoglądała na Fieldinga. Mimo że były mąż działał jej na nerwy, wiedziała, że teraz da sobie z nim radę o wiele lepiej.

- Do diabła, Fielding. Nie jestem twoją żoną!

- A ja nie jestem zbrojeńcem - dodał Blaise.

- Wynoś się z mojej ziemi, Corrigan - rozkazał Fielding z wściekłością.

Blaise popatrzył na Jillie wyczekująco. Decyzja należała do niej. Podniosła głowę.

- Ja go tu zaprosiłam. -To moja ziemia.

Jillie przestąpiła z nogi na nogę i mocno zacisnęła pięści.

- Nie, Fielding. Wiesz dobrze, że mam umowę najmu, która mówi, że to mój dom. Ja decyduję, kto jest mile widziany, a kto powinien się wynieść.

Fielding gapił się na nią, a jego szczeka poruszała się nerwowo. Nagle zaatakował Blaise'a.

- Jakimi bzdurami ją karmisz, Corrigan? Jillie poczuła się obrażona.

- Dlaczego myślisz, że ktokolwiek karmi mnie czymkolwiek?

- Bo nie wspomniałaś o tym wcześniej, kiedy ci powiedziałem, że kupiłem dom! - znów zwrócił się do Blaise'a. - Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy, Corrigan. Czemu nie jesteś na służbie? Ta bestia, która mnie ugryzła, znów biega wolno.

- Nie jestem miejskim hyclem, panie Wainwright - odparł Blaise dość spokojnie. -I wcale nie wiadomo, czy pies biega po ulicach. Z tego, co wiem, ktoś go ukraść.

- Ukraść? Aha! Założę się, że to jego cholerny właściciel. Zadałeś sobie choć trochę trudu, żeby to sprawdzić?

- Psa nie ma u właściciela. - Tym razem ton głosu Blaise'a był ostry. -Może to pana zaszokuje, ale policja w Paradise Beach wie, jak prowadzić śledztwo. Szczerze mówiąc, pan jest jednym z podejrzanych.

Jillie odetchnęła głęboko i spoglądała na byłego męża. Fielding sapał ze wzburzenia i jak ryba łapał powietrze ustami.

- Ja? - wykrztusił wreszcie. - Ja? Dlaczego, ja... ja bym nigdy nie... zniżył się do...

- To nie ma nic do rzeczy - przerwał mu bezlitośnie Blaise. - Wszyscy wiedzą, że domagał się pan uspienia psa. To wystarczający powód, by pana podejrzewać.

Fielding dławił się i dusił, aż w końcu wycelował palec w Blaise'a i zagrział:

- Porozmawia pan sobie z moim adwokatem!

- Pański adwokat może ze mną porozmawiać, ale nie mam obowiązku omawiać z nim przebiegu śledztwa. - Blaise odwrócił się do Jillie. - Jeśli nie chcesz, żebym usunął tego typa z twojej ziemi, pójdę już.

- Nie możesz mnie wyrzucić! - wrzasnął Fielding. - Jestem u siebie! Blaise zrobił krok w jego kierunku i chociaż miał na sobie białe krótkie

spodenki i koszulkę w niebiesko-białe paski, zachowywał się jak policjant pełniący obowiązki. Nie musiał się wysilać, samą posturą wzbudzał należyty respekt.

- Słuchaj, Wainwright. Decyzja należy do Jillian. Jeśli powie, że masz się wynosić, to znikasz. A na dodatek, zakłócasz spokój tymi wrzaskami, więc bądź cicho, bo zamknę cię za przeszkadzanie sąsiadom.

Resztki świetlistej poświaty prawie zniknęły z nieba, ale Jillie wyraźnie widziała, jak Fielding poczerwieniał na twarzy. Zauważyła również, że pani Herrera cały czas ich obserwuje ze swojego ogrodu, a Harriet, zaskoczona, przygląda się im, siedząc na przednim siedzeniu w samochodzie Fieldinga.

Musiała natychmiast coś zrobić, ale nie wiedziała co. Fielding był gotowy do konfrontacji i nie mogła winić Blaise'a za jego reakcję. Wtedy Harriet wysiadła z samochodu i podniosła głos.

- Fieldingu Wainwright, opanuj się natychmiast. -Mamo...

- Nie mów do mnie mam, młody człowieku! Robisz z siebie widowisko!

- Tak? Mam ci przypomnieć, kto się tu obściskał, kiedy wyszliśmy z domu?

- O, chwileczkę! - oburzyła się Jillie. - To moja sprawa! Będę całowała, kogo zechcę i kiedy przyjdzie mi na to ochota! - Blaise nagle odwrócił głowę i była ciekawa, czy się śmiał. Jej nie było do śmiechu. Zirytowana, miała ochotę i na niego warknąć, ale nie wiedziała, co powiedzieć. Właściwie nic złego nie zrobił.

- Nic podobnego - zaperzył się Fielding. - Kiedy znajduję moją żonę w objęciach innego...

-Nie jestem twoją żoną!

- Fielding - wtrąciła się Harriet. - Ani słowa więcej! Czy całkiem zapomniałeś, po co tu przyjechaliśmy?

Fielding nagle zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko, więc szybko się wycofał.



- Dobra - powiedział, zniżając głos - zamknę się, ale nie musi mi się to podobać! - ponuro popatrzył na Jillian, która odplaciła mu podobnym spojrzeniem.

- A teraz, dzieci - zarządziła Harriet, spoglądając na syna i Jillie - idźcie do domu i pogódźcie się. Jestem pewna, że komendant Corrigan ma ważniejsze rzeczy do roboty, niż wysłuchiwać waszych sprzeczek.

Tego już było za wiele i Jillie wybuchnęła.

- Jak śmiesz mi mówić, co mam robić. Idę do domu sama, jak najdalej od waszych wścibskich oczu. Wyoście się stąd natychmiast! Fielding, nie chciałabym cię, nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną na ziemi, więc wracaj dziś do domu! I zabierz swoją matkę!

Okręciła się na pięcie, jak burza wpadła do domu, kątem oka dostrzegając wpatrzoną w nią panią Herrera, i zatrzasnęła za sobą drzwi. Dopiero wtedy dotarło do niej, że Blaise mógł pomyśleć, że i jego zaliczyła do wścibskich. Trudno, pomyślała.

## Rozdział 9

Hej, komendancie? Blaise podniósł głowę i na progu swojego biura zobaczył sierżant Elaine Barbera.

- Słucham?

- Pomyślałam, że chciałby pan o tym wiedzieć. Na bulwarze wandalę zniszczyli jeden sklep. To chyba robota jakiegoś gangu.

- U nas nie ma gangów.

- Właśnie. Dlatego pomyślałam, że zainteresuje pana, że ktoś chce zrobić krzywdę pańskiej przyjaciółce...

- Komu? - Blaise przerwał ostro.

Elaine zamrugła oczami i spojrzała na niego tak, jakby chciała się wycofać. Mimo że była drobna, poradziłaby sobie z facetem dwa razy większym od siebie.

- Przyjaciółce - powtórzyła w końcu odważnie. - No wie pan, chodzi o pańską dziewczynę.

- Nie mam dziewczyny - zaprzeczył zirytowany Blaise i zaczął się zastanawiać, jakie plotki tym razem wymyślono w Paradise Beach.

- Och - Elaine wzruszyła ramionami. - No, nie pierwszy raz plotki nie są prawdziwe. To co, chce pan wiedzieć?

- Oczywiście, że tak! Tym bardziej, jeśli pojawiły się nas jakieś gangi. Elaine skinęła głową.

- Szczerze mówiąc, to nic wielkiego, przesadziłam. Po prostu myślałam, że to pana zainteresuje z powodu zaangażowania w... - przerwała nagle. - Nieważne. Tylko trochę graffiti na ścianie. Dziwne symbole. Nasi ludzie, którzy tam już byli, uważają, że to znaki jakiegoś gangu, ale mogą się mylić.

- W którym budynku?

- Obok sklepu Belindy. Tam, gdzie ma być księgarnia. Przynajmniej tak mówią, ale to też może być nieprawda, bo skoro pan w rzeczywistości nie całował wczoraj pewnej pani w ogrodzie... -urwała i już jej nie było. Blaise ruszył za nią. Wiedział, że śmiała się z niego i że wcale nie dała wiary protestom. Bo niby dlaczego? Cholerna pani Herrera i jej długi język.

Jillie nie była jego dziewczyną. Po pierwsze, poszli tylko najedną randkę. Po drugie, uważał, że za bardzo związała się z dawną rodziną. Wystarczy pomyśleć o tym, co się stało wczoraj wieczorem. Poszedł do niej, tylko żeby się dowiedzieć, co ją gryzie, i o mało nie pobił się z Fieldingiem. Przebywanie w jej pobliżu mogło się źle skończyć! Po trzecie, nie miał zamiaru nigdy więcej popełnić błędu i przywiązać się do żadnej kobiety. Lgnęły do policyjnego munduru, ale kiedy trzeba było zaakceptować godziny jego pracy, pogodzić się z niebezpieczeństwem i niskimi zarobkami, szybko uciekały. Tak, jak zrobiła jego ekszona. Dzięki Bogu, że nie mieli dzieci.

Jillian McAllister była jedynie... cóż... kimś, z kim chciałby się zabawić -jeśli kiedykolwiek pozbędzie się Fieldinga. Skoro jednak to mało prawdopodobne, nie zamierzał nadawać jej, nawet na krótko, statusu swojej dziewczyny. Przy sąsiadce takiej jak pani Herrera rozsądek nakazywał w ogóle nie odzywać się do Jillie.

-Komendancie?

Tłumiąc westchnienie, podniósł głowę i zobaczył w drzwiach Bucka Krafta.

- O co chodzi?

- Nasi chłopcy chcieliby nosić zielone obroże, więc przyszedłem zapytać, czy nie będzie problemu.

-Zielone obroże?

Kraft uśmiechnął się szeroko.

- Tak, no wie pan. W poparciu dla Rovera. Większość ludzi w mieście je nosi. Normalnie Blaise nie zgodziłby się na ten pomysł, bo nie lubił, kiedy policjanci na służbie mieszały się do polityki. Jednak z drugiej strony, gdy

pomyślał, jaki to będzie miało wpływ na Dana Burgessa, nie potrafił się opanować. Uśmiechnął się.

- Proszę bardzo. Żaden problem. Tylko nie noście ich na szyi, ktoś mógłby was łatwo złapać i zranić.

Buck skinął głową.

- Chciałem założyć jajak bransoletkę.

Tak, pomyślał Blaise, na nadgarstku może być, to jak zegarek.

- Zgoda. - Czemu nie, do licha? Burgess chciał mu dopiec, więc nadarzyła się okazja do zemsty. Hej - zawołał za Buckiem. - Możesz przynieść jedną dla mnie?

Potem, z trudem, bo z trudem, ale skupił uwagę na raporcie, który czytał, i starał się nie myśleć o Julian McAllister i jej kłopotach.

- Naprawdę uważam, że powinien pan przyjechać i zobaczyć te napisy, komendancie. - Powiedział przez telefon Wes Tamlin. - To już drugi dzień z rzędu i są coraz bardziej złośliwe.

Gdyby pojawiły się na ścianach jakiegokolwiek innego sklepu w Paradise Beach, Blaise szybko pojechałby je zobaczyć. Ale ponieważ wiedział, że chodzi o sklep Jillie, szukał wymówki. Nie chciał już nigdy więcej widzieć tej kobiety. Za nic na świecie. Boże, ludzie rzucali mu filuterne spojrzenia i puszczali oczko, a wszystko przez długi język pani Herrera. Gdyby teraz ktoś zobaczył go wołającego do Jillie choćby z daleka, plotki nie miałyby końca. Poza tym, była niedziela rano i Blaise właśnie wychodził.

- Idę do kościoła, Wes.

- Mówię panu, komendancie, powinien pan to zobaczyć.

- No to przyjadę po mszy - powiedział Blaise sucho. - Zrób dobre zdjęcia.

- Nikt nie będzie tego zmywać, dopóki pan nie przyjedzie. Musi pan sam obejrzeć.

Upór Wesa zarówno wzbudził ciekawość Blaise'a, jak i go zirytował. Nie lubił być do niczego zmuszany. Czy chciał czy nie, ta sprawa go obchodziła. Gdyby napisy pojawiły się raz, uznałby to za zwykły wybryk wandalów, dzieciaków, które miały za dużo wolnego czasu. Drugi raz wskazywał na celowe działanie. Ktoś chciał zaatakować Jillie, a tego Blaise nie mógł zignorować.

Ale najpierw musiał pokazać się w kościele. Gdyby nie zjawił się w swojej ławce o określonej porze, powstałyby kolejne plotki - że coś bardzo złego dzieje się w Paradise Beach. Zdarzyło się tak już kiedyś, poprzedniej zimy,

gdy złapał gripę od jakiegoś turysty z Północy i nie przyszedł na mszę. Całe miesiące zajęło mu dementowanie plotek o tym, że wyrzucono go z pracy, że prowadził śledztwo w sprawie narkotyków i że uległ poważnemu wypadkowi.

Nie tym razem. Nie chodziło o masakrę ani o zamieszki, więc to mogło poczekać.

Z powodu telefonu Wesa wyjechał kilka minut za późno, ale znalazł jeszcze jedno wolne miejsce, by zaparkować przy ulicy. Większość ludzi była już w środku.

Kiedy powoli szedł chodnikiem do drzwi wejściowych, uderzyło go, że wiele osób nosiło zielone psie obroże. Część założyła je na nadgarstki, a dużo młodych ludzi pozapinało je sobie na szyi. Blaise rozejrzał się odruchowo, czy Dan Burgess jest gdzieś w pobliżu, ale nie zauważył go.

Sam nie miał obroży na rękę, uważał, że nie wypada zakładać jej do kościoła, dlatego schował ją w kieszeni spodni khaki. Przez chwilę obracał ją w palcach i zastanawiał się, czy jednak jej nie założyć, ale zrezygnował. Ani miejsce, ani czas nie były odpowiednie.

Jak zawsze o tej porze roku do kościoła przyszło wielu turystów. Parafianie, którzy go znali, jak świętość szanowali jego miejsce na końcu czwartej ławki. Dziś zajmowała je kobieta w różowej wzorzystej sukience i w słomkowym kapeluszu z dużym rondem. Blaise usiadł z drugiej strony, przy przejściu, i miał nadzieję, że ludzie go widzieli. Nie uśmiechało mu się przez miesiąc odpowiadać na telefony z zapytaniem, czy złapał już tego słynnego handlarza narkotyków i czy odnaleziono rodzinę, która utonąła.

Już dawno temu stwierdził, że sezon turystyczny ma swoje minusy -wszystko się wtedy zmieniało. Na przykład nie mógł usiąść w swojej ławce, chyba że przyjeżdżał do kościoła dużo wcześniej. Dochodziło do zakłóceń w ruchu drogowym, bo kierowcy uczyli się jeździć w różnych rejonach świata i nikt nie potrafił przewidzieć, jak się zachowają w konkretnej sytuacji. Codzienne życie było utrudnione z powodu tłumów przyjezdnych.

A najbardziej dokuczało ludziom, że musieli rezygnować z wygodnych przyzwyczajzeń. Wszystkich to drażniło i kiedy sezon dobiegał końca, tuż po Wielkanocy, większość mieszkańców była na granicy wytrzymałości.

Blaise pokręcił głową i postanowił o tym nie myśleć. To dopiero styczeń i jeśli teraz zacznie się denerwować, przed Wielkanocą będzie jak tykająca bomba zegarowa.

Popatrzył na szybko zapelniające się ławki. Zobaczył Staną i Cherry Potterów, turystów, którzy brali udział w kraksie na bulwarze. Odniósł wrażenie, że Cherry znów robiła mężowi wymówki. Zaskoczyło go, że oboje

jeszcze tutaj byli. Większość wczasowiczów spakowałaby się i wyjechała, po to, żeby nie mieć żadnych kłopotów z prawem.

Tego ranka wybrano znane psalmy, w tym jego ulubiony: „Nie zapominaj o mnie...”. Śpiewali starał się nie myśleć o Julian McAllister. Niestety, wielebny Archer przypomniał mu ją, trochę pośrednio, przez wzmiankę o Roverze.

- Dziś - powiedział duchowny, stając na ambonie i spoglądając na wszystkich z góry- wyciągniemy naukę z Psalmu 36.

Jahwe, miłosierdzie Twoje niebios sięga,  
a wierność Twoja - obłoków;  
najwyższe góry są miarą Twojej sprawiedliwości,  
a przepastna toń morska - Twoich wyroków.

Ludzie i zwierzęta u Ciebie znajdują wspomnienie, o Jahwe!

Archer pochylił się do przodu. Rękawy jego sutanny zadarły się trochę i Blaise zobaczył zieloną psią obrozę na nadgarstku duchownego. O mało się głośno nie roześmiał, ale w samą porę zapanował nad sobą.

Archer powoli i spokojnie powtórzył ostatnie słowa psalmu.

-„Ludziei zwierzęta u Ciebie znajduj wspomnienie, o Jahwe!”-Wyprostował się nagle i szeroko rozłożył ramiona. - Czyżbyśmy mieli robić dla naszych przyjaciół mniej niż Bóg? Czy będziemy trwać w bierności, kiedy siły zła grożą unicestwieniem naszych małych ulubieńców?

I wtedy Blaise dokładnie zrozumiał, do czego zmierza kazanie. Rozejrzał się szybko dookoła, jakby chciał się zorientować w nastrojach parafian i zauważył Dana i Doris Burgessów siedzących z tyłu. Nabożeństwo zapowiadało się interesująco. Archer wysoko uniósł dłoń.

- Pies - zagrzmiał. - Małe kudłate zwierzątko, które nie pragnie niczego więcej, jak kochać swego pana. Nie inaczej niż my obecni w kościele, którzy pragniemy wielbić najświętszego Boga. Pies, zwykłe stworzenie, kocha nas cierpliwie przez całe życie i nie oczekuje od nas nic poza przyjaznym gestem i jedzeniem.

Blaise usiadł wygodnie i obserwował, jak wielebny Archer, coraz bardziej podniecony, macha rękoma i grzmi słusznie oburzony, kiedy mówi o biednych psach i złych ludziach, którzy chcą je wymordować za małe przewinienia, czyli ucieczki ze smyczy.

- Psy trzeba trzymać na smyczy tylko dlatego, że nie zostawiliśmy im miejsca do swobodnego biegania, a przecież to leży w ich naturze. - Twarz Archera zrobiła się czerwona, a wierni zaczęli mu wtórować zgodnym „Amen!” w odpowiedzi na każde jego zdanie.

Katem oka Blaise zauważył, że Dan Burgess próbował się wymknąć ze swojej ławki, ale żona chwyciła go i zatrzymała. Doris Burgess nosiła na ręku zieloną psią obrozę. Mógł sobie wyobrazić, jakie życie miał teraz w domu burmistrz. Doris słyszeła z dużej siły perswazji i Dan też jej ulegał - z pewnością żałował, że w ogóle wmieszał się w tę sprawę.

- Rover! - krzyczał duchowny, a zebrani pomrukiwali zgodnie. - Rover! Zwyczajny mieszaniec, pochodzenie nieznane, kolor pospolity... Rover opiekuje się Calem Lepkinem, starszym obywatelem naszej społeczności, człowiekiem, który nie ma żadnej rodziny i któremu za towarzystwo musi wystarczyć jeden kudłaty pies! Czy pozbawimy brata Lepkina jego jedyne go pocieszyciela? Czy powiemy mu, że nie może trzymać swojego przyjaciela tylko dlatego, że Rover zachowuje się jak pies?

-Nie! - odpowiedzieli zebrani.

- Czy może uratujemy go, tak jak uratowałby go nasz Pan? -Tak!

Kościół ożył, jak za dawnych lat, pomyślał Blaise i uśmiechnął się ukradkiem. Nie przypuszczał, że Arthura Archera stać na coś takiego.

- A teraz - powiedział Archer, unosząc dłonie i prosząc o ciszę - musimy pomyśleć o jeszcze jednym przejawie zła w naszej społeczności. Wśród nas są tacy, którzy sprzedaliby święte publiczne zaufanie. Ludzie z daleka, którzy potrafią skusić naszych urzędników do popełnienia grzechu chciwości. Mamy wśród nas w Paradise Beach diabła, oślizłego węża z rozdwojonym językiem! Człowieka, który chciałby widzieć Rovera martwego i użyje wszelkich wpływów i pieniędzy, żeby doprowadzić do śmierci psa. Jeden okropny człowiek przeciwko małemu zwierzęciu. Ten niegodziwiec chętnie uspiłby wszystkie nasze psy, gdyby urwały się ze smyczy... i nawet nie jest z naszego miasta!

W tym momencie turyści poruszyli się nerwowo. Blaise zaczął się zastanawiać, co zrobi, jeśli wielebny Archer podburzy parafian i sytuacja wymknie się spod kontroli. Takie zachowanie nie powinno mieć miejsca w kościele.

- Słuchajcie, bracia i siostry - powiedział Archer cichszym głosem. -Nie chcę, żebyście stąd wyszli z przeświadczeniem, że wszyscy nasi goście są winowajcami. Większość z nich to wspaniali ludzie i cieszymy się, że co roku nas odwiedzają. Ale jest wyjątek, jeden człowiek, którego trzeba powstrzymać, zanim przez niego zginą nasze czworonogi! Co będzie, jeśli pozwolimy mu dopiąć swego i przekonać radę miejską? Potem zechce wymordować nasze koty? Nasze domowe żółwie? Jeśli nakłoni radę do zmiany przepisów, może będzie w przyszłości dalej nią manipulował? - przerwał, żeby ludzie dokładnie zapamiętali, co im grozi, a następnie przeszedł do wniosków końcowych.

- Dlatego, moi drodzy sąsiedzi i przyjaciele, musicie za wszelką cenę być obecni na posiedzeniu rady miasta w czwartek wieczorem. Ratujcie Rovera! Chronście Paradise Beach przed atakiem jadowitego węża!

Mary Todd zatrzymała Blaise'a po wyjściu z kościoła.

- Ha! - zawołała pogodnie. - No i co sądzisz o dzisiejszym kazaniu?

- Pewnie nie miałaś z tym nic wspólnego?

- Ja? A jaki ja mam wpływ na to, co wielbny Archer wygłasza w kościele? - zapytała z miną niewiniątka.

- Bardzo duży, jak sądzę. - Blaise nie potrafił ukryć rozbawienia. - Myślę, że czwartkowe posiedzenie rady będzie bardzo ekscytujące.

- Diabelnie, jak mawiał mój tata. Nie wiem, dlaczego tak jest, Blaise, ale do szału mnie doprowadza, kiedy ktoś chce przekupić polityka, a jeszcze bardziej się oburzam, kiedy polityk się sprzedaje.

- Tylko pamiętaj, żebyś ty zawsze przestrzegała prawa.

- Ojej! - Mary wyduła usta i skrzywiła się. - Kiedy zrobiłeś się taki surowy? To dowodzenie posterunkiem nie wyszło ci na dobre, Blaise. Zmieniasz się w strasznego... służbistę.

- Służbistę!

- Och... może to niedobre słowo - powiedziała Mary poruszona. - Chodzi mi o to, że ty nigdy się nie mylisz i bez przerwy wszystkim mówisz, co mają robić! Taka aureola doskonałości musi być bardzo ciężka! - Odwróciła się i odeszła powoli, opierając się na hebanowej lasce. Po chwili zatrzymała się i spojrzała na niego jeszcze raz.

- Musisz coś zrobić w sprawie sklepu Jillian. Biedna dziewczyna pewnie umiera ze zmartwienia! Dwa dni pod rząd to samo! - pokręciła głową. - Do diabła, dokąd ten świat zmierza.

Blaise poczuł się, jakby go coś użądliło. Patrzył, jak Mary podchodzi do swojego wózka golfowego w kolorze lawendowym i odjeżdża. Nie wiedział, czy ona w ogóle potrafi prowadzić samochód. Od lat poruszała się tylko tym wózkiem. Czasami na bulwarze robił się za nią korek, ale nikt nigdy nie odważył się czegoś jej zakazać. Mary Todd, jej laska i wózek golfowy to nieodłączne elementy Paradise Beach, tak jak Rover.

Co ona, do czorta, miała na myśli, nazywając go służbistą i mówiąc mu, że aureola doskonałości musi być ciężka?

Do licha, Jillie powiedziała dokładnie to samo - tylko nie zarzuciła mu służbistości.

Niespodziewana krytyka sprawiła, że Blaise się speszył. Mógłby zlekceważyć takie słowa, gdyby usłyszał je od jednej osoby, ale skoro dwie widziały go w takim samym świetle... nie spodobało mu się to.

Zagniewany, ruszył do samochodu, ledwie odpowiadając skinieniem głowy na pozdrowienia parafian. Między dwoma palmami, przed kościołem,

ktoś powiesił transparent. Olbrzymi, czerwony napis na jasnożółtym tle apelował do społeczności Paradise Beach: Ratujcie Rovera!

Nieprawdopodobne, pomyślał Blaise, wsiadając do radiowozu. Mieszkańcy zwykle nie przejmowali się niczym, co nie zagrażało swobodnemu napływowi gotówki od turystów. Gdyby ktoś chciał zamknąć most zwodzony albo nałożyć dodatkowy podatek na pokoje hotelowe, można by oczekiwać podobnej reakcji.

Ludzie w mieście kochali swoje zwierzęta, chociaż większość trzymała je na smyczy lub w zamknięciu. Tylko Rover regularnie uciekał i dlatego powszechnie uważano, że jest opętany. Umiał doprowadzać ludzi do szału, więc tym bardziej było ciekawe, że miasto tak chciało przyjść mu z pomocą. Plakaty wzywające do walki o Rovera były widoczne wszędzie, kiedy jechał bulwarem do sklepu Jillie. Niestety, nie udało mu się zachować obojętności. Dwa przypadki wandalizmu dotyczące tego samego sklepu z pewnością wymagały interwencji. Jednak czułby się o wiele lepiej, gdyby napisy znalazły się na całej długości bulwaru. To, co się stało, dotknęło go osobiście. Kiedy zatrzymał radiowóz przed budynkiem ze stiukami, w którym mieścił się butik z kostiumami i przyszły sklep Jillie, zobaczył, zaskoczony, jak pomazana została ściana po stronie Jillie. Ulica była cicha i spokojna, jak w niedzielę rano; tylko starsza pani spacerowała z psem, a po chodniku szedł mężczyzna w średnim wieku w kąpielówkach, koszulce i klapkach. Blaise rozpoznał kobietę, która na zimę przyjeżdżała do domu na plaży, a mężczyzna to z pewnością turysta, który wraca do hotelu. Blaise wysiadł z samochodu i pożałował, że nie ma okularów przeciwsłonecznych. Spojrzenie, jakie rzuciła mu Jillie, rozdarło mu serce.

- Cześć - rzucił, bo nie przyszło mu do głowy nic więcej.

- Cześć - odpowiedziała.

Wes Tamlin też się przywitał. Zaciskając usta, Blaise popatrzył na czerwone i czarne napisy, na całej ścianie frontowej sklepu i z boku budynku. Sprawcy nie byli zbyt wysocy, bo bazygroły znajdowały się na poziomie wzroku lub poniżej.

Napis „Jankesi do domu” był najbardziej widoczny - i najmniej obraźliwy - obok widniały tajemnicze znaki, które mogły być symbolami gangu.

- Z niczym mi się nie kojarzą - powiedział do Wesa.

- Mnie też nie. - Wes podciągnął trochę wyżej pas z bronią i skrzyżował ramiona. - Zastanawiałem się, ale nie są podobne do żadnych, które wcześniej widziałem. To na pewno ktoś nowy.

Blaise bacznie przyglądał się czarnym i czerwonym spiralom oraz wybuchającym słońcom i zastanawiał się, kto to mógł wymyślić. Może pasjonat powieści science fiction?



- Przecież ja tutaj nikogo nie znam - odezwała się Jillie. - Dlaczego ktoś wybrał właśnie mnie?

Blaise pomyślał o Fieldingu. Ten facet był jedynym jankesem, który ostatnio błyskawicznie zwrócił na siebie uwagę w mieście. Właściwie Blaise już teraz mógłby się założyć, że przed zachodem słońca wszyscy w Paradise Beach dowiedzą się, że to Wainwright stoi za nowymi przepisami w sprawie psów.

- Tak, to dziwne - przyznał w końcu.

- Dziwne? - Wes nie zamierzał poprzestać tylko na tym. - To bardzo podejrzane! To znaczy, gdyby panna McAllister prowadziła sklep od jakiegoś czasu i zadarła z typkami, którzy przeszkadzali jej klientom, tobym zrozumiał. Ale tak, przecież jest tu od niedawna i nie popadła z nikim w konflikt.

- I dlatego trudno będzie zatrzymać sprawców - zgodził się Blaise. Starał się nie pokazać nic po sobie i dokładnie obejrzał budynek, obchodząc go z drugiej strony. Z boku na białym stiuku było więcej symboli i wiele mówiące ostrzeżenie, że ten teren należy do Piorunów. Krzywy, czerwony zygzak najwyraźniej miał oznaczać błyskawicę.

- Świetnie.

Jillie, która poszła za nim i przez cały czas zastanawiała się, jak nawiązać z nim kontakt, usłyszała jego słowa.

- A co to takiego? Pokazał na graffiti.

- Nigdy nie widziałem takich napisów. To jakiś nowy gang.

- Wspaniale! A co oni mogą chcieć od mojego sklepu? Dlaczego nie zażądali dla siebie miejskiego parku lub czegoś w tym stylu?

- Powiedziałem to ironicznie. -Och.

- A jeśli chodzi o inne pytania, to obawiam się, że nie znam na nie odpowiedzi.

- Och - Jillie patrzyła na niego i zbierało jej się na płacz. Miała ochotę zrobić komuś karczemną awanturę. Fielding zmarnował jej pięć lat życia, szczególnie od kiedy dowiedziała się o jego pierwszej zdradzie. Teraz chciała zacząć wszystko od nowa w innym miejscu, gdzie nikt nie znał jej przeszłości i nie wiedział o jej upokorzeniach.

Tymczasem Fielding aż tu za nią dotarł i przywłókł ze sobą żalosne wspomnienia... a teraz jeszcze to. Tłumione łzy zapiekły ją w oczach.

Tak bardzo zapragnęła rzucić się w ramiona Blaise'a. Pięknie się prezentował w spodniach khaki, koszuli i w krawacie, ale poza tym, że był atrakcyjny, robił wrażenie silnego. Taki ktoś mógłby ją osłonić przed każdą

życiową zawieruchą. Dotychczas nie miała nikogo, u kogo mogłaby się schronić.

- Przykro mi - powiedział w końcu.

- Nie mam zamiaru tego zamalować - oznajmiła i uniosła dumnie podbródek. - Nie od razu, bo oni mogą wrócić dziś w nocy i zrobić to znowu.

-Nie wiem, jak długo miasto pozwoli ci zostawić takie ściany. Obowiązują odpowiednie przepisy dotyczące wyglądu budynków... - pokręcił głową i smutno się uśmiechnął. - Burmistrz lubi się czepiać w takich sprawach.

- Niech ten facet lepiej trzyma się ode mnie z daleka. Ja też lubię się czepiać niektórych spraw.

I właśnie wtedy, z nienacka, Rover wybiegł zza rogu budynku, szczekając jak szalony. Zatrzymał się gwałtownie na ich widok, ale zanim zdążyli zareagować, już pędził prosto na Jillie. Odruchowo chciała się odsunąć, ale pies skoczył - i popchnął ją ramionami Blaise'a. Przestał szczekać i pognął dalej, a Wes Tamlin ruszył za nim w pościg.

Blaise i Jillie spojrzeli na siebie, nagle świadomi swojej bliskości. Żadne nie wiedziało, jak się teraz zachować, po tym jak się rozstali wczorajszego wieczoru.

Jillie chciała przeprosić za to, jak go potraktowała przy Fieldingu i Harnet, ale nie wiedziała, jak zacząć rozmowę. Zresztą co by to dało, strofował ją porczywy głos wewnętrzny. Wainwrightowie staraliby się zepsuć każdy jej nowy związek - a Blaise przecież był mężczyzną. Czyżby nie miała ich już dość?

Blaise poczuł, że Jillie próbuje wyzwolić się z jego objęć, ale nie mógł jej puścić. Poprzedniego wieczoru pocałował ją tylko dla żartu, ale kiedy to zrobił, przekonał się, jak seksowna i naprawdę ponętna jest Jillian McAllister.

Teraz, kiedy przyłgnęła do niego całym ciałem, upajał się jej bliskością i starał się przedłużyć tę wspaniałą chwilę.

Serce waliło mu jak młotem i budziły się uśpione pragnienia. Do diabła, miał na nią ochotę. Coraz mocniej przyciskał ją do siebie, aż poddała się i z lekkim westchnieniem oparła głowę na jego ramieniu. Ogarnęła go szalona radość.

I wtedy przypomniał sobie Fieldinga, psa, graffiti i uświadomił sobie, że stoją na słonecznej ulicy, gdzie wszyscy mogą zobaczyć, jak się do siebie tulą.

- Wiesz - mruknął ochryplym głosem - najgorsze, że kiedy się człowiek starzeje, nabiera rozumu.

- Rozumu? - podniosła głowę i zamrugała, jakby obudził ją ze słodkiego snu.

- Tak. Chcesz, żeby całe miasto gadało o tym, jak się obściskujemy w biały dzień?

Roześmiała się i bardzo go tym zaskoczyła, bo spodziewał się wybuchu złości. -Chyba nie.

Powoli, niechętnie odsunęli się od siebie i popatrzyli na graffiti.

- Więc powinnam szybko to zamalować? - zapytała. Blaise zawahał się.

- Możesz to tak zostawić na kilka dni, ale prędzej czy później ktoś złoży skargę i będziemy musieli wlepić ci karę.

- Rozumiem - westchnęła.

- Z drugiej strony, jeśli to pomalujesz, możesz zachęcić wandalów do powrotu. Zastawimy pułapkę, a nuż złapiemy żalonych sukinsynów?

Spojrzała na niego.

- Będziesz obserwował sklep całą noc?

- Chcesz się założyć?

Szeroki uśmiech pojawił się na jej twarzy.

- Dobrze, pomaluję to. Nie gwarantuję, że będzie dobrze wyglądało, ale myślę, że skończę przed wieczorem.

Też się uśmiechnął. Zaledwie wczoraj naraziła go na konfrontację z byłym mężem i teściową - parą, w której towarzystwie nie miał ochoty przebywać - a już jej wybaczył, chociaż nawet go nie przeprosiła. W głowie zadzwonił mu ostrzegawczy dzwonek.

Zamiast jak najszybciej odejść, powiedział mimowolnie:

- Pomogę ci w malowaniu.

Równie dobrze mógłby postawić nogę na ruchomych piaskach.

- Potrzebny jest rozpylacz do farby - powiedział Blaise, kiedy godzinę później znów się spotkali, tym razem przebrani w stare ciuchy. - Szybko to wszystko zamalujemy, a pędzlem albo wałkiem nie ma sensu.

- Ile takie coś kosztuje?

-Mój kolega jest właścicielem firmy remontowej. Na pewno pożyczycy nam jeden. Poczekasz chwilę? Skoczę do niego i zapytam. Jillie popatrzyła na swój sklep.

- Jasne, zacznę skrobać okna.

Z tym też będzie dużo roboty, pomyślała, kiedy Blaise odjechał. Okropna praca, do tego jeszcze robić to samo dwa dni z rzędu... nie fair. Ale jak powiadała jedna z jej przybranych matek, nikt ci przy urodzeniu łatwego życia nie obiecywał.

Westchnąwszy kilka razy, weszła do środka po skrobaczkę i miękką szczotkę. Może dziś w nocy zostawi kartkę dla wandalii: Bardzo proszę nie mazać po oknach. Na pewno posłuchają.

Kręcąc głową nad własną głupotą, wyciągnęła skrobaczkę i szczotkę z wiadra, do którego wrzuciła je wczoraj razem z innymi narzędziami. Wróciła na zalaną słońcem ulicę i zaczęła skrobać farbę rozmazaną na oknach.

-Moje biedactwo!

Jillie spojrzała za siebie i zobaczyła Mary Todd. Starsza pani zajęchała lawendowym wózkiem pod krawężnik i zaparkowała na wolnym miejscu, tuż przed sklepem.

- Widziałam to w drodze do kościoła. Co się, na litość boską, stało?

- Wandale. Już druga noc z rzędu.

- Ojej. - Mary wygramoliła się z wózka, sięgnęła po laskę i weszła na chodnik. Przechyliła głowę i starała się odczytać napisy i zrozumieć symbole. - Oczywiście zawiadomiłaś policję.

- Tak. - Jillie zaczęła zdrapywać napis „Jankesi do domu”. Ten ktoś miał ładny charakter pisma. Wyrazy były czytelne i to ją jeszcze bardziej irytowało.

- Co zamierzają z tym zrobić?

- Zastawić pułapkę dziś w nocy, może wandale wrócą. - Spojrzała na Mary i ze zdziwieniem dostrzegła cień uśmiechu na jej twarzy. - Czy to takie zabawne?

- Och, moja droga, oczywiście, że nie. Z pewnością włożyłaś dużo pracy w to, żeby tu posprzątać. Ale... szkody nie są trwałe, prawda? Chcę powiedzieć... że mogło być gorzej.

Jillie przestała skrobać i przez chwilę ocierała brwi rękawem. Zapowiadał się upalny dzień. Może nawet do trzydziestu stopni. Ciekawe, dlaczego wydawało jej się, że współczucie Mary Todd nie jest szczerze?

- Mogło być gorzej, gdybym nie miała pieniędzy na farby, by to zamalować. Żeby przynajmniej nie mazali okien. Mary skrzywiła się.

- Właśnie. Nie rozumiem, dlaczego pomalowali okna. Jillie spojrzała na nią dziwnie.

- A ja, szczerze mówiąc, nie mogę zrozumieć, dlaczego namalowali tu cokolwiek. Co im zrobiłam?

-Nie wiem.

Jillie opanowała ogarniającą ją złość.

-Nic! Jestem tu od niedawna i nie zdążyłam jeszcze nikomu się narazić.

- To prawda - przytaknęła Mary. - A może ktoś uważa, że jesteś powiązana z Fieldingiem Wainwrightem?

- Fielding! - Jillie nagle zrobiło się niedobrze. Ten człowiek zmarnował jej więcej niż pięć lat życia. Teraz negatywnie nastawił do niej mieszkańców miasta, do którego się przeprowadziła. Jasne! Wszyscy w Paradise Beach pewnie myślą, że ona podziela zdanie Fieldinga na temat psa. Po rozwodzie czynie, ale widziano go w jej domu, a jego matka mieszkała u niej. Oczywiście ludzie będą uważać, że zgadza się z Fieldingiem. - O mój Boże - powiedziała załamana i ciężko usiadła na jednym z metalowych krzeseł Belindy-Zabiję go.

- Nie sądzę, żeby to w jakikolwiek sposób pomogło sprawie. Mogliby cię za to wysłać do Raiford.

-Raiford?

- To więzienie, w którym mają stare, dobre krzesło elektryczne. - I tak go zabiję. Istnieją przecież apelacje.

- Nie, nie zrobisz tego. Przecież, jak umrze, nie będziesz mogła go już nękać. Jestem pewna, że jeżeli się chwilę zastanowisz, wymyślisz coś lepszego.

Jillie spojrzała na Mary.

- Uważasz, że potrafię?

- Oczywiście, że tak. Jeśli zechcesz, z przyjemnością ci pomogę. Propozycja zaskoczyła Jillie, ale nie chciała drażnić tematu.

- Dzięki - powiedziała smutno. - Najwyższa pora, żeby ktoś dał mu nauczkę!

## Rozdział 10

Kiedy Blaise wrócił do sklepu Jillie, zaraz za nim podjechała biała ciężarówka. Na dachu miała aluminiowe drabiny, a z boku kolorowy napis: Malowanie. Antonio Escobido, i numer telefonu.

- Tony chce pomóc - wyjaśnił Blaise i obaj zaczęli wyładowywać samochód. - Pomalujemy tę ścianę w kilka minut.

- Naprawdę okropne - powiedział Tony, ciągnąc rozpylacz. - Wstyd dla miasta, że potraktowano cię w ten sposób, szczególnie, że przyjechałaś tu niedawno. Pomyślałem, że chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić. Poza tym - puścił do niej oko - nie chcę, żeby Blaise używał mojego sprzętu.

- Dziękuję - Jillie nie wiedziała, jak zareagować. - Panna Todd uważa, że ten wybryk ma coś wspólnego z walką mojego byłego męża, by pozbyć się Rovera z Paradise Beach.

Tony spojrział na nią spod oka.

- Twój mąż za tym stoi?

No i zaczyna się, pomyślała Jillie. Pewnie zaraz zapakuje rozpylacz i pójdzie sobie.

- Były mąż - powiedziała z naciskiem. - Rover go ugryzł i wydaje mi się, że według niego kwarantanna nie jest wystarczającą karą.

- Mogę zrozumieć, że miał pretensję - powiedział Tony i założył wąż na rozpylacz. - Nikt nie lubi być pogryziony.

Ale to nie jest sprawka obrońców Rovera.

- Skąd wiesz?

- Bo cała akcja na rzecz psa jest pozytywna i zgodna z prawem. Mam na myśli plakaty i psie obroże...

Tony również miał jedną na szyi. A Blaise nosił swoją na nadgarstku.

- Do tej pory tak - zgodziła się.

Tony był miłym, bezpośrednim facetem. Wkrótce rozpylaczem zamalował brzydkie słowa i symbole. Blaise stał w oknie obok Jillie i pracowicie zeskrobywał farbę żyletką.

Wes Tamlin pojawił się znów dwadzieścia minut później, spocony i zmęczony.

- Goniłem tego szalonego psa do bram piekieł i dalej - zameldował Blaise'owi. - Ale ten łobuz schował się u O'Mallory'ego i klienci wmieszali się w to wszystko. Chcę powiedzieć, że uciekł.

- A jak klienci ci pomogli? - dopytywał się Blaise.

- Chyba chcieli, żeby on zwiął, komendancie. - Wes uśmiechnął się łagodnie. - Wypełniłem swój obowiązek jako twój zastępca, ale cieszę się, że go nie złapałem. Wiesz, to odważny zwierzak.

- Odważny? - zdziwiła się Jillie, najwyraźniej rozbawiona. - Najpierw mówiliście, że opętał go diabeł, a teraz, że jest odważny?

Trzej mężczyźni roześmiali się, a po chwili zachichotała również Mary Todd.

- Rover zaczyna być bohaterem - oświadczyła. - Wystarczyło, że ugryzł turystę w tyłek!

- Robin Hood - nazwał go Blaise. - Ale gdzie j jego kompani?

Właściciel kawiarni po drugiej stronie ulicy podszedł do nich ze szklankami zmrożonej lemoniady. Powiedział Jillie, że jest mu przykro z powodu zniszczeń w jej sklepie i obiecał mieć oczy otwarte.

Tym razem Mary Todd królowała przy stolikach przed sklepem Belin-dy. Przechodzący obok mieszkańcy zatrzymywali się, żeby zapytać, o co chodzi, a Mary wszystkim cierpliwie tłumaczyła, że Jillie rozwiodła się z facetem, który prześladował Rovera. Ludzie okazywali Jillie współczucie. Po

pewnym czasie wyglądało to tak, jakby prowadzili zaimprovizowany wiec na rzecz Rovera.

Jillie nadal skrobała okna, przerywając za każdym razem, kiedy przedstawiano ją kolejnym osobom. Blaise pomagał jej, a jednocześnie rozmawiał z przybyłymi ludźmi. Tony w mgnieniu oka uporał się z robotą, poskładał swój sprzęt i dołączył do coraz większej grupki zebranej przy stołach.

Na ulicy było coraz tłoczniej, turyści robili zakupy, mieszkańcy miasta spacerowali, wiele osób szło na plażę. Ktoś ustawił znak nawołujący do uwolnienia Rovera.

I nagle przy krawężniku pojawiła się furgonetka stacji telewizyjnej.

- Spójrz na to w inny sposób - Blaise uspokajał Jillie, kiedy wyraziła niezadowolenie. - Dzisiaj wieczorem wszyscy dowiedzą się o twojej księgarni.

- Może to niedobrze - odparła zasmucona. - Zależy, co powiedzą.

- Każda reklama jest dobra. -A ty skąd wiesz?

- Wystarczy popatrzeć na polityków w Waszyngtonie. Albo w Tallahassee. - Tallahassee było stolicą stanu Floryda.

Uśmiechając się nieznacznie, Jillie odwróciła się plecami do ludzi z telewizji i miała nadzieję, że jej nie zauważą.

Może zadowolą się wywiadem z kim innym. Dlaczego właśnie z nią chcieliby rozmawiać? Nie była prowodyrem ruchu na rzecz Rovera.

Ale kilka minut później, ku jej przerażeniu, ktoś podsunął jej mikrofon pod nos.

- Pani McAllister, czy to prawda, że pani były męż, Fielding Wainwright, stoi za wnioskiem o uspienie Rovera?

Jillie, osłupiała, wpatrywała się w obiektyw kamery.

- Czy to prawda, pani McAllister?

- Ja... nie wiem - wykrzyknęła w końcu i chciała sobie pójść. -Czy pani go broni?

Natychmiast rozjaśniło jej się w głowie. Bronić tego łobuza? Nie, jeśli nawet od tego zależałoby jej życie.

-Nie! - zaprzeczyła ostro i znów chciała odejść.

- A co pani sądzi o Roverze? - dopytywał się reporter.

- Nigdy nie poznałam go osobiście, więc nic nie mogę powiedzieć. -Ale głupotę palnęła, jednak nawet teraz nie uważała za stosowne ogłaszać światu, że przez tego psa miała wypadek, a do tego zwierzak pchnął ją w ramiona Blaise'a zaledwie parę godzin temu.

- Czy pani uważa, że psy należy usypiać za włóczęgostwo?

- Oczywiście, że nie! - I w nagłym przyпыlywie odwagi dodała:

- Uważam, że każdy, kto proponuje takie rozwiązanie, jest świnią. Reporter pokiwał głową, jakby właśnie bardzo poważnie potraktował jej słowa.

- Ktoś wspomniał, że żywi pani żal do burmistrza Burgessa. Czy to ma związek z pani zdaniem na temat nowej uchwały?

Jillie zaczynała czuć się trochę jak Alicja w krainie czarów.

- Nikogo nie obchodzi, co ja sędzę na temat uchwały - odparła. -Dopiero niedawno się tu wprowadziłam!

- Więc to prawda, że ma pani żal do burmistrza?

- Nie mam do nikogo żalu - oświadczyła ostro Jillie. - Fakt, że ten człowiek zwolnił mnie, bo nie chciałam się zgodzić, żeby klient macał mnie po pupie, nie oznacza, że ma to jakikolwiek wpływ na moje zdanie o uchwale dotyczącej psów! Dopiero kiedy ekipa telewizyjna znalazła nową ofiarę, Jillie zdała sobie sprawę, że należało trzymać język za zębami. Była nowa w mieście, właśnie otwierała własny interes - i krytykowała burmistrza, który pewnie cieszył się tu popularnością, bo inaczej nie zostałby wybrany.

- Właściwie - wyjaśniła później Mary Todd, kiedy Jillie podzieliła się z nią swoimi obawami - Dan został wybrany, bo nikt nie chciał tego stanowiska.

Jillie omal się nie roześmiała.

-Żartujesz?

Mary pokręciła głową.

- To nie jest trudna praca, szczególnie w tak małej społeczności, gdzie wielu mieszkańców przyjeżdża z całego kraju. Jeden z naszych poprzednich burmistrzów powiedział, że to tak, jakby zaatakowało cię stado szczypiących kaczek. Drugi twierdził, że czuje się jak w filmie puszczone w zwolnionym tempie. Niestety, ta praca daje władzę, głównie przez publiczne wystąpienia, takie jak to w sprawie likwidacji jednostki policji w mieście. -Mary uśmiechnęła się. - Nie martw się, moja droga, nie może zrobić ci nic, czego nie mogłabym odkręcić.

Jillie nie wiedziała dobrze, jak to rozumieć. Spojrzała na Blaise'a, który zdrapywał resztki farby z frontowej szyby. Ciekawe, dlaczego nigdy przedtem nie zauważyła, jak łacinie męskie nogi wyglądają w krótkich spodenkach. Oczywiście nie widziała wielu tak ładnych nóg, jak nogi Blaise'a Corriganana.

- Cóż - szepnęła zamyślona. - Założę się, że moje głupie wypowiedzi zostaną wycięte. Nie powiedziałam nic sensacyjnego...



O piątej oglądała wiadomości i z przerażeniem zobaczyła, że pokazano ją w lokalnym dzienniku. Widać było, jak coś mówi po cichu, w tle, a reporter głośno odczytał komentarz.

- Zapytaliśmy Jillian McAllister, czy sądzi, że jej mąż dąży do uspienia Rovera...

Potem dźwięk puszczonego jeszcze głośniej i wszyscy usłyszeli końcówkę jej wypowiedzi: „Uważam, że każdy, kto poważnie proponuje takie rozwiązanie, jest świnią”.

- Burmistrz Paradise Beach, Dan Burgess, jest innego zdania - kontynuował reporter. - Opowiada się za wprowadzeniem przepisu dotyczącego usypiania włączających się psów. Zapytana, czy jej sprzeciw jest podyktowany sporem z burmistrzem Burgessem, pani McAllister oświadczyła: „Fakt, że ten człowiek zwolnił mnie, bo nie chciałam się zgodzić, żeby klient macał mnie po pupie, nie oznacza, że ma to jakikolwiek wpływ na moje zdanie o uchwale dotyczącej psów!” Stara mieszkanka Paradise Beach, Mary Todd, gorąco popiera panią McAllister i innych obrońców Rovera...

Jillie wyłączyła telewizor i zastanawiała się, w jaki sposób stała się przywódczynią frakcji obrońców Rovera.

Dopiero co przeprowadziła się do tego miasta, a już znalazła się w samym centrum wydarzeń!

- Jak mogłaś tak powiedzieć o Fieldingu? - zażądała wyjaśnień Harriet. Nie potraktowała poważnie wczorajszego wybuchu Jillie i następnego ranka znów się u niej zjawiała. Przecież były przyjaciółkami, a dom należał do Fieldinga. Czy przypadkiem nie poszukuje się ochotników na kolejną wyprawę na Księżyc albo na Marsa? Może na Marsie Fielding i Harriet by jej nie znaleźli, pomyślała zrozpaczona Jillie.

-Naprawdę, Jillian - ciągnęła Harriet. - Powiedzieć coś takiego o mężu w telewizji..

- Byłam mężu - przerwała jej Jillian, zaciskając zęby.

- Nieważne! Po prostu nie powinnaś mówić o nim takich rzeczy.

- Wcale o nim nie mówiłam! Puścili tylko kawałek mojej wypowiedzi

i wyjęli ją z kontekstu!

- Wszyscy tak się tłumaczą, kiedy nie chcą przyznać, że powiedzieli coś okropnego!

- Zarzucasz mi kłamstwo?

Harriet zamilkła, jakby sama nie mogła się nadziwić, że wdała się w taką dyskusję.

- Bardzo cię przepraszam. - Siedziała sztywno przez kilka sekund. - Nie sądzę, żeby nasza kłótnia rozbudziła w tobie cieplejsze uczucia do Fieldinga.

- Nie ma szans. - Jillie przeszła złość i zdumiona przyglądała się matce Fieldinga. - Co tu jest grane?

Harriet zrobiła się ostrożna.

- Grane? O co ci chodzi?

- Ani ty, ani Fielding nie staraliście się szczególnie zatrzymać mnie przez kilka miesięcy poprzedzających rozwód i zaraz po, zanim przeprowadziłam się tutaj. Skąd to nagle zainteresowanie?

- Och, nie przesadzaj, dziecino! Kiedy odeszłaś, odkryliśmy, że bardzo nam ciebie brakuje. To wszystko.

Jillie jej nie wierzyła.

Najgorsze w pracy policjanta, według Blaise'a, było organizowanie obserwacji. Ponieważ nie mógł płacić za nadgodziny, bo budżet policji na to nie pozwalał, nie mógł też wysłać żadnego ze swoich ludzi. Musiał wziąć to na siebie. Miał zamiar posiedzieć w sklepie Jillie całą noc i złapać wandalów, którzy utrudniali jej życie.

Zabrał dwa termosy z kawą i pożywne kanapki z masłem orzechowym. Właściwie nie obawiał się, że zaśnie - kofeina będzie trzymała go na nogach.

Noce były chłodne o tej porze roku, przynajmniej dla kogoś, kto jak on przywykł do gorącego klimatu Florydy.

Sklep Jillie nie był ogrzewany, więc Blaise włożył kurtkę i dżinsy. Po dziewiątej, kiedy zamknięto wszystkie punkty handlowe w okolicy i ruch się zmniejszył, otworzył drzwi kluczem, który wcześniej dostał od Belindy.

-Stój.

Zatrzymał się - no tak, stoi przed oknami, a jego sylwetka jest wyraźnie widoczna w świetle lamp ulicznych.

- Kto tu jest? - zapytał.

- Ja zadaję pytania. Nie ruszaj się, bo będę strzelać. -Jillie?

-Blaise?

Kiedy się poruszyła, zobaczył janiwyraźnie na tle słabego światła, które wpadało przez okna.

- Co ty tu, do diabła, robisz?

- Czekam na wandalów.

- To moje zadanie.

- Ale mój sklep. Jak się tu dostałeś?

- Belinda dała mi klucz. Do licha, mogłem cię zabić.

- Właściwie - powiedziała sucho - to ja celowałam w ciebie.

- Przyszedłeś tu z bronią? Nie wiesz, jakie to niebezpieczne?

- To tylko zabawka wypełniona octem - przyznała.

- Zabawka? - Nie wiedział, czy się śmiać, czy wściekać na nią. Taki pistolet nie nadawał się do obrony, ale jeśli wyglądał jak prawdziwy, ktoś inny mógł strzelić do niej. - Co chciałeś z tym zrobić? Rozśmieszyć wandalów?

Był zaszokowany i bardzo przejęty. Usiadł po turecku tuż przy niej, a swoje rzeczy rzucił obok.

- Nie musisz mnie tak lekceważyć - oschle zwróciła mu uwagę.

- Lekceważyć? Ja ciebie nie lekceważę, tylko... do cholery! Czy zdajesz sobie sprawę, co by ci się stało, gdybyś wyskoczyła na wandalów z pistoletem zabawką?

- Ocet piekłoby ich w oczy, to wszystko.

Blaise przełknął kolejne przekleństwo. Odwrócił się do Jillie i mimo ciemności starał się czytać z jej twarzy.

- Czy ty nie rozumiesz? - zapytał. - Gdyby byli uzbrojeni w prawdziwą broń i myśleli, że ich postrzelisz, wypaliliby pierwsi!

Milczała przez chwilę. Kiedy się w końcu odezwała, jej głos zdradzał przerażenie.

- Jestem głupia. Powinnam była o tym pomyśleć.

- Nie, nie jesteś głupia. Nie mów tak o sobie. Po prostu nie masz doświadczenia w takich sprawach. - Westchnął i wyjrzał przez okno na ulicę. Obok przeszła grupa młodych kobiet, które śmiały się i rozmawiały. - Przepraszam, że się tak na ciebie wkurzyłem, ale adrenalina mi podskoczyła, kiedy kazałaś mi się zatrzymać.

- A jak ja się przeraziłam, kiedy wszedłeś. Nie poznałam cię, bo miałeś ze sobą te rzeczy. - Sama się z siebie śmiała.

- Chyba powinnam się cieszyć, że nie wpadłeś tu z bronią gotową do strzału.

Nawet nie chciał o tym myśleć. Dreszcz przebiegł mu po karku, kiedy uświadomił sobie, co mogło się stać, ale opanował się. Postanowił zmienić temat.

- Widziałem cię dziś wieczorem w telewizji - powiedział.

- Boże, czy to nie było okropne? Zrobili ze mnie potwora! Zaśmiał się cicho.

- Wcale nie. Dan Burgess i twój były pewnie nie są z tego zadowoleni, ale inni nic niedobrego sobie nie pomyślą.

- Najgorsze, że zrobili ze mnie przywódczynią ruchu na rzecz ratowania Rovera.

- A co w tym złego? Nie chcesz uratować psa? Wydawało mi się, że widziałem u ciebie na ręku obroź.

- Owszem, miałam ją. Tylko że kto inny zaczął to wszystko i wykonał najtrudniejszą robotę, i wstyd, żeby cała historia została przedstawiona tak, jakbym to ja przypisała sobie wszelkie zasługi.
- No cóż, prawdziwi przywódcy mogą się ujawnić w każdej chwili, j eśli chcą sięgnąć po laury. Ale chyba się nie śpieszą. - Oparł się o ścianę i wyciągnął nogi przed siebie. - Chciałbym tylko wiedzieć, kto wypuścił Rovera z kwarantanny.
- Jeśli dobrze pamiętam, twierdziłeś, że on sam potrafi uciec z każdej klatki.
- Z każdej, w jakiej zamykał go Cal. Doktor Kilkenny ma lepsze zabezpieczenia. Nie, ktoś wypuścił psa i zostawił kartkę, przypominasz sobie?
- Uhm. - Jillie zamyśliła się i uśmiechnęła. - Mamy lokalnego Robin Hooda. Blaise zaśmiał się trochę wbrew sobie.
- Można tak na to spojrzeć. Niestety, muszę być jak szeryf z Nottingham.
- Dlaczego?
- Bo pies miał przejść kwarantannę dla bezpieczeństwa i zdrowia obywateli. To nie żarty. Jeśli złapię tego „Robin Hooda”, będę musiał go aresztować.
- To ci zapewni wspaniały rozgłos.
- Blaise wzruszył ramionami, chociaż w ciemnościach właściwie nie mogła tego zauważyć.
- Przyzwyczailem się, że ludzie są na mnie źli. Taka praca.
- Nie przeszkadza ci to?
- Mogłoby, gdybym się tym przejmował, ale po co? Jeśli aresztuję tego, kto wypuścił Rovera, całe Paradise Beach będzie na mnie wściekłe, ale Dan Burgess będzie zachwycony.
- To znaczy?
- To znaczy, że złość szybko mija i nie ma co brać jej na poważnie.
- Zazdroszczę ci. - Powiedziała prawdę. Gdyby tak bardzo nie zależało jej na opinii ludzi, nie musiałyby znosić Fieldinga tyle czasu i nie pozwoliłaby Harriet, by się do niej wprowadziła. - Powinnam uczyć się od ciebie.
- Ale z tym jest jak z odciskiem, który z każdym podrażnieniem robi się coraz twardszy.
- Harriet jest najlepszym przykładem.
- Ona to co innego. Byłaby z niej miła znajoma, ale za nic nie chciałbym jej w rodzinie. Urodziła się, żeby wtykać nos w nie swoje sprawy.
- Nie była taka zła, kiedy byłam żoną Fieldinga - Jillie niespodziewanie zaczęła bronić Harriet.

Nagle Blaise gwałtownym gestem ręki i syknięciem, nakazał jej milczenie.

Natychmiast podskoczyła jej adrenalina, a serce mocniej zabiło. Pomyślała, że musiał coś usłyszeć, i nadstawiła uszu, ale słyszała jedynie przyspieszone bicie własnego serca.

Długie minuty mijały w napięciu, wreszcie Blaise się odezwał.

- Przepraszam - powiedział, siadając wygodniej. - Wydawało mi się, że coś słyszałem. Chociaż nie powinienem spodziewać się ich tak wcześnie.

Za oknem przejechał samochód. Rzeczywiście było jeszcze wcześnie, przyznała Jillie. Zaledwie parę minut po dziesiątej.

- Jest środek tygodnia, więc może wcale nie przyjdą.

- Robisz fałszywe założenia. Po pierwsze, zakładasz, że to smarkacze w wieku szkolnym, po drugie, jeśli tak, to myślisz, że mają rodziców, którzy ich pilnują. Tymczasem dzieciaki, które robią takie rzeczy, zwykle mają rodziców, którzy nie zwracają na nie uwagi.

Oczywiście miał rację, ale Jillie była już zmęczona tego nieomylnością.

- No i znowu prawisz kazania - powiedziała kwaśno.

- Ciiii... - syknął. - Nie chcesz chyba narobić hałasu, żeby ich spłoszyć.

Prychnęła i odsunęła się do tyłu z zaciśniętymi ustami i założonymi ramionami. Wcale nie uważała, że jest atrakcyjny. Za nic na świecie. Wcale nie chciała wpadać w jego ramiona i kochać się z nim jak szalona.

I nagle zaczęła się zastanawiać, dlaczego właściwie zakochała się w Fieldingu. Jego pocałunki z pewnością nie działały na nią tak, jak pocałunki Blaise'a. Nie potrafiła nawet stwierdzić, czy intelektualnie do siebie pasowali.

Nigdy nie mieli identycznego zdania na żaden temat. Więc co takiego w nim dostrzegła, oprócz urody i majątku?

Zawstydziła się trochę, kiedy przyszło jej do głowy, że decyzja o poślubieniu go mogła być w stosunku do niego bardzo nieuczciwa. Czy wyszła za niego naprawdę tylko dlatego, że oferował jej to, czego nigdy w życiu nie zaznała, trwałą więź i bogactwo? Może ona też nie była całkiem w porządku?

Ale, chociaż teraz niewiele pamiętała, wiedziała, że kiedyś wydawało jej się, że jest w Fieldingu bardzo zakochana.

Nie pasowali do siebie, ale gdyby nie zawiódł jej zaufania, pewnie kochałaby go nadal.

Może teraz myślała o przeszłości inaczej, aby jej rany mogły się zagoić. Gdyby pragnęła tylko jego pieniędzy i rodziny, zdrada nie bolałaby jej tak bardzo.

Chodziło o coś jeszcze. Kiedy tak siedziała i próbowała zrozumieć swoje uczucia, i zastanawiała się, czy poślubiła Fieldinga z egoizmu, przypomniła sobie, jak bardzo pragnęła mieć kogoś, kogokolwiek, kto by ją kochał. Pewnie pobieglaby za jakimś włóczęgą, gdyby przysięgał jej miłość.

Ach! Od tych myśli zbierało jej się na wymioty.

- Wiesz - powiedział Blaise, wrywając ją nieszczęsnych wspomnień - wcale nie jestem doskonały.

-Nie? -Nie.

Jillie nie mogła się powstrzymać.

- Więc jakie są twoje główne wady?

- Największa, według ciebie, jest ta, że mam własne zdanie na każdy temat i że nigdy się nie mylę.

Roześmiała się wbrew sobie.

- Rzeczywiście tak powiedziałam?

- W porządku. Ludzie zawsze mi mówią, co jest ze mną nie tak. Zobaczmy, mam tu gdzieś całą listę... o, jestem nieprzejednany, jeśli chodzi o przestrzeganie prawa. Zdziwiłabyś się, jak wielu ludzi tego nie znosi, chociaż w obecnych czasach domagają się prawa i porządku.

- Chyba tak. Więc uważasz, że musisz stać na straży prawa?

- Właśnie. Okropne, prawda? Niektórzy nazywają to obsesją. Inni twierdzą, że jestem po prostu zbyt surowy. Kwestia interpretacji.

- Na przykład, że przekroczenie ograniczenia prędkości o dziesięć kilometrów na godzinę nie jest wielkim przewinieniem?

- Dokładnie tak. Jak w tej piosence, co dobre dla jednego, nie musi być dobre dla drugiego.

- Rozumiem. Fielding jest taki. Uważa, że zawsze powinien być traktowany ze specjalnymi względami.

- Zamierzasz się go pozbyć?

Z jakiegoś powodu, który nie do końca był dla niego jasny, to pytanie irytowało Jillian. Może dlatego, że właśnie to próbowała zrobić. A może dlatego, że wtrącał się w nie swoje sprawy.

- Nie wiem - odparła, celowo przewrotnie.

- Nie wiesz? Facet okłamał cię przynajmniej cztery razy i rozwiodłaś się z nim.

Jillie nagle pożałowała, że w ogóle mu o tym opowiedziała. Co gorsza, ponieważ mu się zwierzyła, uznał, że ma prawo ją pouczać. Kiedy wreszcie zacznie trzymać język za zębami?

- To nie twoja sprawa.

- Ależ moja, odkąd powiedziałaś mi o niej i od naszej randki. Również od dnia, kiedy wprowadziłaś się do mojego miasta i rozjechałaś moją skrzynkę na listy!

Oboje dali się ponieść emocjom. Jak do tego doszło, pozostawało zagadką, ale w tej chwili miała ochotę pokłócić się z kimś. Z kimkolwiek. Z nim.

- Słuchaj - wycedziła przez zaciśnięte usta. - Mam dość twoich rad i nie obchodzi mnie twoje zdanie. Dla ciebie wszystko jest albo czarne, albo białe, ale ty sam nigdy w nic się nie mieszasz!

-Naprawdę? -A co?

- Nic, do cholery.

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu i w końcu Jillie zrobiło się głupio. Starła się pozbyć tego uczucia, ale było ono coraz silniejsze. Chciała się pokłócić z mężczyzną, który, poza tym, że aresztował ją pod zarzutem jazdy po pijanemu, był dla niej zawsze przyjacielski, miły i pomocny. Honorowy jak skaut.

- Posłuchaj - odezwał się, kiedy Jillie zaczynała się czuć upokorzona. -Wiem, że to nie moja sprawa, ale wydaje mi się, że teraz musisz się skupić wyłącznie na tym, czego ty pragniesz. Na razie to inni tobą kierują i starają się, żebyś robiła to, czego oni chcą. Ja również, jak sądzę.

Z jednej strony Jillie chciała zaprzeczać - jak dotąd służył jej jedynie pomocą- z drugiej jednak, nie robił w tej chwili nic innego, tylko nakłaniał ją, żeby podjęła jakieś działania. Czuła się jak na huśtawce - irytacja przeplatała się z ciepłymi uczuciami do niego.

- Wiem - powiedział w końcu. - To nie moja sprawa. -Przepraszam.

- Ja też.

Nie spodobały jej się jego ostatnie słowa. Były takie ostateczne, zupełnie jakby spisywał ją na straty. Zmartwiło ją to szczerze, bo nie chciała, żeby Blaise Corrigan zniknął z jej życia. A czego pragnęła naprawdę? Aby wyciągnął ramiona, przytulił ją i sprawił, że zapomni o Fieldingu.

Może to było wyjście dla tchórza.

- A, co tam - Blaise wyciągnął ręce. Pewnie będzie tego żałował, ale teraz chciał przytulić tę nastroszoną jak jeź kobietę i poprosić, żeby mu zaufała, zawierzyła.

Poddała się chętnie, co go zaskoczyło, i oparła się o niego wygodnie, a głowę położyła mu na ramieniu. Zaskoczyła go, ponieważ spodziewał się kłótni.

- Nie masz rodziny, która mogłaby ci pomóc? - zapytał. - Kogoś, kto może cię tu odwiedzić i pomóc ci rozprawić się z Wainwrightami?

Nienawidziła tego pytania. Upokarzało ją. Oczywiście to było niemądre, bo to nie jej wina, że została sierotą, ale po prostu czuła się... gorsza. -Jestem sierotą.

-Naprawdę? - Odwrócił głowę i usiłował dojrzeć jej twarz w bladożółtym świetle, sączącym się z ulicy przez okna.

- Nikt cię nie adoptował?

- Gdyby mnie adoptowali, miałabym rodzinę.

- To prawda. - Należały mu się baty za to głupie pytanie. - Ile miałaś lat, kiedy... - Chryste, nawet nie potrafił dokończyć tego zadania. - Sześć. Zginęli w wypadku samochodowym.

- A potem?

- Byłam w kilku przybranych rodzinach.

- Lecz nikt nie wziął cię na dłużej ?

Jillie nie mogła zebrać myśli i nie chciała rozmawiać o swojej przeszłości. Zastanawiała się, czy Blaise wie, jak ładnie pachnie. Do tej pory zupełnie nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo potrzebuje, żeby ktoś ją zwyczajnie przytulił. Tak dobrze było czuć jego ramię!

- Nie sądzę, żebym potrafiła na dłużej zapuścić gdzieś korzenie - odezwała się wreszcie. - Wszystkie rodziny, które mnie brały, były w porządku, ale... gdy tylko skończyłam szkołę średnią, wyjechałam jak najdalej. Psycholog miałby tu chyba dużo do powiedzenia.

- A ty sama co powiesz?

Delikatnie głaskał ją po ramieniu i przez to jeszcze trudniej było jej się skoncentrować. Podświadomie mocniej się przytuliła. - Ale udało ci się stworzyć na tyle stabilny związek, że wyszłaś za męża.

Wzruszyła się, bo Blaise próbował powiedzieć jej, że jest normalna, chociaż zaczynała podejrzewać, że to nieprawda. - Kiedy zastanawiam się, dlaczego wyszłam za Fieldinga, mam wątpliwości, czy w ogóle byłam do niego przywiązana.

A może właśnie dlatego nie pozbyła się go jeszcze: dzięki jego obecności nie mogła przywiązać się do Blaise'a.

- Wiesz, i ja o tym myślałem. To znaczy... - przerwał i zawahał się. -Naprawdę niełatwo o tym mówić - przyznał i zaśmiał się cicho z dezaprobatą-Ukrywałem te uczucia tak długo.

- W porządku. - Poklepała go uspokajająco po udzie i zaparło jej dech, gdy przez materiał poczuła mięsień. Szybko cofnęła rękę. Potarł podbródek i mówił dalej.

- Kiedy Millie odeszła, zacząłem zastanawiać się nad sobą. Usiłowałem sam siebie zrozumieć. Oczywiście, że byłem zły, czułem się zdradzony i na



początku najprościej było zrzucić całą winę na nią. Ale kiedy się uspokoiłem, zdałem sobie sprawę, że miała wiele racji.

- Chodzi ci o to, że ciągle byłeś nieobecny?

- O to, że chyba nigdy jej nie kochałem, że tylko mi się tak wydawało. Nie ożeniłbym się z nią, gdyby było inaczej. Kiedy jednak patrzę na to z perspektywy czasu, nie jestem pewien, czy coś czułem. Gdybym ją naprawdę kochał, to czy zawsze stawiałbym moją karierę na pierwszym miejscu? Czy brałbym wszystkie nocne zmiany, kiedy inni ich nie chcieli? Nie nadstawiałbym karku tak nieostrożnie. Czy wciąż odkładałbym decyzję w sprawie Pokręcił głową.

- Byłem samolubnym, zajęтым sobą sukinsynem i dostałem to, na co zasłużyłem. Nigdy więcej tak nie postąpię. Nie wiedziała, jak to rozumieć: czy nigdy już nie potraktuje żony w taki sposób, czy też ponownie się nie ożeni. Nie umiała zapytać, ponieważ bała się odpowiedzi.

- Nierzadko rozmyślałem nad tym, czy jestem zdolny do stworzenia prawdziwego związku. Wiele czasu upłynęło od mojego rozwodu, a ja nie byłem nawet bliski zakochania się.

- Może po prostu nie spotkałeś właściwej osoby.

- Może. A czy to samo nie przytrafiło się tobie?

Zanim zdążyła zastanowić się nad tym, co powiedział, usłyszała pukanie i Blaise zeszywniał. Serce zaczęło jej bić jak szalone, gdy przed budynkiem zobaczyła ciemną sylwetkę.

Pukanie rozległo się znów.

- Ktoś stuka do drzwi - szepnął Blaise.

- Może chce się upewnić, że nikogo nie ma?

- Nie przypuszczam. Poczekaj, pójdę otworzyć.

Jillie nie chciała odsuwać się od niego. Był taki ciepły i czuła się przy nim tak bezpiecznie! Odprowadziła go wzrokiem, kiedy szedł do drzwi. Jeżeli osoba stojąca za nimi sądziła, że nikogo tu nie ma, zdziwi się pomyślała.

- Na litość boską - powiedział Blaise, gdy zbliżył się do drzwi. - To Rainbow Moonglow. Znasz ją?

- Ja... rozmawiałam z nią raz.

Blaise otworzył i Rainbow, w spodniach i swetrze, weszła do środka; trzymała kilka brązowych toreb.

- Cześć! Pomyślałam, że zjecie coś gorącego, skoro zamierzacie siedzieć tu całą noc. Będzie zimno. Przyniosłam kakao, kawę i parę bułeczek z cynamonem, które sama upiekłam. Mam nadzieję, że jeszcze są gorące.

Mimo panujących ciemności, Rainbow znalazła dwie duże deski oparte na pieńkach i położyła na nich swoje pakunki. Potem szybciotko rozstawiła filiżanki i talerzyki.

- Rainbow? - zapytał Blaise, kiedy zamknął za nią drzwi.

- Słucham.

- Skąd wiedziałaś, że tutaj będziemy?

- Och, to wydawało się logiczne. Jeśli ktoś dwa razy pod rząd niszczył sklep, to najmądrzej jest zastawić pułapkę trzeciej nocy.

Blaise spojrział na Jillie. W słabym świetle nie mogła zobaczyć, jaką ma minę.

- Logiczne, ale może wandalę na to nie wpadną.

- No cóż - odparła Rainbow spokojnie. Uniosła w górę ręce, odchyliła się do tyłu i zamarła. W końcu gwałtownie pokręciła głową i znów zajęła się opróżnianiem toreb.

- Nie przyjdą dziś w nocy. O, świetnie, bułeczki jeszcze ciepłe - wyciągnęła duży pakunek zawinięty w folię. - Widzicie? Lepiej zjedzcie je od razu, póki są gorące, wtedy najlepiej smakują.

Szybko odwinęła folię, wzięła jedną i podała Jillie.

- Rainbow? - zapytał Blaise, kiedy podała mu drugą. - Mmm?

- Skąd wiesz, że dzisiaj nie przyjdą? - Kto?

- Wandalę.

- Och, mam po prostu przecucie. - Aha.

Pogroziła mu palcem, a pierścionek, który nosiła, błysnął w ciemnościach, odbijając mały strumień światła z ulicy.

- Nie wierzysz w to, komendancie. Ale czy naprawdę chcesz spędzić całą noc tutaj, skoro oni nie przyjdą?

- Tego nie wiem, Rainbow. Roześmiała się.

- Przecież ci powiedziałam. Ale sam zobaczysz. Tym razem przecucie j est bardzo silne. Na pewno się nie mylę. Nie ma naprawdę sensu, żeby Jillie siedziała tu, marzła i męczyła się razem z tobą.

- Ale to mój sklep - wtrąciła Jillie zdecydowanie. - I tak ze zmartwienia nie mogłabym zasnąć.

- Chyba potrafisz to zrozumieć. No cóż, w takim razie pójdę już. Lecz uważam, że powinniście się zastanowić.

Wandalę dziś nie wrócą. Wiedzą, że tu siedzicie. - Pomachała im i wyszła.

Blaise, zamyślony, wreszcie się odezwał.

- Jeśli jeszcze dziesięć minut temu nie wiedzieli, że tu jesteśmy, to dzięki Rainbow już wiedzą.

Jillie ugryzła cynamonową bułkę i delektowała się jej smakiem.

- Może jest trochę zwariowana, ale robi najlepsze cynamonowe bułeczki, jakie kiedykolwiek jadłam.

- Wspaniale gotuje i nie jest zwariowana.

Jillie poczuła ukłucie zazdrości. Rainbow Moonglow była ładną kobietą dobrze po trzydziestce i nie dźwigała bagażu w postaci Wainwrightów trzymających się jej spódnicy. Skąd Blaise wiedział, że dobrze gotuje? Pewnie u niej jadał.

Nagle zapragnęła jać dusić.

- Ona tylko robi wrażenie dziwaczki, ponieważ wierzy w rzeczy, które większość z nas odrzuca - ciągnął Blaise.

Usiadł na pieńku i jadł bułkę, machając nogą. - Stwierdziła, że wandalę nie pojawią się dziś w nocy. Gdyby powiedziała, że tak jej się tylko zdaje, nie pomyślałabyś tak o niej. Nieważne, jak to nazwiesz, na jedno wychodzi; podświadomie doszła do wniosku, że nasza obecność ich powstrzyma.

- To ma sens - zgodziła się Jillie z pełnymi ustami.

- Jeśli nie to, to już samo jej przyście tu ich ostrzegło.

- Jeśli ją zauważyli.

- Tak - ugryzł kawałek bułki. Ciekawość zwyciężyła i Jillie zapytała:

- Spotykałeś się z nią?

- Z Rainbow? - Uśmiechnął się. Nawet w ciemnościach dostrzegła błysk białych zębów. - Tak.

- Och. - Zagryzła wargi, bo nie chciała zadawać więcej pytań, żeby nie domyślił się, jak wielką poczuła zazdrość.

Zapadło milczenie.

- To było bardzo dawno temu - odezwał się wreszcie. - Spotkałem się z nią może ze trzy razy. Jest urocza i bardzo ją lubię, ale nie zaokrężyło między nami.

- Nie zaokrężyło? - Jillie z trudem złapała powietrze. Kiedy Blaise był w pobliżu, czuła się jak naelektryzowana.

- Tak, no wiesz. Iskrzenie. Pewnie powiesz, że to typowe, obrzydliwe męskie podejście, ale może zrozumiesz. Chcę pragnąć kobiety jak orzeźwiającej wody w upalny dzień. Chcę jej pożądać. Jeśli tego nie czuję, związek nie ma żadnych szans. Więc wciąż szukam.

Och, żeby to jej właśnie tak zapragnął. Fielding nigdy jej nie pożywał tak mocno, no może na samym początku, kiedy się kochali. Potem pociągały go inne. Ale Blaise - och, jak bardzo chciała, żeby poczuł się tak przy niej!

Kiedy w końcu przyznała się przed sobą do swoich myśli, nagle ogarnęła japanika. Nie! Nigdy więcej nie zwiąże się z mężczyzną. To przynosi tylko niepokój i ból. Już zapomniała o starych bliznach? Powinna szybko zmienić temat.

- Jest za wcześnie, żeby ktokolwiek się pojawił i zaczął malować ściany, nie sądzisz? Przecież po ulicach jeszcze chodzą ludzie.

- Może. Trudno powiedzieć.

Nie zadowolila jej taka sucha konstatacja. Wkładając ostatni kawałek bułki do ust, oblizała do czysta palce.

- Może przyjdą później. - Oby. Takie zasadzki zwykle są nudne i zabierają dużo czasu. Niewykluczone, że będę musiał tu przesiedzieć kilka nocy, żeby złapać sprawców. Idź do domu, połóż się spać i zostaw to mnie.

- Nie mogę. Tak jak powiedziałam Rainbow, nie zasnęłabym ze zdenerwowania.

Podał jej styropianowy kubek z kakao.

- Uważaj, gorące. O co tu się martwić? To tylko farba na ścianach, a jeśli będą wracać, prędzej czy później złapiemy ich. - Obawiam się, że mogą zrobić coś więcej oprócz mazania ścian. Z każdym dniem Belinda inwestuje tu coraz większe pieniądze. W przyszłym tygodniu sprowadzę książki i inne rzeczy. Co będzie, jeśli ktoś się włamie i wszystko zniszczy albo ukradnie?

- Nikt nie zagwarantuje, że to się nie stanie. -Wiem, ale...

Blaise wstał z pieńka i usiadł obok niej.

- Co zamierzasz zrobić? Będziesz tu spała co noc?

- Aż do czasu, kiedy złapiesz tych ludzi.

- Może nigdy ich nie złapiemy. Mogają tu nie wrócić.

- Poczekamy, zobaczymy.

Odwrócił się nieznacznie w jej stronę patrząc, jak pijekakao.

- Strasznie się tym przejmujesz.

- Nigdy nie miałam nic własnego. - Odstawiła kubek i spojrzała na niego. - Zawsze dostawałam rzeczy, które mi potem zabierano. Nawet Fielding mi to zrobił. To było jak wyprowadzka z domu. Wyszłam z naszego małżeństwa bez niczego, co wspólnie zdobyliśmy. Tym razem mam coś, co należy tylko do mnie. Sama to stworzę, będzie moje i nikt mi nic nie odbierze. - Wzruszyła ramionami, zawstydzona, że tyle mu powiedziała. -Nic wielkiego, naprawdę, ale to... znaczy dla mnie bardzo dużo.

- Więc to jest coś bardzo ważnego. - Chciał wyciągnąć rękę, otoczyć ją ramieniem, ale powstrzymał się. Wszystko dziwnie się komplikowało i nie

był pewien swoich emocjonalnych reakcji. Może to tylko współczucie pomyślał. Wzbudzała żal.

To normalne, że chciała bronić swojego sklepu, więc nie proponował jej już, żeby poszła do domu i zostawiła go samego. Ma prawo brać udział w tym, co się wydarzy.

- Czeka nas długa, zimna noc - oznajmił w końcu, nie mając pojęcia, co mądrego powiedzieć.

- Nie szkodzi. Dla mnie to nic nowego.

To proste i odważne stwierdzenie, które zdradzało, że miała za sobą lata samotności, rozbroiło go. Sprawilo, że zapomniał o zdrowym rozsądku i zapragnął jej z całej siły. Usiadł obok niej i mocno ją przytulił.

- Ogrzeję cię - powiedział zachrypniętym głosem. - Przynajmniej dziś w nocy.

Poczuł, że patrzy na niego w ciemności i stara się czytać mu z twarzy;

westchnęła i przytuliła się jeszcze mocniej, z jedną nogą przełożoną przez jego uda. Odniosł chyba wielkie zwycięstwo.

Czekał przez chwilę, ciesząc się jej bliskością; czuł, jak pomału się odpręża i robi senna.

- Jill? — wyszeptał. , -Mmm?

- Mogę cię pocałować? Wolno uniosła ku niemu twarz.

- Tylko pocałować? - zapytała również po cichu. Nie wiedział, czy chciała czegoś więcej, czy obawiała się tego.

- Tylko pocałunek - obiecał. - Tylko pocałunek...

Ale z Jillie nie kończyło się na jednym pocałunku. Przekonał się o tym, kiedy pocałował ją drugi raz. Zaiskrzyło coś pomiędzy nimi. To było jak nagła eksplozja, głębokie pragnienie duszy. Boże, przeraził się!

Poczuł pulsowanie w lędźwiach i ból w sercu. Delikatnie odsunął się od niej i oparł jej głowę na swoim ramieniu.

- Zdrzemnij się - powiedział. - Ja nie zasnę.

Na pewno nie zaśnie, bo Jillie wstrząsnęła całym jego światem.

- Blaise? - odezwała się po dłuższej chwili zaspanym głosem. -Mmm?

- Fielding i Harriet coś knują. Chciałabym wiedzieć co. Nigdy wcześniej nie próbowali mnie odzyskać... - Urwała i zapadła w sen.

Zaczął się zastanawiać nad tym, co powiedziała. Jillie miała słabość do klanu Wainwrightów i dlatego jeszcze panował nad sobą, inaczej po prostu wzięłby sobie to, czego tak bardzo pragnął. Nie chciał mieć z nimi nic wspólnego, bo oznaczali kłopoty.

Nie podobało mu się, że Jillie się z nimi zadaje. Rozważył jej słowa i musiał jej przyznać rację. Dlaczego tak nagle chcieli jej z powrotem?

Siedział w ciemności, walcząc z pożądaniem. Och! Obudzić Jillie i kochać się z nią!

Postanowił wynająć kogoś, kto zbada tę sprawę. A może sam się tym zajmie. Tak czy owak dowie się, do czego tak naprawdę dąży Fielding Wainwright.

## Rozdział 11

Poranne słońce świeciło tak mocno, że Blaise'a zaboląły oczy, kiedy stanął przed drzwiami swojego domu.

Oczywiście, piekły go po nocy czuwania. Wandale wprawdzie się nie pojawili, ale dzięki temu dowiedział się dużo o Jillie i nadal chciało mu się śmiać, kiedy przypomniał sobie, jak zasnęła.

Wziął prysznic, ogolił się i przebrał. Pójdzie do komisariatu, żeby trochę popracować, a potem wróci do domu i walnie się do łóżka. Powinien dobrze się wyspać, jeśli chce spędzić kolejną noc w sklepie Jillie. A o tym już zdecydował.

Kiedy szedł od drzwi do podjazdu, Fielding Wainwright zaparkował tuż za samochodem Jillie, wysiadł i dumnym krokiem ruszył w stronę jej domu. Blaise instynktownie się zatrzymał. Oparł się o zderzak samochodu, skrzyżował ramiona i czekał.

Najwyraźniej Wainwright był wściekły. Ciekawe tylko jak bardzo i co zamierzał zrobić. Oboje z matką tak naciskali na Jillie, by wróciła do rodziny - musiała czuć się osaczona i atakowana.

Tak naprawdę, nic siejeszcze nie stało. Nic, co Fielding i Harriet zrobili do tej pory nie kwalifikowało się jako prześladowanie, ale wystarczyło, że odmówili opuszczenia jej domu. Postanowił chwilę poczekać i upewnić się, że wszystko w porządku. Odchylił głowę do tyłu, żeby popatrzeć na bezchmurne, niebieskie niebo. Wielka, biała czapla wylądowała leniwie na trawniku Jillie, postąpiła chwilę nieruchomo i rozejrzała się dookoła. Widocznie Blaise nie stanowił zagrożenia, bo zaczęła grzebać w ziemi w poszukiwaniu robaków, chodząc powoli i majestatycznie. Nikt by nie zgadł, jak ten wielki ptak potrafi szybko ruszać dziobem.

Palmy szumiały, muskane lelckim powiewem od morza, a warkot łodzi płynącej kanałem przypominał, że zaczął się dzień. To był taki poranek

kiedy człowiek najchętniej położyłby się w hamaku i zdrzemnął. Niestety, Blaise nie miał na to czasu. Właśnie doszedł do wniosku, że wszystko u Jillie w porządku, gdy usłyszał podniesiony głos wściekłego Fieldinga.

- Do diabła, Jillie, jak mogłaś tak o mnie powiedzieć?

Z miejsca, gdzie stał, Blaise usłyszał tylko szmer jej głosu. Za to wyraźnie dobiegły go słowa Fieldinga.

- Nie możesz tak po prostu oczekiwać, że uwierzę, że nie miałaś na myśli mnie! Słyszałem, o co cię pytali i co powiedziałaś!

Chryste, pomyślał Blaise, ten typ chyba nie mówi poważnie. Nigdy nie słyszał o tym, że w telewizji robi się cięcia i skrót?

- Unikasz mnie, odkąd przyjechałem do miasta - ciągnął Fielding trochę innym tonem. - Nigdzie się stąd nie ruszę, jeśli nie dasz mi przynajmniej szansy...

I dokończył cicho. Blaise poczuł niepokój. O czym oni właściwie rozmawiali? Z pewnością Jillie nie zamierza dać jeszcze jednej szansy temu łobuzowi! A jeśli tak?

Do licha, cholerne hormony! Każda komórka jego ciała buntowała się na myśl, że Jillie mogłaby ofiarować zbyt wiele temu facetowi. Kiedyś go kochała, przecież inaczej nie zostałaby jego żoną. Może jeszcze skrywała w sercu jakieś uczucia do niego...

To nieważne, powiedział sobie, naprawdę to nie ma najmniejszego znaczenia. Nie obchodzi go. Nie zamierza za żadne skarby zbliżyć się na krok do Wainwrightów. Znajdzie kogoś, kto zbada prawdziwe powody ich przyjazdu, bo on sam nie ma najmniejszej ochoty na kolejną próbę sił z tym stukniętym Fieldingiem.

Tylko że nie wiadomo dlaczego nagle znalazł się w połowie drogi do domu Jillian, na samym środku jej trawnika, zdecydowany nie dopuścić do tego, żeby dała draniowi drugą szansę.

Kiedy obszedł ogromny krzak azalii, zobaczył Jillie stojącą w drzwiach, z miną kogoś, kto broni dostępu do swojego domu. Rękoma mocno oparła się o framugę, jakby szykowała się do odparcia ataku. Za nią zauważył matkę Fieldinga, która zawzięcie coś tłumaczyła. Fielding stał przed nią i też z uporem ją o czymś przekonywał.

Ponad jego ramieniem Jillie rzuciła błagalne spojrzenie Blaise'owi.

Zamarł. Nagle zrozumiał, że nie ma prawa interweniować. Odpowiedział równie zdesperowanym spojrzeniem. Ale zaraz doszedł do wniosku, że nic mu się nie stanie, jeśli jednak się wtrąci. Przecież jest komendantem policji. Oparł dłonie na biodrach i głośno odchrząknął.

- Jakieś problemy, proszę pani? - O rany, od czasu kiedy jeździł w patrolu, nie zadawał tego pytania. - Słyszałem podniesione głosy.

Fielding obrócił się na pięcie i spiorunował go wzrokiem. Blaise się nie przestraszył, przyzwyczyił się stawiać czoło ludziom, którzy mogli mu zrobić większą krzywdę- uzbrojonym przestępcom.

- A kto cię prosił, żebyś się wtrącał? - zażądał wyj aśnień Wainwright.

- Nie potrzebuję zaproszenia - odparł Blaise spokojnie. - Jestem policjantem. Słyszałem krzyki.

- Prawo nie zakazuje krzyczeć - oznajmił Fielding. - Ale jest przepis zabraniający policjantom wtrącać się w nie swoje sprawy bez powodu. - Rozumiem pana, panie Wainwright, ale ja nikogo nie nachodzę, chyba że Jillian każe mi się wynosić. Lecz nawet wtedy mogę tu zostać, jeśli podejrzewam, że może dojść do złamania prawa.

- Ja nie łamię prawa. A teraz jazda stąd. Jillian, każ mu się wynosić.

- Nie mam zamiaru, Fielding - oznajmiła twardo Jillie. - Krzyczałeś na mnie i nie podoba mi się to.

- A ty byś nie podniosła głosu? Poniżyłaś mnie przed całym stanem Floryda!

- Tłumaczyłam ci, że nie mówiłam o tobie!

- A ja powinienem w to uwierzyć, bo ty tak twierdzisz? Jakbym nie słyszał na własne uszy.

Znów odwrócił się do Blaise'a i rzucił mu gniewne spojrzenie.

- A co do ciebie, wspaniały gliniarzu, wiem, co knujesz! Chcesz ukraść mi żonę!

-Nie jestem twoją żoną, do diabła!

- To się może zmienić - powiedziała za jej plecami Harriet. - Więc uważaj, co mówisz o Fieldingu. To może mieć wpływ na twoją przyszłość. Jillie popatrzyła na Blaise'a.

- Chyba zwariuję. Zdaje mi się, że coś mówiłam.

- Owszem. Tylko że oni są głusi.

Zanim sytuacja zrobiła się jeszcze bardziej napięta, tuż przy nich zatrzymał się samochód, z którego wysiedli Mary Todd i wielebny Archer.

- Co się dzieje? - zażądał wyjaśnień Fielding - Nie znam tych ludzi! Wszyscy, oprócz prawnika miejskiego Feliksa Crumleya, który na razie

się nie ujawniał, spojrzeli na niego z wyraźnym smutkiem.

- Nie musi nas pan znać - zareagowała ostro Mary. - Przyjechaliśmy do Jillie.

Jillie spojrzała na Mary i na czterech panów, którzy zjawili się wraz z nią i zastanawiała się, co tym razem się stało. Może coś, co powiedziała, zaniepokoiło grupkę znanych obywateli, skoro pofatygowali się do niej. Może ta



cholerna stacja telewizyjna pokazała w porannych wiadomościach jakąś wyrwaną z kontekstu wypowiedź? Co ona takiego jeszcze powiedziała? Szukała gorączkowo w pamięci, ale była tak zmęczona, że nic więcej nie mogła sobie przypomnieć. Wczorajszy dzień był zamazanym wspomnieniem, a jeszcze mniej pamiętała z wczorajszej nocy. Wiedziała tylko, że czuwała razem z Blaise'em i że przyszła do nich Rainbow Moonglow -i że Blaise ją pocałował. Na samo wspomnienie nawet teraz zrobiło jej się gorąco.

Rainbow dobrze znała Blaise'a. Jeszcze raz zazdrość ogarnęła Jillie, ale pokonała to uczucie. Nic, absolutnie nic, nie sprawi, że będzie znowu zazdrosna o coś tak nieistotnego jak mężczyzna.

Fielding był niemiły dla Mary i właśnie mówił jej, żeby się zabierała z jego działki. Miarka się przebrała i Jillie wrzasnęła:

-Zamknij się, Fielding.

- Co? - spojrzał na nią wkurzony.

- Powiedziałam zamknij się. Zostaw moich przyjaciół w spokoju!

- Nie jesteś tu wystarczająco długo, żeby mieć przyjaciół.

- Chcesz się założyć?

Ta dziecinna odpowiedź zbiła go z pantafelów, nie wiedział, jak zareagować. Zadowolona Jillie zwróciła się do Mary.

- Jak się pani dziś czuje, panno Todd?

- Tak sobie - Jillie dostrzegła błysk w ciemnych oczach starszej pani. -Wygląda na to, że ty też nie masz się najlepiej.

- Nie, wszystko w porządku, naprawdę - na siłę się uśmiechnęła. -Tylko nie spałam wczoraj w nocy.

- Ty i Blaise czuwaliście całą noc?

Panna Todd dołała oliwy do ognia i wrzuciła płonąca zapałkę, pomyślała Jillie, widząc, jak Fielding mieni się na twarzy wszystkimi kolorami czerwieni. Gapił się na nią, jakby nie wierzył w to, co słyszy.

- Spędziłaś z nim całą noc?

Instykt podpowiadał Jillie, że powinna mu wytłumaczyć, że robili w sklepie zasadzkę na wandalach. Nie chciała dawać powodów do plotek, a wiedziała, co pomyśli Fielding. Dla niego spędzenie z kimś całej nocy oznaczało coś zupełnie innego. I ta właśnie myśl sprawiła, że Jillie nagle wyprostowała się. Fielding często spędzał całe noce z kobietami. Dlaczego ona miałaby mu teraz cokolwiek wyjaśniać?

-Nie twoja sprawa, co robiłam, Fielding.

Mary Todd roześmiała się głośno, a wszyscy jej towarzysze uśmiechnęli się. Natomiast reakcja Harriet była całkiem inna.

- Jillian! Nie! Chyba do tego nie doszło! Jillie odwróciła się do byłej teściowej.
  - To, co dobre dla jednego, dobre i dla drugiego, Harriet. To i tak nie ma znaczenia. Fielding dawno już przegrał. - Potem sama się uśmiechnęła i od razu poczuła się lepiej. Powiedziała to w miarę delikatnie i była zadowolona.
  - Mamo, nie wtrącaj się! Jillian! Idziesz ze mną.
  - Nigdzie się z tobą nie wybieram, Fielding. Ani teraz, ani nigdy.
  - Na litość boską, kobieto, chcę cię tylko zabrać na śniadanie!
  - Nie gap się tak i nie drzyj na mnie, Fieldingu Wainwright. Raz dałam się nabrać na te tanie bzdury w stylu macho, ale już nigdy więcej!
  - Tanie bzdury w stylu macho? - ryknął na cały głos. - Ty i te twoje durne wyzwolone poglądy...
  - Chwileczkę - przerwał mu Blaise. - U nas obowiązują przepisy dotyczące zachowania ciszy, a pan je łamie. Będę musiał pana aresztować za...
  - Aresztować mnie? - ryczał Fielding. Ten dzień nie był dla niego najszcześniejszy, bez dwóch zdań. Nic do niego nie docierało. - Tylko spróbuj, ty głupi draniu. Moi prawnicy rozedrą cię na strzępy...
  - Fielding! - krzyknęła Harriet. - Jesteś w towarzystwie dam!
  - Damy, która właśnie powiedziała, że jestem tanim macho!
  - Ale są tu jeszcze dwie inne kobiety, które cię nie wyzywają. Zachowuj się.
  - Będę się zachowywał tak, jak mi się podoba. Jillian, idziesz ze mną czy nie?
  - Nie.
  - Nie wiesz, co tracisz. - Fielding odwrócił się i już miał odejść, kiedy Mary Todd i jej przyjaciele stanęli mu na drodze. - Czego, do diabła, chcecie?
- Blaise zrobił ostrzegawczy krok w przód.
- Niech pan uważa na słowa, panie Wainwright.
- Mary uniosła rękę, pogroziła nią Fieldingowi i powiedziała:
- Chcemy, żeby Jillie przewodniczyła naszej organizacji.
  - Jakiej organizacji? - Jillian i Fielding zapytali równocześnie. Mary spojrzała na Jillie.
  - Naszej dopiero co powstałej grupie na rzecz ratowania psów w Paradise Beach.
- Fielding popatrzył na Jillie.
- Chyba się nie odważysz?

Uniosła brodę.

- Może. Powiedzcie mi więcej na ten temat. - Uśmiechnęła się do Mary i jej przyjaciół. - Wejdziecie do środka?

- Nie! - wrzasnął Fielding. - To mój dom i nie pozwolę ci robić ze mnie pośmiewiska!

- Jestem u siebie i to ty robisz z siebie pośmiewisko.

- Święta racja - powiedziała Mary, stukając laską.

Fielding nie był w nastroju do wysłuchiwanie czyjejkolwiek krytyki.

- Nie możesz mnie tak traktować, Jillian! Nie pozwolę na to. - Pochylił się, wbił w nią wzrok i wycelował palec-  
Chcesz wiedzieć, dlaczego miałem inne kobiety, kiedy byliśmy małżeństwem?

Jillian poczuła pulsowanie w uszach - czy to ze złości, czy z upokorzenia - a krew krążyła tak prędko w jej żyłach, że momentami oczy zachodziły jej mgłą.

Docierało do niej tylko, że Blaise mówi coś ostro, a Harriet strofuje Fieldinga. Mary Todd i jej przyjaciele chyba krzyczeli na niego i chór głosów zagłuszył to, co zawsze bała się usłyszeć.

Nagle kątem oka dostrzegła szybki ruch. Odwróciła głowę i zobaczyła Rovera.

Pies wyskoczył z krzaków między jej domem a działką pani Herrera. Sąsiadka stała z szeroko otwartymi oczami, a Rover pędził wprost na Fieldinga. Niespodziewanie, jakby dostał skrzydeł, wzbił się w powietrze. Zdumiona Jillie patrzyła, jak pies leci w jego kierunku, uderza go głową w ramię i ląduje na ziemi.

Wszystko zdarzyło się tak błyskawicznie, że Fielding się przewrócił. Rover upadł na trawnik i mimo silnego uderzenia wymknął się z rąk Blaise'a, który chciał go złapać, po czym zniknął na końcu ulicy, na której właśnie pojawił się Jim Knapp.

- Łap pan tego psa! - wrzasnął Fielding. - Zaatakował mnie już drugi raz! Stanowi zagrożenie dla ludzi!

Coś pękło w Jillie. Teraz ona wycelowała w niego palec.

- Rover jest zagrożeniem tylko dla ciebie, ty draniu!

- Wygląda na to, że chce bronić Jillie przed panem, panie Wainwright -odezwała się Mary.

- Też tak myślę - poparł ją Jim Knapp, podchodząc bliżej z pocztą w ręku. - Pani McAllister, nie wyjęła pani ptasiego gniazda ze skrzynki, jak prosiłem.

Minęła chwila, zanim do Jillie cokolwiek dotarło.

- Przepraszam, panie Knapp, ale nie mogłam tego zrobić. Ptaki już zniosły jajka i nie chcę im zakłócać spokoju. Knapp podał jej listy.
- Widziałem, dlatego przynoszę pani pocztę do domu.
- Dziękuję. Wie pan co, myślałam o nowej skrzynce obok tej starej. Knapp tylko machnął ręką.
- Czasami można nagiąć przepisy, tak jak tym razem. Zresztą to nie taki kawał drogi, żebym nie mógł podejść do domu. Ale jak pani nie będzie...
- Kupię nową skrzynkę, lecz dziękuję za zrozumienie. Knapp szeroko się uśmiechnął.
- Cała przyjemność po mojej stronie. A przy okazji, niezły numer z tym Roverem, co? Jillie, zaskoczona, patrzyła, jak wraca do furgonetki, i sama uśmiechnęła się od ucha do ucha.
- Rzeczywiście, niezły numer. Fieldingęknął.
- Jillian, jak możesz? Ten pies mnie zaatakował! Jest niebezpieczny! Podam do sądu cały departament policji za to, że go nie złapali. Do diabła, podam do sądu całe miasto!
- Jillie nawet na niego nie spojrzała. Odwróciła się do Mary.
- Panno Todd, będę zaszczycona, jeśli przyjmiecie mnie do towarzystwa na rzecz ochrony psów w Paradise Beach. Przestała słyszeć jęki Fieldinga, gdyż odwróciła się i weszła do domu, zmuszając Harriet, by odsunęła się na bok. Mary Todd i jej przyjaciele podążyli za nią i zebrali się w salonie.
- Pokój, kiedyś utrzymany w stonowanej bieli i zieleni, teraz wyglądał jak tropikalny gaj zarośnięty ogromnymi roślinami. Harriet najwyraźniej postąpiła, jak podpowiadały poradniki pod hasłem: „przynieś ogród do domu”. Sama zresztą tak to wytłumaczyła Jillie, która uważała, że na dworze jest wystarczająco pięknie i nie ma potrzeby robić dżungli z salonu. W niewielkim pokoju nie został ani kawałek wolnej przestrzeni.
- Możesz tu w ogóle oddychać? - zapytała Mary i zdumiona rozejrzała się dookoła.
- Męczę się - odparła Jillie, nie dbając, czy Harriet słyszy. - Gdyby nie umowa, wyprowadziłabym się stąd.
- Wynieś po prostu kilka roślin, moja droga. Jeśli potrzebujesz pomocy, poproś komendanta Corrigan. To silny, młody mężczyzna. A teraz pozwól, że przedstawię cię moim przyjaciółom.

Jillie wymieniła uściski z Hadleyem Philpottem, Arthurem Archerem, Davidem Dyerem i Luisem Gallegosem.

- My, moja droga - oświadczyła z dumą Mary - jesteśmy Tymczasowym Komitetem Obrony Psów w Paradise Beach - w skrócie TKOPPB.

- Powinniśmy jednak wymyślić skrót, który da się wymówić - stwierdził Arthur Archer. - Bóg wie, że próbowaliśmy.

- I dobrze się przy tym bawiliśmy - dorzuciła Mary i niecierpliwie postukała laską - Ale jakie znaczenie ma nasza nazwa? Będziemy istnieć tylko do czasu, aż zastopujemy tę śmieszna uchwałę. Moglibyśmy równie dobrze nazwać się Komitetem na rzecz Walki z Korupcją, ale słowo „pies” wzbudzi o wiele więcej współczucia i zainteresowania. Jillie nie wiedziała, jak zareagować.

- Więc tak naprawdę nie interesuje was los Rovera?

- Oczywiście, że interesuje - zaprotestował żarliwie Philpott. - Ale jednocześnie jesteśmy gorącymi przeciwnikami tego, żeby ktoś obcy przyjeżdżał do miasta i za pieniądze nagiął prawo, by pasowało do jego interesów. Tak się składa, że obie sprawy się łączą.

- Jestem przeciwna korupcji w polityce, ale znacznie bardziej wolę bronić psów.

- My też, moja droga - powiedziała ciepło Mary. - Ale nie mamy nic przeciwko temu, żeby upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

- Jasne. Czy ktoś chce się czegoś napić? Herbata, kawa, woda i... chyba zostało trochę soku pomarańczowego.

Stojąc przy zlewku w kuchni, zobaczyła Fieldinga i Blaise'a tuż koło niego.

Harriet też obserwowała ich obu i miała minę, jakby nie mogła uwierzyć w to, co się działo. Czy Fielding wylądował na noc w więzieniu?

Zasłużył sobie na to, pomyślała Jillie, ustawiając napoje na tacy. Czy on zawsze był taki wstrętny?

Pewnie tak. Bez trudu przypominała sobie dawne czasy, kiedy zachowywał się tak samo poniżej tacyki.

Różnica polegała na tym, że teraz nie miała obowiązku wierzyć w jego najlepsze intencje, jak wtedy, gdy była jego żoną. Fielding Wainwright to straszny dupek!

W niewielkim salonie wszyscy jakoś znaleźli wygodne miejsca do siedzenia - na kanapie albo na dwóch fotelach kupionych przez Harriet. Jillie przyniosła sobie krzesło z kuchni.

- Co zrobimy w sprawie nowej uchwały? - zapytała. - Czy to wy stoicie za tymi plakatami i obrazami rozdawanymi w całym mieście?

Hadley Philpott uśmiechnął się skromnie.

- Mieliśmy z tym trochę wspólnego.
- Zastanawiałam się, kto zadał sobie tyle trudu. Co dalej i do czego ja wam jestem potrzebna?
- Moja droga, wszyscy widzieli cię w telewizji, jak wypowiadałaś się przeciwko uchwale, więc jesteś już dość znana. Pomyśleliśmy, że jeśli dołączysz do pikietujących przed ratuszem, ludzie z telewizji na pewno przeprowadzą z tobą wywiad. Oświadczysz, że jesteś naszą przewodniczącą i że wypowiadasz się w imieniu organizacji-wyjaśniła Mary.
- Dlaczego żadne z was nie może tego zrobić? Panna Todd pokręciła głową.
- Jesteśmy starzy. Zaufaj mi, na Florydzie nie ma szacunku do starych ludzi. Ruszamy się za wolno i nie rozumiemy, co jest ważne.
- Trzeba przyznać, Mary - odezwał się Philpott - że w naszym stanie większości starszych ludzi nie obchodzi na przykład finansowa pomoc dla szkół. Młodzi nam nie ufają, skoro interesujemy się jedynie tym, żeby żyć wygodnie. Myślę, że jeśli jeszcze raz usłyszejak ktoś dyskutujena temat rozmiarów filiżanki na darmową kawę dla seniorów albo o tym, że starsi nie powinni stać w kolejkach, umrę ze wstydu.
- Zdecydowanie za dużo jest takich przykładów - zgodził się wielebny Archer.
- Jedno zgniłe jabłko nie wszystkich zarazi - zaprotestowała Jillie. - Nie wszyscy są tacy. Spójrzcie na siebie. Popatrzyli na nią z sympatią i poczuła się nagle jak dziecko adoptowane przez całą grupę kochających rodziców. Mary Todd postukała laską, żeby przywołać ich do porządku.
- Złe postępowanie starych powoduje, że młodzi ich naśladową. Ale to nie ma nic wspólnego z naszym obecnym celem. Musimy odpowiedzieć sobie na pytanie: co jeszcze możemy zrobić, żeby w czwartek zablokować uchwałę? Trzeba zaangażować więcej ludzi.
- Moglibyśmy w tym samym czasie wypuścić luzem wiele psów - zasugerował Luis Gallegos.
- Jillie miała wrażenie, że to całkiem nowy pomysł, który wcześniej żadnemu z nich nie przyszedł do głowy.
- A co by to dało?
- Jeśli twój pies ostatnio urwał się ze smyczy, może sprawa usypiania biegających samopas psów bardziej cię zainteresuje.
- No nie wiem - wyraził wątpliwość wielebny Archer. - Wypuszczenie na ulicę wszystkich psów nie jest zgodne z prawem. A co będzie, jeśli któremuś coś się stanie, na przykład wpadnie pod samochód? Nie, nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

Harriet pojawiła się w drzwiach wejściowych i spojrzała na Jillie, rozczerowana i wściekła.

- Nie wierzę, Jillian. Nie mogę uwierzyć, że tak bardzo zraniłaś Fieldinga.

- Wcale go nie ranię, Harriet. Po prostu nie zgadzam się z jego poglądami politycznymi. Jeśli to go rani, powinien się trzymać z dala od polityki.

- Brawo! Tak jest - zawtórowała jej Mary. Harriet popatrzyła na Mary Todd i pokręciła głową.

- Nie zastanawiałaś się nad tym, co robisz, młoda damo. Powinnaś pomyśleć, co odrzucasz przez głupotę. Fielding Wainwright jest bardzo bogaty i wpływowy, uzyskał też prestiżową pozycję! Mogłabyś dzielić ją z nim.

- Prestiż nie dotrzymał mi towarzystwa w środku nocy, Harriet, ani pieniądze. Uwierz, nic nie może sprawić, żebym go przyjęła z powrotem.

Harriet wyprostowała się i skrzywiła.

- W takim razie wyjeżdżam. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Już nigdy.

Jillie ogarnęły wyrzuty sumienia. Wtedy poczuła, że ktoś klepie ją po rękach, i odwróciła się - Mary Todd nachyliła się do niej.

- Nie martw się, moja droga. Przejdzie jej. Niech sobie wyjeżdża. Jillie uśmiechnęła się na siłę.

- Nie rozumiem tego. Żadne z nich nie chciało nawet ze mną rozmawiać od rozwodu sześć miesięcy temu. W domu, w Massachusetts, miałam zakaz zbliżania się do Fieldinga, załatwił to sobie, ponieważ twierdził, że go napastuję, bo korzystaliśmy z usług tego samego mechanika samochodowego. Nie wiem, dlaczego tak nagle oboje zapragnęli, żebym się z nim pogodziła.

Oczy Mary zrobiły się wąskie jak szparki.

- Rzeczywiście, to bardzo dziwne. Pozostali przytaknęli.

- Powiem ci coś, Jillian - mówiła dalej Mary. - Przypadkiem mam jednego z najlepszych adwokatów, kilka lat temu wybronił mnie od ubezwłasnowolnienia, kiedy moi bratankowie zmówili się przeciwko mnie. Chcieli zdobyć mój majątek, bo widzisz, firmy budowlane chcą mi zapłacić miliony za moją ziemię. Moja rodzina stwierdziła, że chyba zwariowałam, gdyż wolałam zatrzymać wszystko, i pieniądze przeszły mi koło nosa. Robili różne, ohydne rzeczy, ale Cleveland szybko ukrócił ich zapędy. Poproszę, żeby postarał się dowiedzieć, co knuje ta dwójka, jeśli oczywiście zgodzisz się na to.

Jillie skinęła głową i od razu poczuła się lepiej - taki sprzymierzeniec jest na wagę złota.

- Warto byłoby wiedzieć.

- Mam dziwne przeczucie, że to nic miłego.

Blaise obudził się z uczuciem, jakby ktoś wbił mu siekiere w głowę. Wszystko dlatego, że nie spał całą noc, a nie był do tego przyzwyczajony.

Do diabła. Opuchnięte oczy go piekły. Stare urazy - kolano skrecone podczas gry w piłkę jeszcze w szkole, nadgarstek złamany w szamotaninie z podejrzanym o morderstwo w Jacksonville - dawały znać o sobie i każdy ruch powodował ból. Był za stary na siedzenie całą noc na zimnej podłodze, z plecami opartymi o równie zimną ścianę. Może dziś powinien zabrać ze sobą leżak z ogródka.

Gończy prysznic dopiero po dłuższej chwili sprawił, że ból zelżał i Blaise poczuł się na nowo zdrowym trzydziestoosmiolatkiem. Śniadanie - jajka na bekonie - również pomogło. Pijąc drugi kubek kawy, wyszedł na dwór. Zmierzchało i było ciepło. Ruszył w stronę sąsiedniego domu, by się dowiedzieć, czy Jillie zamierza towarzyszyć mu w sklepie tej nocy, czy też jest zdany tylko na siebie. Gdyby mieli czuwać oboje, mogli pojechać jednym samochodem.

Poza tym, był bardzo ciekaw, czy wszystko w porządku po wczorajszej konfrontacji w ogrodzie. Fielding zachowywał się obelżywie i Blaise pomyślał, że Jillie, jako jego żona, musiała znosić o wiele więcej.

Być może człowiek, który uważał się za lepszego od niej pod każdym względem, poniżał ją emocjonalnie i psychicznie. Pewnie Fielding ożenił się z nią dlatego, że pozwoliła się zdominować, a on wykorzystał do tego pochodzenie i majątek. Fielding Wainwright najwyraźniej musiał okazywać, jak jest ważny i męski, i otaczał się ludźmi, których mógł dręczyć i znieważać.

Bez wątpienia zrobił na Jillie wielkie wrażenie i uwierzyła, że Fielding ma wszelkie prawo zachowywać się jak ósmy cud świata. Dała się nabrać.

Czyżbym bawił się w psychologa? - pomyślał Blaise. Widział wielu mężczyzn podobnych do Fieldinga, którzy nie mieli takich jak on możliwości lub tyle ogłady na pokaz - stręczyciele, drobni przestępcy, którzy wykorzystywali kobiety po to, żeby poczuć siłę i władzę. Blaise dobrze znał ten typ ludzi.

Samo myślenie nie rozwiąże problemu, trzeba działać. Zapukał do domu Jillie i czekał.

Po kilku minutach uchyliła drzwi i wyjrzała.

- Och! - powiedziała i otworzyła szerzej. - Bałam się, że to Fielding albo Harriet.



- Tylko ja - odparł z uśmiechem. - Przyszedłem zapytać, czy nocujesz w sklepie dziś w nocy. Jeśli tak, możemy pojechać razem.
- Harriet tak długo się zbierała, że nie zdążyłam się zdrzemnąć. Pewnie zasnęłabym ci na rękach.
- W porządku. - Nie miał nic przeciwko temu, czy może uznał, że Jillie nie idzie z nim po prostu dlatego, że sam był mało zdecydowany w dążeniu do celu. Cokolwiek by powiedział, wyszłoby na jaw, jak jest rozczarowany. - No to do zobaczenia jutro. Dobranoc. - Odwrócił się i odszedł zdecydowanym krokiem, wmawiając sobie, że tym razem udało mu się wycofać. Zaczynał za bardzo się angażować.
- Zaczekaj! - zawołała za nim Jillie. - Pojadę z tobą. Tylko wezmę sweter i coś do siedzenia. Uśmiechnął się i pomyślał, że też wołała drugi raz nie siedzieć na zimnej podłodze.
- Zaczekam.
- Nic z tego - powiedziała Mary Todd reszcie grupy, kiedy w jej salonie popijali kawę bezkofeinową, zagryzając ciasteczkami bez cukru. - Widzieliście, jaki komendant Corrigan był opanowany? Powinien walnąć tego obrzydliwego Wainwrighta w szczękę, za to jak się odzywał do Jillian!
- Nie mógł tego zrobić - zaprotestował Hadley Philpott - Jest komendantem policji. Nie może zachowywać się jak zwykły człowiek.
- Nie wolno bić ludzi - ostro dodał Arthur Archer. - To nie po chrześcijańsku, Mary!
- Nie mówimy o religii, Arthurze, tylko o romansie. W takim przypadku obowiązują zupełnie inny kodeks postępowania. Wielebny przewrócił oczami.
- Boże, ratuj nas, jeśli to prawda!
- Nie bądź taki pruderyjny, Arthurze. Jillian musi się dowiedzieć, że Blaise pragnie jej tak bardzo, że nie boi się walczyć o nią.
- Wiesz dobrze, że gdyby komendant Corrigan walnął Fieldinga w szczękę, Jillian pewnie zrobiłoby się go żal. Kobiety przecież mają silny instynkt opiekuńczy. Mogła się obrazić na Corrigan - nie ustępował Hadley. Mary skrzywiła się.
- A co ty wiesz o kobiecym współczuciu, Hadley?
- Chyba jednak coś wiem. Przecież byłam żonaty przez czterdzieści sześć lat, mam trzy córki i siedem wnuczek. Poza tym uczyłem całe tłumy kobiet na uniwersytecie. Przepraszam, staruszek, ale nie uważam, że kobiety są do tego stopnia tajemnicze, żeby zwyczajny mężczyzna nie mógł ich zrozumieć, przynajmniej jeśli zastanowi się nad tym przez moment i zwróci na nie trochę uwagi.

Luis Gallegos zachichotał, a David Dyer uśmiechnął się szeroko. Mary parsknęła.

- Z doświadczenia wiem, że mężczyźni rzadko zadają sobie taki trud.

- Jest w tym trochę prawdy - przyznał Hadley, delikatnie stukając fajką w popielniczkę. - Mogę się zgodzić, że większość mężczyzn uważa kobiety za tajemnicze, bo wychodząc z takiego założenia, nie muszą się starać ich zrozumieć. - Och, nie mówcie tak - poprosił Luis. - Tajemniczość jest o wiele bardziej pociągająca! To, co złe w dzisiejszych czasach, to brak sekretów. Człowiek musi być tajemniczy, bo w ten sposób wzbudza zachwyt i ciekawość. Wyjaśnijmy wszystkie sekrety i co nam zostanie? - machnął ręką. - Ja wolę uważać, że kobiety są tajemnicze i cudowne, dotyczy to także naszej kochanej Mary.

Arthur przerwał mu.

- To nie ma nic wspólnego z tym, czy komendant Corrigan powinien był uderzyć Fieldinga po to, by zdobyć uczucia Jillian.

- Prawda - zgodził się David. - Ale to taka satysfakcja, kiedy się przyłoży rywalowi w zęby.

Wszyscy spojrzeli na niego pytająco, ale on nic więcej nie powiedział. Zwykle mówił niewiele, nawet gdy go wypytywali.

- Cóż, to chyba pozostanie tajemnicą do końca świata - podsumował Arthur.

Hadley i Luis roześmieli się.

- Nie doszliśmy do sedna sprawy - skarciła ich Mary, trochę zirytowana tym, że tak daleko odbiegli od najważniejszej kwestii do omówienia. - Jesteśmy tu po to, żeby zastanowić się, co zrobimy, żeby połączyć Jillian i Blaise'a.

- Może nie powinniśmy robić nic na siłę, Mary - odezwał się nieśmiało Luis. - Jeśli mają się ku sobie, sami powinni do tego dojść.

Mary chrząknęła.

- Obiecaliście, że mi pomożecie.

- A nie pomogliśmy? Stworzyliśmy Komitet Obrony Psów w Paradise Beach, czy jak mu tam. Jillian i Wainwright są teraz po przeciwnej stronie barykady, a Wainwright z pewnością należy do ludzi, którzy lubią przegrywać. Jeśli teraz nie wygra, a nie sądzę, żeby mu się udało, nigdy nie wybaczy Jillie, że była przeciwko niemu.

-No i zniszczyliśmy sklep Jillian - przypomniał jej Hadley. - Nie powiem, żebym nie czuł się jak ostatni łotr, kiedy to robiliśmy! Ale udało nam się stworzyć okazję i Blaise spędził z Jillie trochę czasu, co nawet przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Przecież całonoc siedzieli razem z nadzieją, że

się pojawimy. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że tak samo zrobią dziś w nocy. Czy jeszcze coś możemy zdziałać?

- Bardzo dużo - oznajmiła Mary. - Nigdy nie widziałam dwojga ludzi, którzy tak bardzo się boją zbliżyć do siebie! Potrzebują pomocy.

- Biorąc pod uwagę to, że znają się bardzo krótko i że oboje są rozwiedzeni, właściwie idzie im bardzo dobrze - wtrącił Arthur. - Jillie bardziej boi się nowego związku.

- Musimy przezwyciężyć ich obawy.

- Czy powinniśmy doprowadzić do bójki komendanta Corrigan z Wainwrightem?

- To by pomogło - powiedziała Mary zdecydowanie. Luis usiadł wygodniej.

- Czy kobiety naprawdę są tak żądne krwi?

- Żądza krwi nie ma tu nic do rzeczy!

Arthur interweniował, nim dyskusja zamieniła się w kłótnię. Nie pierwszy raz nie zgadzali się ze sobą, chociaż nikt z nich nie lubił sporów. - Myślę, że zapomnieliśmy, o co tu naprawdę chodzi. Mary uparła się przy jednym, mianowicie przy bójce Blaise'a z byłym mężem Jillie, ale ja uważam, że nie mówi nam wszystkiego.

Mary spojrzała na niego zdziwiona. - Tak?

- Oczywiście, że tak. Naprawdę chodzi ci o to, żeby Blaise zrobił jakiś elegancki gest, dzięki któremu Jillie dostrzeże w nim romantyczne cechy.

-Przypuścimy, że tak... Chcę, żeby odżył.

- Ale on nie jest jeszcze gotowy - zaprotestował Luis. - Daj mu czas, żeby poznał tę kobietę.

Mary zniecierpliwiona machnęła ręką.

- Jak się jest zakochanym, to się wie od razu.

- Może wcale nie, jeśli ktoś się wcześniej sparzył - zaproponował David. Wszyscy zamilkli i po raz kolejny zaczęli się zastanawiać, jaka była romantyczna przeszłość Davida.

- W porządku - uległa w końcu Mary. - Możemy siedzieć z założonymi rękami i czekać, co będzie dalej. Ale tylko przez chwilę. Boję się, że ta dziewczyna może wrócić do Wainwrighta, jeśli pomyśli, że to jedyny na świecie mężczyzna, który ją zechce.

- Jest za mądra, żeby tak pomyśleć - zauważył Hadley. - Obserwowałem ją,

Zanim Mary zdążyła odpowiedzieć, ktoś zapukał do drzwi. Wstała z fotela, ciężko oparła się na lasce i poszła otworzyć. Na progu stał jej adorator, Ted Wannamaker, elegancki i wytworny jak zawsze.

- No, co teraz knujecie? - zapytał z uśmiechem. - Czy już pozbyliście się ciała?

Mary spojrzała na niego niezadowolona.

- My tylko rozmawiamy o sposobach zbliżenia Blaise'a i Julian. - Odsunęła się do tyłu, żeby wpuścić go do środka.

- Mówisz o tej młodej kobiecie, którą spotkaliśmy z komendantem na plaży jakiś czas temu? - Zdjął kapelusz i przywitał się ze wszystkim skinieniem głowy. Ted nie należał do ich grupy, miał zbyt konserwatywne poglądy, żeby mieszać się do tego, co robili, ale był jedyną osobą spoza grupy, która wiedziała o jej istnieniu. - Wydawało mi się, że świetnie sobie sami dają radę.

- Właśnie o tym próbowaliśmy ją przekonać - oznajmił Hadley. - Ale Mary uważa, że Blaise powinien dać w zęby byłemu mężowi Jillie, żeby jej pokazać, że jest nią zainteresowany.

Ted zaskoczony popatrzył na Mary.

- Dać w zęby? Więc tylko tyle powinienem być zrobić wieki temu? Ku zdziwieniu całej grupy Mary Todd zaczerwieniła się aż po uszy.

## Rozdział 12

Drugi dzień z rzędu Jillie i Blaise witali ranek obolali i z piekącymi oczyma.

- Nic z tego - powiedziała Jillie, kiedy wyszli na zewnątrz, i spojrzała na różowo i pomarańczowo rozświetlone porannym słońcem niebo.

- Rzeczywiście - zgodził się. Chłodny wiatr od morza tańczył w koronach palm na bulwarze, a ich gałęzie cicho szumiały. W świetle wstającego dnia włosy Jillie wydawały się bardziej czerwone niż zwykle i połyskiwały wokół jej twarzy. Blaise nigdy nie widział piękniejszej kobiety.

- Skoczę do piekarni po drugiej stronie ulicy i kupię kilka bułek i kawę. Zabierzemy to wszystko na plażę i spędzimy miły poranek, zanim świat się obudzi.

Świat już się budził, ale Jillie nie powiedziała tego głośno. Był cudowny, chłodny świt i pomysł śniadania na plaży bardzo się jej spodobał.

- Wspaniały pomysł. Tylko żeby nas nie aresztowali. Roześmiał się i truchtem przebiegł przez ulicę.

Jillie spała sporo tej nocy, więc nie czuła się aż tak źle, jak się obawiała. Ranek miał w sobie jakąś magię i dlatego uśmiechała się do siebie radośnie.

Czasami, pomyślała, po prostu chce się żyć - a prawie już zapomniała jakie to uczucie.

Wystawiła twarz do słońca i obserwowała, jak wschodzi coraz wyżej. Nie zwróciła uwagi na nadjeżdżający samochód. Zauważyła go dopiero kiedy zatrzymał się tuż przed nią. Fielding! Ogarnął ją gniew.

Wysiadł i popatrzył na nią nad maską samochodu.

- Wiem. Jestem ostatnią osobą, którą chciałaś zobaczyć. Ale... muszę ci powiedzieć, że mi przykro z powodu mojego zachowania.

Grom z jasnego nieba nie poraziłby jej tak jak te słowa. Patrzyła na Fieldinga zaszokowana.

Poczerwieniał lekko, jakby dobrze zrozumiał jej reakcję.

- Mogę cię zaprosić na śniadanie?

- Przykro mi, ale jem śniadanie z Blaise'em - celowo go prowokowała ale chciała, żeby wiedział, że nie jest jej ani trochę wstyd z tego powodu

- Och.

Spodziewała się, że będzie się z nią spierał, ale nie zrobił tego. Stał tylko, patrzył w dal, a potem spojrzał na nią, jakby nie bardzo wiedział co powiedzieć.

- No tak - odezwał się w końcu i odchrząknął. - Czy ty naprawdę będziesz walczyć przeciwko uchwale o psach?

- Tak.

- Z mojego powodu?

Nie mogła uwierzyć w jego zadufanie, chociaż przeżyła z nim pięć lat

- To nie ma nic wspólnego z tobą, Fielding. Po prostu uważam, że nie należy usypiać psów, dlatego że zerwały się ze smyczy albo wykopały dziurę pod płotem. To jak wyrok na dzieci, które rozlały szklankę mleka.

- Zbyt daleko posunięta analogia. Okropne porównanie. -Naprawdę?

Znów nie odpowiedział. Przez chwilę gryzł dolną wargę, po czym zaproponował.

- Może porozmawiamy o tym przy kolacji. -O czym?

- O uchwale o psach. Zapraszam cię na kolację i albo ty przekonasz mnie, żebym wycofał skargę, albo ja spróbuję namówić cię do zmiany zdania.

-Najaki temat?

Pokręcił głową i uśmiechnął się psotnie.

- Na jakiś. Hej, Jillian, mówię poważnie. Przekonaj mnie, daję ci taką szansę. A ty daj mi szansę, bym ci udowodnił, że nie jestem diabłem wcielonym. Czyż nie stawiam sprawy uczciwie?

- Tylko kolacja? - zapytała.
- Tylko. Daję słowo.
- A jeśli cię wysłucham i nadal nie będę chciała do ciebie wrócić, wyjedziesz stąd?

Zawahał się.

- Zgoda - odparł po chwili i posłał jej promienny uśmiech.
- Dobrze! Dziś wieczorem. Przyjadę po ciebie o siódmej. Włóż coś ładnego.

Wsiadł do samochodu, szybko zawrócił i błyskawicznie odjechał.

Dopiero wtedy Jillian zauważyła, że Blaise stoi po drugiej stronie ulicy, trzymając w ręku papierową torbę i dwa kubki kawy. Przeszedł przez jezdnię i podszedł do niej.

- Wszystko w porządku? - zapytał.
- Tak. - Wyciągnęła ręce i zabrała kawę. - Chciał, żebym poszła z nim dzisiaj na kolację, i zgodziłam się.
- Och.

Coś w sposobie, w jaki to powiedział, sprawiło, że spojrzała na niego uważniej, ale jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Zaproponował, żebym go przekonała, że nie ma racji w sprawie uchwały o psach, więc zgodziłam się. Warto spróbować.

- A co on za to dostanie? Jillie poczuła, że się czerwieni.
- Okazję do przekonania mnie, że nie jest takim złym facetem, na jakiego wygląda. - Coś ją podkusiło i dorzuciła:
- Nie uda mu się. Zbyt dobrze go znam.

- Racja. - Uśmiechnął się zagadkowo. - Chodźmy na plażę, zanim słońce całkiem wzejdzie i pojawi się mnóstwo turystów.

Zabrał ją w jedno z najładniejszych miejsc, gdzie plaże publiczne między wysokimi budynkami były pięknie uporządkowane. Drewnianym chodnikiem weszli na wydmy i zobaczyli, że ekipa sprzątająca jest już na plaży. Nie zeszli na piasek - postawili kubki na barierkach i obserwowali, co się dzieje.

Przed przyjazdem tutaj Jillie nie wyobrażała sobie, że sprzątanie plaży to wielka operacja. Prawdę mówiąc, nie miała zielonego pojęcia, że robi się takie porządki. Ciężki sprzęt poruszał się zwartą kolumną, z zadziwiającą precyzją ubijając i wyrównując piasek, i pozostawiał za sobą gładką, równą powierzchnię.

Fale były wysokie, a chmury na południowym zachodzie zwiastowały burzę nad zatoką. Szum wody mieszał się z rykiem maszyn, dlatego nie mogli rozmawiać, więc w milczeniu pili kawę i chrupali świeże rogaliki.

Kiedy jedna część plaży była już czysta, ciężki sprzęt uformował się w szereg i przesunął dalej. Obok nich przeszli mężczyźni z grabiami i łopatami.

Jillie pochyliła się do Blaise'a i zawołała: - Wygląda jak musztra wojskowa.

Skinął głową i uśmiechnął się szeroko. Pokazał jej uniesiony do góry kciuk. Kiedy plaża przed nimi opustoszała, zaproponował, by zeszli na dół, bliżej wody.

Tak zrobili, wrzucając przedtem puste kubki i torbę do kosza. Jillie zdjęła adidasy. Piasek pod jej bosymi stopami był zimny i wilgotny; chłód ją orzeźwił. Roześmiała się i podbiegła do wody, a ciepła piana polizała jej nogi. Następna fala, trochę wyższa, zmoczyła jej dzinsy tuż nad kostką. Nie przejęła się tym.

Poczuła się lekka i wolna jak ptak, jakby nagle zrzuciła z siebie wszystkie zmartwienia i troski. Od bardzo dawna nie czuła się taka młoda.

Weszła głębiej do wody i roześmiała się, kiedy fala uderzyła ją powyżej kolan. Piasek usunął jej się spod stóp i zapadła się głębiej.

Poczuła mocny uścisk ręki. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Blaise wszedł do wody tuż obok i uśmiechał się szeroko, a woda moczyła mu dzinsy.

Nadpłynęła kolejna fala i porwała jej buty, zalewając je słonapianą. Jillie znów wybuchnęła śmiechem, chwyciła je i odwróciła, żeby obciekły.

- I tyle z suchego ubrania - powiedziała do roześmianego Blaise'a.

Wtedy ich oczy spotkały się. Kula stanęła Jillie w gardle, a serce zaczęło bić jak szalone. Blaise pożerał ją wzrokiem. Pragnął jej, czuła to każdą komórką swego ciała. Chciał rzucić ją na mokry piasek i kochać się z nią.

Jillie pragnęła tego samego. Krew w jej żyłach pulsowała w szalonym tempie, rozwarła usta i głośno chwyciła powietrze, a niepohamowane pożądanie zmieniło się w niemal prymitywny, dziki głód.

Ekipy sprzątające plażę odeszły daleko, tak daleko, że szum fal zagłuszał ryk silników. W oknach domów na plaży było ciemno, a w niektórych pozaciągano zasłony, jakby ludzie jeszcze spali. Z każdą chwilą Blaise miał coraz niniejsze opory.

Jego spojrzenie, gorące i namiętne, badało jej zgrabne kształty. Zatrzymało się na jej piersiach, a ręce wyrywały się do niej. Przesunął wzrok w dół, na jej złączone uda, pieścił ją jak dłońmi. Odetchnęła głośno i szybko.

Pragnęła go i nagle przestało być ważne, że inni ludzie mogą ich zobaczyć, że obiecała sobie nie wiązać się z mężczyzną, który... który co? Wszystkie jej obiekcje niespodziewanie zniknęły, rozprysnęły się jak morska piana.

Widziała, jak z trudem przełyka ślinę i odwraca oczy. Czar prysł jak bańka mydlana. Spojrzał na nią raz jeszcze i uśmiechnął się smutno.

- Chodź. Przejdziemy się i rozgrzejemy - powiedział, biorąc ją za rękę.

Rozgrzać się? Jego dotyk palił ją jak ogień. Rozgrzać się? Ona potrzebowała raczej czegoś dla ochłody, chociaż tak naprawdę nie chciała gasić żaru w sobie.

Żadne z nich nie drgnęło.

- Mam na ciebie ochotę, Jillie.

Nie była w stanie ani odpowiedzieć, ani się poruszyć. W ustach jej zaschło, a w głowie zapanowała ogromna pustka. Otwierała się na niego coraz bardziej, otwierała się też na świat, jakby chciała przyjąć wszystko, co przyniesie życie. Blaise delikatnie uściśnął jej dłoń.

- Nie możemy - szepnął. - Pragnienie nie wystarczy. Wiem, że chcę dostać więcej, dużo więcej. A ty nie jesteś gotowa mi tyle dać. Więc chodźmy, zanim zrobimy coś, czego będziemy żałować.

Miał rację. Powróciła do okrutnej, przykrew rzeczywistości. Zamknęła oczy i powoli odzyskiwała równowagę. Najlepiej zapomnieć o tym, co było przed chwilą.

Nadal trzymając się za ręce, ruszyli plażą w stronę kilku starszych i bogatszych domów na wyspie. Słońce stało już ponad dachami i na wpół mokrzy z radości przywitali jego ciepłe, rozgrzewające promienie.

- Chyba nie ma sensu czuwać w sklepie jeszcze raz dziś w nocy - zagadnęła. - Wandale już pewnie nie przyjdą.

- Może nie. - Kopnął piasek i zauważył kształtną muszlę, rzadkość na tak wyczyszczonych plażach. Podniósł ją i podał Jillie. Uśmiechnęła się zachwycona.

- Straciłam nadzieję, że kiedykolwiek znajdę choć jedną całą.

- Poszukiwacze muszli co rano przeczesują tu wszystko.

- Widziałam też dużo ludzi z wykrywaczami metalu. Znajdują coś?

- Monety, czasem zgubioną biżuterię albo zegarki. Często się zastanawiałem, czy zarabiana tym wystarczająco, żeby zapłacić za sprzęt.

Chmury na horyzoncie gęstniały i robiły się coraz cięższe. Może spadnie deszcz? Od czasu kiedy tu przyjechała, padało może dwa razy - zmiana klimatu była ogromna. W jej dawnym domu, w Massachusetts, teraz wszystko zasypał śnieg.

- Jeden z moich przybranych ojców był gliniarzem - wyznała. Spojrzał na nią.

- Pewnie mówisz mi to z jakiegoś powodu. Chcesz mnie odstraszyć? Zaśmiała się.



- Nie... nie. Był... właściwie był całkiem miły, ale lubił rozkazywać. Zawsze wszystkim mówił, co mają robić, i nie dopuszczał żadnego sprzeciwu. Myślę, że dlatego tak źle reaguję, kiedy dajesz mi rady.

- Daję te rady za często i zbyt pochopnie, ale pracuję nad tym. - Stał przed nią i chwycił jej drugą dłoń. Przyciągnął ją do siebie.

- Tylko nie rozumiem, dlaczego nikt cię nie adoptował?

Zbliżył usta do jej ust i Jillie poczuła, jak cała mięknie. Zaraz ją pocałuje i okaże się, czy poprzednim razem nie pogubiła się w uczuciach, czy tylko wyobraziła sobie to wszystko. Zamarła w oczekiwaniu.

- A, co tam - mruknął i poddał się pragnieniu.

Jego usta były gorące, delikatne, ale uparte. Ich dotyk sprawiał, że się rozpływała, skłonna ulec nieznanej pieśczoście. Odchyliła głowę do tyłu, cicho prosząc o więcej. Kiedy objął ją ramionami, zachwycona głęboko westchnęła. Nigdy jeszcze nie było jej tak bezpiecznie i dobrze. Ogarnięta pożądaniem, pragnęła tylko upaść na piasek i pozwolić temu mężczyźnie porwać się w zmysłową podróż.

Przytulił ją do siebie mocniej, więc przywarła do niego całym ciałem. Coraz bardziej podniecona, zaczęła sobie wyobrażać, jak Blaise dotyka jej piersi, pieści pośladki, ściąga z niej ubranie. Nie chciała, żeby to się kiedykolwiek skończyło. Ale nagle mewa podleciała do nich tak blisko, że Jillie została raptownie wyrwana z erotycznego odurzenia przez piskliwy wrzask i głośny trzepot skrzydeł tuż nad uchem. Odsunęła gwałtownie głowę i spojrzała na Blaise'a. Spod przymkniętych powiek patrzył na nią palącym, namiętnym wzrokiem. Serce na moment jej zamarło. Mewa znowu zaatakowała, krzycząc głośno i furkocząc skrzydłami.

- Może podeszliśmy za blisko - powiedział Blaise.

- Gniazdo?

- Nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie mewy znoszą jajka. Nieważne. Chyba powinniśmy stąd odejść.

Ptak podleciał do nich raz jeszcze, więc odskoczyli od siebie ze śmiechem i tracąc równowagę, przewrócili się na piasek. Wtedy Jillie poczuła, jak mokre i zimne saje jej dżinsy. A buty... gdzie zostawiła buty?

Mewa zaskrzeczała znowu i przysiadła na ziemi, tam gdzie przed chwilą stali. Machając skrzydłami, nastroszyła pióra.

- Zachowanie typowe dla samicy - stwierdziła Jillie. - Widziałam już coś takiego. Nie wiem, gdzie są małe, ale lepiej chodźmy, bo biedactwo strasznie się denerwuje.

Buty leżały na piasku obok Blaise'a. Podniosła je i ruszyli w drogę powrotną. Ucieszyła się, kiedy wziął ją za rękę.

Natychmiast zapomniała, jak

zimne i mokre jest jej ubranie i mimo wielkiego zmęczenia poczuła się lekka jak piórko.

W Paradise Beach nastął piękny poranek.

Wieczorem, kiedy włożyła czarny kostium, poczuła się, jak w mundurze, jakby szła na wojnę. Niech Fielding zobaczy, co stracił, niech tego pożałuje - jeśli w ogóle można wywołać u niego żal. Poza tym chciała wyglądać jak najlepiej, żeby sobie dodać animuszu, nie pozwolić się poniżyć.

Jedyną biżuterią, jaką zabrała po rozwodzie, były złote kolczyki, które zafundowała sobie za własne pieniądze.

Założyła je teraz, wiedząc, że Fielding ich nie lubi - chyba dlatego, że nie on je kupił.

Teraz dopiero zrozumiała, że Fielding przez cały czas trwania ich związku rządził nią - a ona mu odpłacała, stawiając się coraz bardziej. I musiała przyznać, że nic w tym dziwnego, że pewnie często miał ochotę walnąć ją w głowę łopatą i zakopać szczątki w piwnicy.

Wiedziała oczywiście, że nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Fielding nie był gwałtowny; on po prostu kupował to, czego zapragnął.

Usłyszała pukanie do drzwi i odwróciła się od lustra. To na pewno Fielding. Złapała torebkę z łóżka i pobiegła otworzyć. Zanim zrobił krok do środka, wyszła na zewnątrz i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

- Śpieszysz się? - zapytał.

Nie chciała, żeby wchodził do domu nawet na minutę. Prawdę mówiąc, nie miała ochoty spędzić z nim wieczoru. Znowu dostała przez niego gęziej skórki - i po raz kolejny zastanowiła się, co w nim kiedyś widziała. Uśmiechnęła się szeroko.

- Nie, nie śpieszy mi się. Chcesz posiedzieć na patio z tyłu domu? - Patiem nazywała zwykły betonowy taras, dwa na dwa metry. - A może pospacerujemy wzdłuż domu?

- Nie, dziękuję. - Nie zanosilo się na deszcz, lecz powietrze było lepkie i nieprzyjemnie przesiąknięte wilgocią. - Chodźmy więc.

Wybrał restaurację na drugiej wyspie, w miasteczku, które nie podobało się Jillie tak jak Paradise Beach. Budynki stały stłoczone blisko siebie - stare motele i sklepy obok nowych, błyszczących wieżowców. Jeśli istniały jakieś przepisy dotyczące zabudowy strefowej, tutaj zostały całkowicie zignorowane.

Jednak hotelowa restauracja, do której Fielding zabrał Jillie, była przyjemna.

Tymczasem ona stwierdziła, że nic nie może się równać z kolacją, którą jadła z Blaise'em na plaży o zachodzie słońca.

Fielding zamówił stolik z widokiem na morze. Chciał oglądać zachód słońca. Jillie postanowiła bawić się jak najlepiej tego wieczoru. Zaczęła od zamówienia frutti di mare.

Fielding uniósł brwi.

- Widzę, że nadal uwielbiasz homary.

- Minął zaledwie rok i sześć miesięcy, odkąd ostatni raz jedliśmy razem kolację, nie cała wieczność.

Jeśli go rozzłościła, szybko to ukrył.

- Kiedy ostatni raz jedliśmy razem kolację, zażądałaś rozwodu.

- Pamiętam. - Rzeczywiście tak było. Zmarnowała pyszną potrawę z homarów. - O ile sobie przypominam, zgodziłeś się.

- Do czego zmierzasz?

- Do tego, że nie rozumiem, dlaczego jemy razem kolację osiemnaście miesięcy później. Jesteśmy po rozwodzie, a ty się nie sprzeciwiałeś.

- Wtedy nie.

- Co się stało?

Spojrzał na serwetkę i zaczął ją składać w harmonijkę. Była z grubego materiału i rozkładała się co chwila.

- Przemyślałem to sobie jeszcze raz. Jasne, stał się cud, zachnęła się.

- Wiesz, że kiedy minął pierwszy szok, miałam wrażenie, że od początku nie bardzo ci się podobałam.

Fielding popatrzył na nią zraniony.

- Ludzie się zmieniają. Ja też jestem inny. Posłuchaj, zgodziłem się dać ci okazję do przekonania mnie, żebym nie wspierał uchwały o psach. Wykręcał się i zmienił temat. Jillie wystarczająco go znała i wiedziała, że chciał uniknąć kłamstwa. Nie dlatego, że zawsze mówił prawdę, ale kiedy mógł, starał się nie łączyć w żywe oczy. Dziwne, lecz poczuła się rozczarowana. Może to głupie, ale miała cichą nadzieję, że będzie żałował tego, jak ją potraktował. Nie chciała go z powrotem. Nawet pod groźbą tortur nie wróciłaby do niego. Ale zastanawiała się, co sprawiło, że przyjechał za nią aż tutaj. Była tego coraz bardziej ciekawa i dlatego nie mogła skupić się na sprawie psów.

Fielding poruszył inny temat.

- Przyjęłaś stanowisko przewodniczącej tego psiego komitetu, żeby zrobić mi na złość?

Prędzej poszłaby z uśmiechem na szubienicę, niż przyznała się do tego.

- Nie. Naprawdę uważam, że proponowane prawo jest złe. Przestań, Fielding. Pies ledwie cię drasnął. Czy ty rzeczywiście jesteś tak pozbawiony serca, żeby życzyć psom śmierci tylko dlatego, że jeden przypadkiem

leciutko cię zranił? Tym bardziej że wkrótce wyjedziesz i nigdy tu nie wrócisz.

Poruszył się, zakłopotany. Nie lubił, kiedy ktoś apelował do jego uczuć.

- Ten pies stanowi zagrożenie! Widziałas, wczoraj na mnie skoczył.

- To tylko jeden pies. Nie możesz winić wszystkich psów na świecie za zachowanie Rovera.

- Właściwie to mam pretensję do policji w tym cholernym mieście. Nie potrafią złapać j ednego psa!

- On im ciągle ucieka, Fielding. -Zapomniałem... trzymasz stronę szefa policji. Jillie nawet nie próbowała zaprzeczać, bo po co.

- Ale poza tym, że chcesz zabić te biedne, małe pieski - zobaczyła, że Fielding się wykrzywia, jakby oskarżyła go o kradzież ukochanej zabawki -chcesz, nie wiadomo dlaczego, przekupić burmistrza.

- Kto to powiedział? - rozgniewany zażądał wyjaśnień. - Nic podobnego nie zrobiłem.

- Obiecałeś mu darowiznę na kampanię...

- To nie jest łapówka - przerwał gwałtownie. - Ojej, Jillian, to dwie całkiem różne sprawy. Łapówka idzie bezpośrednio do czyjejs kieszeni. Mógłby sobie pojechać na plażę Waikiki na wakacje albo kupić nowy samochód. Obietnica wsparcia kampanii wyborczej, jeśli podoba ci się to, co robi polityk, jest normalną praktyką na całym świecie! Nie zrobiłem nic niezgodnego z prawem, i ten głupi burmistrz, jak mu tam, też nie.

Jillie poczuła, że traci grunt pod nogami.

- Ludziom w Paradise Beach nie bardzo się to podoba - oświadczyła, lecz już z mniejszą stanowczością.

- No i co z tego. Nie są zadowoleni, bo jestem obcy. Ale zaufaj mi, dziecinko, tak się robi, i to legalnie.

Nie znosiła, kiedy mówił do niej „dziecinko”. Pewnie dlatego też dostawała przez niego gęsiej skórki.

- Legalnie czy nie, to, co chcesz zrobić, jest złe. Wydaje mi się, że burmistrz zgodził się przeforsować nowe przepisy bez publicznej debaty. A to już próba obejścia procedury.

- Tak, jasne - wzruszył ramionami. - Więc co? Zgodnie z prawem może zaproponować uchwałę i rada miejska może jąprzegłosować bez najmniejszego udziału osób z zewnątrz. Z tego, co wiem, członkowie rady zbierają się w obecności jednego znudzonego reportera oraz dwóch lub trzech ludzi, którzy przychodzą im pokibicować. Wcale nie prosiłem burmistrza, żeby zwołał zebranie za zamkniętymi drzwiami, by wszyscy stali na zewnątrz. Po prostu nie chciałem, żeby nagłasniał sprawę - znów wzruszył

ramionami i rzucił szybkie spojrzenie na zieloną psią obrozę, którą Jillie miała na rękę. - Teraz już na to za późno. Kelner przyniósł zamówione dania i Jillie ucieszyła się, że mogą przerwać rozmowę. Może rzeczywiście oferta finansowego wsparcia była zgodna z prawem. W takim razie musiała spróbować innej taktyki, żeby namówić go do współpracy.

Pytanie, dlaczego Fielding szuka zgody, było warte bajątkowych sum. Zaczęła kalkulować. Nie, nie zamierza gubić się w domysłach, to nie w jej stylu. Ale co zrobić w sprawie psów?

Homar był pyszny, zresztą wszystko, o dziwo, bardzo jej smakowało. Takiego jedzenia nigdy nie kupi w supermarkecie, pomyślała.

- No więc? - zapytał w końcu Fielding. - Czy temat psa uznajemy za zamknięty?

Pokręciła głową.

- Czego ty naprawdę od nas chcesz, Fielding? Zemsty? Bo uspienie wszystkich biegających po Paradise Beach psów nie oznacza, że złapią tego, który tak ci załatwił skórę. Co gorsza, zabijesz wiele psów, które nie zrobiły ci nic złego. O co chodzi?

- Tylko w ten sposób mogę dostać się do Rovera.

Jillie zauważyła, że jemu samemu nie bardzo podobał się ten pomysł. Fielding nie był zły i okrutny; starał się nikogo nie krzywdzić. Ale zachowywał się jak dziecko; brał to, na co miał ochotę, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Według niego, Rover zasługiwał na karę i jeśli wiązało się to z łapaniem wszystkich psów, to należało tak postąpić. Dziecinne czy nie, rozumowanie Fieldinga nie stanowiło dla niej tajemnicy. Musiała tylko znaleźć odpowiednie argumenty, ponieważ była przekonana, że w głębi serca Fielding nie chce skrzywdzić niewinnych psów. Z upływem czasu minie mu złość na Rovera.

- Posłuchaj - powiedziała. - Kieruj się rozsądkiem. Po pierwsze, powinieneś się upewnić, że nie musisz brać zastrzyków przeciwko wścieklicznie.

- Czy ty wiesz coś o wścieklicznie? - zapytał i wzdrygnął się. - Czytałem o tym. To straszna choroba. A ten cholerny pies mógł mnie zarazić. Nie powinien biegać luzem.

-Racja.

- A teraz znowu jest wolny, bo ktoś wypuścił go z klatki. A ja dostanę te zastrzyki.

- Rover nie choruje na wścieklicznę. Fielding zaczerwienił się lekko.

- Tak mówi weterynarz. Mój lekarz nie uważa, żeby zastrzyki były konieczne. Ale dostałbym je, gdybyś nie wiedziała, który pies mnie ugryzł!

I o to mi chodzi. Żaden pies nie powinien biegać bez smyczy. Stanowi zagrożenie dla ludzi!

Jillie pomyślała, że to również niebezpieczne dla psa, który może wpaść pod samochód, lecz nie sądziła, by Fieldinga obchodził los zwierząt.

- Zgadza się, ale psy zawsze będą uciekały ze smyczy. Jest już przepis zakazujący puszczenia ich luzem i właściciele płacą kary. Po co zabijać psa za to tylko, że jest psem?

Fielding poruszył się niespokojnie i podłubał w resztkach żeberek.

- To prawo obejmuje wyłącznie te zwierzęta, które uciekną więcej niż raz. Nikt poważnie nie proponuje usypiania psa za jedną ucieczkę. Ale drugi raz to dowód złej opieki, to znaczy, że właściciel nie pilnuje go wystarczająco dobrze.

- Więc proponuję wybić właścicieli - nie mówiła tego serio, miała jednak nadzieję, że takie szokujące stwierdzenie otworzy mu oczy.

- Nie pleć bzdur, Jillian! Liberalowie nigdy się na coś takiego nie zgodzą!

Jillie odebrało mowę. Fieldingowi widać nigdy nie przyszło do głowy, że konserwatyści również mogliby się sprzeciwić. Zastanawiała się, czy to miara jego poglądów politycznych, czy wartości, jaką stanowiło dla niego ludzkie życie.

Ale szkoda czasu na bezcelowe rozmyślania. Fielding to oryginał. Nic się nie zmienił. Odwróciła się i spojrzała na plażę, szukając ukojenia w widoku morza i nieba, lecz na dworze panowała już ciemność i w oknie dostrzegła tylko własne odbicie. Żaden powód do radości.

- Nie mogę tego zrobić, Mary.

- Ależ możesz - panna Todd powiedziała ożywiona do Teda Wanna-makera. Wymogła na nim obietnicę, że zabierze ją na obiad, a potem zaprosiła wszystkich członków grupy, żeby zjedli z nimi. Tylko Hadley i Luis się zgodzili, ale to wystarczyło. Kiedy Felix poinformował ją, że Wainwright pochwalił się burmistrzowi, że idzie z byłą żoną na kolację - żeby uzgodnić stanowiska w sprawie psów - Mary postanowiła działać.

- Nie, Mary. Nie wypada wtrącać się do tych młodych ludzi w taki sposób.

- Nie wtrącamy się, Ted. Po prostu kiedy widzisz znajomego w restauracji, to zwykle podchodzisz do niego i witasz się.

Ted popatrzył na nią błagalnie.

- Co innego przywitać się, a co innego przeszkadzać.

- Zaufaj mi. Jillian będzie nam wdzięczna.

-A co z tym młodym człowiekiem?

- To ten, który przekupił burmistrza, żeby bez publicznej debaty przeforsował uchwałę o psach.

Ted skrzywił się.

- Obietnica darowizny na kampanię to nie łapówka.

- Dla ciebie może nie - Mary, rozczarowana, pokręciła głową i ze smutkiem spojrzała na przyjaciela, którego znała od sześćdziesięciu lat. - Drogi Teddy, przypominasz mi, dlaczego nie wyszłam za ciebie za męża.

Teraz Ted wyglądał na przygnębionego. Zwrócił się do Hadleya i Luisa.

-A wy co myślicie?

- Powinniśmy do nich podejść - stwierdził Hadley. - Ten facet to idiota, a Jillie jest przewodniczącą naszego komitetu.

Luis uśmiechnął się blado, rozbawiony sytuacją. Ted zajrzał drugi raz do jadalni i zgarbił się.

- Pewnie tak - powiedział.

Mary wzięła go pod rękę i uśmiechnęła się z aprobatą.

- Wiedziałam, że wy jesteście twardsi.

- Twardość nie ma tu nic do rzeczy - odparł. - Jestem zniewolony! -Ale pomaszerował z Mary w stronę stolika, przy którym siedzieli Jillian i Fielding. Skoro już się zdecydował, Ted Wannamaker nie zamierzał się wycofać.

Fielding spostrzegł ich i na jego twarzy pojawił się grymas niezadowolenia. Jillian odwróciła się i kiedy zobaczyła Mary Todd i wianuszek jej przyjaciół, rozpromieniła się.

- Widzisz? - triumfowała Mary. - Cieszę się na spotkanie z nami. Ted, sądząc po minie Fieldinga, nie był tego taki pewien.

- Jillie, pamiętasz Teda? - zapytała Mary, gdy podeszli do stolika, i pochyliła się, by pocałować jąw policzek.

- Tak, poznaliśmy się w barze na plaży. - Ucisnęła jego dłoń. Mary popatrzyła na Fieldinga.

- Panie Wainwright, chyba pan już poznał Hadleya i Luisa, a to jest Ted Wannamaker z Wannamakerów z West Palm.

Jillie miała poważne wątpliwości, czy Fielding kiedykolwiek słyszał o jakimś Wannamakerze, a co dopiero z West Palm, ale taki sposób przedstawiania ludzi był mu bardzo bliski, przywitał się więc przyjaźnie. Zauważyła, że Ted czuje się bardzo skrępowany.

- Nie sądzicie, że będzie głupio, jak usiądziemy przy osobnym stole? -Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, Mary poprosiła kelnera o dostawienie stolika, żeby wszyscy mogli się zmieścić.

Fielding osłupiał; jego piany na dzisiejszy wieczór wzięły w łeb. Cholerny Tymczasowy Komitet Obrony Psów w Paradise Beach. Gniew przeszedł mu trochę, kiedy Ted usiadł obok niego.

- Wannamaker z West Palm? - zagadnął jowialnie. - A czym się zajmuje pańska rodzina?

- Ja jestem na emeryturze - odparł Ted kwaśno, patrząc na Mary. Fielding roześmiał się.

- Dobrze powiedziane! Będę musiał zapamiętać. Mary nachyliła się do Jillie i mruknęła jej do ucha:

- Pomyślałam, że potrzebujesz ratunku. Miałam rację? - Stuprocentową.

- Rację, a w jakiej sprawie? - zainteresował się Fielding. Nie lubił, kiedy ktoś wyłączał go z rozmowy.

- Chodzi o to, że przy kolacji nie powinno się rozmawiać o interesach - słodko wyjaśniła Jillie.

Fielding zaprotestował, zirytowany.

- Nie miałem zamiaru rozmawiać o interesach. Chciałem tylko znaleźć wspólny temat.

- Nikt ci niczego nie zarzuca, Fielding.

- Oczywiście, że nie! - zawtórowała zdecydowanie Mary. - Luis zajmuje się restauracjami, panie Wainwright, a Hadley, drogi Hadley, od czasu do czasu ponosi odpowiedzialność za wypaczanie młodych, wspaniałych umysłów. Zaskoczyła Fieldinga.

- Co takiego?

- Wykłada filozofię na uniwersytecie - tłumaczyła Mary.

- Och. - Fielding jak zwykle nie zrozumiał dowcipu.

Panna Todd jeszcze raz zawołała kelnera i poprosiła o wino dla wszystkich. Fielding, który pijał koktajle Manhattan i nienawidził win, nie powiedział ani słowa, kiedy kieliszek musującego, białego trunku stanął przed nim, ale patrzył na niego, jakby pochodził z innej planety.

- Stare portugalskie wino - zachwalała Mary. - Jedno z moich ulubionych.

Fielding posłusznie uniósł kieliszek i wypił łyk.

- Pyszne. Dziękuję. - Nie udało mu się ukryć braku entuzjazmu.

- Och! - Mary jakby nagle coś sobie przypomniała. - Chciałam ci powiedzieć, Jillie, że zaplanowaliśmy na jutro niezwykle protest przeciwko uchwale o psach...

W tym momencie Fielding przerwał jej, machając ręką i sycząc przez zaciśnięte zęby:



- Nie wypada rozmawiać o interesach przy kolacji, pamiętacie państwo? Mary uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Oczywiście - odwróciła się ponownie do Jillian. - Przypomnij mi, żebym powiedziała ci później.

Rozmowa zeszła na ogólne tematy. Nowi goście zamówili kolację. Fielding milczał wymownie, chociaż nikt nie zwracał na niego uwagi i ledwo tknął wina. Cały czas miał kwaśną minę.

Kiedy podano jedzenie grupce przyjaciół, a Fielding zrobił ruch, jakby chciał odejść od stołu, wszedł Blaise Corrigan.

Mary przywołała go skinieniem ręki. Fielding skrzywił się, jakby połknął coś gorzkiego.

- Och, do diabła - powiedział do Jillian, nie zważając na to, kto go usłyszy. - Tylko nie on!

Blaise wyglądał doskonale w ciemnogramatowym garniturze i krawacie. Jillie nie mogła oderwać od niego wzroku.

Jak to się stało, że poszła na kolację nie z nim, a z Fieldingiem, pomyślała ze smutkiem.

- Czy nie nadaje się na wspaniałego modela na okładkę książki o miłości? - zapytała Mary.

- Wolałabym go zobaczyć na niebieskiej satynowej pościeli - wyrwało się Jillie, zanim zdała sobie sprawę, co mówi, i zaczerwieniła się gwałtownie. Fielding zdumiony patrzył na nią, a Mary roześmiała się zachwycona.

Blaise podszedł do stolika i uprzejmie przywitał wszystkich. Dostawili mu krzesło. Rzucił Jillie zagadkowe spojrzenie.

- Poprosiłam Blaise'a, żeby do nas dołączył - oznajmiła Mary. - Pomyślałam, że mógłby brać udział w debatach naszego komitetu, ponieważ nie chcemy stwarzać żadnych problemów. Jednak nie możemy swobodnie rozmawiać, bo jest tutaj nasz wróg numer jeden...

- Wróg numer jeden - powtórzył Fielding.

- Cóż, nie wiem, jak inaczej pana określić - powiedziała Mary. - Próbuje pan przekupić naszego burmistrza, żeby wprowadził nikczemny przepis prawny.

- Nie staram się nikogo przekupić! Poza tym to wy przerwaliście mi kolację z Jillian, a nie ja wam. Jeżeli chcecie sobie pogadać, idźcie gdzie indziej.

- Nie możemy - Mary uśmiechnęła się słodko. - Tu mamy jedzenie, widzi pan. Ale pan może odejść.

- W porządku! - Fielding wstał. - Jillian? Jillie zawahała się.

- Zostań. - Mary mocno chwyciła ją za rękę. - Przecież jesteś naszą przewodniczącą. Jesteś nam potrzebna.

Jillie nadal się wahała. Z jednej strony uważała, że dobre wychowanie nakazuje jej wyjść razem z Fieldingiem, z drugiej jednak zrobiłaby wszystko, żeby z nim nie iść. Jeżeli odmówi, może pozbędzie się intruza.

A co tam dobre maniery!

-Nie chcę jeszcze wychodzić, Fielding. Zostańmy i zjedzmy deser. -Nie zostanę i nie pozwolę się obrażać.

- Nikt pana nie obraża - oburzyła się Mary. - Po prostu takie są fakty. Jeśli czuje się pan dotknięty, może należałoby zmienić postępowanie.

Fielding poczerwieniał. Dawniej Jillie próbowałaby załagodzić sytuację i wyszłaby z nim jak najszybciej, nie dlatego, że martwiła się o niego, ale dlatego, że jego napady furii były naprawdę niebezpieczne. Tym razem nie zrobiła nic. Fielding już jej nie obchodzi, stwierdziła stanowczo.

Ale, ku jej wielkiemu zdziwieniu, usiadł. Sięgnął po swoje wino, wypił do dna i uśmiechnął się.

- Przyznajępani rację-powiedział do Mary. - Może powinienem jeszcze raz przemyśleć swoje zachowanie. A może psy powinny mieć prawo włóczyć się, gdzie popadnie, i gryźć, kogo im się spodoba?

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek z nas tak uważał - odparła Mary.

- Więc o co wam chodzi? Zostałem dwa razy zaatakowany przez tego potwora, którego wszyscy tak gorąco bronią, a raz nawet mnie ugryzł. Musiałem poddać się bolesnym zabiegom medycznym i grozi mi seria zastrzyków przeciw wściekłości. To chyba normalne, że chcę się upewnić, że nikomu innemu się to nie przytrafi.

- Nie - przerwała mu Jillie. - Nie obchodzą cię inni. Chcesz tylko wyrównać rachunki...

Blaise szybko zakrył usta dłonią, a Jillie znów się zastanawiała, kiedy wreszcie nauczy się trzymać język za zębami. Nie martwiła się o to, jak Fielding odpowie na jej oskarżenie, ale przyszło jej do głowy, że Blaise uzna ją za prawdziwą złośnicę.

- To nie w porządku, Jillian. - Fielding był wyraźnie rozdrażniony.

- Ale tak właśnie jest - oznajmiła. No, teraz Blaise już wie, że jest jędzą. - To proste równanie, Fielding. Właściciele płacą kary za biegające bez smyczy psy. Nie rozumiem, dlaczego myślisz, że obawa przed uspieniem będzie lepszym środkiem odstrasającym. Cholera, przecież kara śmierci nie odstraszyła żadnego mordercy, wiem to na pewno!

- To prawda - odezwał się z końca stołu Blaise. - Mamy teraz więcej morderstw niż kiedykolwiek przedtem.

- Żyjemy w społeczeństwie zdominowanym przez przemoc - zauważył Hadley. - Już choćby stosunek pana Wainwrighta do problemu psów o tym świadczy!

- Hadley, proszę - odezwała się Mary. - Bez filozofowania. To nie jest odpowiedni moment na debatę o poważnych sprawach. Chodzi nam o to, czy pan Wainwright domaga się sprawiedliwości, czy zemsty. Ja uważam<sup>^</sup> że tego drugiego.

Wszyscy, oprócz Fieldinga, skinęli głowami.

- Tego już za wiele - powiedział i wstał, rzucając serwetkę na talerz. - Nie będę tu siedział i słuchał, jak podajecie w wątpliwość motyw mojego postępowania. Jillian?

Za nic nie chciała stwarzać wrażenia, że popiera zachowanie Fieldinga, ale przecież przyszła z nim i niegrzecznie będzie nie wyjść razem.

Najwyraźniej wahała się o jedną chwilę za długo. Fielding odchylił głowę do tyłu, rozłoszczony.

- Rób, jak chcesz - rzucił ostro i odszedł dumnym krokiem.

Jillie, która właśnie podnosiła się z krzesła, opadła na nie z powrotem. Śmieszne, ale poczuła ogromną ulgę.

- Jak na człowieka, który stara się ciebie odzyskać, świetnie mu idzie. - zauważyła Mary.

- On wcale nie chce mnie z powrotem - zaprzeczyła Jillie. - Nie wiem, dlaczego w ogóle próbuje. Nie tak dawno nie mógł się wręcz doczekać, kiedy zej dę mu z oczu.

-Żałuje?

- Fielding nie zna znaczenia tego słowa.

Nieoczekiwanie kelner podszedł do stolika i położył przed Jillian skórzany portfelik. Otworzyła go i zaczęła się śmiać.

- Zostawił mi rachunek do zapłacenia.

- Co to to nie! - Mary wyrwała go jej z ręki. - To przez nas sobie poszedł i nie pozwolę ci ponosić żadnych kosztów.

- Mary, naprawdę, nie ma sprawy. - Jillie sięgnęła po rachunek, lecz Mary odsunęła go jeszcze dalej.

- A powinna być - oświadczyła surowo. - Ten niemożliwy młody człowiek zaprosił cię na kolację i nie miał prawa potraktować cię w taki sposób! Ale stało się i ja jestem za to odpowiedzialna, bo z pewnością nie poszedłby sobie, gdybyśmy wam nie przeszkodzili.

- Uwierz mi, że nie pierwszy raz tak postąpił. Mary uniosła brwi.

- Co za prostak! Ale co tam, dziewczyno. Zapłacę ten rachunek. Mam tyle pieniędzy, że nie wiem, co z nimi robić, i z pewnością stać mnie na kilka kolacji.

- A ja odwożę cię do domu - dorzucił Blaise ze swojego końca stołu. Jillie spojrzała na niego smutno.

- Wygląda na to, że ciągle potrzebuję pomocy.
- Dopiero odkąd Wainwrightowie są w mieście.

### Rozdział 13

Zrobimy tak - powiedział Blaise. - W nocy będę przejeżdżał koło twojego sklepu co kilka godzin, chociaż wydaje mi się, że ci wandalę już nie wrócą.

-Ja też tak myślę.

Wiatr od morza był słaby i chłodny. Dobrze się czuła, siedząc na werandzie Blaise'a i słuchając delikatnego szmeru liści. Pomyślała, że jednak zostało w niej coś z jankeski, bo zatęskniła za zimnym klimatem i ogniem płonącym w kominku.

Blaise przebrał się w mniej eleganckie rzeczy i usiadł przy niej.

- Ta weranda jest wspaniała. - Czuję się, jakbym siedziała bardzo wysoko, prawie na wysokości czubków drzew.
- Przychodź tu, kiedy zechcesz.

Rzeczywiście siedzieli wysoko. Domy dookoła były przeważnie jednopiętrowe i betonowe. Zbudowano je, zanim federalny komitet przeciwpowodziowy zdecydował, że w strefie zalewów nikt nie może mieszkać na parterze. Z werandy rozciągał się widok na dachy pobliskich budynków i pod koniec męczącego dnia Blaise zawsze znajdował tu odpoczynek i spokój.

- Wiesz co, myślę, że Mary Todd wszystko zaplanowała - stwierdziła Jillie.

- Co takiego?

- Tę scenę w restauracji. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale to dziwne, że nagle wszyscy się pojawili i uparli, żeby do nas dołączyć.

Blaise zeszywniał i zaczął się zastanawiać, czy ich najście jej przeszkodziło. Może dobrze się bawiła ze swoim byłym mężem.

- Nie wiem - powiedział tylko.

- To jest nieprawdopodobne - powtórzyła. - Ale czy wszystkiego nie wyolbrzymiam? Dlaczego Mary robiłaby coś takiego z mojego powodu. Nie. Po prostu wydało mi się to dziwne i tyle.

- Mary od czasu do czasu lubi się wtrącać.

- Tak? Z pewnością nie przepada za Fieldingiem i wcale jej za to nie winię, może po prostu dobrze się bawi, zatruwając mu życie.

- Może. Jillie zachichotała cicho.
  - Z pewnością nie pasuje do stereotypu starszej pani.
  - Mary zawsze wymykała się wszelkim stereotypom, chyba że sama chciała być niedoceniana.
  - Naprawdę ją lubisz?
  - Oczywiście, że tak. Potrafi czasami doprowadzić do szału, ale nigdy nie robi nic złośliwie.
  - W przeciwieństwie do wielu innych ludzi. - Wyprostowała nogi i poruszała stopami. - Ciekawe, co dzieje się z Roverem? Podobno jeszcze nie wrócił do domu.
  - Chyba nie. I to mnie bardzo martwi. Całe życie Cala kręci się wokół tego psa. Rover to jedyne stworzenie, które kocha Cala Lepkina. Godzinami przesiaduje z nim na ganku, aportuje... Wiesz, bez tego psa Cal nie miałby po co wstawać rano.
  - Nikt nie kazał Roverowi gryźć Fieldinga - stwierdziła Jillie. - Zapomnijmy na chwilę o przewrotnych planach mojego byłego, ale Rover miał w końcu kwarantannę dlatego, że kogoś ugryzł.
  - Osobiście uważam, że ten pies kocha się w tobie.
  - Kocha się we mnie? - Jillie się roześmiała. - Przez tego właśnie psa wjechałam w twoją skrzynkę na listy! Skoro mnie tak kocha, to w dziwny sposób okazuje uczucia.
- Teraz Blaise się roześmiał.
- No, ale wygląda na to, że stara się bronić cię przed Fieldingiem.
  - Dzisiejszy wieczór udowodnił mi, że wiele osób próbuje mnie chronić.
  - Potrzebujesz ratunku? Pokręciła głową.
  - Od kilku dni usiłuję zrozumieć, jak mogłam się zakochać w tym facecie. Czyja go w ogóle kiedykolwiek kochałam?
  - Takie pytania do niczego cię nie doprowadzą. Nie ma sensu ponownie się nad tym zastanawiać, Jill. - Nagle roześmiał się, a jego śmiech zabrzmiał ciepło w środku nocy. - Ojej, znowu nieproszony daję ci rady.
  - W porządku. Wiem, że masz rację.
  - Więc dawanie rad jest w porządku, kiedy właściwie ich nie potrzebujesz?
- Jillie rzuciła mu szybkie spojrzenie, którego nie zauważył.
- Wcale nie o to mi chodziło. Chciałam powiedzieć, że dobrze, że mi dajesz rady i że zgadzam się z tobą.
  - Och.

- Ty nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego poślubiłeś swoją żonę?

- Czasami - zawahał się, ale postanowił powiedzieć całą prawdę. -W większości moich związków od czasu tamtego zadawałem sobie pytanie, dlaczego kiedy od kogoś odchodzę, to mnie nie boli. Właściwie to czułem ulgę.

Jillie skinęła głową.

- Tak samo było ze mną, kiedy odeszłam od Fieldinga. Ulżyło mi. Zupełnie jakbym zrzuciła z siebie naprawdę wielki ciężar.

- Dokładnie tak.

Znowu się roześmiała i zdała sobie sprawę, jak bardzo lubi towarzystwo Blaise'a - i o ile swobodniej czuje się z nim, siedząc tak i rozmawiając, niż z Fieldingiem.

Czy kiedykolwiek w małżeństwie z Fieldingiem była na luzie? Nie - przypomniawszy sobie, że już na początku cierpiała katusze z obawy, że zauważy w niej jakąś niedoskonałość. A kiedy dowiedziała się o jego romansach, trwała w tym związku, obwiniając siebie, zastanawiając się, w czym jest gorsza i dlaczego zamierza ją porzucić, skoro mu się kiedyś spodobała. Bała się, że dowie się czegoś nowego i nieprzyjemnego.

Tak, życie z Fieldingiem było piekłem. Dlaczego znosiła je tak długo?

Po co marnowała cudowny wieczór na takie rozważania?

- Przynieść ci coś do picia? - spytał Blaise. - Kawy, herbaty, mleka, coś zimnego?

- Poproszę herbatę.

Poszła za nim do kuchni i oparła się o blat, a on zagotował wodę i wyciągnął herbatę w torebkach.

- Wspaniała kuchnia - powiedziała. - W nowych domach są tylko maleńkie aneksy.

- Jestem za duży na coś takiego. Lubię przestrzeń, jak najwięcej miejsca. Chcę się poruszać swobodnie i nie wpadać na coś co chwila. Nienawidzę bałaganu.

- Przecież bałagan to coś cudownego! Po to mamy w domach płaskie powierzchnie, żeby go robić.

Uśmiechnął się do niej przez ramię. -Niech pomyślę...

- Ależ tak. Blaty stołów są po to, żeby na nich stawiać różne rzeczy, tak samo blaty w kuchni, toaletki, obramowania kominków...

- Zgadza się - położył dłoń na sercu. - Lecz nie chcę w domu bałaganu dlatego, że nie ma miejsca na potrzebne meble.

- No, z tym się zgadzam. Ja nigdy nie miałam kuchni tak dużej, żeby zmieścił się w niej stół.

- Prawda, że jest ładna? - Postawił filiżanki na stole i wysunął taboret dla niej. - Dobry stół dla kawalera, któremu nie chce się nosić talerzy do jadalni.

- To na pewno duży plus. - Zamoczyła torebkę kilka razy, po czym wyjęła jąna spodek i zaczęła pić. Zrobiło jej się przyjemnie ciepło i przytrzymała filiżankę w zimnych dłoniach. - Często zapraszasz gości?

- Chodzi ci o imprezy? Czasami. Komendant policji to polityczne stanowisko, bardzo dużo ode mnie wymagają, więc zapraszam ludzi kilka razy w roku, szczególnie tych, którzy mogą mnie wylać z pracy.

Powiedział to żartobliwie i Jillie się roześmiała.

- Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebował pomocy, służę. Fielding miał zwyczaj wydawania eleganckich przyjęć, a ja potrafię zrobić palmy z marchewek i zielonej papryki.

- Oto talent, który nie ma sobie równych.

- A pewnie - ostentacyjnie zaczęła sobie czyścić paznokcie. - Obawiam się, że nie zrobiłabym rzeźby z lodu, no, ale nie można umieć wszystkiego.

Spojrzał na nią tak, że na chwilę zaparło jej dech.

Okna były otwarte i po pokoju hulał wiatr. Jillie jakby nagle obudziła się z długiego snu. Powietrze delikatnie i zmysłowo pieściło jej skórę. Serce zaczęło bić jej szybciej... w oczekiwaniu.

- Mogę? - zapytał stłumionym głosem, a ona poczuła dreszcz rozkoszy, rozchodzący się po całym ciele.

Ostrzegawczy dzwonek rozległ się jej w głowie i przypomniał, że teraz jest wyjątkowo wrażliwa. Przecież dawno już żaden mężczyzna nie patrzył na nią z pożądaniem i wieki całe z nikim się nie kochała, więc hormony i zranione ego wołały o pomoc. Byłaby głupia, gdyby z powodu głodnego spojrzenia Blaise'a zapomniała o zdrowym rozsądku.

Patrzył na nią tak, jakby wyczuwał tę jej gotowość. Zacząłpieścić wzrokiem jej piersi. Jillie nieoczekiwanie zdała sobie sprawę, jak są ciężkie i jak się poruszają, gdy szybko oddycha. Sutki nabrzmiały i domagały się pieśczoty.

Ostrzegawczy gong w głowie stał się niemal ogłuszający. Nie. W żadnym wypadku nie mogła dopuścić, żeby kolejny mężczyzna skrzywdził ją tak jak Fielding. Za nic nie pozwoli nikomu się zranić, sprawić, że znowu poczuje się nic niewarta.

Ale jego spojrzenie zahipnotyzowało ją. Ostrzegawcze sygnały przycichły i po chwili całkiem zamilkły. Kiedy szedł do niej, myślała jedynie o tym, że zbliża się za wolno. Stanął przy niej, obrócił ją delikatnie na taborecie i pochylił się, żeby ją pocałować. Serce zaczęło jej bić jak szalone, gdy do-

tknął ustami jej warg. Łagodnie ujął jej ręce i założył sobie na szyję. Rozchyliła usta, żeby przyjąć pieszczoty jego języka. Zadrżała na całym ciele i zmiękła w jego ramionach. Była pełna wręcz bolesnego oczekiwania. Tak bardzo go pragnęła! Jedna noc. Tylko jedna noc. Przecież nie chciała zbyt wiele. Przez jedną noc zapomnieć o cierpieniu i lęku, przekonać się, że wszystko z nią w porządku. Jedna noc, która może być balsamem dla jej duszy i serca... Przez sukienkę i bieliznę objął dłońmi jej piersi. Efekt był piorunujący -całe jej ciało zrobiło się ocieężałe i uległe, pulsowało pragnieniem.

Jedna noc. Tylko jedna noc. Przez jedną noc poczuć się znowu kobietą, seksowną i pożądaną. Fielding wszystko jej odebrał, a Blaise mógł przywrócić sens życia. Tylko jedna noc...

Chwyciła głośno powietrze, kiedy rozpiął jej sukienkę i zsunął z ramion. Potem jednym ruchem ręki otworzył zapięcie z przodu czarnego stanika.

Obnażona, bezradnie, poddała się uczuciom, które wypełniły ją nagle i gwałtownie jak wzbierające fale przyływu... Ach! Znowu chrapliwie westchnęła, gdy rozpalonymi, szorstkimi dłońmi dotknął jej nagich piersi. Dotyk Fieldinga nigdy nie był taki przyjemny... i nagle przestała ich porównywać. Kiedy kciukami musnął jej twardniejące sutki, zrozumiała, że nie ma na świecie nikogo oprócz Blaise'a Corrigan.

Wygięła plecy w łuk, przywierając do niego, a on, zachęcony, uniósł ją do góry, posadził na stole i stanął pomiędzy jej udami. Jillie odchyliła się do tyłu i wsparła na rękach, w niemym błaganiu o więcej. Pochylił się i jego gorące wargi objęły sutek.

-Jillian!

Z oddali dobiegł głos, irytujący jak brzęczenie muchy. Rozpalone usta Blaise'a upajały się słodczajej piersi niczym ambrozją. -Jillian!

Ktoś dobijał się do drzwi jej domu i Jillie pomyślała, że to chyba Harriet ją woła. Dlaczego sobie nie pójdzie...

Usta Blaise'a przesunęły się teraz na drugi sutek i Jillie znów przeszyły dreszcze. Nigdy jeszcze nie czuła się tak dobrze, tak cudownie, tak...

-Jillian! Jillian, otwieraj.bo wezwę policję!

Blaise gwałtownie uniósł głowę, a Jillie drgnęła z przerażenia, słysząc groźbę Harriet. Potraça filizankę i ciepły płyn rozlał się, wsiąkając w sukienkę na pupie. Tylko tego brakowało!

- O Boże! - jęknęła, gdy oprzytomniała, zdała sobie sprawę z tego, co robi... gorzej, co zamierzała zrobić.

- Pójdę i jauspokoję - zaproponował Blaise. Niezdarnie próbował zapiąć jej stanik, ale piersi wysuwały się uparcie.



- Poradzę sobie - powiedziała, ześlizgując się z blatu. Kiedy wstała, poczuła się lepiej, jakby odzyskała panowanie nad sobą. Odzyskała? Ręce tak bardzo jej się trzęsły, że nie była w stanie zapiąć własnego biustonosza.

- Porozmawiam z nią.

- Nie! Nie. - Z trudem uporała się ze sprzączką. Poprawiła miseczki i zauważyła, że Blaise przygląda jej się z zachwytem. Zaczerwieniła się. - Seks to naprawdę coś wspaniałego.

Nie zwróciła uwagi na te słowa, usiłując dobrze pozapinać guziki, myśląc się co chwilę.

- Jill, pozwól mi z nią porozmawiać. Powiem, że przyszłaś do mnie na herbatę.

Pokręciła głową i jęknęła, kiedy zobaczyła, że jednak nierówno zapięła guziki.

-Nie, proszę cię. Opowie Fieldingowi jakąś okropną historię i on się znowu przyczepi... do diabła! Dlaczego po prostu nie wróci do domu? Czemu tu siedzi?

-Zapytaj go.

- Już pytałam! Wciąż powtarza, że odkrył, że za mną tęskni.

- Czy tak trudno w to uwierzyć? - Patrząc na nią miękko, odsunął jej dłonie i sprawnie zapiął sukienkę.

To pytanie i delikatność, z jaką ją zadał, sprawiły, że uczucia, które z taką determinacją tłumila od śmierci rodziców, wzięły górę.

- Tak - odparła, przyznając się do słabości. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Zostań tutaj - pochylił się i musnął jej usta.

- Nie, nie mogę - ruszyła w stronę drzwi, ale zanim weszła na schodki, usłyszała głos Fieldinga. Zamarła. Blaise też znieruchomiał.

- Pewnie jest z tym gliną, mamó.

- A ty się na to godzisz?!

- Przecież jesteśmy po rozwodzie. Teraz może robić, co chce.

- Ty głupku! Zapomniałeś, po co tu przyjechaliśmy?

-Nie zapomniałem, ale pamiętam też, że to ty nie chciałaś, żebym się z nią zenił. Nie była wystarczająco dobra, żeby zostać członkiem rodziny. Sama tak powiedziałaś. A teraz zmieniłaś śpiewkę!

-Jak śmiesz! - Och, zamknij się!

Ich głosy powoli umilkły w oddali, a Jillie odwróciła się i spojrzała na Blaise'a.

- Sprawa się komplikuje - mruknął.

Skinęła głową, zbiegła po schodkach i wypadła do ogrodu. Fielding i jego matka właśnie wsiadali do samochodu.

- Miałam rację! Co robiłaś z tym facetem, Jillian? - wrzasnęła Harriet.
  - Nie twoja sprawa.
  - Byłaś żoną mojego syna! Dlatego to moja sprawa.
  - Już nie. Przyszłam tu tylko po to, żeby ci powiedzieć, żebyś nie wzywała policji, bo nigdzie nie zginęłam. - Okręciła się na pięcie i chciała odejść, zanim straci panowanie nad sobą. Jak Harriet śmiała wtrącać się do jej życia?
  - Poczekaj sekundę, moja panno - warknęła Harriet ostro. - Jeszcze z tobą nie skończyłam.
  - Aleja skończyłam z tobą!
- W kilku pobliskich domach na gankach zapaliły się światła, a sąsiedzi wychylili głowy przez drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje. Pani Herrera wyszła nawet na dwór, żeby lepiej widzieć.
- Jak możesz tak postępować, Jillian? - zapytała Harriet. - Przyjęliśmy cię do rodziny. Byłaś jedną z nas i tak nam odpłacasz? Spotykasz się z... gliną? To takie... pospolite!
  - Boże! Harriet! Ależ z ciebie snobka!
  - Wcale nie, to co robisz, jest poniżające! Miałaś wszystko, kiedy byłaś żoną Fieldinga! Jak możesz wiązać się z... takim zwyczajnym policjantem? Co on ci może dać?
- Jillie zatrzęsała się ze złości i niemal odebrało jej mowę.
- Kiedy byłam żoną Fieldinga, nie miałam najważniejszego: męża. A jeśli chodzi o komendanta Corrigan, to chcę od niego tylko przyjaźni, czyli czegoś, czego Fielding nigdy nie potrafił mi dać!
- Fielding wyglądał jak ogłuszony ciosem.
- Chwileczkę, Jillian. Ja mam wielu przyjaciół, bardzo dobrych. Wiem, co to przyjaźń!
  - Szczerze mówiąc, masz masę znajomych, którzy odwróciliby się od ciebie, gdybyś nie był bogaty. Ale ja do nich nie należę i to się nie zmieni. Będziesz musiał nauczyć się żyć beze mnie.
  - Już się nauczyłem! To znaczy... - urwał i rozejrzał się niepewnie. -Chciałem powiedzieć... nie mogę... j edź ze mną do domu, Jillian. Wszystko się ułoży. Uwierz mi.
  - Tu jest teraz mój dom. Nigdzie nie pojedę.
  - Chodzi o księgarnię, tak? Dostaniesz sklep w Worcester. Obiecuję. Większy i lepszy.
  - Nie chcę księgarni nigdzie indziej. Nie chcę nic większego i lepszego. Chcę tego, co mam tutaj, i wszystko osiągnę sama.
- Fielding zrobił krok w jej kierunku i wyciągnął rękę, ale nagle znieruchomiał - z krzaków azalii dobiegło warczenie.

- Co to? - szepnął przerażony. Nastąpiła cisza.

- O Boże! - Fielding zakrył pośladki rękoma. - To ten pies! Wiem, że to on! - Rozejrzył się w popłochu i zaczął się cofać do samochodu.

- Fielding! Gdzie twoja odwaga? Ten pies tylko warknął - zirytowała się Harriet.

- Kiedy zbliżam się do Jillian, zjawia się ten potwór. On chce mnie zabić, dobrze wiem. - Wskazał na Blaise'a. - Dlaczego ten facet nic nie zrobi? Jest glina! Powinien mnie bronić!

- Ma pan całkowitą rację, panie Wainwright - powiedział Blaise wesoło. Podeszedł do Fieldinga i chwycił go za ramię. - Pozwoli pan, że go odprowadzę bezpiecznie do samochodu. Kiedy będzie pan w środku, proszę odjechać, a żaden pies nie wyrządzi panu krzywdy. Fielding bezskutecznie chciał wyrwać rękę z uścisku.

- Puść mnie, do cholery!

- Przykro mi, ale to nierozsądne, dopóki pies jest w pobliżu.

- Mogę iść sam, dziękuję bardzo!

Blaise puścił go tak niespodziewanie, że Fielding stracił równowagę i zachwiał się.

- Bardzo proszę. Niech pan idzie spokojnie do samochodu. Pani również - zwrócił się do Harriet. Oburzyła się.

- Nie ma pan prawa mnie stąd wyrzucać.

- Proszę pani, ja tylko sugeruję, żeby pojechała pani do domu, zanim będę musiał was aresztować za zakłócanie spokoju. To cicha okolica i jest po dziesiątej. Państwo zachowują się zbyt głośno.

- Nie odważy się pan!

Fielding zerknął na Blaise'a i chwycił matkę za ramię.

- Chodź, mamó. Czas na nas.

- Nie pozwolę się wyrzucić z twojego domu.

- Nikt nas nie wyrzuci, mamó. Możemy porozmawiać z Jillian jutro - na przemian przeklinając i prosząc, wpełznął ją do samochodu i odjechali. Blaise popatrzył na Jillie.

- Mój bohaterze - westchnęła i zamrugła rzęsami. Uśmiechnął się.

- Skąd tym dwojgu przyszło do głowy, że są lepsi od innych?

- Wyssali to z mlekiem matki. Nigdy nie myśleli inaczej.

Kiedy tylne światła samochodu Fieldinga zniknęły za rogiem, Blaise objął Jillie ramieniem. Niech sobie ludziska patrzają - ale wszyscy pochowali się już w domach... może z wyjątkiem pani Herrera.

Dobiegło ich głucho pomrukiwanie i po chwili z krzaków azalii wyszedł Rover; w świetle ulicznych latarni wyglądał tajemniczo i groźnie. Blaise natychmiast przykucnął i wyciągnął rękę.

- Hej, stary - powiedział cicho. - Gdzie się podziewałeś i co porabiałeś?

Rover znów mruknął i zamerdał ogonem. Podszedł bliżej, ale nie tak blisko, by dać się dotknąć.

- Powinieneś być w schronisku. - To tylko dziesięć dni, a ja obiecałem ci przynosić pączki codziennie. Pomyśl, co tracisz.

Rover ziewnął i usiadł na tylnych łapach. Przyglądał się Blaise'owi, a jego krótki ogon cały czas się poruszał.

Jillie też ukucnęła, z nadzieją, że dzięki temu pies nie będzie się jej bał. Rover weselej pokiwał ogonem.

- Cal za tobą tęskni, stary - tłumaczył Blaise.

Jillie mogłaby przysiąc, że pies rozpoznał imię swego pana. Przechylił głowę pytająco i przysunął się do Blaise'a, nie wstając z ziemi.

- Życie na uwieżi musi być okropne - ciągnął łagodnie Blaise. - Może jedzenie u doktora nie było takie dobre, jak to, które dostajesz w domu, ale przynajmniej regularne. Nie jesteś czasem głodny?

Pies podpełzł jeszcze bliżej, a Blaise szybkim ruchem ręki chwycił go za obrozę. Rover szarpnął się lekko, jakby chciał uciec, ale potem poddał się i uspokoił. Położył łeb na przednich łapach.

- Dobry pies - wziął go na ręce i zaniósł do radiowozu. Posadził go z tyłu za siatką ochronną.

- Co zamierzasz z nim zrobić? - spytała Jillie.

- Zawiozę go z powrotem do weterynarza. Musi odbyć kwarantannę. Potem wstąpię do Cala i powiem mu, że z psem wszystko w porządku. A później przejadę koło twojego sklepu i sprawdzę, co tam się dzieje. Chcesz jechać ze mną? Zanim ruszyli, Blaise połączył się przez radio z Seanem Kilkenny. Kiedy dotarli do kliniki weterynaryjnej, doktor już na nich czekał.

- Wraca pies marnotrawny - zażartował i zajął do samochodu. Rover leżał wyciągnięty na siedzeniu, obojętny na wszystko.

- Oj, piesku, wstydę się za twoją ucieczkę.

- Na pewno ktoś go wypuścił - powiedział Blaise.

- Oczywiście. Ale to mnie stawia w niezręcznej sytuacji, bo będę musiał wytłumaczyć wszystkim moim klientom, że nic się nie stało. Nigdy przedtem żaden pies mi nie uciekł ani nikt żadnego nie ukradł.

- Rover jest wyjątkowy pod każdym względem - stwierdził rozbawiony Blaise. - Bardzo chciałbym wiedzieć, kto pomógł mu zwać.

- Na pewno nie Cal. Nie jest włamywaczem, nie w jego wieku. - Kilkenny popatrzył chytrze na Jillie. - Panno McAUister! Zastanawiała się pani nad adoptowaniem zwierzęcia?

- No... właściwie nie.

- Powinna pani o tym pomyśleć. To miło i bezpiecznie mieć psa. Jest jak żywy alarm antywłamaniowy. Człowiek nie czuje się przy nim samotny, nie nudzi się, ma towarzystwo na długie spacerory, no i spada mu ciśnienie krwi.

Jillie uśmiechnęła się szeroko.

- Tego wszystkiego potrzebuję. Kilkenny spoważniał.

- To tylko pies. Kundle są najlepsze, bardziej inteligentne i zdrowsze, na przykład raczej nie cierpią na zwyrodnienia stawów biodrowych. Mówię to, bo nie co dzień mam do oddania szczeniaki mieszańca za darmo. A te są wyjątkowo śliczne, pół husky, pół labradory. Jeden ma niebiesciutkie oczy i sierść czarną jak węgiel... - przechylił głowę na bok. - Zrobię szczepionki i wysterylizuję go gratis.

Blaise uśmiechnął się do Jillian.

- Nie możesz przepuścić takiej okazji. Ale Jillie była podejrzliwa.

- Co jest nie tak z tymi szczeniakami?

- Absolutnie nic - zapewnił Sean. - Ktoś je wyrzucił. Mój kolega je znalazł i przyniósł do mnie. Zbadałem je, są zupełnie zdrowe. Teraz chcę tylko znaleźć im dobry dom.

- Nie wiem. Nie myślałam o psie. Jestem taka zajęta... - Czowała, że się łamie. Miło by było mieć psa.

- Chodźmy, obejrzy je pani - zaproponował doktor. Bez większego problemu wyciągnął Rovera z samochodu i wziął go na nylonową smycz. Pies wyglądał na zrezygnowanego i potulnie wszedł do klatki, westchnąwszy ciężko.

- Jutro - obiecał Blaise - z samego rana przyniosę ci pączka z dżemem.

- Mówię ci, Blaise, że to niezdrowe dla psa - powiedział Sean.

- Kwarantanna też nie jest zdrowa. Kilkenny westchnął i przestał się spierać.

Szczeniaków było pięć. Zdaniem Seana, miały około sześciu, siedmiu tygodni. Jillie uznała, że czarny z jasnymi, niebieskimi oczami jest najładniejszy. Blaise'owi spodobał się czarno-biały, najbardziej podobny do husky.

- Proszę, weźcie je na ręce. Muszą przyzwyczajać się do ludzi, kiedy są małe. Potem będzie z nimi mniej kłopotów.

Jillie pomyślała, że nie powinna dotykać psa, ale wzięła jednego. Miał miękką, jedwabistą sierść i od razu przytulił się do niej; najlepiej czuł się w ciepłym miejscu pomiędzy szyją a podbródkiem. Kiedy polizał ją małym różowym języczkiem i radośnie zamierdał ogonkiem, od razu zdobył jej serce.

- Nie wiem, jak zajmować się psem - pozaliła się.

- To proste. Trzeba kupić koszyk dla psów i zamykać jąw nim, kiedy zostaje sama w domu - wyjaśnił Sean. - Będzie spała i nie nabrudzi koło siebie. Psy nie zanieczyszczają swojego posłania. Po powrocie do domu, wyprowadzi jąpani kilka razy i pochwali, gdy załatwi potrzeby na dworze. Proszę mi wierzyć, szybko się nauczy.

Jillie wcale nie myślała, że to takie proste. Zawsze były jakieś problemy. Ale musi jej się udać, bo już nie wyobrażała sobie powrotu do domu bez ślicznego, małego szczeniaka, który uszczęśliwiony skulił się na jej ramieniu i lizaljąpo uchu.

Spojrzała na Blaise'a i zobaczyła, że jemu też piesek się spodobał.

- Pomogę ci nauczyć ją wszystkiego - obiecał. - Miałem już kiedyś małe psy.

- A ja nigdy - wyznała. Tylko w jednym z domów, w których mieszkała, było zwierzątko, tyle że świnka morska.

- Z przyjemnością ci pomogę - powtórzył Blaise.

- Posłuchajcie. Umówmy się, że jeśli się nie uda, oddacie mi ją- zaproponował Sean.

Niebieskie oczka spojrzały na Jillie, a różowy języczek liznął jąpo twarzy. Westchnęła i uległa.

- Dobrze, dobrze - zachciało jej się śmiać. - Jestem takim potwornym tchórzem.

- Każdy człowiek potrzebuje zwierzęcia - powiedział Sean poważnie, ale i on po chwili się roześmiał. - Na dzisiejszą noc zróbcie jej posłanie z tekturowego pudełka i ręcznika, a potem niech pani jak najszybciej kupi kosz.

Wychodząc, niosła w ramionach szczeniaka, a w ręku nylonową smycz. Blaise trzymał torbę jedzenia, które dostała od weterynarza.

- A dlaczego ty się nie skusiłeś? - zapytała, kiedy otworzył jej drzwi samochodu. Wśliznęła się do środka i ułożyła psa na kolanach. Zadowolony zwinął się w kłębuszek i od razu zasnął.

- Może wezmę jednego. Ale nie dzisiaj. Teraz mam na głowie inne sprawy.

Miły dreszczyk przebiegł jej po ciele, kiedy łakomie na nią spojrzał. Przypomniała sobie, jak niewiele brakowało, a przeżyliby dzisiaj coś wspaniałego,

niesamowitego, doświadczyliby prawdziwego zespolenia kobiety i mężczyzny.

Blaise zatrzasnął drzwi i wszedł z drugiej strony.

- Następnym przystanek to dom Cala Lepkina - powiedział.

Blaise wpadł w tarapaty i zdawał sobie z tego sprawę. Pomimo wszystkich postanowień, że nie zaangażuje się w związek z Jillian, silna wola go opuszczała. Pragnął jej... po co zaprzeczać. Ale wiedział też, że nie jest stworzona do przypadkowych romansów. On zresztą też nie. Za każdym razem, kiedy chciał przeżyć przygodę, odchodził z niesmakiem. Związki nie powinny być bez sensu.

Dlatego wiedział, że wpakował się w kłopoty. Dopóki pożądanie było czysto seksualne, mógł je kontrolować.

Ostatnio jednak czuł, że chce się opiekować.

Przejmował się bardzo jej stanem emocjonalnym i martwił jej problemami, posunął się nawet do tego, że wynajął prywatnego detektywa - notabene swojego przyjaciela - żeby się dowiedzieć, dlaczego Wainwrightowie tak nagle się nią zainteresowali.

Miał teraz kolejny powód do niepokoju. Nie chodziło o to, że będzie go to wszystko kosztowało dużo pieniędzy, ale jak jej powiedzieć, że wmieszał się w taki sposób w jej życie? Kiedy się dowie, zamorduje go.

Nie zdręczałby się tym wcale, gdyby nie zależało mu na niej.

Chryste!

Wieczorna scena z Wainwrightami powinna naprawdę mu mocniej uświadomić, że trzeba się trzymać z daleka od Jillie. Tymczasem chciał stanąć pomiędzy nią i tymi idiotami... obiecać jej, że jeśli mu pozwoli, usunie ich z jej życia raz na zawsze.

Tracił rozsądek. Nie wiedział, co robi. Był na służbie i ciągał ją ze sobą, bo nie potrafił spuścić jej z oczu. Powinien się wreszcie na coś zdecydować. Albo związać się z nią, albo dać jej spokój. Tak trudno podjąć decyzję?

Tak, jeśli wziąć pod uwagę, że sama Jillie broniła się przed zaangażowaniem.

Klnąc w duchu, włożył kluczyk do stacyjki i uruchomił silnik. Pomyślał o Calu Lepkinie i o swojej pracy. Tylko w ten sposób mógł zachować resztki opanowania.

Pojechali ulicami, których Jillian nie znała. Budynki w tej okolicy były biedniejsze i bardziej zaniedbane, zupełnie inne niż domy turystów kilkaset metrów dalej.

- Ta część Paradise Beach była zamieszкана już od bardzo dawna, jeszcze przed inwazją turystów, w większości przez rybaków - wyjaśnił Blaise.

- Trudno to sobie wyobrazić.

- Prawda? Te domy niewiele się zmieniły, a ludzie mieszkają w nich od urodzenia. Tylko że ten rejon kurczy się coraz bardziej.

Zatrzymali się przed domem Cala Lepkina. Jillie patrzyła na niego przerażona - wyglądał jak domek z tektury, a podwórko było brudne. Na ganku stał stary fotel na biegunach, na którym siedział staruszek. Bujał się regularnie i nie przestał, nawet kiedy Blaise wysiadł z samochodu i podszedł do niego.

Okno od strony Jillie było otwarte i mogła słyszeć rozmowę.

- Znalazłem Rovera, Cal. Nic mu nie jest. Zostawiłem go u doktora Kilkenny'ego na resztę kwarantanny.

- To dobrze - Cal bujał się dalej. - On jest zdrowy.

- Wiem, ale musimy przestrzegać prawa.

- Zgadza się.

- U doktora są do oddania szczeniaki, Cal. Może obejrzysz je jutro. Śliczne maleństwa.

- Mam miejsce tylko dla Rovera - odparł Cal.

- Ale Rover lubi się włóczyć. Jeśli weźmiesz nowego psa, może będziesz miał choć jednego do towarzystwa przez cały czas. Cal roześmiał się.

- Wystarczy, że uganiam się za jednym. Nie jestem już taki ruchliwy jak kiedyś. Nie, chcę mojego psa z powrotem.

- Jeszcze tylko kilka dni, Cal. - Wiem, wiem. Zaznaczam sobie na kalendarzu.

Blaise wrócił do samochodu i ruszyli w stronę sklepu Jillie.

- To smutne - powiedziała.

- Co? Cal? Wierz mi, on tak nie myśli.

- Ale i tak to jest smutne. Co on ma oprócz tego psa? A Fielding i to chce mu odebrać.

- Nie uda mu się. To nowe prawo nie przejdzie. - Jesteś pewien?

- Tak. A teraz powiedz mi, jak nazwiesz szczeniaka?

- Nie mam zielonego pojęcia. Muszę się zastanowić.

Sklep wyglądał na nietknięty. Kiedy wjechali w alejkę, nie dostrzegli żadnego śladu graffiti.

- Wszystko w porządku - stwierdził Blaise. - Przyjadę tu za kilka godzin, lecz wydaje mi się, że wandalę już nie wrócą.



- Ciekawe, kto za tym stoi? Myślę, że to był atak na mnie. Chciałabym wiedzieć, kto mnie tak nienawidzi.

Blaise pokręcił głową.

- Nie chodzi o nienawiść do ciebie, ale o to, że nigdy przedtem nic takiego się u nas nie zdarzyło, przynajmniej ja o tym nie słyszałem. Dlatego uważam, że to bardzo dziwne.

- Sądysz, że gdyby to był przypadek, inne sklepy też by ucierpiały?

- Logiczne, prawda? - Zamyślony bębnił palcami po kierownicy, kiedy jechali powoli cichym bulwarem.

- Ktokolwiek to zrobił, nie zostawił żadnych śladów. Prawda jest taka, że nie wiem, gdzie dalej szukać.

Sprawdziliśmy te sklepy w sąsiedztwie' które sprzedają farby w aerozolu, i nikt nie pamiętał, żebyjakieś dzieciaki je kupowały. Wypyaliśmy pracowników okolicznych firm, daliśmy ogłoszenie do gazety, że szukamy informacji.

Sprawdziliśmy nawet przyjaciół Be-lindy, czy przypadkiem ktoś nie jest na nią zły. Nic nie znaleźliśmy.

Szczeniak poruszył się na jej kolanach. Jillie poklepała go delikatnie i uspokajająco, żeby znowu zasnął.

- Zastanawiałeś się kiedyś, jak okropnie jest być szczeniakiem? Zabierają cię od mamy w jakieś dziwne miejsce, gdzie wszyscy są obcy i wszystko nowe.

- Trochę tak jak z twoją przeprowadzką do Paradise Beach. Spojrzała na niego zdziwiona.

- To nie to samo.

-Nie?

- Nie. Nie jestem dzieckiem i rozumiem pewne sprawy. To był mój wybór.

- Zgadzam się, ale wiek nie sprawia, że jest ci łatwiej zostawić wszystko, co znasz, i przejechać taki kawał drogi, żeby wśród obcych zacząć nowe życie. Do tego potrzeba nie lada odwagi.

-Albo wielkiej desperacji.

- Nie rób z siebie takiej ofiary losu. Nie pomniejszaj swoich osiągnięć. Niewielu ludzi zdobyłoby się na to, na co ty się zdobyłaś.

- Uważałam, że to będzie pozytywna zmiana. Wszystko od nowa w miejscu, gdzie nikt nie zna mojej okropnej historii, gdzie nic mi nie będzie przypominać o tym, co boli - zaśmiała się ironicznie. -Nigdy bym nie pomyślała, że przeszłość przyjedzie tu za mną.

- Dosłownie tak. Tych dwoje coś knuje.

- Jestem o tym przekonana. Zapytałam Fieldinga wprost, skąd się wzięła u niego nagła potrzeba pogodzenia się ze mną, i przysiągł, że to tylko dlatego, że kiedy odeszłam, zaczął za mną tęsknić. Ale mnie nie oszuka.

- Mnie też nie. Rozumiem, że można za tobą tęsknić, kiedy odchodzisz, jednak... sam nie wiem. Nie pasuje mi to do tego, co mi opowiedziałas o rozwodzie i o zakazie zbliżania się do Fieldinga. No i przyjazd jego matki...-to jeszcze dziwniejsze.

- Cały czas się nad tym zastanawiam. Szczególnie jeśli chodzi o Harriet, bo nie pojmuję, dlaczego nasze dobre stosunki są dla niej takie ważne. Przysięga, że mnie kocha i chce mnie z powrotem w rodzinie, ale coś tu nie gra. To znaczy... och, nie wiem już, co właściwie myśleć. Lubię ją, lecz wcale nie jestem pewna, że ona lubi mnie.

Powiedziała kilka rzeczy, które mnie naprawdę zabolęły.

- Ludzie ranią tych, na których im zależy.

- Obwiniła mnie o rozwód. Jeśli naprawdę uważa, że to przeze mnie Fielding romansował.. .

- Tak powiedziała? - przerwał jej oburzony Blaise. Szczeniak pisnął i zaczął się wiercić.

- Mniej więcej. - Starła się udawać, że w to nie uwierzyła, ale prawda była taka, że zdrady Fieldinga zachwiały jej kobiecym poczuciem wartości. Ciągle rozdrapywała tę niegojącą się ranę. Po co? Mnóstwo kobiet było oszukiwanych, a jednak się nad sobą nie użalały.

- Może nie byłaś w typie Fieldinga. Lecz w moim jesteś na pewno! -oświadczył.

- A skąd o tym wiesz? - palnęła Jillie bez zastanowienia. - My nawet nie... - przerwała gwałtownie. Boże, co ona wygaduje? Jak mogła w ogóle wspomnieć... Blaise źle ją zrozumie!

Dokładnie tak się stało.

- Temu możemy zaradzić - zerknął na nią, uśmiechając się łagodnie. -Zresztą mam taki zamiar. Jeśli nie dziś wieczorem, to kiedy indziej. Obiecuję.

Serce zaczęło jej walić jak szalone i oddychała głośno.

- Ja... ach... - nie miała siły mówić. Chciała uciekać, a jednocześnie pragnęła rzucić się w jego ramiona, gdy tylko zatrzyma samochód. Nie wiedziała, czego boi się bardziej: tego, że może go rozczarować, czy tego, że zaangażuje się uczuciowo i on zrani ją tak, jak to zrobił Fielding. Wszystko jedno. Ogarnęła japończyka.

Blaise wjechał na podjazd i zgasił silnik. Noc była ciemna, wietrzna i bezksiężycowa. Piękna i przerażająca zarazem - zupełnie tak jak on, pomyślała. Wysiadł z samochodu, podszedł do niej z drugiej strony i otworzył drzwi.

- Pomogę ci - powiedział i sięgnął po pieszka.

Ciepła kulka zniknęła z jej kolan i Jillie poczuła się nagle bezbronna, jakby ktoś właśnie odebrał jej ochronną tarczę.

- Chodź, zrobimy jej posłanie. Masz pudełko czy przynieść?
  - Znajdzie się jakieś - była zdziwiona, że mowy jej nie odjęło i że nie spieszyły jej jego słowa. Ciekawe, czy jemu nie było trochę wstyd?
- Podeszli razem do drzwi. Z odległości kilku metrów, pomimo ciemności, dostrzegła, że coś jest nie w porządku.
- Wandale!

## Rozdział 14

W ciemnościach pod daszkiem nie mogła odczytać słów, ale cały front domu był pomazany farbą.

- Weź go - Blaise podał jej psa. - Wracaj do samochodu, ja się rozejrzę. A nuż jeszcze tu są.

Przez chwilę stała nieruchomo i nie mogła uwierzyć, że ktoś jej to robi. Nie pozostało jej jednak nic innego, jak posłuchać.

Z pieskiem w ramionach nie obroniłaby się, gdyby wpadła na któregoś z wandalów.

W samochodzie patrolowym było tylko trochę cieplej niż na zewnątrz, ale Blaise zabrał kluczyki, więc nie da się włączyć ogrzewania. Wytrzyma! Drżała chyba bardziej ze strachu niż z zimna.

Szczeniak wiercił się na kolanach, szukając ciepła. Nagle znalazł jej palec i zaczął go łapczywie ssać, kalecząc ją ostrymi zębami. Jillie pogłaskała maleństwo i mruknęła coś uspokajająco.

Blaise wrócił po pięciu minutach.

- Nie ma nikogo - rzucił. -Kto to zrobił?

Nie umiał odpowiedzieć i Jillie zdawała sobie z tego sprawę. Była zdenerwowana i zmartwiona.

- Prawdę mówiąc, zaczynam się zastanawiać, czy za tym nie kryje się twój były mąż.

-Fielding?

- A masz jakiegoś innego byłego, o którym nie wiem?

- Nie! - Mężczyźni! Dlaczego pozwoliła jednemu z nich tak bardzo zbliżyć się do siebie? Wszyscy byli... - nagle postanowiła przestać tak myśleć, bo nie miała racji. Nie powinna mierzyć wszystkich mężczyzn miarą Fieldinga, a już najmniej Blaise 'a, który od początku był dla niej miły -no, raz ją aresztował, lecz nikt nie jest doskonały.

- A kto inny chciałby, żebyś wyjechała z Paradise Beach? Naiwnie byłoby sądzić, że to przypadkowy wybryk jakichś wykolejonych dzieciaków.

- Wiem, ale... Fielding? - nie do wiary, to zupełnie nie w jego stylu, pomyślała. - On nie pobrudziłby sobie rąk.

- Może komus zapłacił.

To bardziej prawdopodobne. Fielding dał komus pieniądze, żeby wymazał farbą sklep i dom.

- Mogę go przynajmniej zapytać o to jutro rano - ciągnął Blaise. - A jeśli chodzi o dzisiejszą noc... nie będziesz czuła się bezpieczniej u mnie?

Propozycjabyła kusząca pod wieloma względami. Jillie powinna postąpić samolubnie, ale wahała się.

-Nie boję się wandal, Blaise. Ktokolwiek to robi, nie chce mnie fizycznie skrzywdzić, jedynie nastraszyć.

- Niewykluczone, lecz prawdę mówiąc, jeśli spędzisz noc w swoim łóżku, to ja nie będę spał, tylko cię pilnował.

Wolałbym cię mieć pod moim dachem. Możesz spać w pokoju gościnnym, bez zobowiązań.

Tego nie mogła odmówić. -Dzięki.

Obcięli tekturowe pudło, które zostało jej po przeprowadzce, i wyłożyli je ręcznikiem.

- Znajdę jakieś naczynia na wodę i jedzenie dla niej - powiedział Blaise. - Położymy ją w składziku, tam nic nie spsoci.

Jillie złapała nocnąkoszulę kilka niezbędnych rzeczy, jak szczoteczka do zębów, i poszła z Blaise'em do jego domu.

Piesek wypił odrobinę wody i zadowolony ułożył się do snu w pudełku.

- Mała musi być bardzo zmęczona - szepnęła miękko, czując przyływ opiekuńczych uczuć.

-Na to wygląda.

Blaise zaprowadził ją do ładnego, urządzonego po kobiecemu pokoju gościnnego na drugim piętrze.

Rozejrzała się z podziwem i zaciekawieniem - jakim cudem samotny mężczyzna ma w domu taki pokój ?

- Moja mama tu mieszka, kiedy mnie odwiedza - wyjaśnił. - Mogą tu być jakieś jej rzeczy, ale nie przejmuj się. Czuj się jak u siebie. Dobranoc.

Musiała ugryźć się w język, żeby nie zawołać go z powrotem. Zniknął w pokoju w głębi korytarza i zamknął za sobą drzwi.

Jillie zamknęła swoje i usiadła na podwójnym łóżku, zastanawiając się, czy postąpiła mądrze, czy głupio. Wreszcie, zmęczona, postanowiła nie łamać sobie nad tym głowy. Od chwili kiedy zrozumiała, że albo rozwiedzie się z Fieldingiem, albo umrze, kierowała się instynktem.

Wszystko dlatego, że niszczył ją emocjonalnie. Życie w bolesnej świadomości, że mąż ją oszukuje, było nie dla niej. Pomyślała o kobietach w rodzime Wainwrightów. Twierdziły, że to zupełnie normalna sytuacja, ale Jillie nie mogła się z tym pogodzić. Nigdy.

Teraz na drugim końcu kraju dała się zauroczyć innemu mężczyźnie. Może tak naprawdę potrzebowała porady psychiatry.

Westchnęła, wyczerpana, padła na łóżko i patrzyła w sufit.

Ciekawe, co knuje Fielding? Jeśli to on. Nie wiedziała, co jest gorsze - czy to, że posunąłby się tak daleko, by zmusić ją do wyjazdu z Paradise Beach w nadziei, że do niego wróci, czy świadomość, że może zawział się na nią ktoś obcy. Fielding? Fielding. Im więcej o tym myślała, tym bardziej uważała to za prawdopodobne. Jej były mąż nie lubił, gdy ktoś starał się go unikać, a doświadczenie nauczyło ją, że jest zdolny przekroczyć wszelkie granice, jeśli czegoś chce. Ale żeby łamać prawo?

Nie umiała sobie odpowiedzieć na te pytania, więc zrezygnowana po-

Poranne światło sączyło się przez okno nad łóżkiem i delikatnym pomarańczowym blaskiem wypełniało cały pokój. Jillie powoli otworzyła oczy, czując się tak, jakby odpływała w ciepłym jasnym kokonie. Och, przyjemnie byłoby obudzić się u boku Blaise'a.

Nagle, jakby w odpowiedzi na jej myśli, rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Natychmiast wyobraziła sobie, jak wchodzi do pokoju i patrzy na nią zwiniętą w pościeli. Zbliża się pomału, niepewny, czy śpi. Kiedy zobaczy jej półotwarte oczy, pochyli się nad nią i...

Wstrzymała oddech, a ręce i nogi zrobiły jej się ciężkie jak z ołowiu. Zalała ją gorąca fala pożądania. Czy kiedykolwiek pragnęła czegoś tak bardzo?

Pukanie powtórzyło się. Z trudem się odezwała -Tak?

Drzwi uchyliły się i tak jak przypuszczała, poczuła jednocześnie nadzieję i obawę.

- Jill? - drzwi otworzyły się szerzej i Blaise wsadził głowę do pokoju. -Przepraszam, że cię budzę, ale w twoim ogrodzie jest pełno sąsiadów, którzy cię szukają.

Jakby oblał ją kubłem zimnej wody. Czar prysł. Zdenerwowana usiadła i odgarnęła włosy z twarzy.

- Szukają mnie? Tak rano? - Przez krótki czas pobytu tutaj zamieniła z sąsiadami zaledwie kilka słów i od razu wyobraziła sobie gotowy do linczu tłum.

-Nie jest tak wcześnie. Wiele osób wychodzi do pracy. Zarumieniła się - ależ straszny z niej leń.

- Powinnaś ubrać się i wyjść. Zobaczymy się przed domem. - Już przymykał drzwi, ale zatrzymał się na chwilę. - A tak przy okazji, zająłem się pieskiem. Posprzątałem, nakarmiłem, napiłem i wyprowadziłem na dwór.

-Dziękuję.

- Nie ma sprawy - zamknął drzwi.

Jillie siedziała jeszcze przez kilka sekund, starając się rozbudzić i pozbyć myśli o niespełnionych pragnieniach. Niepokoiła się, dlaczego sąsiedzi jej szukają. Przecież nic im nie zrobiła. Na pewno nie zamierzają wywieźć jej z miasta na taczkach?...

Niestety, był tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. Strząsając resztki snu, ubrała się szybko i umyła zęby, żałowała, że nie wzięła wczoraj ubrania na zmianę. Czarna, jedwabna sukienka o tej godzinie daje do myślenia -zatrzymała się, zanim otworzyła drzwi na zewnątrz. Chciała wyjść z domu komendanta policji o tej godzinie, ubrana w czarny jedwab? Przecież wszyscy pomyślą, że spędziła noc w j ego łóżku.

Przez chwilę ponuro zastanawiała się, jak wybrnąć z sytuacji. Może wymknąć się od tyłu?

Dom stał na palach, ale część przestrzeni została przerobiona na składzik czy biuro z osobną klatką schodową, żeby nie trzeba było wychodzić na zewnątrz. Zeszła tymi schodami w nadziei, że znajdzie tylne wyjście.

I znalazła. Drzwi prowadziły do ogrodu na tyłach domu. Najwyraźniej Blaise nie był zapalonym ogrodnikiem. Ktoś kiedyś posadził tu tropikalne pnącza, hibiskusy, azalie i inne nieznane jej krzaki, ale ponieważ nikt o nie nie dbał, rosły teraz dziko. Ledwie dostrzegła ślady ścieżki.

Poszła nią, schylona, chowając się za krzakami. Nie miała pojęcia, co zrobi, gdy dotrze do siebie, na brudne piaszczyste podwórko.

Ścieżka skręciła nagle. Jillie jeszcze bardziej się pochyliła. Wtem, tuż przed nosem, dostrzegła parę sportowych butów i wpadła na sąsiadkę, której tak unikała.

- Nic nie szkodzi - powiedziała pani Herrera. - Nie musisz się chować. I tak wszystko wiemy.

Jillie pochyłona poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. -Wiecie?

- Komendant Corrigan wszystko nam wyjaśnił. Rozumiemy cię. Chodźmy przed dom.

Wszystko im wyjaśnił? Wpadła w panikę. Co powiedział?

- Mogę to wytłumaczyć.

- To nie nasza sprawa, ale cię szukamy. - Pani Herrera pochyliła się ku Jillie i pomogła jej rozprostować zbolące nogi. Od dawna nie poruszała się takim kaczym chodem. - Aha, możesz mi mówić Connie. To skrót od Consuelo.

Przyjechałam tu z Kuby w 1958 roku, kiedy byłam małą dziewczynką.

-Naprawdę?-Nogi jej drętwiały i stała tak, zastanawiając się gorączkowo, co też Blaise wszystkim powiedział.

Wiedziała, jacy są mężczyźni; rzadko mówili tyle, ile należy. Ale może on uznał, że wystarczy po prostu przyznać się, że Jillie się bała i dlatego spędziła u niego noc.

Connie Herrera uśmiechnęła się do niej.

-Naprawdę. Moi rodzice nadal mają nadzieję, że wrócą do domu, ale ja postanowiłam, że stąd nie wyjadę, że mój dom jest tutaj. Niewiele pamiętam z Kuby i nie sądzę, żebyśmy ją odzyskali po śmierci El Barbo.

-ElBarbo?

- Brodacza. Castro.

- Och. - Nagle dotarło do niej, że stoi boso w cudzym ogrodzie o poranku, ubrana w wieczorową sukienkę, a obca kobieta rozprawia o problemach Kuby.

- Chodź. - Odprowadzę cię do tylnych drzwi, żebyś mogła się przebrać - zaproponowała Connie. - Niektórzy nie uwierzą w słowa komendanta, jeśli zobaczą cię w takim stroju.

- Właśnie dlatego skradałam się przez krzaki. Connie zaśmiała się.

- Ale tylko winni się chowają, wiesz o tym?

Jillie uśmiechnęła się słabo i poszła za największą plotkarką w mieście przez ogród z tyłu domu. Connie zadbała o to, by nikt ich nie zobaczył. Razem weszły do domu.

- Widziałam rzeczy, które zamówiła dla ciebie teściowa, kiedy wyładowywali je z ciężarówki. Zmieniła tu trochę.

- Nie żartuj - Jillie pobiegła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Nie miała ochoty znosić czyjegoś gadania.

- Podoba ci się to? - zawołała Connie przez drzwi.

- Raczej nie. Nie pasuje mi ten tropikalny raj. To nie w moim stylu.

- Miło mi to słyszeć. Mnie też się nie podoba. Szkoda, że jesteś na to skazana.

Jillie wciągnęła džinsy i sweter.

- Zmuszę Harriet, żeby zabrała to do Massachusetts.

- A jeśli się nie zgodzi?

- To zrobię wyprzedaż w ogródku. Connie wybuchnęła śmiechem.
- Zawsze jesteś taka wygadana?
- Niestety, tak. - Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Czuła się o wiele lepiej, teraz już mogła stanąć twarzą w twarz ze zbiegowiskiem przed domem.
- Chodź - powiedziała Connie. - Wszyscy się niecierpliwią.
- Czego oni chcą? -Zobaczysz.

Przynajmniej, pomyślała ponuro, nie mam już na sobie tej sukienki, która zadarłaby się nieprzyzwoicie, gdyby wrzucili mnie na taczkę.

Tłum na zewnątrz wcale nie był taki duży, może piętnaście osób. Ludzie nie wyglądali, jakby chcieli jązłinczować. Większość stała z pędzlami w rękach. Czy to jakiś dziwny zwyczaj? - zastanawiała się Jillie. A może sąsiedzi chcieli użyć pędzli do wymazania jej smołaj potem wytarzać jąw piórach?

Przez chwilę przyglądali się sobie i nikt nie wiedział, co powiedzieć. W końcu krok do przodu postąpił starszy pan, którego kiedyś podwiozła, gdy nie mógł uruchomić samochodu. Jak on się nazywa? Moranti? Tak, pan Moranti.

- Panno McAllister - przerwał, żeby odchrząknąć - obudziliśmy się dziś rano i zobaczyliśmy farbę na pani domu. Bardzo nas to oburzyło. Takie rzeczy nie zdarzały się w Paradise Beach.

Jillie kiwnęła głową.

- Przynajmniej dopóki ja się tu nie zjawiłam.

- Tym bardziej. Blaise opowiedział nam o pani kłopotach ze sklepem, a to... - machnął ręką w kierunku graffiti. O poranku ściana wyglądała jeszcze gorzej niż w nocy. - Nie możemy przeproszać za coś, nad czym nie mamy kontroli, ale zapewniam panią, że wstyd nam za to, jak przywitała panią nasza społeczność. My jesteśmy spokojnymi ludźmi, panno McAllister.

- Wiem o tym - była wzruszona, że pofatygowali się, żeby jej to powiedzieć.

- Pomyśleliśmy, że jak wszyscy zakaszemy rękawy, to za kilka minut pomalujemy front domu. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, kiedy tylko policja zrobi zdjęcia szkód, weźmiemy się do pracy. Mamy dużo białej farby, pędzli też nie brakuj e.

Jillie, skonsternowana, patrzyła na sąsiadów, którzy uśmiechali się do niej i machali jej pędzlami.

- Piętnaście, może dwadzieścia minut, a wszystko będzie jak nowe -odezwał się ktoś z tyłu grupy.

-Nie wiem... nie wiem, co powiedzieć!



- Nie musi pani nic mówić - oświadczyła kobieta z niebieskimi włosami, ubrana we wściekle różowy kombinezon. - Ciągłe słyszy się okropne rzeczy o Nowym Jorku, ale powiem pani, że nawet w Brooklynie sąsiedzi pomagali sobie w kłopotach.

Pokiwali głowami, pomrukując.

-1 jeszcze jedno - dorzuciła inna. - Nie musi pani nocować u samotnego mężczyzny, jeśli będzie się pani bała.

Zapraszam do siebie, przecież nie jest tu pani sama.

Jillie zaczerwieniła się, zmieszana, i wykrztusiła:

-Dziękuję.

Pan Moranti odezwał się znowu.

- A teraz niech pani idzie do domu i zje śniadanie albo zdrzemnie się. Blaise powiedział, że nie mogła pani wczoraj spać. Szybko pani o wszystkim zapomni.

Jillie zerknęła na Blaise'a, który, już w mundurze, stał z rękoma złożonymi na piersi.

- Paradise Beach to wspaniałe miejsce - uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem.

- Tak - przyświadczyli pozostali. - Teraz musimy tylko powstrzymać burmistrza przed wprowadzeniem przepisu o psach. Hej, panno McAllister...

- Jillie. Proszę mówić mi Jillie.

- Zgoda, Jillie. Czy to prawda, że facet, który domaga się tego prawa, to twój mąż?

-Mój były mąż.

- Jillie - dodał Blaise - jest przewodniczącą Tymczasowego Komitetu Obrony Psów w Paradise Beach.

Rozległ się szmer aprobaty.

- Mam nadzieję - powiedziała jedna z kobiet - że nie zamierzasz do niego wrócić?

Wszyscy zaczęli się śmiać. Pan Moranti i Connie Herrera odprowadzili Jillie do domu i zanim zdążyła cokolwiek zrobić, siedziała w kuchni i popijała herbatę z jednej z malowanych w winorośl, porcelanowych filiżanek kupionych przez Harriet.

Wszędzie te winorośle, pomyślała i nagle wybuchnęła płaczem.

Blaise znalazł ją w domu kilka minut później. Bez słowa podniósł ją z krzesła, wziął w ramiona i mocno przytulił.

- Trochę tego za dużo, prawda?

Starła się powstrzymać szloch, ale jego cichy, pełen zrozumienia głos sprawił, że nie mogła już nad sobą zapanować. Łkała na jego ramieniu, aż

łzy zmoczyły mu koszulę. Kiedy wreszcie przestały płynąć, rozboleła ją głowa i poczuła się śmiertelnie zmęczona.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił, kiedy spróbowała uwolnić się z jego objęć - naprawdę. Czasami w życiu zbyt wiele zła spada naraz na człowieka.

Kiwnęła głową, ale nadal czuła się głupio.

- Jestem niemądra. Co takiego się właściwie stało?

- To proste. Od tygodnia były mąż i teściowa, którzy, z tego, co zauważyłem, wcale ciebie nie lubią, nie dają ci spokoju, ktoś pomazał ci sklep, a teraz dom, i na dodatek nie wyspałaś się.

- Zapomniałeś już, że mnie aresztowałeś za jazdę po pijanemu? Spojrzał na nią z wyrzutem.

- Czułem od ciebie piwo.

- Wiem. - Położyła głowę na jego ramieniu. - Muszę umyć twarz, wyjść i pomóc tym ludziom w malowaniu domu.

- Nie ma tam miejsca dla ciebie. Zresztą powiedzieli ci, żebyś zjadła śniadanie, a oni się wszystkim zajmą.

- Ale nie zaznam spokoju, jeśli zwałę to na nich.

- No dobrze. - Uścisnął ją raz jeszcze i puścił. - Mam w domu kilka pędzli.

Niewiele się zastanawiając, Jillie nazwała szczeniaka Corky. Kiedy poszli po pędzle, wzięła nylonową smycz, którą dał jej weterynarz, i przywiązała pieska do drzewa przed domem, tak żeby mógł tarzać się w trawie i łapać chrabąszcze.

Tymczasem przyjechało kilku policjantów, żeby zrobić zdjęcia i spisać zeznania. Do Jillie podeszli Gary Melrose i Andy Clair - znała ich od dnia, kiedy turysta zablokował skrzyżowanie i nie chciał usunąć samochodu. Gdy skończyli zadawać jej pytania, przed dom zajechała swoim lawendowym wózkiem Mary Todd. Obok niej siedział Hadley Philpott.

- To oburzające - oznajmiła Mary, wskazując laską na graffiti.

- Co za wstyd! - szepnął Hadley.

- Moja biedna! Musisz być załamana.

Zanim Jillie zdołała odpowiedzieć, czarny sportowy samochód zatrzymał się przy jej domu i wysiadł z niego Dan Burgess. Po chwili przyjechał fotograf, który natychmiast zaczął robić zdjęcia burmistrza oglądającego szkody wyrządzone przez wandalów. Sąsiedzi, którzy spokojnie czekali, aż policja pozwoli im malować, odsunęli się i obserwowali wszystko, reagując w różny sposób.

Jillie tylko pokręciła głową.

- Nie wierzę własnym oczom.

Mary poklepała ją po ramieniu.

- Nigdy nie przepuści okazji, żeby pokazać się publicznie.
- Ten człowiek wyrzucił mnie z pracy!

Dan Burgess podszedł do zebranych i witał ich uściskiem dłoni, obiecując, że miasto dołoży wszelkich starań, żeby złapać winowajcę lub winowajców, którzy oszpecali Paradise Beach. Jego słowa na nikim nie zrobiły większego wrażenia. Kobieta w różowym kombinezonie i olbrzymich okularach wręcz odwróciła się do niego tyłem, kiedy chciał podać jej rękę. I wtedy burmistrz zauważył Blaise'a i jego ludzi.

- No proszę! - zawołał. - Więc policja w końcu się pojawiła. Blaise złożył ręce na piersi i uśmiechnął się blado.
- Przykro mi, że pana rozczaruję, panie burmistrzu, ale jestem tu od kilku godzin.
- Więc złapaliście wandalów.
- Jeszcze nie.
- Dlaczego? To już trzeci przypadek wandalizmu w Paradise Beach w ciągu tygodnia! Czy chuligani zabazgrają nam całe miasto, zanim pan i pana ludzie coś z tym zrobicie?

Blaise ani drgnął.

- Pracujemy nad tym.
- Pracujecie nad tym? - Burmistrz rozłożył szeroko ramiona, jakby apelował do wszystkich o poparcie. - A jak to robicie? Do tej pory powinniście już ich złapać!

Blaise milczał. Jillie otworzyła usta, żeby powiedzieć Danowi, że jest świrem, że Blaise ciężko haruje nad tą sprawą, że całą noc pilnował jej sklepu, ale zanim nabrała powietrza, zareagowała Mary Todd.

-Naprawdę, Daniel - jej głos brzmiał surowo - robisz z siebie dupka.

Dan spojrzał na nią zdumiony.

- Nie mieszaj się do tego, Mary. Nie wiesz, co mówisz.
- Czyżby? - pomachała hebanową laską. - Jesteś burmistrzem tego miasta, chociaż zupełnie nie rozumiem, dlaczego tyle osób dało się ogłupić i głosowało na ciebie, a ja, jeśli dobrze pamiętam, mam prawo wyborcze i płacę podatki. Zatem mogę wyrażać swoją opinię i nie powstrzymasz mnie. Zachowujesz się jak dupka!
- Nic podobnego! Wykonuję tylko swoje obowiązki. Jako burmistrz domagam się informacji na temat działań policji w tej sprawie! - Prowadzą śledztwo! To oczywiste dla wszystkich, tylko nie dla ciebie! Prawda? - rozejrzała się dookoła, tłumek przed domem Jillie stawał się coraz większy.

Ludzie kiwali głowami i pomrukiwali zgodnie. Mary popatrzyła na Dana.

- Więc niech pan nam powie, panie burmistrzu, co panu wiadomo o aktach wandalizmu?

Zaskoczyła go.

- Co ja o tym wiem?

- Tak, co pan wie?

- Nic! Skąd miałbym cokolwiek wiedzieć?

- Wydawało mi się, że skoro jesteś taki pewny, że policja już wie, kto to był, sam też do tego doszedłeś?

Jillie przykryła dłonią usta, żeby stłumić śmiech, a Dan wybełkotał niewyraźnie:

-Nic o tym nie wiem. To nie moja sprawa! To zadanie policji.

- Więc zostaw to im. We własnym interesie przestań robić polityczny cyrk z tej sprawy.

- Wykazuję tylko troskę o tę młodą kobietę, której dom został zdewastowany.

- Figa z makiem - powiedziała Mary ostro. - Gdyby ta młoda kobieta obchodziła cię choć trochę, nie wyrzuciłbyś jej z pracy za to, że nie dała się poklepywać po tyłku jednemu z twoich klientów.

- To prawda - odezwała się jakaś kobieta. - Słyszałam o tym, Dan. Co się dzieje w tym twoim barze?

- Chwileczkę! - Dan odwrócił się do niej. - Ona - wycelował kciuk w Jillie - wylała piwo na mojego klienta.

- To był wypadek - wyjaśniła szybko Jillie. - Uszczypnął mnie i podskoczyłam!

- Więc nie powinienes jej zwalniać - stwierdził ktoś. - Facetom nie wolno podszczypywać młodych kobiet.

- No... - Dan chciał się wycofać, nieświadomy, że fotograf cały czas robi zdjęcia. - Teraz wiem, co się dokładnie stało

- uśmiechnął się z przymusem. - Oczywiście, pani McAllister może wrócić do pracy.

Jillian oparła dłonie na biodrach i krzywiąc się, odpowiedziała:

- Możesz sobie wsadzić tę pracę... Rozległy się gromkie brawa.

I wtedy właśnie Dan zauważył fotografa, który wciąż pstrykał zdjęcia.

- Przestań! - krzyknął i wyciągnął rękę, żeby zakryć obiektyw.

- Ależ szefie, kazał pan utrwalić wszystko, żebyśmy mogli dać to do gazet.

-Przestań! No już!

Fotograf wzruszył ramionami i wypuścił aparat, który zadyndał mu na pasku na szyi. Dan patrzył na zebranych i zbierał siły. Jillie ogarnął podziw, że nie uciekł z podkulonym ogonem.

- Posłuchajcie. Próbuje tylko udowodnić wam, że martwię się bardzo tym wandalizmem. Chcę się upewnić, że policja wykonuje swoje zadanie! Ale jak widać, najwyraźniej nikogo nie podejrzewają. Głowy odwróciły się w stronę Blaise'a. Wahał się przez chwilę i w końcu powiedział.
  - Mamy podejrzanego. Przesłucham go jeszcze dziś. Hadley i Mary wymienili spojrzenia. Hadley odezwał się cicho.
  - Sprawy mogą się skomplikować.
  - Jestem pewna, że nie domyśli się, że to nasza sprawa. Hadley uniósł brwi.
  - Naprawdę? Pozwolimy niewinnej osobie wisieć za nasze czyny? Interesujący dylemat moralny.
  - Przestań gadać jak profesor!
  - Ja jestem profesorem!
  - Nikt nie będzie wisiał, nie za coś takiego.
  - Mówiłem w przenośni. Mary przewróciła oczami.
- Właśnie wtedy Fielding, który zawsze zjawiał się w nieodpowiednim momencie, wjechał na drogę przed domem Jillie. Wysiadł z samochodu i spojrzał na tłum z zaciekawieniem i niesmakiem.
- Co się dzieje?
- Jillie wskazała dom. Fielding popatrzył na napisy.
- Rozumiem - powiedział. Blaise zerknął na niego.
  - Nie wie pan przypadkiem czegoś na ten temat?
  - Oczywiście, że wiem - kwaśno odparł Fielding. - Codziennie maluję napisy na swoim domu. Wczoraj w nocy było tak pięknie, że nie mogłem się powstrzymać.
  - Panie Wainwright, jest pan aresztowany. Ma pan prawo zachować milczenie. Wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu. Ma pan też prawo do obrońcy...
- Fielding słuchał ze zniecierpliwieniem, ale panował nad sobą. Poniosło go dopiero, kiedy policjant założył mu kajdanki.
- Nie możecie mnie aresztować - zaatakował Blaise'a. - Nic nie zrobiłem.
  - Chce pan powiedzieć, że nie wymazał pan domu farbą?
  - Chcę powiedzieć, że mogę wymalować go, jak mi się podoba, i nie może mnie pan aresztować, bo to mój dom! - zrobił triumfalną minę.
  - Panie Wainwright, zrozumiał pan swoje prawa?
  - Tak, oczywiście. Do tego nie trzeba być Einsteinem!

- Więc proponuję, żeby uważał pan, do czego się przyznaje.
- Do niczego się nie przyznaję! Mówię tylko, że nie możecie mnie aresztować za wymazanie własnego domu.
- Nie aresztuję pana za wandalizm. Według prawa stanu Floryda, jest pan aresztowany za napastowanie.
- Napastowanie? - zaskrzeczał Fielding. - Napastowanie? Ja nikogo nie napastuję!
- Ależ tak. Napastuje pan była żonę i próbuje zmusić ją, żeby wróciła z panem do Massachusetts. Gary, zaprowadź pana do radiowozu.

Policjant popchnął Fieldinga w kierunku samochodu, ale ten zaczął się rzucać. Fielding nigdy nie zachowywał się spokojnie.

- Nie możecie tego zrobić! Zaskarżę was o niesłuszne aresztowanie. Zanim skończycie ze mną, wykupię całe to miasto!

- O Boże - przeraził się Hadley.

- Cicho - uspokoiła go Mary.

- Musimy coś zrobić!

- Oczywiście - nacisnęła pedał gazu i odjechała swoim wózkiem w dół ulicy. - Ale nie tak prędko, Hadley. Nie od razu. Pan Wainwright musi dostać spóźnioną, lecz zasłużoną nauczkę.

Jillie pomogła sąsiadom zamalować graffiti. Szybko się z tym uporali i grupka malarzy postanowiła zrobić piknik. Co chwila biegali do domu po coś do jedzenia. Przed południem ogród Jillie wypełnił się krzesłami i składanymi stolikami różnego rodzaju oraz tłumem sąsiadów.

Jillie zadowolona usiadła wśród nich i cieszyła się pięknym dniem. Poznawała ludzi, którzy mieszkali dookoła niej i starała się nie myśleć o tym, co powinna dziś robić. Sklep może poczekać.

Niektórzy z sąsiadów przebywali w okolicy sezonowo, tylko przez sześć zimowych miesięcy; były młode małżeństwa, którym bardzo odpowiadał morski klimat, oraz dwóch właścicieli firm - oni zaproponowali jej wszelką pomoc.

Nie widziała Blaise'a aż do późnego popołudnia, kiedy radiowozem zajeżdżał przed jej dom. Wysiadł i patrzył na nią wyczekująco z drugiego końca podwórka.

To nie był zwykły Blaise, teraz przypominał jej policjanta, który aresztował ją za jazdę po pijanemu. Stał sztywno, a dopasowany mundur opinał szerokie ramiona i wąskie biodra. Lustrzane okulary sprawiały, że strach było do niego podejść. No i miał broń. Przyglądała mu się zdenerwowana.

- Jillie? Mogę zamienić z tobą kilka słów?

Sąsiedzi umilkli i odprowadzali ją wzrokiem, kiedy szła do niego. Blaise odwrócił się do nich plecami i powiedział cicho:

- Twój były wyjdzie za kaucją. Pomyślałem, że powinnaś o tym wiedzieć, bo pewnie od razu przyjedzie do ciebie. Spochmurniała.

- Muszę się jednak z tobą czymś podzielić. Nie sądzę, żeby Fielding to zrobił.

-Sam się przyznał.

-Niezupełnie. Nie zaprzeczył. Wydawało mi się, że mówił ironicznie.

- To u niego normalne, a skoro to nie on, to powinien zaprzeczyć.

- Zapytałem go o to i nie zaprzeczył. Jego wina, że został aresztowany.

Jillie nie chciała się spierać.

- Wiem. Nie krytykuję cię.

Popatrzył na nią z góry, ale jego oczy były zasłonięte okularami.

- Możesz, jeśli masz ochotę. -Nie mam.

- Jakież problemy z Danem? Roześmiała się.

- Kiedy aresztowałeś Fieldinga, nie mógł stać tu i twierdzić, że nic nie robisz. Chyba zrozumiał, że źle będzie wyglądało, jeśli się wyda, że przyjmuje pieniądze od człowieka oskarżonego o napastowanie.

Blaise uśmiechnął się szeroko.

- Mężczyzna oskarżony o napastowanie kobiety, którą Dan niedawno zwolnił. Pomyśl, co za gratka dla prasy.

- Tak jakby duże gazety obchodziło, co dzieje się w Paradise Beach.

- Wierz mi, że obchodzi. Czytałaś o tych dwóch kobietach, którym dałem mandat za picie kawy na plaży.

- Jak dziennikarze się o tym dowiedzieli? Blaise parsknął.

-Nasz sławny burmistrz głośno krzyczał, że jest zdecydowany walczyć o przestrzeganie przepisów. Myślę, że w ten sposób chciał stworzyć wrażenie surowego strażnika prawa i porządku.

-Ale nie udało się.

- Wyszedł na snoba i głupka, dbającego tylko o swoje sprawy. Szczególnie w tej części artykułu, gdzie wspomniano, że jest właścicielem mieszkań na tym kawałku plaży. Tak to odebrałem... biorąc pod uwagę, że zasadniczo nie mam nic przeciwko tym przepisom.

- Oczywiście. Zważywszy, ile ludzi przychodzi na plażę, sprzątanie po nich musi być koszmarem.

-No i strasznie niszczą przyrodę. Dlatego uważam, że nie powinno się wnosić napojów i jedzenia na plażę. Czasami jest to spór o drobiazgi. Blaise wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Za ciężko pracujesz - powiedziała impulsywnie.

- Ciągłe za mało. Co do Fieldinga... to muszę się ruszyć i odnaleźć twojego prześladowcę.

- Nie czuję się prześladowana.

- Ale nie jest ci tak dobrze jak kiedyś? Przynęła.

- Tak czy owak, jest to przestępstwo, jak by na to nie patrzeć. Pokręciła głową.

- Mam wątpliwości i dopóki nie będziemy stuprocentowo pewni, nie przerwę śledztwa.

Jillie zagryzła wargę.

- Naprawdę uważasz, że on mnie napastuje?

- Okoliczności na to wskazują.

Oparła się o radiowóz obok niego i zamyślona popatrzyła w dal na błękitne niebo. Popołudniowa, ciepła bryza delikatnie rozwiewała jej włosy i działała kojąco.

- Gdybym mogła poznać chociaż jeden powód, dla którego on chce mnie z powrotem. Nie pragnął mnie tak bardzo, nawet kiedy byliśmy małżeństwem.

Blaise wzruszył ramionami.

-Niektórzy mężczyźni są zaborczy. Nienawidzą, kiedy zdobycz im się wymyka.

- Powinien to dostrzec dawno temu, nie sądzisz? A nie mógł się doczekać, żeby się mnie pozbyć, od kiedy powiedziałam mu, że chcę rozwodu. Stał na głowie, żeby mieć pewność, że nawet przypadkiem nie natknie się na mnie.

- Może zanim rzeczywistość do niego dotarła, musiało minąć trochę czasu. Nie wiem, Jill. Nie jestem psychologiem.

Lubiła, kiedy mówił do niej Jill. Czowała się wtedy dorosła i niezależna. Zresztą była taka, gdy się nad tym poważnie zastanowić. Miło, że Blaise również tak jąpostrzegał. Fielding i jego matka nigdy tak Jillie nie traktowali.

- Posłuchaj - nagle odciągnął ją dalej od ludzi na trawniku. - Muszę ci powiedzieć o czymś jeszcze.

Jillie spojrzała na niego wyczekująco. -Tak?

Zawahał się, a ona pożałowała, że nie może czytać w jego oczach ukrytych za ciemnymi okularami.



- Wprawdzie nie znam się za bardzo na psychologii, ale ta historia z Fieldingiem naprawdę mnie zmartwiła - odezwał się w końcu.

- Mnie też. Przychodzą mi do głowy różne wytłumaczenia, ale żadne nie pasuje.

- Otóż to - westchnął. - Nie złość się, aleja... wynająłem prywatnego detektywa.

- Co zrobiłeś? - nie wierzyła własnym uszom.

- Wynająłem prywatnego detektywa. Powiedziałem mu, co jest grane, i poprosiłem, żeby spróbował się dowiedzieć, dlaczego ta dwójka tak desperacko pragnie cię odzyskać.

Jillie spojrzała na niego zraniona i rozczarowana.

- Więc według ciebie nie chodzi tu o moje wdzięki i wspaniałą osobowość?

Niemal się uśmiechnął, zauważyła, jak drgnęły mu kąciki ust.

- Twoje wdzięki i osobowość są wspaniałe, Jill. Jak myślisz, dlaczego ciągle kręcę się koło ciebie? Ale tych dwoje...

Coś tu śmierdzi. Wiesz o tym równie dobrze jak ja, i nie wściekaj się na mnie.

Chyba jednak powinna. Mogła się wściec choćby o to, że bez jej zgody wtyka nos w jej życie. Lecz nawet kiedy chciała okazać oburzenie, nie potrafiła. Czowała tylko, że ktoś troszczy się i dba o nią. Poruszyło ją, że zadał sobie tyle trudu i poniósł koszty dla niej.

- Nie jestem zła - wyszeptała miękko. - Wcale nie jestem zła. Dziękuję.

- Podziękujesz, jak on się czegoś dowie.

- Dobrze - uśmiechnęła się. - Obiecuję.

- Hej tam! - zawołała do nich Maggie Dewitt, kobieta w różowym kombinezonie. - Przyłączycie się do nas?

- Ja mam usprawiedliwienie - powiedział Blaise. - Muszę wracać do pracy.

Jillie nie chciała, żeby odchodził, zwłaszcza że nie umówili się na później.

- Mogę zrobić ci kolację dziś wieczorem? Spojrzał na nią zdziwiony i po chwili uśmiechnął się.

- Jasne. Cieszę się. Kończę o piątej.

- Więc kolacja o szóstej?

- Szósta trzydzieści. Potem od razu pojedziemy na posiedzenie rady miasta. - I na oczach wszystkich pochylił się i szybko pocałował ją w usta. Pomachał zebrany, wszedł do samochodu i odjechał, a Jillie sama musiała stawić czoło porozumiewawczym uśmiechom.

Co tam - ona też uśmiechała się od ucha do ucha, jak idiotka.

## Rozdział 15

Wygląda naprawdę świetnie - powiedział z uśmiechem Blaise, siadając przy stole w kuchni.

- Dzięki. - Nie sądziła, że zrobiła coś specjalnego, bo właściwie nie wiedziała, co Blaise lubi. Przygotowała sałatkę z krewetek i podała ze świeżutkimi bułeczkami. Chyba mu smakowało, bo jadł chętnie.

- Gdzie szczeniak? - zapytał.

- Śpi w koszyku, który kupiłam dziś po południu. Chyba mu się tam podoba.

- Może w małej przestrzeni czuje się bezpiecznie.

- Może.

Zjadł jeszcze trochę sałatki.

- Zdecydowałaś się już, co powiesz na posiedzeniu rady miejskiej?

- Ja? Dlaczego miałabym coś mówić?

- Bo jesteś przewodniczącą Tymczasowego Komitetu Obrony Psów w Paradise Beach.

- To nie znaczy, że muszę coś mówić! Uśmiech czał się w kącikach jego niebieskich oczu.

- Pomyśl, jaka będziesz znana.

- O tak, racja. Już mnie wszyscy poznali, po niedzielnych wiadomościach w telewizji. Nie, dziękuję. Mam wystarczająco dużo problemów z tym, że całe Paradise Beach uważa mnie za idiotkę.

- Dlaczego tak sądzisz? Większość ludzi stanie po twojej stronie w sprawie tego przepisu o psach.

- Nie umiem wypowiadać się publicznie.

- Kiedy jesteś zła, radzisz sobie doskonale.

- Nie namawiaj mnie, Corrigan, bo zostanę w domu. Roześmiał się.

- Zawsze jesteś taka niesforna? No dobrze, ani słowa więcej. Tylko nie zapomnij zabrać swojego psa.

- Corky? Po co?

- Zobaczysz na miejscu.

Miał rację. Pięćset, a może nawet sześćset osób pojawiło się na obradach rady miejskiej. Prawie wszyscy nosili zielone psie obroże i przyprowadzili albo przynieśli psy. Jillie i Blaise mieli miejsca siedzące w pierwszym rzędzie tylko dlatego, że Mary Todd i jej przyjaciele zajęli je dla nich.

- Pomyślałam, że będziesz chciała wszystko słyszeć, moja droga - Mary przywitała Jillie z uśmiechem. - Ponieważ jesteś naszą rzeczniką.

-Co? Blaise stłumił śmiech.

- A masz za swoje - powiedział do Jillie i kiedy obrzuciła go groźnym spojrzeniem, wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

- Mary, ja naprawdę nie mogę mówić w imieniu grupy. Jestem nowa w mieście i kompletnie się nie orientuję, co ludzie sądzą o tym wszystkim.

- Lecz swoje zdanie masz? -Tak, ale...

-1 tyle wystarczy. - Mary poklepała ją uspokajająco po ramieniu -Poradzisz sobie, Jillie. Zobaczysz.

Jillie poważnie się zastanawiała, czy nie wyjść od razu, kiedy jednak popatrzyła na szczeniaka śpiącego słodko na jej kolanach, podjęła decyzję. Pomysł Fieldinga był nie do przyjęcia. Nie mogła tak po prostu wyjść i pozostawić wszystko losowi.

Blaise wyciągnął rękę, ujął jej dłoń i delikatnie uścisnął.

- Dasz sobie radę.

- Od kiedy masz tego psa?

Zdziwiona Jillie podniosła wzrok. Stał nad nią Fielding.

- Od kiedy masz tego psa? - powtórzył. - Dobry Boże, to kundel. Harriet stanęła tuż za nim. Chwyciła go za ramię.

-Fielding...

- Nie, mam. Nie będę cicho. Wiesz doskonale, jak bardzo jestem uczulony na psy, i Jillian też wie. Nie ma mowy, żeby zabrała go ze sobą do domu, do Worcester.

Jillie zaprotestowała gorąco.

- Nie ma mowy, żebyś pojechała z tobą z powrotem do Worcester.

- Fielding, Jillian, nie mówcie rzeczy, których później będziecie żałować - ostrzegała ich Harriet.

- Nie będę żałowała ani jednego słowa - odparła Jillie. Fielding milczał przez chwilę i patrzył niezadowolony na matkę. - W porządku, mam. Jeśli Jillian chce psa, może go mieć.

- Nie twój interes - warknęła Jillie ze złością. - Idź już sobie. Blaise chrząknął.

-Słyszał pan.

Fielding poczerwieniał na twarzy.

- Nie wtrącaj się, Corrigan. Zanim to się skończy, podadzą mi twój tyłek na tacy!

- Pani prosiła, żeby pan sobie poszedł. Raz już aresztowałem pana za napastowanie. Chce pan spróbować drugi raz? Fielding spojrzął na Jillie.

- Więc teraz chowasz się za gliniarzem. Jak słodko.
  - Fielding! - przerwała mu Harriet. - Idź sobie, zanim wszystko zepsujesz.
- Fielding już chciał zaprotestować, w końcu jednak wydał dolną wargę i odszedł.

Harriet popatrzyła na Jillie.

- Fielding nie pomalował farbą twojego domu ani sklepu. Jillie skinęła głową.
- Nie mogę uwierzyć, że powiedziałaś, że to on.
- Pan Wainwright sam się przyznał - wtrącił się Blaise.
- Tak! - Harriet gwałtownie uniosła podbródek i zacisnęła usta. - Niech tak będzie, ale oczekuję, Jillian, że znajdziesz trochę czasu na rozmowę ze mną, zanim pojedę do domu.
- Kiedy wyjeżdżasz? -W poniedziałek.
- Z pewnością wcześniej porozmawiamy.
- Dziękuję. -I Harriet odeszła.
- Ojej - szepnęła Jillie pod nosem. - Miejmy nadzieję, że Fielding też pojedzie do domu w poniedziałek.
- Nie może - oświadczył Blaise. -Dlaczego?
- Bo został oskarżony o napastowanie. Musiałby uzyskać zgodę sędziego na wyj azd z miasta.
- O mój Boże - serce podskoczyło jej do gardła. - Chcesz powiedzieć, że jestem skazana na niego przez kilka miesięcy?
- Hm... - wcześniej o tym nie pomyślał.
- Nie ma jakiegoś sposobu, żeby uwolnić go od zarzutów? Blaise pokręcił głową.
- Możemy zgłosić się do prokuratora i poprosić, żeby wycofał oskarżenie.
- Zróbmy to. Nie pozwolę, żeby przez kilka miesięcy plątał się tu i doprowadzał mnie do szału.
- Nie wiadomo, czy prokurator stanowy wycofa oskarżenie, Jill. Jeśli chodzi o Fieldinga doprowadzającego cię do szału przez kilka miesięcy... niech lepiej nie próbuje. Bo znowu oskarżę go o napastowanie.
- I wtedy zostanie tu na zawsze! Chcę tylko, żeby stąd wyjechał. Poza tym, Blaise, tak naprawdę on wcale mnie nie napastował. Owszem, doprowadzał mnie do szału, lecz nigdy się go nie bałam. Chyba że to on wymalował ściany albo zapłacił komuś, żeby to zrobił... to po prostu nie w jego... stylu, nie wiem, jak to lepiej określić.

- Czy ktoś inny uwziąłby się na ciebie? -Nie wiem. Dan Burgess?

Blaise uśmiechnął się szeroko.

- Nie kuś mnie, bo mogę się nie opanować.

Rozśmieszył ją- przede wszystkim dlatego, że pomyślała dokładnie to samo.

- Ale nie ma nic, co wiązałoby go z przestępstwem. Utknęliśmy.

Jak na pomieszczenie pełne psów, w sali było niesamowicie cicho. Od czasu do czasu niektóre zaczynały szczekać lub powarkiwać, jednak większość zwierząt bała się nowego otoczenia i innych psów. Strzygąc uszami, siedziały spokojnie, obok krzeseł swoich właścicieli.

Ale Dan Burgess nie zamierzał przejść nad tym do porządku. Członkowie rady miejskiej siedzieli w głębokich, skórzanych fotelach za półkolistym stołem.

Burmistrz zajął miejsce pośrodku, pochylił się do przodu i popukał w mikrofon, jakby chciał go sprawdzić.

Natychmiast ściągnął na siebie uwagę obecnych.

Odchrząknął.

- Zanim zaczniemy dzisiejsze posiedzenie, musimy wyprowadzić stąd wszystkie psy. Bardzo proszę, ponieważ wszyscy wiecie, że tu nie wolno wprowadzać psów.

Po sali przeszedł pomruk dezaprobaty. Jakiś mężczyzna, siedzący z tyłu, wstał.

- Nic z tego, Burgess - powiedział. - Jeśli chcesz zdecydować o losie tych zwierząt, to możesz sobie na nie trochę popatrzeć.

Rozległy się brawa i kilka psów zaczęło szczekać. Dan znów postukał w mikrofon, prosząc o spokój. W końcu zapadła cisza.

- Psy robią za dużo hałasu. Będą przeszkadzały w dyskusji. Jillie wzięła Corky na ręce i wstała, zdenerwowana.

- Chwileczkę, panie burmistrzu. Rozumiem, że planował pan wprowadzenie przepisu bez żadnej dyskusji. Czy to właśnie chce pan osiągnąć, domagając się, żebyśmy wszyscy wyszli stąd z psami?

Poparły ją liczne głosy.

Dan uniósł rękę w proteście. Stopniowo sala znów umilkła, tylko pies chihuahua sapał z tyłu.

- Nie próbuję uniknąć publicznej dyskusji w tej sprawie - skłamał odważnie. - Wcale nie. Ale obowiązują pewne zasady, a wśród nich również ta, która zabrania wprowadzania psów do ratusza.

Wstała Mary Todd.

- Mamy też inne przepisy, Daniel. Zgodnie z jednym z nich, proponowane uchwały muszą podlegać publicznej debacie. A my jesteśmy tu po to, żeby sprawę omówić.

- Lecz psy...

- Zostają- oznajmiła Mary. - W tej sali jest tylko około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu osób, ale widziałeś, co się dzieje na zewnątrz?

Dan nagle się zdenerwował.

- O co ci chodzi? Co się dzieje na zewnątrz? Corrigan? Blaise wstał.

- Wydaje mi się, że tam jest od czterystu do pięciuset właścicieli psów, panie burmistrzu. Już wezwałem siły porządkowe.

- I coraz więcej ich przychodzi, Daniel - ciągnęła Mary, dla większego wrażenia stukając laską. - Tym razem sprawa dotyczy wszystkich - spojrzała na Jillie. - Dobrze mówię?

Jillie wzruszyła ramionami.

-Nie wiem.

- Nieważne - Mary znów zwróciła się do burmistrza. - Zadałeś sobie kiedyś trud i policzyłeś właścicieli psów w Paradise Beach? Kosztowałoby cięto o wiele więcej niż darowizna, którą zdobędziesz, jeśli obrazisz tych wszystkich ludzi. Dan pobrał.

- Proszę posłuchać - zaczął. - Trzeba przestrzegać przepisów. Pozwolę psom zostać, ale musimy przyzwoicie i zgodnie z planem przeprowadzić sesję. Niech wszyscy usiądą i proszę o ciszę.

Osiągnąwszy swoje, przynajmniej na początku, zebrani usiedli. Ciszę zakłócały jedynie różne odgłosy - jak to zwykle w pomieszczeniu pełnym ludzi - powarkiwanie i sapanie psów.

Zapanował spokój i odczytano protokół z poprzedniego posiedzenia. Jillie o mało nie zasnęła, słuchając długiej litanii nudnych spraw: zmiany stref w mieście, problemy z parkowaniem na osiedlu, dodatkowa reklama Paradise Beach w czasopiśmie, instalacja świateł na ulicy.

Kolejny punkt obrad dotyczył nowych ozdób świątecznych na bulwarze, zgłosił go jeden z radnych, Andrew Barkdale.

- Na ostatniej sesji rozpętała się gorąca dyskusja na ten temat i postanowiono, że są potrzebne nowe ozdoby wzdłuż bulwaru. Stare zaczynają wyglądać na brudne i zniszczone...

- Zaczynają? - przerwała Verna Curtis, również radna. - Robią wrażenie kupionych z piątej albo szóstej ręki w sklepie z rupieciami. Ładnie wyglądają w nocy, kiedy są zapalone, ale w ciągu dnia widok jest niestety żalony.

- Już zgodziliśmy się co do tego na poprzedniej sesji - przypomniał jej zniecierpliwiony Barkdale. - Wiemy, że trzeba je wymienić. Zobowiązaliśmy Tess Lauder z wydziału, spraw publicznych do zbadania sprawy i zaproponowania, jak w ramach konkretnego budżetu rozwiązać problem. Pani Lauder?

Wstała poważnie wyglądająca kobieta w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat.

- Biorąc pod uwagę budżet, który państwo uchwaliliście, miałam szczęście, że w ogóle cokolwiek znalazłam.

Członkowie rady i burmistrz wymienili spojrzenia. Barkdale pochylił się do przodu.

- Chce pani powiedzieć, że potrzeba więcej pieniędzy?

- Mówię jedynie, że miasto od dawna nie kupowało żadnych świątecznych ozdób i nie macie, niestety, pojęcia, ile co kosztuje. Dajcie mi listę życzeń, które znacznie zwiększają koszty. Zobaczmy tutaj... -przekartko-wała dokumenty z żółtej teczki. - Tak, o proszę. Chcieliście świecidełek, maleńkich lampek i wielkich kokard. Wszystko, co się świeci, powinno być odporne na matowienie z powodu przesyconego solą powietrza.

Zamknęła teczkę i popatrzyła na radnych.

- Delikatnie mówiąc, nie miałam łatwego zadania. A poza tym, nikt nie da gwarancji odporności na słone powietrze, jak również gwarancji, że za cenę, jaką miasto przeznaczą na zakup około stu ozdób, to, co kupimy przetrwa choćby jeden sezon.

- Och - westchnął Barkdale.

Pani Lauder poprawiła okulary i, od czasu do czasu pomagając sobie slajdami wyświetlanymi na ekranie, wyjaśniała:

- Oto one, proszę państwa: świąteczne skarpety, cukierki oraz wieńce. Żadna ozdoba nie ma więcej niż trzydzieści centymetrów i będą wyglądać śmiesznie, jeśli zawiesimy je na latarniach. Niestety nie stać nas na nic większego, jeśli nie dacie mi więcej pieniędzy.

- Och. - Radni znów wymienili spojrzenia. Barkdale pochylił się do przodu i patrząc na panią Lauder, zapytał:

- Czy to ultimatum? Nawet nie mrugnęła okiem.

- Dostajecie to, za co płacicie. To wszystko.

- Więc może powinniśmy rozważyć większy budżet.

- Powinniście rozważyć kandydaturę kogoś innego do wykonywania tej niewdzięcznej pracy - oświadczyła pani Lauder i zatrzasnęła notes. -Daliście mi śmieszny spis wytycznych, żałośnie małe fundusze i za mało czasu. Udało mi się w ramach tego wszystkiego zaprezentować wam kilka

propozycji, a wy na to tylko tyle, że może powinnam dostać więcej pieniędzy? Pewnie zażyczycie sobie, żebym zrobiła to jeszcze raz? Radni zaczęli się wiercić, zawstydzeni.

- Pani Lauder - odezwał się Barkdale. - Zrobiła pani już tyle, że małe poprawki będą niczym...

- A co pan o tym wie? - zaatakowała. - Siedzi sobie pan za swoim pięknym biurkiem i każe ludziom robić różne rzeczy, nie zastanawiając się, czego pan od nas wymaga. Nigdy nie bierze pan pod uwagę, ile czasu i wysiłku wkładamy w pracę i jak ciężko jest spełnić wasze głupie wymagania!

- Ależ pani Lauder...

- Niech pan będzie cicho! Mamy dość naginania wszystkiego do waszych szczegółowych specyfikacji, dość kręcenia się w kółko, bo nie podo-bajawam się rezultaty! Niech pan oprzytomnieje! Niech się pan zastanowi, zanim każe nam robić idiotyczne rzeczy! - Notes z hukiem upadł na ziemię, a ona złożyła ręce na piersiach. - Nie jesteśmy niewolnikami. Jesteśmy ludźmi i mamy swoje uczucia, potrzeby, nadzieje i marzenia.

Zapadła martwa cisza. Minęła cała minuta, nim zabrała głos Verna Curtis.

- Może w ogóle nie powinniśmy kupować ozdób. Według pierwszej poprawki do konstytucji nie należy wykorzystywać miejskich funduszy na tego rodzaju zakupy.

Felix Crumley zaczął coś mówić, ale przerwała mu Tess Lauder.

- Doskonale - oznajmiła. - Wycofajcie się z tego teraz, post factum! Nie zakładajcie żadnych ozdób! Kogo to obchodzi? Może mnie?

- Pani Lauder...Tess... - Barkdale i Burgess odezwali się jednocześnie. Popatrzyli na siebie i Barkdale, machnąwszy ręką, ustąpił burmistrzowi.

Dan zwrócił się do Tess.

- Przesuwam debatę o świątecznych dekoracjach na następne posiedzenie rady, które rozważy, czy możemy zwiększyć fundusze przeznaczone na zakupy.

- Zgadzam się - oświadczyła Verna Curtis.

Wszystkie ręce uniosły się w poparciu, a Tess Lauder nie miała już nic do powiedzenia.

Schyliła się, podniosła notes i jak po ciężkiej walce, usiadła na swoim miejscu.

- Następny punkt obrad - oznajmił Barkdale - dotyczy psów. Rozważymy szkic nowej uchwały. - Zerknął znad okularów na Burgessa. - Nie przypominam sobie, żebyśmy tu kiedykolwiek omawiali sprawę psów, panie burmistrzu. Czyżbym O czymś zapomniał?

Dan poruszył się w fotelu.



-Nie, panie Barkdale. Przygotowałem szkic uchwały samodzielnie, żeby zaoszczędzić czas. Zaledwie tydzień temu zdarzył się wypadek, który pokazał, że nasze przepisy o trzymaniu psów na smyczy są niewystarczające.

Verna Curtis przerwała mu, zniecierpliwiona.

- Nie wiem, jak można je jeszcze ulepszyć, skoro prawo mówi, że psy mają być przez cały czas na smyczy.

- A jednak - odparł Dan z odrobiną sarkazmu w głosie - kary nie są odpowiednio wysokie. Rover, pies dobrze znany większości z nas, włóczy się bez przerwy. Niejeden przysięgał sobie, że go zabije. Tym razem zwierzak nie zanieczyścił cudzego podwórka i nie rozwlekł śmieci po całej ulicy, ale zrobił coś gorszego. Ugryzł turystę.

- Na litość boską- odezwała się jakaś kobieta. - A gdyby ugryzł mieszkańca? Rozmawialibyśmy o tym? Mam już dość tego, jak się płaszczycie przed turystami!

Rozległy się odgłosy poparcia, ale Dan walił młotkiem i domagał się ciszy.

- Proszę pana, pan się nie przedstawił przewodniczącemu.

- Do diabła z przewodniczącym. Nie potrzebujemy nowego prawa dla wszystkich psów, skoro problemem jest tylko jeden!

- Ho, ho - powiedziała Mary do Jillie - nie podoba mi się, dokąd ta dyskusja zmierza.

- Mnie też nie - dodał Blaise. Nie chcę, żeby to się przerodziło w lincz na Roverze.

Jillian spojrzała na psa leżącego na jej kolanach - jak wiele ten szczeniak już dla niej znaczy!

W tak krótkim czasie przywiązała się do niego emocjonalnie. A co z Calem Lepkinem? Na pewno bardzo kocha Rovera.

Wstała i odwróciła się do tłumu, trzymając Corky na rękach.

- Nie musimy zwracać się przeciwko Roverowi. Ugryzł tylko raz, a rana była zupełnie powierzchowna.

Fielding skoczył na równe nogi.

- Co takiego? Dziabnął mnie... w... tyłek.

- Ledwo cię zadrapał - poprawiła go Jillie. - Ojej, Fielding, zaledwie kilka kropel krwi.

Jeden z mężczyzn stojących obok zerknął na Fieldinga.

- I to jest przyczyna całego zamieszania? Człowieku, mój pies zawsze mnie drapie, kiedy się z nim bawię! Jeśli nie było szwów, nie było ugryzienia! Wiesz, co mogą zrobić psie zęby?

- Ugryzł mnie, przysięgam! - Fielding był zły, że ktoś ośmiela się wątpić w jego słowa.

- I został poddany kwarantannie - dodał Blaise, który również wstał. -Przeszedł wszystkie szczepienia, więc czym się tu martwić.
- Nieważne, czy został poddany kwarantannie i że przeszedł szczepienia - upierał się Fielding. - Gdyby był na smyczy, w ogóle by mnie nie ugryzł!
- No i co? - zapytał Barkdale. - Psy urywają się ze smyczy i czasem uciekają z klatek. To się zdarza. Po to mamy kary pieniężne. A pan nie odniósł poważnej rany!
- Właśnie, że tak. Jillian pokręciła głową.
- Fielding, to twoja duma została zraniona.
- A co ty możesz o tym wiedzieć? Nie ciebie ugryzł.
- Nie, ale jeśli pamiętasz, to ja cię opatrzyłam. To było tylko małe draśnięcie.
- Ugryzienie!
- Może powinien pan powiedzieć wszystkim zgromadzonym tu ludziom, dlaczego pies pana ugryzł - odezwał się Blaise. - Dlaczego? - Fielding popatrzył na Blaise'a jak na wariata. - Skąd, do diabła, mam wiedzieć, dlaczego ten cholerny bydlak mnie ugryzł?
- Dla mnie to oczywiste - oznajmił Blaise. - Pan chyba nie potrafi łączyć faktów.
- Że co?
- Jillian chciała pana wyrzucić z domu, pamięta pan? Pan krzyczał i wymachiwał rękami przed jej nosem. Widziałem wszystko z podjazdu. Dlatego właśnie poszedłem do niej, kiedy zobaczyłem, jak wchodzi pan do domu. Bałem się, że pan jej grozi. - Grozić jej? - Fielding osłupiał.
- Pies też tak pomyślał.
- Skąd możesz wiedzieć, co pomyślał głupi pies? Może wy dwaj zrobiliście sobie konferencję, żeby to omówić? A może potem wymieniliście fakсы?
- Właściwie - odparł oschle Blaise - przekazał mi wiadomość przez radio na policyjnej częstotliwości, prosząc o posiłki. Tłum zachichotał i to jeszcze bardziej rozwścieczyło Fieldinga.
- Ten pies stanowi zagrożenie. Zaatakował mnie drugi raz, kiedy uciekł z kwarantanny. Jak mu się to udało? Spiskujecie w tym mieście?
- Spiskujemy? - przynajmniej trzy osoby powiedziały jednocześnie.
- Przestań człowieku. Puknij się w głowę.
- Nie muszę się pukać w głowę! - wrzasnął wzburzony Fielding. -Ktoś wypuścił tego psa z kwarantanny.

- Ja to zrobiłem.

W sali zapadła martwa cisza i wszyscy rozglądali się, szukając tego, kto się odezwał. Jim Knapp, listonosz, wyszedł na środek sali.

- Ja go wypuściłem - przyznał się. - To wbrew naturze zamykać psa w taki sposób, z daleka od właściciela. To okrutne. A Rover ma tyle wścieklizny, co ja. Przeszedł szczepienia i starał się tylko obronić kobietę przed facetem, który ją nachodzi i który już został oskarżony o napastowanie.

- Nikogo nie napastowałem! - znowu wrzasnął Fielding.

- Powiedz to sędziemu - odciął się Jim. - Wszyscy wiemy, co widzieliśmy.

-Dlaczego ty... ty...

- Protestuj, ile chcesz, Wainwright. Ta pani rozwiodła się z tobą wiele miesięcy temu i przeprowadziła tutaj, żeby przed tobą uciec. Ledwie przyjechała, a ty już się zjawiasz. A potem twoja nienormalna matka zwała się jej na głowę.

- Chwileczkę!

Knapp wzruszył ramionami.

- Nie mam zamiaru na nic czekać, a to, co tu się dzieje, to farsa. -Zwrócił się do członków rady.

- Nie przegłosujecie żadnego prawa o usypianiu wałęsających się psów i dobrze o tym wiecie. Możecie mieć wszyscy mózgi wielkości ziaren grochu, ale nie chcecie chyba wkurzyć wyborców w Paradise Beach, grożąc ich małym pieskom.

Barkdale spojrzał na radnych. -On ma rację.

Wszyscy przytaknęli oprócz Dana Burgessa, który wyglądał, jakby chciał kogoś udusić.

- Wy głupi kmiotkowie - krzyknął Fielding. - Pokażę wam, jak to należy robić.

Nie mógł powiedzieć nic, co wzbudziłoby większą złość. Wielu ludzi w mieście, choć nie wszyscy, utrzymywało się z turystyki, ale mieli dość obcych, którzy po kilku spędzonych tu dniach myśleli, że Bóg dał im prawo mówić mieszkańcom Florydy, jak postępować. W sali wybuchła wrzawa i winowajców wyzywano od cholernych turystów, jankesów, bogaczy, lub wrogów psów.

Jillie nachyliła się do Blaise'a.

-Należy postępować tak, jak żąda Fielding, jeśli jeszcze tego nie wiesz. -Tak myślałem.

- Wychodzę stąd. Corky cała drży, a ja usłyszałam wszystko, co chciałam usłyszeć. - Odwróciła się do Mary, żeby spytać, czy i ona wychodzi.

- Zostaję - odpowiedziała. - Dawno tak dobrze się nie bawiłam. Tłum zaczął się zmniejszać na wieść, że sprawa psów upadła. Ludzie

z psami przeróżnej maści rozchodzili się w rozmaitych kierunkach. Policjanci z prewencji, oparci o radiowozy, rozmawiali. Jillie postawiła Corky na ziemi i pozwoliła jej wachać krzaki przy chodniku. Po kilku minutach Blaise ją dogonił.

- Musisz wezwać posiłki? - zapytała.

- Nie. Chyba poczekam, aż będzie potrzebny koroner. Roześmiała się i pokręciła głową.

-Najbardziej zdumiewa mnie to, że ja kiedyś uważałam, że Fielding jest uprzejmy.

- Ma niezwykle talent do wtrącania się we wszystko. -Właśnie.

- Chodź - wziął ją za rękę. - Odprowadzę ciebie i Corky do domu. Zapadły ciemności i morski wiatr zmienił kierunek-wiało zimniejsze

powietrze od lądu. Jillie zgarbiła się pod lekką marynarką i chciało jej się śmiać. Na północy takie temperatury jak tu w styczniu byłyby błogosławieństwem - teraz trzęsła się z zimna.

- Więcej chyba nie usłyszymy o uchwale przeciwko psom - powiedział Blaise. - Dan Burgess może próbować wrócić do sprawy pewnego dnia, w nadziei, że dostanie dotację na kampanię wyborczą. Ale nie sądzę, żeby reszta rady się zgodziła.

- Na to wygląda. Może Fielding i jego matka spakują swoje graty i wyniosą się do domu.

-Oby.

Bulwar był zatłoczony samochodami i ludźmi spacerującymi w poszukiwaniu wieczornych rozrywek. Jillie patrzyła na tablice rejestracyjne wszystkich niemal stanów i prowincji.

- Wstąpimy gdzieś na drinka? - zapytał Blaise.

- Szczerze mówiąc, mam dość na dziś. Marzę tylko o tym, żeby wyciągnąć się na łóżku.

- Och - przez chwilę nie odzywał się. - Kiedy chcesz powiedzieć Fiel-dingowi i jego matce, żeby jechali do domu?

- Nie mogę tego zrobić, bo są moją rodziną. Popatrzył na nią; jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Byli, Jill. Rozwiodłaś się i już nie są.

- Rozwód nie zrywa automatycznie rodzinnych więzów.

- Owszem, między małżonkami tak.

Miał rację i Jillie zaczęła się zastanawiać, dlaczego nie dopuszcza do siebie jego argumentów.

- Może - powiedział delikatnie - powinnaś zdać sobie sprawę, że nie potrzebujesz rodziny, a przede wszystkim takiej rodziny, po to, żeby być kimś.

Celna uwaga! Jillie głośno wciągnęła powietrze. Jej wizerunek ulegał zachwianiu.

Przyśpieszyła kroku, jakby pragnęła uciec przed człowiekiem, który wyraźnie widział to, czego ona nie chciała dostrzec. -Jill...

- Nie. Trzymaj się ode mnie z daleka - odwróciła się i stanęła przed nim na ciemnej ulicy, nie dbając o to, że ktoś może ich usłyszeć. - Jesteś taki cholernie doskonały, taki pewny siebie... przekonany, że wiesz najlepiej, co inni powinni robić! Oceniasz nas wszystkich, a życie ciebie oszczędza! Co ty, do cholery, wiesz o cierpieniu?

Uciekła, mając nadzieję, że zgubi go w ciemnościach.

- Zostaw mnie w spokoju! - krzyknęła jeszcze przez ramię.

- Dobrze - odpowiedział przez zaciśnięte zęby. - Jak tylko upewnię się, że bezpiecznie dotarłaś do domu.

- Do diabła, przestań być taki doskonały! -Nie jestem doskonały!

- Właśnie, że jesteś!

- Prawda jest taka, że to ty starasz się być doskonała. Rozzłościła się jeszcze bardziej.

-Wcale nie!

- A właśnie, że tak, Jillie! Pozwalasz, by ludzie mieli cię za nic, bo tak się boisz, że cię nie polubią. Chryste, jak to się stało, że w ogóle zdobyłaś się na odwagę i rzuciłaś Fieldinga! Ale zrobiłabyś to pewnie wiele lat wcześniej, gdybyś nie bała się tak bardzo ludzkiej niechęci.

- Nie boję się ludzkiej niechęci! Jestem wygadana, a to zawsze wkurza!

- Nie jesteś taka wygadana, jak ci się zdaje. Potrafisz tylko czasem dopiec tym, których się boisz.

- Gdzie twój dyplom z psychologii, panie wszystkowiedzący?

- Nie potrzebuję dyplomu, żeby zobaczyć to czarno na białym, kobieto. Pozwalasz Harriet i Fieldingowi pomiatać sobą, bo boisz się, że wyjadą i nigdy już ich nie zobaczysz. To dlatego, że twoi rodzice odeszli i zostawili cię samą. A może dlatego, że przenosiłaś się z domu do domu? Dlaczego tak bardzo się boisz utracić tych, którzy cię ranią?

Odwróciła się i popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Słuchaj, doktorze Freud. Nie potrzebuję prymitywnej psychoanalizy od prymitywnego gliniarza z małego miasteczka. Krew nie woda.

Blaise spojrział na nią łagodnie i zniżył głos.

- Przerażam cię, prawda, kochanie? Boisz się mnie.

Nagle zachciało jej się płakać. Nie umiała długo się na niego gniewać. Lecz nienawidziła go za to, że tak szybko potrafił złamać jej obronę.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Krew nie woda, ale Wainwrightowie nie są ci ani odrobinę bliżsi niż ja... sama dobrze wiesz. Zwykle myślisz rozsądniej niż teraz, więc wydaje mi się, że się boisz - rozłożył ramiona. - Przykro mi. Nie mogę patrzeć spokojnie, jak tych dwoje daje ci w kość.

-Nie dają mi w kość!

Czyżby? - pomyślał. Więc jak to nazwać?

- Krok po kroku niszczą cię emocjonalnie. -Bzdura!

- Dobrze. Więc podaj mi przykład jednej rzeczy, jaką któreś z nich zrobiło, żeby ci udowodnić, że cię kochają. Tylko jedna rzecz, Jill.

- Przyj echali na Florydę. Pokręcił głową.

- Od ich przyjazdu Harriet chwytła się każdego sposobu, żeby podważyć twoją pewność siebie. Sugeruje, że to przez ciebie Fielding oszukiwał. Całkowicie zmienia wystrój twojego domu, wymienia nawet talerze, żeby ci pokazać, że nie masz gustu. Fielding kupuje dom i zwalnia cię z opłat, dając do zrozumienia, że nie jesteś w stanie sama sobie poradzić. Oboje robią wszystko, aby obrócić twoją siłę w słabość, po to, żebyś potulnie wróciła z nimi do Massachusetts. Pamiętaj, że Fielding nie zaprzeczył, że ma coś wspólnego z graffiti. Ile razy trzeba pomazać ci dom i sklep, żebyś zaczęła się bać i poj echala z nimi do domu?

Przeszedł ją dreszcz. Nie było aż tak zimno, a ona czuła się przemarznięta do szpiku kości. Fielding i jego matka nie traktowali jej ani trochę inaczej niż przed rozwodem, ciągle nią pomiatali. Czyżby przyzwyczaiła się do tego? A może Blaise przesadzał? Znowu zadrżała.

- Chodź - powiedział. - Odprowadzę cię do domu, bo za chwilę zamarzniesz.

Już nie chciała przed nim uciekać. Kiedy wyciągnął rękę, pozwoliła wziąć się pod ramię i ruszyli w stronę domu.

Nagle poczuła się słaba i bezbronna. Grała osobę twardą, ale on przejrzał ją, sądząc po jego słowach, na wylot. Miała wrażenie, że zimny wiatr przewiewa ją na wskroś, a jej najintymniejsze tajemnice zostały obnażone. Co gorsza, nie wiedziała, co o sobie myśleć.

Skręcili za rogiem i zobaczyli swoje domy. Blaise'a był ciemny - paliła się tylko lampka w oknie na górze. U Jillian wszystkie światła były włączone i kiedy dostrzegli cię w oknie kuchennym, zamarła w bezruchu.

- Do diabła, Harriet na mnie czeka. Była teściowa znowu zwali na nią winę za to, że Fielding został oskarżony o napastowanie albo przystąpi do natarcia w sprawie uchwały o psach. Tego już było za wiele - świat nagle się zamazał i łzy napłynęły Jillie do oczu.

- Chodź - powiedział Blaise. - Możecie z Corky znów spać u mnie. Nie musisz tam iść i kolejny raz narażać się na atak.

Jillie wiedziała, że najodważniej byłoby wmaszerować do domu i stanąć twarzą w twarz z Harriet. Ale nie miała już siły być twarda i niezależna. W tej chwili pragnęła tylko ukryć się gdzieś i lizać rany, zanim dojdzie do następnej rundy. Spojrzała na Blaise'a.

Delikatnie otarł łzę, która popłynęła jej po policzku.

- Przestań. Daj sobie trochę czasu na zastanowienie się, co robić dalej. Możesz powalczyć ze smokiem jutro.

Jillie wahała się tylko przez moment. Do jutra może poczekać. Jutro wszystko załatwi.

## Rozdział 16

Blaise zostawił pootwierane okna i w domu było chłodno i wilgotno. Zamknął je, zapalił ogień w małym kominku w salonie i zrobił herbatę. Jillie siedziała na kanapie i zadumana patrzyła w płomienie. Corky skuliła się na dywanie przed kominkiem i zapadła w głęboki sen.

- Przepraszam.

Jillie błyskawicznie otrząsnęła się z zamyślenia. Zapomniała, gdzie jest i że nie jest sama.

- Za co?

- Za to, że byłem dla ciebie taki surowy. To naprawdę nie moja sprawa.

- Więc po co się zaangażowałaś? Zawahał się.

- Ponieważ nie umiem zajmować się wyłącznie swoimi sprawami. Spojrzała mu prosto w oczy i uśmiechnęła się lekko. - Naprawdę?

Przeszedł przez pokój i usiadł obok niej. W kuchni rozległ się gwizd czajnika.

- Prawdę mówiąc, nie mogę patrzeć, jak oni cię krzywdzą. Zerknęła na niego - już wcześniej zauważyła, że jest przystojny. Był tak

seksy, że na jego widok kolana robiły jej się miękkie. Ale miał też w sobie

dużo ciepła i opiekuńczości i chyba naprawdę troszczył się o nią. Po raz pierwszy od dawna spojrzała na mężczyznę jak na przyjaciela.

Coś w niej pękło i przeraziła się. Gdy zależało jej na kimś, źle na tym wychodziła. Próbowana walczyć, więc skończyła z Fieldingiem. Blaise był zupełnie inny, ale też mógł ją porzucić.

W pewnym sensie to właśnie zrobił Fielding przez swoje romanse. Tłumaczyła sobie długo, że to nie to samo, i tkwiła w małżeństwie, bo pomiędzy romansami wracał do niej, czyli tak naprawdę nie odchodził. W końcu jednak przestała się oszukiwać i sama odeszła.

Nie była aż tak głupia, żeby zaryzykować jeszcze raz. Na pewno nie. Dlaczego więc wpadała w ramiona Blaise'a, pozwalała się przytulać i słuchała słów pocieszenia szeptanych jej do ucha, kiedy zaczynała płakać?

- Wszystko się ułoży - powiedział cicho, położył jej głowę na swoim ramieniu i delikatnie głaskał ją po włosach. - Wszystko dobrze się ułoży, zobaczysz.

Czy kiedykolwiek w objęciach mężczyzny było jej tak przyjemnie, tak bezpiecznie? Czuła w nogach wielki ciężar, który nie pozwalał jej się ruszyć. Opierała się o Blaise'a i było to dla niej jednocześnie najtrudniejsze i najłatwiejsze. Czajnik ciągle gwizdał i w końcu Blaise zareagował. -Przepraszam, ale lepiej zrobię herbatę... albo przynajmniej wyłączę ten piekielny imbryk.

- Jasne - wyprostowała się niechętnie. Kiedy przestał ją obejmować, poczuła prawie fizyczny ból.

Nie, z nikim już więcej się nie zwiąże. Jest na to zbyt rozsądna. Jedyne sposoby na spokojne życie na tym świecie to niezależność i samotność.

Blaise wrócił z dwoma dymiącymi kubkami herbaty. Postawił je na stoliku i usiadł obok niej. Miała ochotę oprzeć się o niego i położyć mu głowę na ramieniu, ale opanowała się. Była zmęczona i sfrustrowana. Jutro, pomyślała, wyrzuciłaby sobie dzisiejszą słabość.

I właśnie wtedy zadzwonił dzwonek u drzwi.

Blaise spojrzał nanią i przewrócił oczami.

- Powinienem był zastrzec adres i telefon. Zaraz wracam. Jillie usłyszała głos Rainbow Moonglow.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, Blaise, lecz mam wiadomość dla

Jillie.

-Ale, ja...hmm...

Jillie czuła, że Blaise się waha; bał się, że Jillie znowu stanie się obiektem plotek. Sama też wolałaby tego uniknąć, nie chciała jednak, żeby Blaise musiał kłamać, żeby ją chronić.



- Nie przejmuj się. Wiem, że jest tutaj - Rainbow się roześmiała. -Bycie medium ma swoje dobre strony. Nieliczne, ale wystarczy.

Blaise wprowadził Rainbow do salonu. Uśmiechnęła się ciepło i podziękowała za herbatę.

- Nie zabiorę wam dużo czasu - zapewniła. - Po prostu miałam dzisiaj wieczorem bardzo silne przeczucie i pomyślałam, że muszę ci o tym od razu powiedzieć, Jillie.

Jillie opadła z powrotem na kanapę i mocno splótła dłonie, walcząc z nerwowymi skurczami żołądka. W końcu, pomyślała, sprawy w jej życiu muszą przybrać lepszy obrót.

- Chodzi o ludzi, którzy prześladują cię od jakiegoś czasu - ciągnęła Rainbow. - Mężczyzna i kobieta. Wydaje mi się, że ich znasz. Miałam takie silne przeczucie... Jillie, nie ufaj im. Próbują ci coś odebrać.

Jillie rozłożyła ręce.

- Ależ ja nic nie mam!

Rainbow zamknęła na chwilę oczy, jakby szukała czegoś wewnątrz siebie lub uważnie słuchała głosu, który tylko ona słyszała.

- Chcą ci coś zabrać, ale ty o tym czymś nie wiesz. Nie ufaj im, to wszystko. Powiedziałam, co miałam do powiedzenia - dodała z uśmiechem.

-Dziękuję.

- Drobiazg. Znasz tych ludzi? Coś mi podpowiada, że tak. Po prostu bądź ostrożna.

I już jej nie było.

- Czy ona często to robi? - Jillie zapytała Blaise'a. Pokręcił głową.

- Raczej nie, ale nie wiem, jak postępuje z innymi. Na przykład tutaj zjawiała się pierwszy raz.

- Oczywiście miała na myśli Fieldinga i Harriet.

- Jasne.

- Ale przecież całe miasto wie, kim są. Uśmiechnął się.

- Może nawet całe hrabstwo. Robią wokół siebie dużo hałasu.

- Delikatnie mówiąc. Próbuję sobie przypomnieć, czy zawsze byli tacy niemożliwi.

Znów usiadł obok niej i obrócił się tak, żeby na nią patrzeć.

- To bez znaczenia, Jillie. Przestań się zadreć. Cokolwiek zrobiłaś w przeszłości, zrobiłaś dlatego, że nie mogłaś w danym momencie postąpić inaczej. Powtarzaj to sobie.

-Nie umiem.

-Dlaczego?

Wzruszyła ramionami. Zdawała sobie sprawę, że zbliża się do czegoś niebezpiecznego.

- Skoro popełniłam taki błąd kiedyś, skoro byłam taka ślepa, to skąd mogę wiedzieć, że to się nie powtórzy.

- Och - westchnął ciężko.

- No tak. Muszę o tym pomyśleć, ale nie teraz, jestem po prostu oszołomiona.

- Zaprowadzę cię do łóżka. -ACorky...

- Zajmę się nią-wziął ją za rękę i poszli po schodach do pokoju gościnnego. W porannym zamieszaniu wybiegła z niego, nie ścieląc łóżka. Było rozgrzebane, odrzucona kołdra, na poduszce ślady jej głowy.

- Dobranoc - odwróciła się, żeby się do niego uśmiechnąć, ale uśmiech zamarł jej na twarzy, kiedy zobaczyła jego dzikie spojrzenie.

-Blaise?...

Rzucił się na nią-jak orzeł na ofiarę i ustami przylgnął do jej ust w pocałunku, od którego zaparło jej dech. Oparła się o framugę i patrzyła na niego zdumiona.

- Pragnę cię - powiedział to... tak wyraźnie, że nie mogła udać, że nie zrozumiała.

- Ja... nie - pokręciła głową i chciała cofnąć się do pokoju. - Nie sędzę, żeby to było rozsądne.

- Do diabła, dlaczego nie?

- Ponieważ... bo wszystko jest takie poplątane. Z powodu Fieldinga i Harriet, i wandalizmu, i...

Przerwał jej zimno.

- A co to ma do tej rzeczy? - zrobił krok ku niej i przylgnął do niej całym ciałem, żeby poczuła, o jaką „rzecz” mu chodzi.

Oddychała z trudem.

- Bardzo wiele... - sapnęła. - Bo w związku z tym...

- Po prostu się boisz.

Miał rację. Blaise Corrigan miał zawsze rację i to ją lekko zirytowało.

- No więc boję się. Mam prawo się bać!

- Oczywiście - przywarł do niej jeszcze mocniej. - Ja też się boję. Jak jasna cholera.

Wcale nie wyglądał na przestraszonego. Na pewno nie... o Boże, jak bardzo chciała stopić się z nim w jedno.

Pragnęła poczuć każdy twardy mięsień przylegający ciasno do jej miękkiego ciała. Miała ochotę robić z nim nieprzyzwoite i cudowne rzeczy.

- Wcale się nie boisz - spierała się z nim, łapiąc odrobinę powietrza. -Bo niby dlaczego?

- Naprawdę się boję - powiedział matowym głosem. - Tak bardzo cię pragnę, że chyba eksploduję, jeśli nie będę cię miał. A jeśli ty mnie nie zechcesz? Co będzie, jeśli cię nie uszczęśliwię? A jeżeli cię rozczaruję? Co jeśli?...

Zakryła mu usta dłonią. Jego wyznanie sprawiło, że poczuła się jednocześnie silniejsza i słabsza. Był tak samo podatny na ciosy jak ona, i to ją jakoś uspokoiło.

- Ale... moje życie jest w tej chwili przewrócone do góry nogami. Nie możesz chcieć...

Pokręcił głową, zniecierpliwiony.

- Nie mów mi, czego chcę, a czego nie. Pragnę ciebie. To bardzo proste. Jeśli to oznacza, że będę miał do czynienia z Fieldingiem i Harriet, z wandalami i wszystkimi psami w Paradise Beach, to, na Boga, poradzę sobie. Ale nie dziś wieczorem, Jill. Nie teraz. Dziś jesteśmy tylko ty i ja, a reszta świata niech sobie idzie do diabła. Czekałem całą wieczność, lecz ani minuty dłużej. Teraz, Jill. Tylko ty i ja. Teraz.

-Ale...

Położył jej palec na ustach.

- To nie jest dobry moment na dyskusję. Teraz chcę tylko kochać się z tobą. Nad innymi sprawami zastanowimy się rano.

Miała mętlik w głowie, oddychała z trudem, nie wiedziała, co zrobić, i zanim zareagowała, Blaise objął ją ramieniem, drugą ręką złapał pod kolanami i bez słowa zaniósł do swojej sypialni.

-Blaise...

Jego błękitne oczy płonęły, kiedy kopnięciem otworzył drzwi i zatrzymał się na progu.

- Tak czy nie, Jill. Tylko jedno słowo. Tak czy nie?

Wszystkie tęsknoty, które w niej drzemały, nagle się obudziły i wyszeptają:

-Tak...

Jutro będzie mogła zacząć żałować.

Zapalił małą lampkę przy drzwiach. Oprócz niej tylko zielone światelko tarczy telefonu przy łóżku odrobinę rozpraszało mrok. Jillian patrzyła na nie zafascynowana - bo telefon był niezwykle i miał najdziwniejsze funkcje - próbując odwrócić uwagę od rozbierającego się za jej plecami Blaise'a.

Serce biło jej szybko, po chwili stanął za nią, objął ją i zapomniała o swoich wątpliwościach.

Czuła ciepło jego ciała i jego siłę. Odchyliła się do tyłu i oparła o mego w geście oddania, napięcie ją opuściło i stała tak, łagodna i gotowa go przyjac.

A on wsunął dłonie pod bawełniany sweterek i dotknął jej piersi. Przebiegł ją dreszcz rozkoszy i odruchowo wygięła plecy. Głośno wciągnął powietrze.

- Ale z ciebie dynamit - powiedział. - TNT.

I nagle wszystko było dobrze. Wszystko było w porządku, dokładnie tak, jak miało być. Roześmiała się cichutko i odwróciła w jego ramionach, twarzą ku niemu. On też się uśmiechał, co sprawiło jej ogromną radość.

- Mam na sobie za dużo ciuchów - spoważniała. On był zupełnie nagi - powinna być zawstydzona albo zdenerwowana. Ale jej znajomość męskiego ciała ograniczała się tylko do Fieldinga, a jego natura specjalnie nie obdarowała. Za to Blaise, tak... Blaise był cudownie umięśniony i emanował siłą, a ona pragnęła poznawać dłońmi całe jego ciało. Nie onieśmiał jej, chociaż bardzo się tego obawiała; niepokój zniknął. Zdziwiająco swobodnie wyciągnęła ręce i przesunęła po jego klatce piersiowej, podziwiając wspaniałe mięśnie.

Ściągnął jej sweter przez głowę i rzucił w kąt pokoju. Westchnął głośno, odpinając sprzączkę stanika i ujmując w dłonie krągłe piersi.

- Oj ej - wyszeptał - powiedz, że są prawdziwe... Rozśmieszyły ją.

- Oczywiście, że tak! - Nigdy nie myślała, że jest szczególnie hojnie obdarzona przez naturę.

Pod wpływem pieśczoły przestała na chwilę oddychać.

- Jesteś doskonała - wychrypiał. - Absolutnie doskonała...

Potem pochylił się i wziął w usta sutek. Straciła poczucie rzeczywistości. Czułość i pożądanie mieszały się gdzieś w podświadomości, w reakcjach jej ciała, które wygięło się w łuk.

Nawet nie zauważyła, kiedy rozpiął guzik jej dzinsów; zaśmiewali się, walcząc z wyciągniętymi na lewą stronę nogawkami. O jak dobrze! - pomyślała Jillie, leżąc na plecach na łóżku. Blaise usiłował zdjąć jej spodnie i buty.

Nigdy, przez tyle lat małżeństwa, nie czuła się tak swobodnie z Fieldingiem, jak w tej chwili z Blaise'em.

-Do diabła-stracił w końcu cierpliwość i złapał ją za pięty, ściągając buty razem ze spodniami. - Jutro zrobię z tym porządek.

Znów się roześmiała, a on jej zawtórował, siedząc pomiędzy jej nogami.

Nagle rozbawienie w jego oczach zmieniło się w pożądanie.

- Jill - powiedział szorstkim głosem, pochylił się do przodu i pocałował ją w usta tak, że zadrżała i zapłonęła namiętnością.

Kiedyś musiała sobie wyobrażać, że mężczyzna może sprawić, że tak się poczuje, ale to były fantazje i niedościgłe marzenia - aż do tej chwili, kiedy każdy nerw jej ciała drżał z pewności i pragnienia. Ten człowiek porażał ją jak nikt inny, uwalniał od niechęci i uprzedzeń, sprawiał, że wyzbywała się hamulców.

Oplotła ramionami jego szyję i przyciągnęła go do siebie tak blisko, jak tylko się dało, żeby czuć każdy centymetr jego ciała.

Wtedy przesunął ją na środek łóżka i zwarli się w uścisku.

Zamierała z zachwytu, czując, jak bardzo jest podniecony. Żadnych tajemnic, stwierdziła zachwycona.

Ale i on coraz bardziej ją rozbudzał, pokrywając pocałunkami jej szyję i ramiona, jakby chciał zasmakować w każdym kawałku jej ciała.

Narastało w niej niesamowite, silne pożądanie, które domagało się zaspokojenia. Jej ciało wiedziało dokładnie, dokąd zmierza. Musiała tylko dać się ponieść fali.

- O tak, właśnie tak - wydyszał chrapliwie, kiedy poczuł, jak jej biodra zaczynają falować. - Cudownie, kochanie. Odnalazł sutek i chwycił go delikatnie zębami; jęknęła, ręką złapała go mocno za głowę i przycisnęła do siebie z całej siły.

- Blaise... - westchnęła. Pragnęła więcej, pragnęła go całego.

- Nie tak szybko, kochanie - wyszeptał. - Dopiero... zacząłem cię poznawać...

Poznawać. Uderzyło ją to słowo, bo dokładnie oddawało to, co działo się teraz. Skoro on mógł poznawać, ona też mogła. W nagłym przyplywie odwagi zaczęła przesuwając dłońmi po jego ciele; odkrywała miejsca, w których miał łaskotki, i te, których dotknięcie sprawiało mu przyjemność. Chciała, by poczuł to, co ona. Chciała, by był tak bezradny w obliczu siły namiętności jak ona. Chciała, żeby należał do niej.

- Jill... Jillie... -niebyłw stanie powiedzieć nic więcej, oprócz jej imienia. Ustami dotykał jej piersi, ręką sięgnął między uda i znalazł wilgotne, gorące i nabrzmięte płatki; kiedy ich dotknął, jęknęła i przyłgnęła do niego rozpaczliwie, po czym złapała rękoma za krawędzie łóżka, jakby pragnęła, by złapał oddech, by odpoczął...

Była piękna i zachwycająca. Kochanka, o jakiej zawsze marzył - niedoświadczona i otwarta, gotowa dać wszystko, co posiada, i dzielić z nim chwile szaleństwa. Ale bał się, że zbyt szybko doprowadzi go do końca. Chciał zwolnić i delektować się jej smakiem, zbierać wspomnienia i cieszyć się każdym nowym odkryciem.

Ale nie miało tak być. Jej ciało poruszało się coraz szybciej, a w nim narastało szalone podniecenie. Ten pierwszy raz nie będzie tak bogatym

przeżyciem, jak sądził. I powoli przestawał się tym przejmować. Kiedy Jillie uniosła się ku niemu i wyszeptała jego imię, poddał się, gotów, by ją zaspokoić.

Włożył rękę do szuflady w nocnej szafce i wyciągnął prezerwatywę.

Wiedział, że Jillie było dobrze. Podobała jej się jego siła i reakcje na jej dotyk. Napawała się nim. Uśmiechnął się, ale kiedy spojrzał jej prosto w oczy, zatonął w pragnieniu i nie chciał już dłużej czekać.

- Och, Blaise - wyszeptała uszczęśliwiona. - Jak... dobrze... jak... błogo...

I tak czekał na to zbyt długo. Od chwili, kiedy popatrzyła na niego w świetle samochodowych reflektorów i powiedziała mu, że nie jest pijana, wiedział, że ma w sobie ogień, i nie pomylił się...

Wszedł w nią mocno, a ona tylko przyciągnęła go bliżej.

- Taaaak... - jęknęła, chwytając gwałtownie powietrze. - Tak...

Nic już nie słyszał. Jego ciało runęło w przepaść i porwał ją za sobą-lecieli, lecieli i spadali...

Potem leżeli obok siebie i odpoczywali w ciepłym kokonie spełnienia. Jillie położyła głowę na ramieniu Blaise'a i zastanawiała się, dlaczego nigdy wcześniej nie zauważyła, jak miły jest dotyk skóry.

- Do licha - nagle ocknął się Blaise. - Trzeba wyprowadzić psa.

- Chyba tak - wskazującym palcem narysowała kółko na jego piersi. -Ja mogę to zrobić.

-Nie, zostań w łóżku. Zaraz wrócę.

Jillie obróciła się i położyła ręce na biodrach, w pełni świadoma, jak prowokująco wygląda z potarganymi włosami i nagimi piersiami.

- Do diabła, Corrigan, przestań być taki doskonały. Powiedziałam, że to zrobię.

- Hej, kto tu jest szefem policji? Wzruszyła ramionami.

- Na tym polu jesteśmy równi. Uśmiechnął się szelmowsko. -Zgadzam się.

-Tak?

- Więc razem zajrzyjmy do psa.

Wciągnął krótkie spodnie i rzucił jej koszulkę. Zeszli na dół i znaleźli Corry pograżoną we śnie. Kiedy ich usłyszała, obudziła się, ziewnęła, przeciągnęła i usiadła, machając ogonem.

Rozejrzeli się - ani śladu bałaganu. Jillie wzięła ją na ręce i chwaląc, przytuliła. Corry była uszczęśliwiona, radośnie merdała ogonem i z miłością polizła Jillie po twarzy.

- Zabiorę ją do ogrodu, niech się załatwi - zaproponował Blaise. - Potem zrobię coś do jedzenia. Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu. Mógłbym zjeść konia z kopytami.

- Ja też mam na coś ochotę.

Pokiwał głową, uśmiechnął się i wskazującym palcem dotknął czubka jej nosa.

- Wczoraj ty dla nas gotowałaś, teraz moja kolej.

Jillie pobiegła na górę i włożyła dzinsy. Wyszła na balkon, a on spacerował z psem przed domem. Wychyliła się przez barierkę i wdychała zapach morza. Od chłodu dostała gęsiej skórki na ramionach i plecach. Pomyślała, że wcale nie czuje się, jakby była na Florydzie.

Blaise cicho mówił coś do psa - Corky wachała trawę i ganiała chrabąszcze i nie bardzo ją obchodziło załatwienie swoich potrzeb.

Jillie słuchała jego głosu, a zimny wiatr rozwiewał jej włosy. Spojrzała na rozgwieżdżone niebo i gdzieś na dnie jej serca poczuła, jak dawno zapomniane marzenia budzą się w niej na nowo.

Zadrzała, gdy zdała sobie sprawę, że tak naprawdę pragnie rodzinnej bliskości... kogoś, z kim mogłaby dzielić dni i noce, kogoś, kto zawsze będzie przy niej i kto zawsze będzie wracał do domu, do niej.

Kiedy była dzieckiem, czasami spacerowała po ciemnych ulicach wokół domu, w którym akurat mieszkała.

Zaglądała sąsiadom w okna i było jej bardzo przykro. Chciała mieć taki dom z jasno oświetlonymi pokojami, gdzie wszyscy spotykali się w zimowe wieczory i po prostu byli razem.

Przy Fieldingu nigdy się tak nie czuła. Może nie ona jedna. Za długo trzymała się z boku, żeby stać się częścią rodziny.

Posmutniała, przypominając sobie, że kiedy wreszcie podjęła decyzję i opuściła Fieldinga, ani razu nie obejrzała się za siebie. Jakby niczego nie utraciła. Nie czuła się ani winna, ani rozzalona. Czuła tylko wielką ulgę.

I to właśnie było smutne. Może stało się tak dlatego, że nigdy nie tworzyli prawdziwej rodziny. A może ona nie potrafiła zapuścić korzeni, więc Fielding odszedł do innych kobiet.

- Hej - odezwał się za jej plecami Blaise. - Chodź do środka, bo zmarzniesz. - Corky przysiadła obok niego i zaciekawiona przekrzywiła łebek.

Jillie poczuła nagły przyływ ciepłych uczuć dla nich obojga i coś ścisnęło ją w gardle. Tak właśnie powinno być zawsze, pomyślała.

W kuchni razem przygotowywali ciepłe kanapki z indykiem. Zdziwiło ją, że sam dla siebie gotował. W lodówce znalazła pudełko z surowym mięsem, sos i nadzienie.

- Od czasu do czasu - odpowiedział na jej zdumiony wzrok - nachodzi mnie straszna ochota na indyka i na te wszystkie dodatki. Jak go zrobię, zostaje mi żarcia dla całej armii na tydzień, więc jem to samo trzy razy dziennie. Pomożesz mi?

Nadzienie było pyszne, sos również. Gdy go pochwaliła, uśmiechnął się i zażartował.

- Widzisz, mam jakieś zalety.

- Tak... ugotujesz dla mnie kolację na Święto Dziękczynienia? - To również miał być żart, ale kiedy Blaise spojrział na nią, był śmiertelnie poważny.

- Jasne - odparł. - Z przy emnością.

Zrobiło jej się dziwnie ciepło. Zawsze bała się świąt w samotności. Kiedy była żoną Fieldinga, w święta zjawiało się mnóstwo ludzi. Ostatni raz spędzała je sama na studiach: wtedy, gdy wszyscy przeżywali święta z rodzinami.

- Wiesz co - czasami myślę, że jakakolwiek rodzina jest lepsza niż żadna.

- Tak sądziłem. - Nie rozumiem?

- To dlatego nie potrafiłaś od razu wyrzucić Wainwrightów. Mówiłem to już wcześniej.

Pokręciła głową.

- Wcześniej mówiłeś, że bałam się, że nikt mnie nie polubi. Teraz uważam, że nawet rodzina, której nie lubisz, jest ważna. Nazwijmy to rodzajem zakotwiczenia.

- Chyba tak - podniósł do ust widelec z nadzieniem, ale nie j adł. Popatrzył na nią smutno. - Nie umiem tego wytłumaczyć, Jillie. Nie wiem, skąd ci się to wzięło. Nie potrafię tego pojąć, bo zawsze miałem rodzinę.

- Opowiedz mi o niej. Wzruszył ramionami.

- Co tu opowiadać? Mój tata zmarł kilka lat temu, ale mama nadal żyje; uczy matematyki na uniwersytecie stanowym. Odwiedza mnie w czasie przerw w zajęciach. Mam dwie siostry, obie mieszkają na Zachodnim Wybrzeżu z mężami i dziećmi, ale przyjeżdżają w odwiedziny. Mój brat, Rafe, kiedy stuknęła mu trzydziestka, przeniósł się do Key West, kupił firmę na Duval Street i odtąd nosi tylko szorty i koszulki. Ciągle mnie namawia, żebym przyjechał do niego popatrzeć na zachód słońca, a ja mu tłumaczę, że ten sam widok mam tutaj.

- Może uważa, że powinieneś trochę poszaleć. Blaise roześmiał się i kiwnął głową.

- Tak. Wygląda jak wieczny plażowicz, ale wiem, że prowadzenie interesów to nie żarty. On tylko udaje.



- Odwiedzasz go czasem?
  - Owszem, ale nie lubię Key West.
  - Dlaczego?
  - Wiesz, jaka mała jest ta wyspa i jak daleko od lądu? Jadę tam i od razu zaczynam się zastanawiać, co będzie, jeśli nadciągnie huragan i wielki sztorm. Wątpię, czy zdążyliby ewakuować wszystkich ludzi jedną wąską autostradą. Popatrzyła na niego z czułością. Więc było coś, czego Blaise bał się naprawdę.
  - Nawet na wakacjach myślisz jak policjant.
  - Właściwie - odparł sucho - to jakiś irracjonalny strach, klaustrofobia? Jak to nazwać? Huraganofobia? Key West fobia?
- Uśmiechnęła się.
- Niektórzy ludzie po prostu nie lubią wysp.
  - Przecież teraz też mieszkam na wyspie i to mi nie przeszkadza. Pewnie boję się dlatego, że autostrada jest tam taka wąska, a odległość od lądu to ponad sto kilometrów.
  - Dla twojego brata to jednak nie problem? Pokręcił głową.
  - On martwi się o inne rzeczy. No, ale nie róbmy z tego sprawy. Odwiedzam go, lecz nie chciałbym tam mieszkać. Nie podoba mi się to miejsce. Miami zresztą też nie.
- Usiedli w jadalni, Blaise pochylił się nad stołem i ujął jej dłonie.
- Co powiesz na wycieczkę do Tamy w sobotę? Myślę, że spodoba ci się Ybor City i jego kubański charakter, to serce kulturalne Tamy. Zobaczysz, jak ręcznie robią cygara, to jest zanikająca sztuka. Możemy iść do zoo albo do parku rozrywki... co zechcesz.
- Podobało jej się, że pragnie spędzić z nią więcej czasu. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo się bała, że nie będzie chciał jej więcej widzieć.
- Napięcie zniknęło i nagle poczuła się szczęśliwa, od wielu miesięcy nie było jej tak dobrze.
- Jasne - ucieszyła się.
- Kiedy zadzwonił dzwonek, wymienili spojrzenia.
- Przysięgam, że nikt nigdy nie przychodzi do mnie o tej porze - powiedział. - Co to, Dworzec Główny?
  - Może coś ważnego.
  - Zawiadomiliby mnie przez telefon. Pewnie ktoś sprzedaje prenumeratę gazety.
- Jillie siedziała w jadalni i tam dobiegł ją głos Harriet.

- Wiem, że ona tu jest, komendancie Corrigan. Nigdzie indziej nie poszła! Poza tym w całym mieście aż huczy, że ukradkiem wychodziła z pana domu dziś rano!

Zastanawiając się, kto z sąsiadów tak plotkował, zerwała się od stołu i wypadła na korytarz. Wtedy usłyszała, jak Blaise mówi:

- Może jest w sklepie, pani Wainwright.

Nie zdążył skończyć, a Jillie już stała za nim i wściekle patrzyła na byłą teściową.

- Wiesz, Harriet, tym razem przesadziłaś.

- To ty przesadziłaś - przerwał jej Blaise. - Kiedy kłamię w twoim interesie, powinnaś mieć na tyle rozumu, żeby się schować.

Zachciało jej się śmiać. Blaise doskonale się bawił i wcale nie czuł się zakłopotany sytuacją.

- Przepraszam - powiedziała, próbując okazać skruchę. Machnął ręką.

- Do usług. Przynajmniej nie muszę się wysilać i tłumaczyć twojego zniknięcia, bo jesteś tutaj. Sama to załatw.

- Załatw? A niby jak? Z nią nie da się nic spokojnie załatwić. Kąciki ust drgnęły mu wesoło.

Harriet oburzyła się.

- Nie życzę sobie, żebyście mówili o mnie, j akby mnie tu nie było! A ty co robisz, moja panno, w domu obcego mężczyzny? Spójrz na siebie! Dlaczego... masz na sobie jego koszulkę?

- Nie twój interes, Harriet.

- A właśnie, że mój! Fielding jest moim synem! Sprawiasz mu przykrość! Jak możesz mu to robić?

- To, co robię, już nie dotyczy Fieldinga. On mnie nie obchodzi. Ile razy trzeba ci to powtarzać? - równie dobrze mogła mówić do ściany.

- A właśnie, że dotyczy! Myślisz, że głupi kawałek papieru coś zmienia? Daję słowo, Jillian, nie sądziłam, że jesteś taka niemądra!

-Niemądra? - Jillie poczuła, że jeszcze chwila i przestanie nad sobą panować. - Harriet, jeśli ktoś tu jest niemądry, to tylko ty! - Ja? - zachłysnęła się powietrzem.

- Tak, ty! Rozwiodłam się z Fieldingiem nie dlatego, że chciałam sobie od niego troszkę odpocząć, ale dlatego, że nie mam zamiaru nigdy do niego wracać.

- Sytuacja się zmieniła...

- Jaka sytuacja? Z tego, co widzę, nic się nie zmieniło. Nadal usiłuje postawić na swoim, a ty wciąż mu pomagasz.

- Oczywiście, że mu pomagam! Jestem jego matką!

- Nic nie rozumiesz, Harriet. On tak naprawdę wcale nie pragnie, żebym do niego wróciła. Nie wiem, dlaczego udaje, bo naprawdę wcale mnie nie chce.

- Źle to zrozumiałaś...

- Nic mnie to nie obchodzi. Mam gdzieś, czego chce, a czego nie. Miarka się przebrała! Już dłużej nie mogę! Nie zmienił się tak, żeby od nowa mi się spodobał. Między nami wszystko skończone. Rany, które mi zadał, były zbyt głębokie, i on dobrze o tym wie, Harriet. Więc przestań go popychać w moją stronę i jedźcie do domu.

Harriet wydeła wargi.

- Wierz mi, do niczego go nie popycham. Zawsze uważałam, że żeniąc się z tobą, dokonał złego wyboru, i nie zmieniałam zdania! Jesteś spryciarą, która wyszła za męża dla pieniędzy, niczym więcej.

Jillie oniemiała. Harriet odwróciła się na pięcie i odeszła, mocno trzaskając drzwiami.

- To prawdziwa żmija - powiedział Blaise. - Jak ty mogłaś z nią wytrzymać?

Jillie z trudem chwytła powietrze i ledwo trzymała się na nogach. Kiedyś kochała Harriet i wierzyła, że z wzajemnością. Ale gdyby tak było, matka Fieldinga nie mówiłaby takich rzeczy.

- Jill... -Blaise podszedł bliżej i wziął ją w ramiona. - Zrobiła to złośliwie, bo nie umie wymyślić nic gorszego. Nie bierz sobie tego do serca, proszę.

Łatwo powiedzieć! Teraz i Harriet ją opuściła. Wszyscy, na których jej kiedykolwiek zależało, odeszli. Niczego się nie nauczyła i znowu zaczęło jej na kimś zależeć.

Odsunęła się gwałtownie od Blaise'a. Potrzebowała dystansu. Jedynym rozsądnym wyjściem było trzymać się od niego z daleka.

- Lepiej już... pójdę do domu. - Odwróciła się i biegiem ruszyła do drzwi.

Blaise miał już dość, a przynajmniej tak mu się wydawało. Wystarczyły kłopoty z Wainwrightami, a teraz jeszcze Jillie uciekła od niego, jak od potwora, który potraktuje ją samo jak Harriet. Tego było za wiele.

Nie zatrzymał jej, a nawet zatrzaskał za nią drzwi. Obejdzie się bez niej i jej problemów. Chryste! Po co zadawał się z kimś, kto tak bardzo bał się swoich uczuć? Dlaczego wiązał się z kobietą świeżo po rozwodzie? Czyżby już zapomniał, ile czasu sam potrzebował na pozbieranie się po rozstaniu z żoną?

Za rogiem jadalni natknął się na szczeniaka. Corky schowała się pod krzesłem, najwyraźniej przestraszona podniesionymi głosami i trzaskaniem drzwi. O Boże, następna, pomyślał Blaise, ale podniósł psa i poklepał uspokajająco. Cały świat był pełen przerażonych i zranionych stworzeń.

Nic dziwnego, że suczka się bała, w końcu została sama, tak jak Jillie.

Nadal zirytowany, przypomniał sobie, co się stało, i zamyślił się głęboko. Pies w jego ramionach trząsł się ze strachu, zupełnie jak Jillie, którą zranił ktoś, kogo, jak sądziła, kiedyś kochała. Oczywiście, wszystko jasne.

Blaise zadumany popatrzył na psa. Szczerze mówiąc, do tej pory nie zastanawiał się, co będzie dalej. Jak każdy mężczyzna reagował na zauroczenie instynktownie i nie myślał o konsekwencjach.

Nie powinien tak postąpić z Jillie. Zbyt wrażliwa, żeby wdać się w przelotny romans, z pewnością nie była przygotowana na to, co się wydarzyło. W przeszłości wiele razy została porzucona, a on zbytnio się tym nie przejmował, martwiąc się bardziej o siebie.

Powinien mieć więcej czasu, żeby zastanowić się, czy postępuje uczciwie, ale Blaise Corrigan wiedział, że czasu na zastanowienie nie będzie i musi natychmiast podjąć decyzję. Kiedy był mały, matka zawsze mu powtarzała: „Nikt ci przy urodzeniu łatwego życia nie obiecywał”.

Żałował, że nie miał okazji lepiej poznać Jillian, zanim postanowi zrobić tak ważny krok, ale już dawno nauczył się, że w życiu nie wszystko jest proste.

Tylko że było wciąż za wcześnie na odpowiedzialną decyzję.

Spojrzał jeszcze raz na psa, który trochę się uspokoił i wyglądał na śpiącego. Gdyby również Jillian dała się tak łatwo uspokoić!

Usłyszał ciche pukanie do drzwi i nim otworzył, wiedział, kto to. Jillie popatrzyła na niego potulnie.

- Zapomniałam zabrać torebkę i psa.

Zrobił krok do tyłu i zaprosił ją ruchem ręki, ale nic nie powiedział. Zabrakło mu pewności siebie.

Kiedy przechodziła obok niego, zawahała się na moment.

- Przepraszam za... za wszystko. Pokręcił głową.

- Nie musisz za nic przeproszać.

- Zachowałam się... nie najładniej.

Patrzyła na niego, a jej oczy wyrażały nieme pytanie. Blaise, skonsternowany, w tej chwili nie potrafił na nie odpowiedzieć, nie był pewien, co może jej ofiarować, wahał się i nie chciał obiecać niczego, co potem mogłoby ją zranić.

- Nic się nie stało - wykrztusił wreszcie, siląc się na obojętność. - Nie martw się. - Jeśli oczekiwała, że weźmie ją w ramiona i zapomni, że uciekła od niego w popłochu, rozczaruj się.

Jillie powoli odwróciła się i poszła do salonu po swoje rzeczy. Zabrała wszystko. Potem podziękowała, wzięła psa i wybiegła.

I wtedy dom wydał się Blaise'owi za duży i pusty.

## Rozdział 17

Oco się pokłóciliście z Blaise'em? - zapytała Mary Todd, niecierpliwie stukając laską.

Jillie woskowała nowe stoliki w księgarni; wyprostowała się i spojrzała na Mary zaskoczona.

- Wcale się nie pokłóciliśmy.

Zadzwoiła do niego do domu, kiedy był w pracy i zostawiła mu wiadomość, że odwołuje sobotnie spotkanie. W głębi duszy miała nadzieję, że oddzwoni i spróbuje namówić ją do zmiany zdania, ale nadeszła sobota, a on nawet nie próbował się z nią skontaktować.

- Ptaszki na płocie o tym ćwierkają- Mary zmierzyła ją ponurym wzrokiem i usiadła na fotelu. - Słyszałam, że byłaś przedwczoraj u Blaise'a i odwiedziła was ta Wainwright, a ty wybiegłaś potem jak oparzona i wróciłaś tylko po psa. Jillie aż usiadła ze zdziwienia. -Skąd to wiesz?

- Wszyscy o tym mówią!

- Ale... - przerwała jej i zaczęła się zastanawiać, kto jest taki wścibski, kto obserwował dom Blaise'a tak uważnie w czwartek wieczorem. Co komu z tego przyjdzie, żeby o tym rozpowiadać? - Boże, Mary, czy ludzie tutaj nie mają nic lepszego do roboty?

Mary zachichotała.

- Cha, cha! A czy jest coś lepszego niż soczyste plotki o nowej sąsiadce i komendancie policji? Od lat obserwujemy tego młodego człowieka i po raz pierwszy jest tak bliski założenia obrączki.

Jillian poczuła, jak policzki jej się czerwienią.

- Nie pleć bzdur. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Świetny dowcip. Nie próbuj mnie nabrać, dziewczyno. Szalejesz na jego punkcie.

Ma rację, pomyślała Jillie. Zwariowała dla tego faceta. Jak zwykle chciała zapaść się pod ziemię lub zniknąć gdzieś daleko - na przykład w Massachusetts.

- To, co czuję, nikogo nie powinno obchodzić - burknęła i wstała, by dalej woskować stoliki. - To moja sprawa.

Mary westchnęła i znów niecierpliwie popukała laską w podłogę.

- Straszne z was głuptasy, i tyle. Umywam od tego ręce! Jillie wskazała na drugi koniec sklepu.

- Tam jest łazienka. Proszę bardzo. Wpatrzona w nią oczy Mary pociemniały. - Jesteś taka jak ja: szczerą i wyszczekana.

Jillie nie odpowiedziała na komplement, bo nie była pewna, czy Mary jej pochlebia. Do diabła, kogo próbowała oszukać? Chciała być kiedyś jak Mary Todd - energiczna i pełna życia.

- No tak - ciągnęła Mary. - Miłość mądrego głupim czyni.

- Wiesz o tym z doświadczenia!

- Masz na myśli mnie i Teda Wannamakera? - Mary zaśmiała się. - Nie jesteśmy zakochani! Tylko udajemy.

Jillie przestała wycierać stół, żeby ręce jej odpoczęły i spojrzała na pannę Todd.

- Nie umiesz dobrze kłamać.

- O co ci chodzi?

- Kiedy kłamiesz, w twoich oczach widać coś takiego... nie umiem tego opisać.

- Pewnie, że nie! Zawsze mówię prawdę! - Mary pokręciła głową i popatrzyła na Jillie nieprzyjaźnie. - Ta kobieta wróciła na Północ.

- Jaka kobieta?

- Dobrze wiesz, jaka. Nie baw się ze mną w kotka i myszkę. Mam w tym więcej wprawy. Wyniosła się i został tylko jej wstrętny synalek. Co ty, na litość boską, widziałas w tym typku?

Jillie o mało się nie roześmiała w głos.

- Przyznam ci się, Mary, że zadaję sobie to pytanie kilka razy dziennie. A co z Tedem i tobą?

- Nie zmieniaj tematu. Musimy uwolnić się od tego palanta. Psuje miłą atmosferę w Paradise Beach. Najgorsze jest to, że facet nie umie przegrywać. Zaoferował Calowi Lepkinowi pięćset dolarów za uspienie psa.

Jillie westchnęła głośno. - Żartujesz?

- Nie, w tej kwestii jestem daleka od żartów.

- Cal się na to nie zgodzi, prawda?

- Nie, raczej nie. Ale twój były mąż to kawał łobuza. Musimy pozbyć się go z miasta. Niestety, nie możemy tego zrobić, dopóki ciąży na nim oskarżenie o napastowanie. Musi u nas zostać do wyjaśnienia sprawy.

Jillie usiadła i spojrzała zamyślona na Mary.

- Myślisz, że wyjechałby, gdyby nie to oskarżenie?

- Sądzę, drogie dziecko, że możemy poprosić prokuratora stanowego, żeby wykonał za nas brudną robotę. Może wycofa sprawę, jeśli Fielding wyjedzie i na zawsze zostawi cię w spokoju?

- Istnieje taka możliwość?

- Jeden z moich przyjaciół twierdzi, że tak. Musisz z nim pogadać i ustalić szczegóły, a potem pewnie trzeba będzie porozmawiać z samym prokuratorem, bo sądy nie lubią przymykać oczu na napastowanie. Łagodność w tych sprawach ma zły wydźwięk polityczny. Jillie zawahała się.

- Szczerze mówiąc, nie uważam, żeby on mnie napastował, Mary. Nigdy mi nie groził. Najgorsze były tylko te napisy. Ale powiedział, że tego nie zrobił. Blaise ma rację. Gdyby to był on, to tylko chciał mnie nastraszyć. Ityle. Mary nic nie odpowiedziała.

- Nadal nie chcę, żeby został oskarżony o przestępstwo. - Naprawdę tak myślała. Nie zносиła byłego męża, ale nie zamierzała wysłać go do więzienia, za coś czego najprawdopodobniej nie zrobił.

- Dobrze, że istnieje możliwość wycofania zarzutów - stwierdziła Mary. - Nie skażą go i upieczesz dwie pieczenie przy jednym ogniu. - Wyrażaj się jaśniej.

- Mój przyjaciel wytłumaczył mi, że sędzia może wycofać oskarżenie warunkowo... a my będziemy nalegać, żeby warunkiem był wyjazd z miasta - Jak to?

- Słuchaj, moja droga, twojego byłego oskarżono o napastowanie. Sędzia może mu kazać trzymać się z daleka od ciebie.

- Naprawdę? - musiała przyznać, że takie rozwiązanie jej się spodobało. Po ostatnich kilku tygodniach nie chciała więcej widzieć na oczy ani Fieldinga, ani jego matki. - I nie skażą go?

- Nie, jeśli zrobi to, co powie sędzia.

Doskonały pomysł. Po tym, jak na próżno starała się go pozbyć...

- Co mam zrobić?

- Porozmawiać z moim przyjacielem. Nazywa się Pierce Conlin. - Mary rozejrzała się. - Jest tu telefon?

Jillie wskazała aparat, który zainstalowano wczoraj w księgarni, żeby mogła od razu wygodniej prowadzić interesy i Mary podeszła do niego.

Sklep był już prawie wykończony i teraz Jillie czekała tylko na pierwszy transport książek i resztę wyposażenia. W tym czasie sprzątała i organizowała wszystko.

Mary chciała porozmawiać z zaprzyjaźnionym prawnikiem, więc Jillie wróciła do woskowania stołów. Zanim otworzy księgarnię, będzie pewnie musiała zrobić to raz jeszcze, ale sam widok błyszczących powierzchni dawał jej zadowolenie, którego tak długo brakowało jej w życiu.

- Jillie - Mary zasłoniła słuchawkę ręką - możesz spotkać się z Pierce'em w poniedziałek o ósmej trzydzieści rano? Wyjaśni ci szczegóły.

Ciekawe, ile to będzie kosztowało.

- Tak, chyba tak - odparła, marszcząc czoło.

- Dobrze - powiedziała Mary do telefonu. - Będziemy, Pierce - odłożyła słuchawkę i poklepała Jillie po ramieniu. - Nie martw się, moja droga. Pomagałam Pierce'owi ukończyć prawo. Nie weźmie od nas pieniędzy.

- Dzięki. - Jillie ciepło się do niej uśmiechnęła, po czym wyjrzała przez okno. Słońce jasno świeciło, ale nie było jej wesoło. Czuła bezbrzeżny smutek od chwili, kiedy postanowiła wykreślić Blaise'a ze swego życia.

Nadszedł poniedziałek i Jillie nadal nie widziała Blaise'a. Najwyraźniej starał się jej unikać, bo wcześniej wpadała na niego bardzo często. Próbowwała tłumaczyć sobie, że lepiej, że schodził jej z drogi, ale to nie pomagało.

Przygnębiona, wsiadła do samochodu i pojechała po Mary Todd. Razem ruszyły na spotkanie z prawnikiem.

Po drodze do Saint Petersburga Mary popatrywała na nią krytycznie.

- Okropnie wyglądasz, dziewczyno. -Dziękujębardzo.

Mary parsknęła.

- Nie udawaj przede mną. Naprawdę wyglądasz strasznie, i to nie z powodu tego głupiego jankesa, którego lada moment się pozbędziemy. Czy Blaise zrobił ci coś złego?

- Nie! Absolutnie nic! - Mówiła prawdę. Tylko było jej przykro, że zaraz po tym jak się kochali, tak się od niej odsunął. Zranił jej uczucia... choć właściwie to ona od niego uciekła.

- Mmm. - Mary lekko stuknęła laską w podłogę i udała, że interesował jąmaszt łodzi, płynącej kanałem w ich kierunku, kiedy przejeżdżały przez most. - Wydaje mi się, że możesz w końcu przesadzić z tym uciekaniem.

Jillie zacisnęła ręce na kierownicy i niezadowolona zabębniła palcami. -Mary...



-Nie zaprzeczaj, proszę cię. Uciekasz ze strachu, ale wcale mnie to nie dziwi. Ten drań, którego bez sensu poślubiłaś, bardzo cię zranił. Gdybyś teraz nie była pełna rezerwy, uznałabym cię za głupią.

Na takie słowa nie było dobrej odpowiedzi, więc Jillian milczała. Zastawiała się jednak, jak to się stało, że Mary Todd tak bardzo zaangażowała się w jej sprawy. Poznały się zaledwie kilka tygodni temu, a teraz zdumiona zauważyła, że nie wyobraża sobie życia bez niej.

- Skręć w lewo na światłach - powiedziała nagle Mary. - Tędy najprościej dojechać do biura Pierce'a.

- Czy to twój krewny?

- W pewnym sensie tak - Mary zerknęła na nią i uśmiechnęła się. -Próbujesz zmienić temat? Zgoda! Pierce jest wnukiem mojej dobrej przyjaciółki. Nie miała tak łatwego życia jak ja - niestety! Biedna kobieta wyszła za mąż! Ale wnuk jej się udał. Umarła, kiedy był jeszcze na studiach. Wiedziałam, że mu pomagała, ale nie zostawiła żadnego spadku, więc ja się zajęłam chłopakiem. Tylko tyle mogłam dla niej zrobić.

- Bardzo ładnie z twojej strony. Mary zaśmiała się.

- Pierce też tak uważa. Ale może wkrótce zmieni zdanie, jak będzie miał dość moich prośb o porady prawne.

- A często o nie prosisz?

- Pierwszy raz. Lecz dla wielu ludzi dwie przysługi to o jedną za dużo. Chyba że Pierce jest wyjątkiem.

- Powiedz mi coś, Mary. Skoro twierdzisz, że małżeństwo to beznadziejna instytucja, dlaczego swatasz mnie i Blaise'a?

Starsza pani pokręciła głową, jakby Jillie właśnie zadała najgłupsze pytanie na świecie.

-Nie zawsze jest beznadziejnie, moja kochana. Czasami spotyka się dwoje ludzi, którzy są dla siebie stworzeni.

Stworzeni dla siebie... te słowa zapadły Jillie głęboko w serce i zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście istniał ktoś taki dla niej. Może Blaise był tym kimś?

Biuro Conlina znajdowało się przy głównej ulicy Saint Petersburga, z dala od centrum, w zacienionej okolicy pełnej małych firm. Umówił się z nimi jeszcze przed otwarciem, więc w środku była dopiero sekretarka.

- Proszę wejść od razu - powiedziała uprzejmie. - Pan Conlin oczekuje pań.

Biuro było ładne, choć niewielkie i skromnie urządzone. Pierce Conlin idealnie do niego pasował. Miał na sobie spodnie khaki, granatową koszulę i jasny krawat. Był wysoki, ciemnowłosy i dobrze zbudowany. Wyglądał na

trzydzieści kilka lat i w niczym nie przypominał typowych prawników, takich jakich Jillie poznała przy okazji rozwodu - no, ale na Florydzie wszystko było inne.

Kiedy weszły do jego gabinetu, starał się trafić piłką golfową do filiżanki po kawie.

- Wiem, wiem - powiedział - typowy obrazek. Ćwiczę uderzenia w biurze, bo zgłosiłem się na ochotnika na turniej charytatywny w sobotę i nie chcę wyjść na kompletną ofiarę.

Uśmiechnął się i odłożył kij na bok. Podszedł do Mary i przytulił ją powitanie.

- Co słyhać, babciu Mary? Zbyt rzadko do mnie dzwonisz.

- Znasz mój numer - odparła Mary szorstko. - Telefon działa w obie strony.

- Dzwoniłem trzy tygodnie temu. A ty nie miałaś ochoty umówić się ze mną.

- Na hot dogi? Powiedz mi, jak kobieta w moim wieku może jeść hot doga na ulicy?

Po chwili Pierce przeszedł do właściwego tematu.

- Mary mówiła, że pani były mąż został aresztowany za napastowanie? Jillie przytaknęła.

- Co dokładnie zrobił?

- Przyjechał tu za mną z Massachusetts, nie daje mi spokoju i być może wymalował graffiti na moim domu i sklepie.

Prawnik zatarł ręce.

- Dobrze, a czy ktoś go na tym przyłapał? Jillie zdziwiła się.

-Nie.

- Więc skąd wiadomo, że to on?

- Sam tak powiedział, ale jak go znam, może zrobił to na przekór.

- Rozumiem. Czy kiedykolwiek osobiście pani groził? -Nie.

- Czy pani się go boi? -Nie, panie Conlin...

- Proszę mi mówić Pierce.

- Dobrze, Pierce. Nie chcę, żeby poszedł do więzienia za napastowanie, bo właściwie mnie nie napastował. W każdym razie, nie jakoś niebezpiecznie.

- Więc jak doszło do aresztowania?

Jillie opowiedziała mu wszystko, co zdarzyło się tamtego dnia przed jej domem. Pierce słuchał, kiwając głową.

- Zatem mamy tylko luźne stwierdzenie i żadnego dowodu, że to on.
  - Na to wygląda - przytaknęła Jillie.
  - I nie chcesz, żeby poszedł do więzienia?
  - Nie. Wolałabym, żeby pojechał do domu.
  - Nie mogą go skazać za nic więcej niż wtargnięcie na prywatny teren - jeśli kazałaś mu opuścić posesję.
  - Kilka razy.
  - Dobrze, więc mogą go o to oskarżyć. Jeśli rzeczywiście nie chcesz go wysłać za kratki, możemy spróbować namówić prokuratora, by wycofał oskarżenie. Czy ci na tym zależy?
  - Chciałabym, żeby go zmusić do natychmiastowego powrotu do Massachusetts - wtrąciła Mary sucho. - Same z nim kłopoty i powie to każdy, kto się z nim zetknie. Jillie zasłużyła na spokój i nowe życie, a Fielding Wainwright powinien wrócić do siebie i dorosnąć! Pierce uśmiechnął się do niej z sympatią.
  - Jeśli prawo stanowe go nie oskarży, nie można go do niczego zmusić.
  - Więc niech oskarży. - Mary energicznie stuknęła laską. - Niech mu dadzą wyrok w zawieszeniu i zabronią mu wyjeżdżać z domu!
  - Nie - zaprotestowała zdecydowanie Jillie. - Nie chcę, żeby został skazany.
- Mary spojrzała na nią, jakby straciła rozum.
- Więc zgadzasz się, żeby szwendał się tutaj?
  - Nie, oczywiście, że nie, ale nie chcę, żeby dostał wyrok. Powinien pojechać do domu, to wszystko. Pierce rozłożył ręce.
  - Powiedz mu, że pójdziesz do prokuratora i poprosisz o oddalenie sprawy, jeśli wyjedzie na zawsze.
  - A oddali?
  - Prokurator stanowy? Chyba tak. Ty jesteś głównym świadkiem przeciwko byłemu mężowi i jeśli nie chcesz załatwić faceta, prokurator zrobi wszystko, by pozbyć się sprawy jak najszybciej. Ma na głowie prawdziwe przestępstwa. Sprawdzić ci to?
- Jillie skinęła głową.
- Bardzo proszę, a ja porozmawiam z Fieldingiem.
- Tego samego popołudnia Jillie zadzwoniła do hotelu Fieldinga.
- Możesz wpaść do mnie? Chciałabym o czymś z tobą porozmawiać. - Nie ma mowy, Jillian. Za nic na świecie. Oskarżyłaś mnie o napastowanie. Mój adwokat mówi, że powinienem trzymać się jak najdalej od

ciebie i od tej wyspy. Nie powinniśmy nawet rozmawiać przez telefon. Do widzenia.

- Fielding, nie! Poczekaj! Może da się wycofać oskarżenie! Niestety, już odłożył słuchawkę. Rzuciła swoją na widełki i westchnęła

ciężko. Teraz kiedy chciała z nim porozmawiać, on odmówił. Nie wiedziała, co robić.

Zacząła spacerować po kuchni, ale to jej nie pomogło. W końcu, zirytowana, że to do niczego nie prowadzi, postanowiła pojechać do hotelu i porozmawiać z nim osobiście. Będzie musiał jej wysłuchać.

Zdenerwowana, za szybko cofnęła samochód z podjazdu i w lusterku wstecznym zauważyła błysk, jakiś ruch tuż za nią. Instynktownie szarpnęła kierownicą i nacisnęła hamulec. Auto zatrzymało się, a ona usłyszała nieprzyjemny dźwięk. Przez chwilę nie mogła się ruszyć. Boże, uderzyła kogoś! Wyobraziła sobie któregoś z sąsiadów pod kołami. Wstrząśnięta, wyłączyła silnik, zaciągnęła ręczny hamulec i wyskoczyła, żeby zobaczyć, co się stało.

Za samochodem siedział Rover i wielkimi oczami patrzył na nią z wywalonym w wesołym uśmiechu różowym językiem.

Obok, na ziemi, leżała skrzynka na listy Blaise'a Corrigan. Jillie spoglądała to na nią, to na psa.

- Zrobiłeś to specjalnie? - wiedziała, że to dziwne, ale... - Chciałeś, żeby rozwalila jego skrzynkę, prawda?

Pies machnął ogonem, jakby się cieszył.

- Do diabła, drugi raz mi nie uwierzy. Rover, jesteś niemożliwy. W ogóle nikt nie uwierzy, że przez ciebie dwa razy wjechałam na to pudło!

Rover wyglądał na zadowolonego i Jillie nie miała sumienia na niego krzyczeć. Podała się, usiadła na zderzaku i zastanawiała, co robić.

Blaise miał rację. Pies robił to specjalnie. Od początku starał się odstraszyć Fieldinga. Teraz przeszkodził jej w spotkaniu z nim, chociaż nie mógł wiedzieć, dokąd się wybierała...

Pokręciła głową i spojrzała w nieskazitelnie błękitne niebo. Ten pies pewnie czytał w myślach, a ona chyba zwariowała.

Rover zaskomlał i skulił się, próbując zwrócić na siebie uwagę.

- Wiesz co - myślałam, że jeszcze masz kwarantannę. Czyżby było już po wszystkim?

Pies przechylił głowę na bok.

- Chyba tak - stwierdziła i policzyła dni. - Minęło ponad dziesięć dni od ugryzienia Fieldinga.

Nie wiedziała, co robić? Jeśli odjedzie, ucieknie z miejsca przestępstwa, a Blaise wróci do domu przed nią? Ciekawe, co sobie pomyśli?

Zostawi mu kartkę... przyczepi do drzwi wiadomość i obieca zapłacić za szkodę. W ten sposób nie będzie musiała się z nim widzieć. Jeśli się pospieszy, zdąży odjechać przed jego powrotem.

Zostawiła psa na drodze i popędziła do domu po kartkę i długopis. Szybko napisała kilka słów; potem nie mogła znaleźć taśmy samoprzylepnej. Zawsze gdzieś zniknęła, kiedy była potrzebna. W końcu postanowiła wsunąć kartkę pod drzwi.

Pobiegła przez podwórko do domu Blaise'a. Pies nadal siedział za jej samochodem. Co mu się stało?

Wsadziła kartkę pod drzwi i wracając, zobaczyła Connie Herrera przed domem. Pomachała jej ręką.

- Znowu wjechałaś w jego skrzynkę? - zawołała Connie i odpowiedziała takim samym gestem.

Jillie rozłożyła ręce.

- Nie chciałam przejechać psa. -Jakiego psa?

Jillie rozejrzała się. Rover gdzieś zniknął.

- To był Rover - powiedziała do Connie. - Wskoczył z krzaków, kiedy cofałam.

- Cholerne bydlę.

- Nie jest taki zły - Jillie rozejrzała się zaniepokojona. Pomyślała, że może go uderzyła i dlatego tak tkwił za samochodem. A jeśli ranny gdzieś się poczołgał?

Connie powiedziała coś jeszcze, pomachała i weszła do domu. Jillie nadal się rozglądała - na pewno zraniła psa.

- Rover? Rover, malutki, gdzie jesteś?

Usłyszała szczeknięcie pod samochodem. O nie! Uklękła, zajrzała tam i zobaczyła psa wyciągniętego w cieniu obok koła. -Jesteś ranny? Zamachał ogonem. Chyba wszystko było w porządku.

Wtedy usłyszała nadjeżdżający samochód i pisk opon tuż za sobą.

- Ładny widok - dobiegł jęczący głos.

Blaise! Jillie zamarła i poczuła, że się czerwieni. Siedziała na klęczkach, zaglądała pod samochód, i doskonale wiedziała, o jakim widoku mówi.

- Widzę, że moja skrzynka znów stanęła ci na drodze - zatrzasnął drzwi i podszedł do niej. - Jill? Wszystko w porządku?

- Tak - odparła, nie patrząc na niego. - Ale nie wiem jak Rover.

- Rover? - uklękł obok niej i zajrzał pod samochód. - Co się stało?

- Wybiegł mi z tyłu, kiedy cofałam, i nie wiem, czy go uderzyłam. Chciałam skrócić i trafiłam w skrzynkę. Drugi raz, jak w złym śnie.

- Rover - Blaise łagodnie zawołał psa. - Wylaż, stary. Chodź, pokaż się. Zobaczymy, czy jesteś cały. Pies machnął ogonem, ale nie ruszył się.

- Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli coś mu się stanie.

- Przestań, to nie twoja wina, że wpada pod jadące samochody. Czasami zastanawiam się, gdzie ten zwierzak ma rozum.

Kłęczeli na ziemi, oparci na łokciach, i przyglądali się psu. On patrzył na nich wesoło, lecz ani drgnął.

- Nic mu nie jest - powiedział w końcu Blaise. - Piszczalby albo lizał się, a nie tkwił tam nieruchomo, jak Sfinks.

- Co racja, to racja.

Skinął głową; obserwowali go jeszcze przez chwilę.

- Więc o co mu chodzi? - zapytała.

- Nie mam pojęcia. Wygląda na bardzo zadowolonego z siebie. Jillie przechyliła głowę.

- Przedziwne stworzenie.

- Tylko z czego się tak cieszy?

Jillie spojrzała na Blaise'a. Nie umiała patrzeć na niego i nie myśleć o tym, że pragnie znaleźć się w jego ramionach. Im dłużej go nie widziała, tym bardziej za nim tęskniła. Teraz był tak blisko, a ona bała się wyciągnąć rękę. Co gorsza, robił wrażenie obojętnego. Serce jej zamarło.

- Chyba nieprędko stamtąd wyjdzie. Wybierałaś się gdzieś?

- Tak... właściwie tak. Chciałam się zobaczyć z Fieldingiem. - Natychmiast pożałowała tych słów. Poczula na sobie ciężar jego wzroku i wiedziała, co zaraz powie.

- Fielding? - wycedził powoli. - Wracasz do niego?

- Dobry Boże, skąd! - Zaprzeczyła gwałtownie. - Muszę mu powiedzieć, że poproszę prokuratora o wycofanie zarzutów przeciwko niemu, jeśli wyjedzie z miasta.

- Chcesz mu darować? - Blaise poruszył się zaskoczony i z całej siły uderzył głową w zderzak.

- Cholera!

- Nic ci się nie stało? - zatroskana, zapomniała o psie. Patrzyła na Blaise'a, który wyprostował się i zaczął masować tył głowy.

- Cholera - powtórzył. - Nic mi nie jest. Straszna ze mnie niezdara. Niech ten przeklęty pies leży tam, ile chce. Może nawet zamarznąć na śmierć, nic mnie to nie obchodzi!

Ani przez chwilę nie dała się nabrać, że mówi poważnie. - Nabiłeś sobie guza? Delikatnie dotknął głowy.

- Tak. Uderzyłem w coś twardego.

- Daj, zobaczę - pochyliła się i lekko dotknęła skóry; pod palcami wyczuła zgrubienie. Już sam dotyk sprawił, że przeszył ją dreszcz, ale się opanowała. - Na szczęście nie krwawi.

-To nic takiego. Tylko okropnie boli - uśmiechnął się ponuro. - Przeżyję, a skoro pies nie zamierza się ruszyć, może ja cię zawiozę do Fieldinga?

Powinna się chwilę zastanowić. W głowie zadźwięczał dzwonek, który ostrzegał ją przed kontaktem z mężczyzną. Ale było za późno. Zaangażowała się. Kilka minut z nim już bardziej jej nie zaszkodzi.

- Dzięki - powiedziała. - Doceniam to. Ale co z Roverem?

- Niech leży - odparł Blaise. - Nie zabiorę go na komisariat. Cał pójdzie z torbami z powodu mandatów i opłat za schronisko.

- Biedak. Ten pies daje mu popalić.

- Wszystkie psy Cala takie były. Może to zły wpływ właściciela. -Nie zawiadomimy go, gdzie jest Rover?

- Zawiadomimy. Zawsze masz dobre pomysły, Jill. Kiedy wsiadali do samochodu, policzki nadal ją paliły.

Za nimi został jej samochód, który stał dziwnie krzywo, obok leżała skrzynka na listy, a Rover wyczołgał się po chwili, popatrzył na nich i wyraźnie się ucieszył.

Cał otworzył drzwi i kiedy poznał Blaise'a, od razu pokiwał głową.

- Znowu mój pies. Diabeł wcielony. Przez niego pójde z torbami...

- Nie - szybko wyjaśnił Blaise. - Nic nie zrobił. Chciałem cię tylko poinformować, że jest u mnie. Kiedy odjeżdżałem, leżał pod samochodem i nie chciał wyjść.

Cał nie był zdziwiony.

- Znowu coś knuje, jestem pewien. Blaise stłumił śmiech.

- Wcale bym się nie dziwił, Cał. Cóż, chciałem ci tylko powiedzieć, gdzie jest. Jillie prosiła.

- Ładna kobieta, komendancie. Kiedy się nią zainteresujesz? Blaise nawet nie próbował odpowiedzieć.

Wsiadł do samochodu i natychmiast ruszyli.

- Właściwie to szukałem ciebie - wyznał.

- Tak? - serce zabiło jej mocniej.

- Tak. Mój przyjaciel, prywatny detektyw, dzwonił do mnie niedawno. Rozczarowała się, że nie szukał jej z zupełnie innego powodu, jednak nie pokazała nic po sobie.

- Dowiedział się czegoś?

- Znasz jakiś powód, dla którego poszukuje cię firma prawnicza z Waukegan w Illinois?

Zdziwiła się.

- Wychowałam się w Waukegan, lecz... nie mam pojęcia, po co mnie szukają. Moi przybrani rodzice nadal tam mieszkają, może ktoś z nich, ale nie wiem dlaczego.

- Kontaktowałeś się z nimi po wyjeździe?

- Nie - zawahała się, a potem postanowiła powiedzieć prawdę. - Szczerze mówiąc, nie sądziłam, że obchodzi ich mój los. Byłam trudnym dzieckiem i nie wydaje mi się, aby tęsknili za mną.

- Dziwne, ale wierzę ci. - Uśmiech na jego twarzy złagodził szorstkość słów. - A może wybaczyli ci, Jill? Czasami to przychodzi łatwiej, niż myślisz.

Nie wiedziała, jak to rozumieć, więc milczała.

- Zatem tak - ciągnął. - Mam nazwę tej firmy i telefon. Po rozmowie z Fieldingiem powinnaś tam zadzwonić i dowiedzieć się, o co chodzi. - Oczywiście. Umieram z ciekawości.

- Ja też. Pozwolisz mi podsłuchiwać?

- Jasne - wzruszyła ramionami, udając obojętność, lecz ucieszyła się, że chciał wiedzieć. Może coś jednak dla niego znaczy i wcale jej nie unika.

Dałaby wiele, żeby tak było.

Hotel stał na końcu miasta, ale od domu Cala dojechali tam w kilka minut. Blaise zatrzymał się w niedozwolonym miejscu i zgasił silnik. - Pójdę z tobą - oświadczył.

- Nie trzeba. Sama to załatwię. Podniósł rękę.

- Nie obrażaj się, lecz nie zgadzam się. Fielding był oskarżony o napastowanie i jesteś głównym świadkiem. Chyba nie chcesz, żeby teraz on oskarżył cię o to samo. Jillie skrzywiła się.

- Boże, co za pomysł. Przecież ja nigdy...

- Ale ktoś może uważać inaczej. Pomyśl o nim. Jak on to potraktuje?

- Dlaczego? Wcale nie twierdzę, że mnie napastował.

- Jednak inni ludzie mogą wykorzystać wasze spotkanie przeciwko tobie.

Jillie oparła się o zagłówek.

- Często to się zdarza?

- Posłuchaj policjanta. Jestem tu po to, żeby żadne z was nie zrobiło jakiegoś głupstwa.



Poszli prosto do pokoju Fieldinga. Jillie uznała, że nie ma sensu dzwonić. Już raz odłożył słuchawkę, a teraz może nie otworzyć drzwi.

Blaise zastukał głośno. Jillie obawiała się, że Fielding domyśli się, że to policja i nie otworzy.

Pomyliła się. Otworzył natychmiast.

- Czego chcesz? - warknął na widok Blaise'a.

- Jill chce z tobą porozmawiać.

Dopiero wtedy Fielding ją zauważył. Wybałuszył oczy i już chciał zatrzaskać drzwi.

- Nie wolno mi z tobą rozmawiać!

- Przy mnie wolno - oznajmił Blaise. - Będę świadkiem, że wszystko w porządku.

- Dobra, dobra - z ironią powiedział Fielding. - Jesteś jej chłopakiem.

- Jestem też komendantem policji. Wysłuchaj jej.

- Słyszałem już wszystko, co ma mi do powiedzenia!

- Fielding - odezwała się zdesperowana. - Chcę, żeby prokurator wycofał oskarżenie.

- Tak, jasne. Mam uwierzyć, że przyjechaliście do mnie z misjapokojo-wą? Ten facet już raz mnie aresztował! - i zatrzaskał drzwi. Przyłożyła do nich ucho i zapukała.

- Fielding? Obiecuję, że poproszę o wycofanie zarzutów. Rozmawiałam dziś rano z prawnikiem, mówi, że zgadza się, bo jestem jedynym świadkiem przeciwko tobie. Fielding?

Minęła minuta, zanim znowu otworzył drzwi, tym razem szeroko. Jillie o mało się nie przewróciła. Na szczęście Blaise chwycił ją za łokieć i przytrzymał.

- Czego chcesz? - Fielding zażądał wyjaśnień.

- Powiedziałam ci już.

- Nie. Wiem tylko, że zamierzasz wycofać oskarżenie. Ale co życzysz sobie w zamian?

- Wyjedź do Massachusetts, Fielding. Tylko o to proszę. Wracaj z Harriet do domu i trzymaj się z dala ode mnie.

Zostaw mnie w spokoju. - Myślała, że Fielding się ucieszy, tymczasem on spochmurniał jeszcze bardziej.

- Nie mogę - powiedział. - Dlaczego? Dlaczego nie możesz zostawić mnie w spokoju? Na litość boską, Fielding, przecież już mnie nie kochasz... zresztą chyba nigdy mnie nie kochałeś. Wcale nie chcesz, żebym wróciła.

- To nie ma nic do rzeczy.

- A co ma?

Fielding pokręcił głową.

- Nie mogę ci powiedzieć.

Jillie zrobiła krok naprzód i zacisnęła dłonie w pięści. -Gadaj, bo...

- Hej, hej - przerwał jej Blaise. - Bez pogrózek. Urwała w pół zdania i kiwnęła głową.

- Przepraszam, ale mam już wszystkiego dosyć, Fielding!

- Ty masz dość! A jak myślisz, jak ja się czuję? - oparł dłonie na biodrach. - Myślisz, że chcę siedzieć w tej zabitej dechami dziurze? Co? Gdyby przyszła mi ochota na tropiki, wybrałbym się na Bermudy albo do Saint Croix. Po co, do diabła, siedziałbym tutaj?

Zanim Jillie zdążyła zareagować, mówił dalej.

- Jestem tu z twojego powodu. Nie rozumiem, dlaczego chcesz tu mieszkać, ale skoro tu jesteś, przyjechałem za tobą. Wyjdiesz za mnie jeszcze raz, czy ci się to podoba czy nie!

- Dlaczego? Powiedz mi dlaczego?

Fielding pokręcił głową.

- Nie - przymknął jej drzwi przed nosem. - Nie powiem. Wynos się. Co takiego mogami zrobić? Pięć lat więzienia? Dam sobie radę.

Zamknął drzwi, a oni usłyszeli stuk zasuwki. Blaise spojrzał na Jillie. Nie była ani zła, ani zmartwiona. Zamyślił się.

- Firma prawnicza - powiedziała nagle. - Założę się, że to o to chodzi. Chodź, musimy poszukać telefonu.

## Rozdział 18

Blaise zawiózł Jillie prosto do domu. Samochód stał tak, jak go zostawiła, ale nie było ani śladu psa.

- Chyba zwinął obóz - zauważył wesoło Blaise. - Misja spełniona. Jillie zerknęła na niego. -Jaka misja?

Pokręcił głową i uśmiechnął się szeroko.

-Nigdy byś nie uwierzyła. Mogę wejść do środka, czy chcesz, żebym również znikł w krzakach?

-Nie! - Na samą myśl, że sobie pójdzie, coś ścisnęło ją w żołądku. -Wejdz, proszę. Zostań na zawsze.

Wiedziała, że i tak sobie pójdzie. Wszyscy, których kochała, odchodzili od niej.

Blaise usiadł na końcu kanapy, a ona po drugiej stronie. Wykręciła numer kancelarii adwokackiej Barrett, Winslow i Klein w Waukegan. Trzy minuty później sekretarka połączyła ją z Bruce'em Kleinem.

- Czy to Jillian McAllister Wainwright? - zapytał.

- Tak. Tylko że wróciłam do panińskiego nazwiska. - To znaczy?

- Nazywam się teraz Jillian Ruth McAllister.

- Rozumiem. Czy może mi pani podać datę urodzenia? Chciałbym potwierdzić parę szczegółów, zanim wyjaśnię, o co chodzi. Podała więc datę urodzenia, po czym odpowiedziała na kilka pytań o imiona rodziców, datę ich śmierci i o rodziców przybranych. - Zgadza się - oznajmił wreszcie. - Dowiedziałem się od pani męża, że wyjechała pani z kraju i będzie nieobecna jeszcze przez miesiąc.

- Od kogo?

- Od Fieldinga Wainwrighta.

- Kiedy pan z nim rozmawiał?

- To było... niech pomyślę... około pięciu tygodni temu. Czy coś nie tak, pani McAllister? Sprawdziliśmy państwa dokumenty, a mąż przysłał nam kopię aktu ślubu.

Jillie nie zamierzała tłumaczyć wszystkiego prawnikowi, ale nagle zrozumiała, że nie ma wyjścia. Opanowała się i zapytała. - O czym pan z nim rozmawiał?

- O pani spadku, oczywiście.

- O czym? - zamurowało ją. Klein zawahał się.

- Nie powiedział pani o tym?

- Panie Klein, Fielding ani słowem o niczym nie wspomniał. Dowiedziałam się, że państwo mnie szukacie od prywatnego detektywa.

- Och. - Zapadła długa cisza i Jillie zastanawiała się, jak Klein układa sobie w głowie nowe informacje. Obraz całości robił się nieciekawym. - Nie rozumiem, pani McAllister. Mąż obiecał powiadomić panią od razu po pani powrocie z Nepalu. - Z Nepalu? - Chyba jej się to śni. - Nigdy nie byłam w Nepalu. Przeprowadziłam się na Florydę.

- O Boże! To straszne! Okropne!

- Może pan mi wreszcie wytłumaczy, o co chodzi? - zażądała ostro. - Co pan powiedział Fieldingowi?

- Ze odziedziczyła pani spadek, i to dość znaczny.

- Po kim? Ja nie mam żadnej rodziny.

- Ależ ma pani. A raczej miała. Proszę usiąść, pani McAllister!

- Już siedzę. - Jillie to wszystko nie mieściło się w głowie.

- Pani matka miała brata, Jamesa. Kiedy zginęli pani rodzice, James był małym chłopcem. Potem został... jakby to powiedzieć... włóczęgą. Prowadził wesołe życie w Kalifornii i nie nadawał się na opiekuna dla dziecka.

Jillie poczuła ukłucie w sercu. Ale przybrani rodzice wcale nie okazali się lepsi, gdyż nie bardzo dbali o to, co się z nią stanie. Wiele razy miała wrażenie, że karmią ją i ubierają, bo państwo im za to płaci. Zresztą nie-których czuła się zupełnie obco, wiedziała, że opiekują się nią tylko tymczasowo.

-Jaki on był?

- Lubił się bawić, z tego co wiem. Przynajmniej jak był młody, lecz potem... - Klein zawiesił głos. - Proszę zrozumieć, pani McAllister. Ja jestem tylko wykonawcą testamentu.

-Rozumiem.

- Gdy miała pani szesnaście lat, przeżył coś, co nazywał bliskim spotkaniem ze śmiercią. Zmienił poglądy na życie.

- Wyobrażam sobie. Klein zaśmiał się cicho.

- O mało się nie utopił, kiedy pływał na desce surfingowej. Doznał strasznego wstrząsu, wrócił do Waukegan i zajął się sprzedażą jachtów. Zainwestował wszystkie swoje oszczędności, i to, co na bieżąco zarobił, w biznes komputerowy, a potem wypuścił na rynek kilka najlepszych programów edukacyjnych w kraju. Mogę spokojnie powiedzieć, że jego firma ma największy udział w sprzedaży oprogramowania dla szkół i nauczycieli.

- Cudownie.

- Oczywiście, że tak, bo wszystko należy teraz do pani.

Jillie zamilkła ze zdumienia. Nie mogła uwierzyć w to, co się działo.

- Nie miał innej rodziny, zatem nikt nie podważy testamentu. Jest wielu chętnych do kupna tej firmy, więc będzie pani bogata do końca życia. Pan Wainwright uważał jednak, że zechce pani zatrzymać wszystko, a znając jego doświadczenie w interesach, to dobra decyzja. Wainwright Industries może w ciągu pięciu lat pięciokrotnie zwiększyć wartość pani firmy.

Jillian wreszcie wszystko zrozumiała. Fielding zawsze chciał zająć się komputerami i teraz nadarzyła się okazja: dodać firmę małej Jillie do koncernu Wainwrightów i patrzeć, jak się rozwija. Och, udusiłaby go.

- Panie Klein - oświadczyła sucho. - Fielding Wainwright i ja jesteśmy pół roku po rozwodzie. Mam nadzieję, że nie miał żadnego dostępu do spraw mojej firmy.

Zapadła nieprzyjemna cisza.

- To okropne - odezwał się w końcu Klein. - Straszne. Przysłał nam świadectwo ślubu.
- A ja panu przysłałam dokumenty rozwodowe. Tylko niech pan nie mówi, że mój były mąż już zdążył wtrącić się do moich interesów.
- Nie... nie! Oczywiście, że nie. Spadek należy do pani i nikt inny go nie dostanie. Proszę się nie martwić! Po prostu jestem bardzo niemile zaskoczony.
- A wie pan, że ja ani trochę. Wiele dzięki panu zrozumiałam i ogromnie mi pan pomógł. Skontaktuję się z panem, ale najpierw rozprawię się z tym gadem Wainwrightem.
- Proszę nie robić nic... pochopnie.
- Nie ma obawy. - Jillian odłożyła słuchawkę i spojrzała na Blaise'a. - Jestem właścicielką firmy komputerowej w Waukegan. Wuj, którego nie znałam, zapisał mi spadek.
- Och - patrzył na nią niezadowolony. - Czy to znaczy, że... wyjedziesz z Paradise Beach?
- Oczywiście, że nie! Podoba mi się tutaj. Ten prawnik powiedział, że są chętni do kupna, więc pewnie ją sprzedam, ale najpierw rozprawię się z Fieldingiem Wainwrightem raz na zawsze.
- Sięgnęła po telefon i wykręciła numer hotelu. Kiedy Fielding odebrał, powiedziała szybko.
- Ani się waż odkładać słuchawkę. Jeśli to zrobisz, będziesz miał kłopoty, o jakich ci się nie śniło.
- Napastujesz mnie, Jillian.
- Nic podobnego. Lepiej posłuchaj. Właśnie rozmawiałam z Bruce'em Kleinem z kancelarii adwokackiej w Waukegan. Mówi ci to coś? Fielding jęknął cicho.
- Dowiedziałam się, co z Harriet knujecie i jestem wściekła. Tak wściekła, że mam ochotę oskarżyć cię w sądzie o coś jeszcze!
- Znów jęknął.
- Nie przerywaj mi i słuchaj uważnie. Wpadłam na lepszy pomysł. Poproszę prokuratora o wycofanie zarzutów i nie podam cię do sądu za kręactwa wokół mojego spadku, choć myślę, że byłoby o co oskarżać, właściwie jestem tego pewna. Ale zlituję się nad tobą. Spakuj swoje manatki i zabieraj tyłek z naszego miasta w ciągu dwudziestu czterech godzin, a wszystko ci daruję. Nie chcę cię więcej widzieć ani słyszeć o tobie. Zrozumiałeś?
- Jillie...
- Nie kłóć się ze mną. Obiecuj, że znikniesz w ciągu doby, a udam, że nic się nie stało.

- Obiecuję. Cholera, ja wcale nie chciałem tej głupiej firmy! - rzucił słuchawkę.

Jillie spojrzała na Blaise'a i uśmiechnęła się.

- No, łatwo poszło. Fielding niedługo wyjedzie, jeśli załatwię wycofanie oskarżenia.

- Porozmawiamy z prokuratorem rano. Pomogę ci go przekonać. Na pewno z przyjemnością pozbędzie się tej sprawy, a Fielding będzie wolny przed wieczorem.

- Im szybciej, tym lepiej - zgodziła się. - Nie chcę go więcej widzieć. Zapadła niezręczna cisza i Jillie zażenowana nie wiedziała, gdzie podziać

oczy. Nie miała pojęcia, co czuje Blaise, szczególnie po ich niemiłym rozstaniu. Pewnie nie może się doczekać, aż będzie mógł pójść do siebie.

Serce jej zamarło, kiedy zdała sobie sprawę, że nie wie co robić dalej, więc postanowiła zrobić cokolwiek, by rozładować niemiłą atmosferę. Podniosła się z kanapy.

- Muszę wypuścić Corky z kosza.

- Kupiłaś dla niej kosz? - poszedł za Jillie do kuchni, gdzie zostawiła psa.

- Duży - zauważył.

- Ona jeszcze urośnie. Właściciel sklepu obejrzał jej łapy i powiedział, że będzie ważyć około dwudziestu pięciu kilogramów.

- Jasne, biorąc pod uwagę jej rodziców, będzie spora. Teraz jest taka mała.

Piesek wydostał się z kosza bardzo szybko, pośliznął na kafelkach i oparł się o but Blaise'a. Potem zaczął obwąchiwać wszystko dookoła. Jillie obserwowała Corky z uśmiechem.

- Nadal zamierzasz wziąć szczeniaka od doktora? Kiwnął głową.

- Trzyma dla mnie jednego, tylko muszę go odebrać - zawahał się, zerknął na Jillie i na psa. - Ale sam nie wiem. Co powiesz na dwa psy w domu?

- Przecież nie masz żadnego?

- Nie - uśmiechnął się rozbawiony i dorzucił. - Tak tylko pytałem. Ogólnie, co o tym sądzisz?

Serce zaczęło jej szybciej bić, lecz nie rozumiała dlaczego.

- Jeśli jest dużo miejsca, czemu nie?

- Myślisz, że mój dom jest wystarczająco duży?

- Dla dwóch psów? Jasne. Możesz dodać jeszcze kota - próbowała żartować, choć nie bardzo jej to wychodziło.

- Chciałabyś mieć kota? - zapytał od razu.

- Ja? - Teraz serce waliło jej jak oszalałe. Do czego on zmierza?
- Może być i kot - powiedział, patrząc na nią badawczo. - Jeśli pogodzi się z psami.
- Tak...

Kąciki ust uniosły mu się wysoko.

- A nawet jeź, ale słyszałem, że wymaga dużo opieki. To nie jest zwierzątko dla ludzi, którzy ciągle są zajęci. Praca policjanta zabiera dużo czasu, a ty będziesz w swoim sklepie... - wzruszył ramionami. - Dwa psy dotrzymają sobie towarzystwa, a kot i tak ma wszystko gdzieś. Ale jeź byłby samotny.

Nagle poczuła, że nie wytrzyma tego dłużej.

- Do czego zmierzasz?

Milczał przez chwilę, a serce Jillie biło coraz szybciej. Nie żartował. Ludzie nie prowadzą takiej rozmowy dla zabawy. - Bo... - Popatrzył na nią i wydał usta. - Chciałem powiedzieć coś poważnego.

- O czym?

- O nas.

- O nas? -Tak.

- Och. - Teraz serce waliło tak, że szumiało jej w uszach. Powinna natychmiast uciec, od tego faceta, od jakiegokolwiek związku z mężczyzną. Fielding pokazał jej, jak okropnie może wyglądać wspólne życie, więc nie spodziewała się niczego dobrego.

Jednak myliła się. Gdzieś na dnie duszy została w niej nuta optymizmu. W głębi serca wierzyła, że mężczyzna może być honorowy i wierny. Z pew-nościągdzieś na świecie byli tacy ludzie! Przypomniał jej się obraz staruszka z lampką oliwną w dłoni.

- Diogenes nigdy nie znalazł choćby jednego uczciwego człowieka. Zmieszany Blaise zrozumiał dopiero po chwili.

- Bo nigdy nie spotkał mnie - stwierdził.

Jillie odetchnęła głęboko. Bała się nawet mieć nadzieję.

- Posłuchaj, wiem, że przez kilka ostatnich dni trzymałem się z dala od ciebie, ale to dlatego, że chciałem wszystko poważnie przemyśleć.

- Co takiego? - zę smutkiem przypomniała sobie, jak jej go brakowało.

- Do diabła, Jillian. W czwartek zrozumiałem dokładnie, że zranię cię, jeśli nasz związek nie będzie trwał.

Nie spodobały się jej te słowa.

- Po tym, co przeszłaś, potrzebujesz osoby oddanej ci bez reszty. Te słowa nie spodobały jej się jeszcze bardziej.

- Blaise... - przerwała mu. Nie chciała, żeby tłumaczył, dlaczego nie jest dla niego odpowiednia. Zbyt wiele ciężkich przeżyć miała za sobą, by i to znieść. Poza tym oszalała na jego punkcie.

- Będę zupełnie szczery - powiedział, nie zwracając uwagi na to, co się z nią dzieje. -Na początku byłaś tylko obiektem seksualnego zainteresowania. To znaczy...

Zaskoczona, wybuchnęła śmiechem. -Co?

- Obiektem seksualnego zainteresowania - uśmiechnął się. - A czego się spodziewałaś? Te śliczne jasne włosy wystarczą, żeby zwrócić uwagę, ale potem... potem, kochana, te nogi. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem cię w szortach, straciłem głowę. O mało nie rozbiłem samochodu.

-Naprawdę? - Rozśmieszył ją. Jeszcze dla nikogo nie była obiektem seksualnego pożądania.

- Tak. Zwariowałem. Zapragnąłem ciebie i tylko na seksie na początku mi zależało.

Bała się, że za chwilę powie, że nie jest dla niego niczym więcej, lecz nie poczuła się urażona. Po związku z Fieldingiem, miło usłyszeć od kogoś innego, że jest pociągająca.

- W czwartek w nocy zrozumiałem, że to nie fair w stosunku do ciebie. Nie powinienem się z tobą spotykać, jeśli nie miałem zamiaru traktować cię poważnie. Gdybym postanowił chodzić na randki i czekać, co z nich wyniknie, byłoby ci przykro, szczególnie od chwili, kiedy poszliśmy do łóżka. To znaczy... wszyscy do tej pory porzucali cię, Jill. Nie chciałem być kolejną osobą, która ci to robi.

Kiwnęła głową, poruszona jego troską. Powinna zaprzeczyć, ale kłamałaby. Może to dobrze, a może nie, nigdy jednak nie była w luźnym związku. Zawsze angażowała się głęboko i łatwo dawała się zranić. Często obcy ludzie sprawiali jej przykrość. Kogo teraz chciała oszukać? Była po prostu przewrażliwiona.

- Przykro mi - wycodziła sztywno. - Wiem, że trudno ze mną wytrzymać.

- Ja tego nie powiedziałem, nie przypominam sobie - przerwał jej. -Powiedziałem tylko, że zrozumiałem, jak bardzo bym cię skrzywdził, gdybym spotykał się z tobą i nie był gotowy związać się na stałe. Szczerze mówiąc, nikogo nie można tak traktować. Nikogo. Ale ty... cierpiałabyś jeszcze bardziej. Nie chciałem ci tego zrobić, tobie jednej nie.

Pomyślała, że to najpiękniejsza pożegnalna przemowa, jaką kiedykolwiek słyszała.

- Boże, Jill, nie płacz.



Objął ją ramionami, wtuliła się w niego, a on przycisnął ją mocno.

- Wcale... nie płacze - ledwo wydusiła przez zaciśnięte gardło. Nie przeżyje, jeśli Blaise odwróci się i odejdzie.

- Jill... Jill, och, kochanie. Wszystko wychodzi nie tak. Próbuje ci powiedzieć, że cię kocham. Chcę widywać się z tobą i mam nadzieję, że i ty kiedyś pokochasz mnie.

Nie uwierzyła własnym uszom. To niemożliwe. Powoli uniosła głowę i spojrzała na niego.

- Żartujesz, prawda?

Przez chwilę patrzył na nią zdezorientowany, a potem wybuchnął śmiechem.

- Panno McAllister, czy masz na drugie imię Trudna? Nie, nie żartuję. Nie żartowałbym z czegoś takiego.

Potem szybko pochylił się, wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Padli na łóżko i przez chwilę leżeli na wzorzystej pościeli. - Lepiej mi się myśli na leżąco - wyznał z dziwnym błyskiem w oku. Nie bardzo wierzyła, że chciał coś przemyśleć, szczególnie kiedy zaczął

całować ją po szyi, aż przeszyły ją dreszcze. Objęła go ramionami.

- Uwielbiam, kiedy tak drżysz - powiedział chrapliwym głosem i zaczął ściągać z niej koszulkę. - Kocham twoje westchnienia, mruknięcia i pojękiwania i inne podniecające rzeczy, które robisz.

- Więc jestem tylko obiektem seksualnym? - zapytała, z trudem łapiąc powietrze.

- Nie tylko. Nigdy nie byłeś tylko obiektem zainteresowania erotycznego. Lubię tę twoją kłótniowość, i tę zaszokowaną minę, kiedy zdajesz sobie sprawę, że powiedziałeś coś nie tak. Ale pokochałem cię, kiedy wzięłaś Corky od weterynarza.

Wyciągnął jej całą koszulkę ze spodni i oparł się na łokciu.

- Jill, nie umiem tego wyrazić słowami. Po prostu stało się. Kocham cię. Wiem, że nie czujesz jeszcze tego samego do mnie, zwłaszcza po tym wszystkim, co przeszłaś. Ale... dasz mi szansę?

Zaskoczyło ją, że zadał takie głupie pytanie. Czyżby nie miała odpowiedzi wypisanej na twarzy?

- Nie bądź głupi, Blaise. Kocham cię od dawna, i dobrze o tym wiesz. Przez chwilę patrzył na nią zdumiony, a potem wybuchnął głośnym śmiechem.

- Co w tym śmiesznego? - zapytała.

- Nic. Zupełnie nic. Nieźle! - otarł kąciki oczu wierzchem dłoni i padł z powrotem na łóżko. - To znaczy, że idziemy razem na całego?

- Zależy, co masz na myśli?

Położył się na boku i uśmiechnął do niej tak czule, że zupełnie ją rozbroił.

-Myślę o małżeństwie, o dzieciach... i że cię nie opuszczę aż do śmierci.

Nie mogła złapać oddechu. Jeszcze raz? Czy była gotowa spróbować jeszcze raz? Po tak bolesnych doświadczeniach?

Ale wiedziała, że odpowiedź jest tylko jedna. Blaise uszczęśliwił ją i bez niego życie byłoby puste.

- Ja też - odparła.

Wreszcie znalazła swoją rodzinę.

## Epilog

Oj, Ted, bądź cicho. Wszystko dobrze się skończyło - z powagą powiedziała Mary do swego adoratora. Siedzieli razem na tarasie w barze na plaży i popijali mrożone koktajle ozdobione papierowymi parasolkami i plasterkami ananasa. Słońce zachodziło powoli nad zatoką. Woda mieniła się różnymi odcieniami niebieskiego, zupełnie jakby w morzu pływały błyszczące cekiny.

- Moim zdaniem, nie możemy pozwolić, żeby wszyscy uważali Wainwrighta za autora graffiti. Trzeba się przyznać i ponieść karę.

- Zgadza się całkowicie - powiedział Hadley Philpott, dołączając do nich ze szklanką w ręku.

- Przestańcie obaj. Jeśli zaczniemy opowiadać o naszych wyczynach, zaszkodzimy sobie. Poza tym robicie z igły widły. Zarzuty wobec niego zostały oddalone z braku dowodów, więc nie stało się nic złego.

- Ale wyrządziliśmy krzywdę Jillie. Zniszczyliśmy jej dom i sklep - przypomniał Hadley surowo.

Odwrócili głowy w stronę kępy drzew, gdzie Jillie i Blaise ubrani na biało pozowali do zdjęć o zachodzie słońca. Weselnicy usadowili się wygodnie na tarasie w barze, gdzie odbywało się przyjęcie. W tle słychać było romantyczny śpiew na głosy.

Rainbow Moonglow, która wcześniej odgadła, że o tej porze za rok Corriganowie zostaną rodzicami, przepowiadała przyszłość zainteresowanym gościom.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - powiedziała Mary. - Ci dwoje są tacy szczęśliwi, i to tylko dzięki nam.

- Szczerze mówiąc - wtrącił wielebny Archer, który przed chwilą udzielił im ślubu - uważam, że to zasługa psa.

- Psa?

Pokiwał głową, rozbawiony.

- Rover połączył tych dwoje. Nie mówili wam, ile razy spotykali się z jego powodu? Nasz Pan działa w tajemniczy sposób.

- Ale przez psa? - Mary nie wyglądała na przekonaną.

Właśnie wtedy trzy psy dołączyły do Blaise'a i Jillie na plaży. Corky, która urosła i miała już prawie pięć miesięcy, jej siostra Dixie i Rover, dumny jak paw. Zwierzaki najwyraźniej też chciały znaleźć się na zdjęciu.

Ted westchnął i popatrzył na miłość swojego życia.

- My też tak powinniśmy, Mary.

Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się dziewczęco.

- Zawsze jest na to czas - odparła. - Może Rover i nam pośpieszy z pomocą.

Hadley przewrócił oczami.

- Myślę, że nasza grupa powinna zadziałać. A tak przy okazji, kto będzie nowym członkiem? Mówiłaś, że już wiesz, kto zastąpi George'a Appleby.

- Nie ja - zastrzegł się Ted. - Nie zamierzam brać udziału w waszych numerach.

Mary pokręciła głową.

- Nie ty, Ted. Oczywiście, że nie ty. Jesteś zbyt zrównoważony i dlatego nie wyszłam za ciebie.

- Za każdym razem, kiedy poruszamy ten temat, podajesz inny powód. Mary uśmiechnęła się

- Muszę cię trzymać w niepewności.

- Kto będzie naszym nowym członkiem? - zapytał zniecierpliwiony Hadley. - Co postanowiłaś?

Mary znów odchyliła głowę do tyłu i spojrzała na nowożeńców, którzy roześmiani biegali z psami po plaży.

- Was również potrzymam w niepewności - oświadczyła i też się roześmiała.

Czerwone jak cynober słońce, przepięknie zachodząc, zniknęło za horyzontem.